

OLSZTYN
57 | 2016

borussia

KULTURA ••• HISTORIA ••• LITERATURA

**KANON WARMII I MAZUR
ROK NOWOWIEJSKIEGO
PROWINCJAŁKI
DEDECIUS I RÓŻEWICZ
ORACKI I KOWALEWSKI
BEŚKA I BARTNIKOWSKI**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**



NARODOWY
PROGRAM
ROZWOJU
CZYTELNICTWA

Zealizowano przy współudziale finansowym Samorządu Olsztyna



Redakcja:

Redaktorzy naczelni: Kazimierz Brakoniecki, Robert Traba

Zespół redakcyjny:

Iwona Liżewska, Iwona Anna NDiaye, Maryla Paturalska, Janusz Pilecki (grafik),

Ewa Romanowska, Rafał Żytyniec

Asystent redakcji: Paweł Sarnowski

Rada Redakcyjna:

Piotr Mitzner, Zbigniew Mikołajko, Anna Nasiłowska, Hubert Orłowski,

Cezary Wodziński, Leszek Żyliński

Korekta: Emilia Janowska

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Janusz Pilecki

Skład i łamanie: WZORCOWNIA | www.wzorcownia-art.pl

Fotografia na III stronie okładki: Wojciech Marek Darski

Druk: Gutgraf | www.gutgraf.pl

Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia”

Adres do korespondencji:

ul. Zyndrama z Maszkowic 2 | 10-133 Olsztyn

tel./fax 89 534 00 26

redakcja@borussia.pl | www.borussia.pl

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zastrzegamy sobie prawo do wprowadzania zmian i skrótów.

Zapraszamy do współpracy.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo pismo i stowarzyszenie,

podajemy numer naszego konta:

Bank Gospodarki Żywnościowej O/Olsztyn: 29 2030 0045 1110 0000 0334 3270

PL ISSN 0867-6402

Nakład: 500 egz.

SPIS TREŚCI

KANON WARMII I MAZUR	3
Robert Traba Kanon Warmii i Mazur: preludium i puenta	5
Jacek Poniedziałek Kanon kulturowy Warmii i Mazur – plebiscyt i próba interpretacji jego wyników	10
WYWIAD	25
Cały świat może głupieć, ale mnie nie wolno. Marek Barański rozmawia z prof. Tadeuszem Orackim	27
ROK FELIKSA NOWOWIEJSKIEGO	35
Iwona Fokt Historia w listach zapamiętana. Listy z kolekcji Feliksa Nowowiejskiego	37
Krzysztof Dariusz Szatrawski Feliks Nowowiejski – kompozytor z Barczewa	46
ALLENSTEIN/OLSZTYN	55
Włodzimierz Kowalewski Epitafium (słuchowisko)	57
POEZJA	79
Waldemar Kontewicz Chasydzki Pentagon i pan Cytrymbałm, Pospolite ruszenie	81
KARL DEDECIOUS	89
Winfried Lipscher Karl Dedecius (1921-2016) – ekumeniczny teolog literatury	91
Agnieszka Brockmann Schliemann polskiej poezji. Wspomnienie o Karlu Dedeciusie	97
TADEUSZ RÓŻEWICZ	103
Manfred Peter Hein Kalendarz pewnej przyjaźni. Spotkania z Tadeuszem Różewiczem, tłum. Małgorzata Żytniec	105
PROWINCJAŁKI	111
Marcin Cielecki Dziennik wewnętrzny	113
Tomasz Gliniecki Adolf Israelski, czyli tajemnice łyżki do butów	125
Waldemar Kontewicz Akcent, Chorały gregoriańskie	128
Jan Jastrzębski Ile poezji mieści się w fiaciku?	132
METAFIZYKA MIEJSC	139
Iwona Bolińska-Walendzik 112 schodów	141

ARCHIWUM LITERACKIE	159
Klemens Frenszkowski Kosiarz i wiązarka	161
PROZA	169
Krzysztof Beśka Amber-Gold	171
Krzysztof Dariusz Szatrawski Księga Wolfów	191
HISTORIA	205
Ewa Kozłowska Francuscy jeńcy wojenni w Treuburgu (Olecku)	207
POEZJA	214
Aleksandra Tchórzewska *** [termometr pokazuje 38°C w cieniu...], *** [nie nie odwracasz się...], przebudzenie	215
Dariusz Łukaszewski *** [nazywam się...], *** [skąd ten czerwony długopis...]	218
TRAKTAT	221
Andrzej Bartnikowski Traktat o samotności	223
DEBIUTY POETYCKIE	231
Wiersze Grupy Literackiej Młodych z Pałacu Młodzieży w Olsztynie: Joanna Antonowicz, Zuzanna Drząszcz, Sara Jaśtak, Malwina Banach, Izabela Wróblewska, Michał Pawlak	233
RECENZJE	243
Zaulek Leszka Szarugi Stan rzeczy [Iwona Smolka, <i>Skarpa</i> , Warszawa 2015; Magdalena Parys, <i>Biała Rika</i> , Kraków 2016; Grzegorz Filip, <i>Miłość pod koniec świata</i> , Chorzów 2015]	245
Jan Jastrzębski Erwina Kruka los utracony [Erwin Kruk, <i>Nieobecność</i> , Olsztyn 2015]	251
Marcin Cielecki Awers i rewers jednej opowieści [Adam Zamoyski, <i>Święte Szaleństwo...</i> , Kraków 2015, oraz Adam Zamoyski, <i>Urojone widmo rewolucji...</i> , Kraków 2015]	256
Marek Barański Poetycka praktyka czasu [Dariusz Szymanowski, <i>Żywy polecone</i> , Szczecin 2016]	261
Kazimierz Brakoniecki Widnoksiąg [Alvydas Šlepikas, <i>Mam na imię Marytė</i> , Wrocław– Wojnowice 2015; Jaan Kaplinski, <i>Ojcu, Sejny</i> 2016; Bora Ćosić, <i>Konsul w Belgradzie</i> , Sejny 2012; Anna Janko, <i>Mała Zagłada</i> , Kraków 2015; Cezary Łazarewicz, <i>Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka</i> , Wołowiec 2016; Jan Darowski, <i>Unsere</i> , Rzeszów 2012; Jan Darowski, <i>Eseje</i> , Rzeszów 2013; Jan Darowski, <i>Poezje</i> , Rzeszów 2015; <i>Państwo Nikt. Dzieje ludzi nieważnych</i> , Katowice 2016; Arkadiusz Stempin, <i>Sojusznicy. Od Fryderyka I i Katarzyny Wielkiej do Merkel i Putina</i> , Warszawa 2016; Piotr Zychowicz, <i>Żydzi. Opowieści niepoprawne politycznie</i> , Warszawa 2016]	263
Mirosław Ślapiak Po niciach, nitkach i niteczkach [Krzysztof Beśka, <i>Krypta Hindenburga</i> , Gdańsk 2015]	278

**KANON
WARMII I MAZUR**

Robert **TRABA**

Kanon kulturowy Warmii i Mazur: preludium i puenta

ROBERT TRABA

prof. dr hab., ur. w 1958 roku w Węgorzewie, historyk, politolog, animator kultury, niemcoznawca; pomysłodawca, współzałożyciel oraz wieloletni przewodniczący WK „Borussia” w Olsztynie, od 2006 roku dyrektor Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie.

Po co była nam ponaddwumiesięczna przygoda, którą nazwaliśmy „Kanonem kulturowym Warmii i Mazur”?

PRELUDIUM

Pierwszą inspiracją wcale nie była historia Warmii i Mazur i jej funkcjonowanie w przestrzeni publicznej. Pomysł zrodził się ze zderzenia teorii z praktyką obecności przeszłości w teraźniejszości. Po co – w rzeczywistości zdominowanej przez globalne kryzysy, wojny wprawdzie dalekie, ale odczuwalne również w Europie i Polsce, wielkie ruchy migracyjne, przeobrażenia polityczne i zwyczajne problemy związane z niełatwą codziennością – potrzebna nam jest jeszcze refleksja o czasach dawno i niedawno minionych?

Praktyka podpowiada odpowiedź najprostszą: Wszyscy mamy pamięć, więc w sposób naturalny przeszłość jest umocowana w teraźniejszości chociażby poprzez rodzinne wspomnienia i czasem intuicyjne tylko (jak gotowanie!) pielęgnowanie rodzinnych tradycji. Pamięć indywidualna tworzy nasze realne wyobrażenia o sobie, w formule jakże często autorytatywnej: Skoro pamiętam, że tak było, to przecież mówię prawdę! Przywołuje wizerunek rodziny, a w dalszej kolejności również kształtuje obraz otaczającego nas świata.

Teoria mówi to samo, lecz trochę inaczej. W pierwszej kolejności to przestrzeń naszych doświadczeń osobistych koduje naszą świadomość współczesną i nasze wyobrażenia o przeszłości. Określa również horyzont naszych późniejszych postaw i oczekiwań. Rozumienie przeszłości pozwala nadawać sens teraźniejszości i lepiej odnajdować siebie w skomplikowanej rzeczywistości. Ma też znaczenie – o czym nie zawsze pamiętamy – dla przyszłości w tym sensie, że określa orientację praktyki życiowej tak potrzebnej do motywacji w codziennym działaniu.

Drugą inspiracją było realne odniesienie powyższych refleksji do realiów regionalnych, naszych doświadczeń z miejscem, w którym przyszło nam mieszkać. Warmia i Mazury albo lepiej – współczesne, istniejące od 1999 roku województwo warmińsko-mazurskie już przez samą mozaikę ziem i mieszkańców, którzy tu zdomowili się, tworzy wielość różnorodnych interpretacji. Na dodatek wszyscy tu jesteśmy MIGRANTAMI! To znaczy do zastanych świadectw materialnych każdy dokłada własne historie rodzinne z innych części Polski. Jak opowiedzieć taką przeszłość? Co zrobić, żeby szanując różnorodność, nie tworzyć wykluczających się opowieści?

Skoro wszyscy jesteśmy „skądś” (nawet przecież przed wiekami przybyli tu głównie z sąsiedztwa późniejsi Warmiacy i Mazurzy!), to ten świat, w którym naszym przodkom przyszło zamieszkać, **powinniśmy rozpoznać, trochę nauczyć się go i stworzyć własne imaginarium, które określi sens naszego bycia w tym miejscu.**

Po opublikowaniu kanonów eksperckich wiele osób pytało mnie ze zdziwieniem: Jaki to kanon, skoro my wielu z przedstawionych miejsc pamięci w ogóle nie znamy? Odpowiadam: A w jaki sposób w meandrach dziejów naszego regionu chcemy być świadomymi sukcesorami jego skomplikowanego dziedzictwa, wykreślając z niego na przykład dawnych Prusów, dorobek koryfeusza renesansu europejskiego, reprezentowany przez biskupów warmińskich? Jak chcemy być dumni z Mikołaja Kopernika, skoro największym osiągnięciem ostatnich lat było popkulturowe przerobienie jego portretu w pseudowarholowski wizerunek Che Guevary? W zamku olsztyńskim znajduje się oryginalne dzieło Kopernika służące do pomiaru zjawiska równonocy, do którego pielgrzymują intelektualisci europejscy, a prawdopodobnie większość mieszkańców Warmii i Mazur nie umiałaby opowiedzieć jego znaczenia.

6

Cieszę się, że w 2008 roku francuski pisarz Jean-Pierre Luminet napisał z dużym sukcesem powieść „Tajemnica Kopernika”, że w 2014 roku włoski noblista Dario Fo wplótł postać „młodego astronoma Polaka” w wielką narrację o rodzie Borgiów. Ale pytam jednocześnie, **gdzie jest nasza opowieść?** Jeszcze smutniejsza jest bezradność dotycząca najnowszych, tragicznych dziejów Warmii i Mazur. Gdy rekordy oglądalności od 2008 roku bije hollywoodzka „Walkiria” w reżyserii Bryana Singera z Tomem Cruisem w roli głównej, prawie nikt nie pamięta znakomitego filmu Jana Batorego według prozy Andrzeja Brychta „Dancing w kwaterze Hitlera”. Klasyka polskiej szkoły filmowej z 1968 roku (oficjalna premiera dopiero w 1972) ze znakomitymi rolami Andrzeja Łapickiego, Zdzisława Maklakiewicza, Olgierda Łukaszevicza i muzyką Wojciecha Kilara odeszła do lamusa. Gierłoż staje się skomercjalizowaną pustką, przyciągającą

głównie specyficznych mężczyzn zafascynowanych militariami. Jeszcze smutniejsza jest historia 50 tys. ofiar obozu Hohenstein IB, których pamięć dziś ratuje lokalna inicjatywa burmistrza Olsztynka, ale najpierw dopuszczono do skandalicznej dewastacji miejsca cierpienia kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy radzieckich, alianckich (w tym polskich) z całej Europy.

Wracając jeszcze do filmów, przypomnę, że prawdopodobnie najlepszy film o Warmii i Mazurach w ciągu ostatnich lat zrobił krakowski reżyser, dokumentalista Waldemar Janda i jego przyjaciel, pochodzący z Gujany Brian Scott, który wcielał się w moderatora cyklu „Etniczne klimaty” (odcinek „Warmiaczki” i „Mazurskie losy”, 2003, 2004).

Mógłbym tak wymieniać kolejne przykłady zaniedbań. Nie jestem jednak pesymistą. Widzę potencjał znakomitych literatów, twórców, naukowców, którzy od lat wypełniają narracyjną pustkę. Co z tego, gdy sami siebie nie umiemy docenić i spopularyzować! Nie ma pomysłu na długotrwałe, zaplanowane działania kulturowe i edukacyjne, które z jednej strony pozwoliłyby nam samym odnajdować się w meandrach „naszej i nie naszej historii” i które dałyby szansę lepszemu wpisania regionu we współczesną Polskę i Europę. Wierzę jednak, że jest na to szansa!

Z tego przekonania, wzmocnionego doświadczeniami borussiańskiej dyskusji regionalnej podczas III Forum Otwartego Regionalizmu w lipcu zeszłego roku powstał pomysł „Kanonu kulturowego Warmii i Mazur”. Nazwałem nasz projekt „przygodą”, bo jak w każdej przygodzie doświadczamy nowych odkryć i nowych wrażeń.

PUENTA

Zakończenia i podsumowania nie będzie, bo „Kanon kulturowy Warmii i Mazur” trwa nadal. Przelotna puenta brzmi: Dopiero teraz zaczyna się jego prawdziwe życie.

Zanim wyjaśnię dlaczego, pozwolę sobie na jeden krótki komentarz. Grecki źródłosłów kanonu oznacza „miarę”, „wzorzec”, „model”. Z natury rzeczy kanon więc implikuje stałość i niezmienność. Kanon kultury pozwala nam lepiej zdefiniować grupę i siebie samego w grupie, do której przynależymy. Nasze zaproszenie do poszukiwania regionalnego kanonu kulturowego miało przede wszystkim cel, by w mozaice polskich doświadczeń kulturowych dostrzec inność i wspólność województwa warmińsko-mazurskiego z tym, co nazywamy kanonem narodowym. Pamiętaliśmy jednak od początku, że sama treść pojęcia „kanonu kultury” kryje w sobie paradoksy i немало rozmaitych napięć. Głównym źródłem tych napięć jest konieczność znalezienia równowagi między dorobkiem przeszłości, tradycją a otwarciem ku teraźniejszości i przyszłości, ku temu, co nowe (Ireneusz Kania, „Kanon kultury: Sztynna forma czy żywa treść”, „Znak”, <http://www.opoka.org.pl/biblioteka/1/IS/kanon06.html>).

Wyniki pierwszych pięciu zwycięzców plebiscytu w czterech kategoriach są ciekawe, ale nie zaskakujące. Ciągłe za bardzo zapominamy, że regiony, mimo przynależnych im nazw, nie są monolityczne. Że współczesne województwo warmińsko-mazurskie to nie tylko Warmia i Mazury, ale także dominujący przez setki lat w regionie Elbląg, Iława, Lubawa czy Pasłęk, które nigdy nie należały do historycznej Warmii czy etnograficznie zdefiniowanych Mazur. A jednak dzisiaj to również ich tradycja tworzy bogaty i różnicowany obraz naszego województwa.

Niespodzianką było pojawienie się wśród historycznych osobowości na listach ekspertów dr. Pawła Adamusa. Niezwykła popularność doktora Adamusa i jego tragiczne przedwczesne odejście, które było szokiem dla najbliższych i szerokiego grona jego olsztyńskich pacjentów, sprawiły, że już na początku wynik w kategorii osobowości był przesądzony. Obok emocji związanych z utratą przywołanie doktora Adamusa jest też wskazaniem za potrzebą upamięnienia się w naszym, dziś tak rozdygotanym społecznie życiu, o takie podstawowe, uniwersalne wartości ludzkie, jak rzetelność, ofiarność, zrozumienie i poświęcenie dla innych. W tym sensie postać Pawła Adamusa, być może dziś najpopularniejszego olsztyniaka, odzwierciedla nasze tęsknoty za światem bez przemocy i wzajemnego zwalczania.

Mamy nadzieję, że naszym plebiscytem zainicjowaliśmy nową, pozytywną, ale krytyczną dyskusję o sensie historycznej debaty o historii regionu, o funkcjonowaniu przeszłości w teraźniejszości. Proszę o nadsyłanie swoich refleksji na adres redakcji „Borussii”. W oparciu o wyniki pierwszego etapu naszego projektu chcemy już w tym roku zainaugurować program edukacyjny dla nauczycieli i uczniów, a w roku przyszłym we współpracy z Urzędem Marszałkowskim chcielibyśmy wydać obszerny tom poświęcony najważniejszym wydarzeniom, miejscom, historycznym postaciom i dziełom literackim.

Powód braku podsumowania zilustruję żartem. Otóż w latach 70. i 80. popularne były anty-reżimowe dowcipy z serii „Pytania do Radia Erewań”. Pewnego razu dzwoni słuchacz do radia zapytaniem:

„Czy redakcja przepowiada przyszłość?”. „Ależ oczywiście!” – brzmi odpowiedź. „Z przepowiadaniem przyszłości nie mieliśmy i nie mamy żadnych problemów. Gorzej jest z przeszłością... bo ona się ciągle zmienia!”.

Systemy się zmieniły, anegdotyczny problem z interpretacją przeszłości pozostał. Każda generacja w jakimś sensie obarcza przeszłość swoją nową interpretacją, pojawiają się zarówno nowe pytania, jak i nowe oddziaływania naszej pamięci pokoleniowej. Dlatego zdecydowaliśmy się rzeczowe podsumowanie zamieścić dopiero w kolejnym, lipcowym numerze „Borussii”. Ani podsumowania, ani zamknięcia projektu nie będzie też z innego powodu. **Potrzebujemy mianowicie wzajemnego uczenia się z historii i potrzebujemy racjonalizacji debaty**

o przeszłości jako permanentnego programu edukacyjnego. Tę potrzebę najlepiej wyraził jeden z najwybitniejszych współczesnych historyków, prof. Krzysztof Pomian:

Myszę rzeczywiście, że mamy teraz kłopot z sensem historii. To, co było milczącym założeniem praktyki historycznej przez bardzo długi okres [...] do lat 70. XX wieku, zostało teraz zakwestionowane, jeśli nie wręcz odrzucone. [...] Ale kryzys sensu i kryzys przyszłości – to również kryzys racjonalności.

Dopóki trwa ten kryzys racjonalności w historiografii i obecności historii w przestrzeni publicznej, dopóty warto, by trwał nasz projekt „Kanon kulturowy Warmii i Mazur”.

Świętując zakończenie jego pierwszego etapu, pamiętajmy, że jednym z najistotniejszych wyróżników kultury europejskiej jest innowacyjność połączona z nieustannym wysiłkiem w kierunku krytycznej reinterpretacji tego, co już osiągnięte. Nasz kanon nie jest i nie może być dyktatem. W tym właśnie duchu pozostając, chcemy zadbać o to, by był również w przyszłości żywym, dynamicznym projektem, podlegającym zmianom i przewartościowaniom.

Robert Traba

Olsztyn, 18 marca 2016 roku: przemówienie otwierające uroczyste rozstrzygnięcie „Kanonu kulturowego Warmii i Mazur” na zamku olsztyńskim

Kanon kulturowy Warmii i Mazur Plebiscyt i próba interpretacji jego wyników

JACEK PONIEDZIAŁEK

ur. w 1965 roku, dr socjologii, regionalista, publicysta; adiunkt w Katedrze Socjologii UWM w Olsztynie, członek WK „Borussia”.

Pod koniec 2015 roku olsztyńska „Borussia” – choć jej olsztyńskość wynika raczej z racji lokalizacji siedziby, jest ona bowiem regionalna i ponadregionalna w przedmiocie swego działania, uniwersalna w odniesieniu do idei, które głosi – zainicjowała działania nazwane wyłanianiem czy też próbą wskazania tego, co stanowić może regionalny kanon kulturowy. W odniesieniu do regionu tak pokieroszowanego przez historię zadanie to niełatwe, choć ważne, takie, od którego realizacji nie sposób uciec. Sam region przez nakładające się warstwy dziedzictwa historycznego, ten swoisty przekładaniec ludzi, opowieści, etniczności, kultur, miejsc i urzekającej przyrody, z jednej strony zadania tego nie ułatwia, z drugiej zaś tego rodzaju pracę czyni wyjątkowo twórczą i kuszącą. Przyjęto, że pierwszej kolejności swoje wybory przedstawią wraz z krótkim uzasadnieniem poproszeni o to regionalni historycy, działacze społeczni i kulturowi, artyści i uczeni, jednym słowem wycinek regionalnych elit intelektualnych. Następnie wyłonione przez nich typy, pogrupowane w kategorii dotyczące osobowości, miejsc, dzieł i wydarzeń, poddane zostaną publicznemu głosowaniu internetowemu. W prezentowanym tu tekście chciałbym przedstawić wyniki tego plebiscytu wraz z kilkoma moimi refleksjami. Nie będzie to socjologiczna ana-

liza porównawcza, lecz raczej inspirowana socjologicznym spojrzeniem próba zainicjowania dyskusji nad istotą tego, co nazwać można kanonem kulturowym Warmii i Mazur. Kierowany takim właśnie zamiarem postaram się przedstawić moje rozumienie kanonu, szkicowo zarysować zmienność i ulotność regionalnych jego inkarnacji oraz – co tu najistotniejsze – próbować uchwycić i zrozumieć wyniki plebiscytu.

KILKA SŁÓW O KANONIE

Słusznie widzi w człowieku niemiecki neokantysta Ernst Cassirer *animal symbolicum*, istotą, która nie tyle jest arystotelesowskim racjonalnym *zoon politikon*, ale nade wszystko jest społeczną istotą symboliczną. Cóż to znaczy? Ano tyle, że istotą człowieczeństwa jest zdolność do wytwarzania symboli, dzięki którym możliwe są: międzyludzka komunikacja, którą ułatwia pojęciowe uporządkowanie świata ujmowanego w kategoriach zrozumiałych symboli układających się w większe całości o charakterze mniej czy bardziej koherentnych wewnętrznie opowieści o świecie. Człowieka można pojąć tylko poprzez rozumienie emergentnego systemu symbolicznego, który ten tworzy, dystrybuuje i konsumuje¹. Ta zdolność wytwarzania i konsumowania symboli umożliwia intersubiektywne budowanie mechanizmu, zwanego w symbolicznym interakcjonizmie wspólną przekładalnością perspektyw. Znaczy to tyle, że w procesach socjalizacji człowiek przyswaja symbole, głęboko internalizuje znaczenia, jakie te ze sobą niosą, co z kolei czyni możliwym budowanie wspólnych opowieści o świecie, tych narracji, które pełnią funkcję łądotwórczą (umożliwiają oparcie tworzącego się społecznego porządku na symbolicznym kościecu), tożsamościową (ułatwiają przez wspólne rozumienie znaczeń, jakie niosą ze sobą symbole, identyfikowanie się z grupami społecznymi uznanymi za swoje) oraz, co istotne, budują w świadomości człowieka poczucie sensu².

Symbole i sklejone z nimi znaczenia układają się w mniej lub bardziej koherentne wewnętrznie całości, tworząc rdzeń czy też rdzenie, oraz mniej zwarte, lecz powiązane z nimi symboliczne sfery poboczne. Owe symboliczne rdzenie stają się rezerwuarem znaczeń, z którego jednostki i zbiorowości czerpią treści służące formowaniu się społeczno-kulturowych całości, przykładowo takich jak zbiorowości regionalne, etniczne, narodowe czy religijne. Poręcznym terminem określającym wskazywane symboliczne rdzenie jest *kanon*, który rozumiany jest, co sugeruje Jan Assmann, jako wzorzec, reguła, miara, wytyczna, kryterium³. W moim mniemaniu można by go sformułować jako ramę określającą obszar treści kulturowych, jakie powinny się w rdzeniu kulturowym znaleźć i jakie faktycznie w nim są (kanon w rozumieniu normatywnym). Kanon jest również zasadą, która określa, jak przyswajać i rozumieć treści kulturowe upakowane w ową ramę, oraz to, jakie skutki powinno stosowanie się do tych zasad w życiu społecznym przynosić (kanon w rozumieniu formatywnym).

1 E. Cassirer, *The Philosophy of Symbolic Forms*, vol. 1-4, New Haven: Yale University Press, 1980.

2 A. Piotrowski, *Ład interakcji. Studia z socjologii interpretatywnej*, Łódź: Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, 1998, s. 47-68.

3 J. Assmann, *Pamięć kulturowa. Pismo, zapamiętywanie i polityczna tożsamość w cywilizacjach starożytnych*, tłum. A. Kryczyńska-Pham, wstęp i red. nauk. R. Traba, Warszawa: Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, 2008, s. 120.

Innymi słowy kanon może być rozumiany jako zasób treści symbolicznych traktowanych jako najistotniejsze z punktu widzenia grupy społecznej, w jakiej został wypracowany i przyswojony, które wywołują skutki o charakterze społecznym, formują i integrują zbiorowości. Tak ujmowany kanon wpływa na tożsamość człowieka, a także otaczającą go sferę kultury oraz formy zbiorowości społecznych, których ten jest członkiem. Z reguły jest on

...zobiektywizowany w formach symbolicznych, takich jak mity, pieśni i tańce, przysłowia, prawa, święte teksty, obrazy, ornamenty, malowidła, drogi, a nawet [...] całe krajobrazy⁴.

Jedną z jego form jest personifikacja wzorów zachowań społecznych uważanych za istotne; są to opowieści o ważnych dla zbiorowości i jego kultury postaciach, świętych, bohaterach czy męczennikach, których losy stanowią wytyczne dla współczesnych⁵. Kanon tworzy się poprzez kumulację, kooptację oraz wynajdywanie tradycji, czyli twórczą działalność elit dzierżących narzędzia przemocy symbolicznej, które umożliwiają jej wymyślanie przeszłości na nowo⁶. Zmienia się poprzez dialektykę petryfikacji i rozpadu, kostnienia i upłynniania, jest pochodną tego, co Norbert Elias nazywa *nierozzerwalnym związkiem integracji i rozpadu*⁷. Mówiąc inaczej, ciągle tworzony jest i rozsypuje się, odbudowywany jest przez elity społeczne i kreowany w spontanicznie oddolnym procesie konstruowania ładu kulturowego, w ten sam sposób jest niszczone i składany od nowa, często z innych już treści i zasad.

REGIONALNE KANONY

Śledząc dzieje regionu, nazwijmy go Warmią i Mazurami (z całą świadomością tego, jak świeżej proveniencji jest to nazwa i jak bardzo ułomnie oddaje przeszłość tego skrawka Europy oraz to, jak niezdarnie precyzuje etniczną i etnograficzną mozaikę ziem wchodzących w jego skład), zauważymy, że i w tym przypadku formowały się i rozpadały kanony definiowane i funkcjonujące zgodnie z tym, o czym pisałem wcześniej. Wymienić tu można etniczno-religijne kanony plemion pogańskich Bałtów, łańcisko-germański kanon państwa krzyżackiego, niemiecki i pruski Prus Książęcych czy potem Wschodnich. Swoisty kanon wypracowany został w latach 1945-1989, oparty na polocentrycznej, nacjonalistyczno-socjalistycznej idei *pol-skości Ziemi Odzyskanych*. Działał w wymiarze normatywnym i formatywnym w takim stopniu, że można by pokusić się o stwierdzenie mówiące o tym, iż powstała pewna forma kulturowa i społeczna, którą odwołując się do badań socjologicznych, nazwać można społeczeństwem warmińsko-mazurskim⁸. Wskazane kanony formowane przez elity, doszlifowywane i dookreślane przez masy w praktyce życia społecznego rozpadały się wraz z kruszeniem się

4 J. Assmann, dz. cyt., s. 104.

5 Sh. N. Eisenstadt, *Utopia i nowoczesność: porównawcza analiza cywilizacji*, tłum. A. Ostolski, Warszawa: Oficyna Naukowa, 2009, s. 39-42.

6 E. Hobsbawm, *Wprowadzenie. Wynajdywanie tradycji*, w: *Tradycja wynaleziona*, red. E. Hobsbawm, T. Renger, tłum. M. Godyń, F. Godyń, Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2008, s. 9-25.

7 N. Elias, *Zaangażowanie i neutralność*, tłum. J. Stawiński, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2003, s. 1-85.

8 J. Poniedziałek, *Postmigracyjne tworzenie tożsamości regionalnej. Studium współczesnej warmińskomazurskości*, Toruń: Wydawnictwo Adam Marszałek, 2011, s. 238-245.

i znikaniem porządków społecznych i kulturowych, których były wytworem i które zgodnie z zasadą kulturowego sprzężenia zwrotnego je formowały. Uformowały się i zniknęły kanony plemion pruskich, powstał i rozkruszył się kanon krzyżackości, którego elementy wykorzystali budowniczowie kanonu pruskości⁹. Ten zaś został przemodelowany tak, że stał się jednym z elementów kanonu niemieckiego określającego to, co prawdziwe i niemieckie w kulturze regionu noszącego nazwę Prus Wschodnich¹⁰. Wskazany zarysowo tu proces to kreacja i rozpad, ale też przebudowa i swego rodzaju kulturowy recykling, kiedy to z rozsypanych resztek kultur buduje się *treści z odzysku*, które służą dzięki *ponownemu użyciu* do tworzenia rzeczy zasadniczo nowych. Czyż taki proces nie zachodził wówczas, gdy budował się nowy kanon kulturowy regionu w okresie PRL, kiedy to wypreparowano z dziedzictwa Warmiaków i Mazurów treści mające potwierdzać polskość regionu i jego kultury? Na gruzach i resztkach etnoregionalnych całości, destylując z nich to, co klasowo słuszne, czyli plebejskie i etnicznie zasadne, czyli polskie, konstruowano kanon Ziemi Odnalezionych Przeznaczeń, Krainy Tysiąca Jezior czy *polskich* Warmii i Mazur.

Koniec socjalizmu w Polsce przyniósł regionowi zmiany w każdym niemalże wymiarze. Erozji uległ również gmach kanonu regionalnego budowanego na wskazanych wyżej fundamentach. Erozja nie naruszyła jednak go w taki sposób, by można było mówić o jego totalnej destrukcji. Znaczna część mieszkańców regionu, w szczególności starsze pokolenia, nadal odwołują się w swoich deklaracjach do etnicznie polskiego kanonu uformowanego w czasach funkcjonowania realnego socjalizmu w Polsce. Upadek instytucjonalnych mechanizmów służących formowaniu się tego rodzaju kanonu umożliwił jego rewizję, przebudowę czy przeformułowanie. Początek lat 90. ubiegłego wieku przyniósł regionowi coś na kształt kulturowego wzmożenia, jakie udzieliło się pewnym grupom warmińsko-mazurskich inteligentów i inteligentek, jednym słowem elit. Oto zaczęto dostrzegać konieczność rozformowania czy rozhermetyzowania kanonu budowanego na nacjonalistycznogennej etniczności, uzupełniając go przez sięganie do elementów niepolskiego dziedzictwa kulturowego. Wymienić tu można, choć to daleko nie wszystkie, takie przedsięwzięcia jak Wspólnota Mazurska, Pruthenia, Wspólnota Kulturowa „Borussia” czy Sadyba. W regionalnym dyskursie publicznym, raczej jednak w obiegu elitarnym, nie zaś masowym, pojawiły się dywersyfikujące etniczny monolit polskości regionu postaci bohaterskich wodzów takich jak natangijski przywódca powstania przeciw Krzyżakom Herkus Monte, miejsca uzupełniające polski *genius loci*, takie jak zaginione wioski starowierców w Puszczy Piskiej, książki opisujące unikatowość i wyjątkowość regionu wymykającą się prostym nacjonalistycznym, zarówno niemieckim, jak i polskim sztamom. Z wielu można by wymienić niezwykłą „Księgę Mazur”, zbiór opisów ziemi mazurskiej, jej przyrody i ludzi, jaki wyszedł spod pióra Fritza Skowronka¹¹.

9 A. Kossert, *Prusy Wschodnie. Historia i mit*, tłum. B. Ostrowska, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar, 2009, s. 7-18.

10 R. Traba, „Wschodniopruskość”. *Tożsamość regionalna i narodowa w kulturze politycznej Niemiec*, Olsztyn: Borussia, 2007, s. 287-387.

11 F. Skowronnek, *Księga Mazur*, wybór i oprac. R. Traba, tłum. A. Jachimiał, Olsztyn: Borussia, 2002.

Po z górą już ćwierćwieczu można by zadać pytanie, czy ta judymowa praca przynosi efekty? Śmiem twierdzić, że nie takie, jak chcieliby to widzieć ci, którzy wykonują ciężką kulturową pracę nakierowaną na budowanie nowej regionalnej opowieści, która nie rościłaby sobie prawa do wyłączności i prawdziwości, byłyby jednak propozycją budowania *regionalizmu otwartego*. To idea, która upowszechniła się w świadomości intelektualistów, społecznych działaczy czy artystów, mniej zaś znana jest ludziom nieprzynależącym do regionalnych elit. Regionalizm otwarty to projekt, zadanie tworzenia głęboko humanistycznej, nieantagonistycznej płynnej ramy, w której mieścić się będzie dziedzictwo obecnych i przeszłych mieszkańców tej ziemi. Na zasadzie wzajemnego uzupełniania, dopowiadania i znoszenia ekstremizmów ów projekt ma wpływać na formowanie się tożsamości regionalnej, kultury i wizji przyszłości Warmii i Mazur, które lepiej nas tu zakorzeniają, pozwolą wypracować poczucie sensu i celu bycia w regionie. Propozycja oparcia wskazanych wyżej jakości na płynnym, różnorodnym, zmiennym kanonie kulturowym powinna nas również impregnować, zabezpieczać przed zgubnym wpływem panoszącego się coraz częściej w Polsce i Europie wirusa ksenofobii, nacjonalizmu, a nawet nowych łagodnych jeszcze odmian faszyzmu.

PLEBISCYT

W środowisku olsztyńskiej „Borussii” pojawił się pomysł wypracowania i upowszechnienia nowego, regionalnego kanonu kulturowego. Zapytano kilkadziesiąt osób, ludzi nauki, kultury, sztuki, aktywistów społecznych, jakie ich zdaniem postaci, miejsca, dzieła i wydarzenia konstytuują współczesny kanon kulturowy regionu. Następnie wyłonione zostały grupy czterech wskazanych wyżej kategorii. Poddano je publicznemu internetowemu głosowaniu, w którym oddano kilka tysięcy głosów. Oto wyniki głosowania. Wybory eksperckie.

Kategoria osobowość:

1) Mikołaj Kopernik; 2) Ignacy Krasicki; 3) Johann Gottfried Herder; 4) Wojciech Kętrzyński (Adalbert von Winkler) oraz Erich Mendelsohn; 5) Feliks Nowowiejski.

Kategoria miejsce:

1) Frombork – wzgórze katedralne; 2) Lidzbark Warmiński – zamek biskupów warmińskich; 3) Kanał Elbląski oraz Święta Lipka – sanktuarium pielgrzymkowe; 4) Szlak Wielkich Jezior Mazurskich; 5) Gietrzwałd – sanktuarium pielgrzymkowe.

Kategoria wydarzenie:

1) bitwa pod Grunwaldem – 1410 rok; 2) II pokój toruński – 1466 rok, oraz traktat krakowski i powstanie Prus Książęcych – 1525 rok, utworzenie państwa zakonu krzyżackiego w Prusach – lata 1230/1231; 3) bitwa pod Tannenbergiem – 1914 rok; 4) koniec II wojny światowej i przyłączenie Warmii i Mazur do Polski – 1945 rok; 5) plebiscyt w Prusach Wschodnich – 1920 rok.

Kategoria dzieła:

1) Siegfried Lenz, „Muzeum ziemi ojczystej”; 2) Max Toeppen, „Historia Mazur. Przyczynek do dziejów krainy i kultury pruskiej” oraz Melchior Wańkowicz, „Na tropach Smętka”; 3) Ernst Wiechert, „Dzieci Jerominów”; 4) Marion Dönhoff, „Nazwy, których już nikt nie wymienia”; 5) Mikołaj Kopernik, „De revolutionibus orbium coelestium”.

Plebiscyt internetowy zakładał dobrowolne oddawanie głosu przez każdego chętnego, co należy podkreślić w tym miejscu, nie pozwala to orzekać o reprezentatywności wyników tego głosowania. Można jednak zasadnie stwierdzić, nie naruszając zasad postępowania badawczego w socjologii, że głosujący to typ badawczej grupy celowej. Znaczy to tyle, że głosowali ci, co interesują się tematem, wskazane w preselekcji eksperckiej kategorie osób, miejsc, dzieł i wydarzeń znali. Stanowią więc oni część regionalnej elity. Nic w tym dziwnego, bo zgodnie z tym, co napisałem, to właśnie elity tworzą wstępne zarysy kanonu, który następnie narzuca jest dyskursywnie zwykłym ludziom. Ci zaś doszlifowują go, uznając w całości lub w części, dopracowując go w ramach społecznej praxis, utwierdzają kanoniczność kanonu. W plebiscycie otwartym wybrano:

W kategorii osobowość:

1) lekarz Paweł Adamus; 2) historyk Andrzej Wakar; 3) Mikołaj Kopernik; 4) architekt Erich Mendelsohn; 5) „Borussia” (zespół założycielski).

W kategorii miejsce:

1) aleje przydrożne; 2) Frombork – wzgórze katedralne; 3) Szlak Wielkich Jezior Mazurskich; 4) Grunwald – pole bitwy; 5) Kanał Elbląski.

W kategorii dzieła:

1) Mikołaj Kopernik, „De revolutionibus orbium coelestium”; 2) „Borussia. Kultura. Historia. Literatura” (czasopismo); 3) Marion Dönhoff, „Nazwy, których już nikt nie wymienia”; 4) Ernst Wiechert, „Dzieci Jerominów”; 5) Konstanty Ildefons Gałczyński, „Kronika olsztyńska”.

W kategorii wydarzenia:

1) bitwa pod Grunwaldem – 1410 rok; 2) koniec II wojny światowej i przyłączenie Warmii i Mazur do Polski – 1945 rok; 3) utworzenie państwa zakonu krzyżackiego w Prusach – lata 1230/1231; 4) plebiscyt w Prusach Wschodnich – 1920 rok; 5) powstanie Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego – 1999 rok.

LUDZIE

Wskazania eksperckie i plebiscytowe, jeśli chodzi o osobowości regionalne mieszczące się w kanonie, zgodne były w odniesieniu do Mikołaja Kopernika i Ericha Mendelsohna. To swe-

go rodzaju *regionalni światowcy*. W sprawie mistrza z Fromborka czyniono już wysiłki, by z jego postaci uczynić treść akcji promujących region. Jak wskazał Robert Traba w wykładzie otwierającym ogłoszenie wyników „Kanonu Kulturowego Warmii i Mazur”, sprowadzono postać wielkiego astronoma do androginicznego, popartystowskiego monstrem, które miało utwierdzać obraz *fajności* regionu w świadomości bliżej nieokreślonej grupy wielkomiejskich hipsterów. W zamyśle hipsterskość Kopernika w berecie stanowić miała binarną opozycję szkolnego i arcypolskiego księdza-astronoma patrzącego w gwiazdy i broniącego olsztyńskiego zamku przed *złymi, niemieckimi Krzyżakami*. Postać fromborskiego uczonego to nie ekstrema szkolnej nudy i hipsterskości, można spojrzeć na tę postać głębiej. Uwzględniając chociażby to, że wprowadził dziełem (uznanym zresztą w plebiscycie jako pozycja z regionalnego kanonu) Warmię i Polskę do naukowej awangardy. Postaci z kanonu wyznaczając wzory osobowe, winny stanowić punkty odniesienia dla mieszkańców regionu. W miejsce kiczowatej popkulturowej mizerii, mam tu na myśli obraz Mistrza przedstawionego jako transpłciowego rewolucjonistę paradyującego w koszmarnym berecie, trzeba by przepracować jego postać tak, by stanowiła faktyczny wzór osobowy. Przykładowo mógłby zapładniać twórczo regionalną klasę kreatywną – tak jak ją definiuje Richard Florida¹² – który to mocą swoich unikatowych umiejętności przeprowadzi województwo warmińsko-mazurskie z epoki gospodarczej, w której podstawą jest sektor agrarny (tak bowiem wpisano w strategię rozwoju województwa, radośnie ignorując to, co w nauce o współczesnych czynnikach rozwoju wiadomo) w fazę rozwoju, której mechanizmy wspierają się na filarach kreatywności i innowacyjności. Wszak jaskółki prawdziwej kreatywności w regionie już są, jak chociażby wywodzące się z tego regionu firmy tworzące części do dronów czy drukarki 3D.

Wskazano również na postać światowej sławy architekta Ericha Mendelsohna niemalże nieznanego w regionie, mało rozpoznawalnego w Olsztynie, mieście, w którym się urodził. Postać nieobecna w regionalnym imaginariu, wyciągnięta z niebytu warmińsko-mazurskiej pamięci przez borussian. Budowniczy artysta z regionem i miastem urodzenia związany tylko w pierwszym okresie życia, zlokalizował tu swoje pierwsze dzieło, Bet Tahara, dom przedporzebowy, innych los w Olsztynie zrealizować mu nie pozwolił. Bardziej jest on więc światowy, dodatkowo niemieszczący się w polonizacyjnej opowieści o regionie przez swą niemieckość i żydowskość. Natomiast doskonale mieści się w projekcie *otwartego regionalizmu* postać wschodniopruskiego Żyda. Inkorporowany do regionalnego palimpsestu kulturowego łamie polonizacyjną narrację tożsamościową bliską tak, wydawałoby się, odległym środowiskom, jak ludzie komunistycznej propagandy i endeckiej prawicy we współczesnej Polsce, widzący w człowieku regionu *czystą postać prawdziwego Polaka*.

W plebiscycie głosujący wskazali również środowisko „Borussii”, które od lat kreuje i upowszechnia idee otwartego regionalizmu, doskonale się w nim mieszcząc. Są borussianie

12 R. Florida, *The Rise of the Creative Class. And how It's Transforming Work, Leisure, Community and Everyday Life*, New York: Basic Books, 2002; polskie wyd.: R. Florida, *Narodziny klasy kreatywnej oraz jej wpływ na przeobrażenia w charakterze pracy, wypoczynku, społeczeństwa i życia codziennego*, tłum. T. Krzyżanowski, M. Penkala, Warszawa: Narodowe Centrum Kultury, 2010.

de facto przyobleczoną w ciało ludzi, działań i instytucji ideą regionalizmu otwartego. Doceniono wysiłki tych, którzy w codziennej i trudnej pracy pomagają mieszkańcom regionu radzić sobie z nieoczywistą przeszłością regionu, uświadamiając, jak ważne dla współczesnych jest dziedzictwo kulturowe regionu. Formacyjna i normatywna działalność środowiska borussiańskiego, nazwę ją *odpominającą*, to głęboko humanistyczna działalność, która ma formować człowieka otwartego, impregnowanego na nacjonalistyczne uproszczenia, znającego regionalną przeszłość, zanurzonego przez świadome uczestnictwo w teraźniejszą codzienność i wytyczającego wizję przyszłości regionu. Świadomy różnorodniej przeszłości człowiek, regionalny patriota, otwarty Polak i obywatel świata – oto borussiański wzorzec człowieka.

Zdziwienie może budzić umieszczenie przez głosujących w ramach kanonu postaci niedawno zmarłego olsztyńskiego pediatry Pawła Adamusa. Zaskoczenie wiąże się z faktem braku wyraźnych związków tegoż z szeroko ujmowanym polem kultury. Jeżeli jednak zdefiniujemy kulturę tak, jak czynią to socjologowie, czyli przez uznanie, że są to wartości społeczne niosące ze sobą znaczenie przekładające się na normy społeczne, to sprawa wyda się bardziej klarowna. Przedwcześnie zmarły lekarz uosabia tęsknotę współczesnych za bezinteresownością, poświęceniem, zainteresowaniem losem drugiego człowieka, troską o chore dziecko czy coraz bardziej dziś deficytową ludzką życzliwość. To wzór osobowy mogący stać się elementem kanonu kultury regionu, jasny punkt odniesienia dla wielu z nas. Postać popularyzatora przeszłości regionu, publicysty, pisarza i historyka Andrzeja Wakara nie budzi zdziwienia. To rezultat działań formujących społeczne imaginariusz mieszkańców regionu przed rokiem 1989. Jego proste w konstrukcji, atrakcyjne dla masowego czytelnika, odbiegające nierzadko od prawdy historycznej opowieści historyczne wpisywały się w socjalizującą do mitu polonizacyjnego komunistyczną propagandę. Poza oczywistą funkcją socjalizacyjną tego rodzaju kulturowe teksty pomagały nowym mieszkańcom radzić sobie z traumą przesiedleń, legitymizując przy tym fakt zajęcia obcego przecież terytorium narodowego. Stąd bierze się ich znaczenie i waga.

MIJESKA

Region to ludzie powiązani ze sobą splotem powtarzalnych w układzie diachronicznym i synchronicznym interakcji, które możliwe są dzięki tworzonej wspólnocie rozumienia znaczeń nadawanych treściom kulturowym. Jest on również fizycznym terytorium, które funkcjonują jako swoisty pojemnik na znaczenia, stanowi jeden z ważnym czynników w procesie *region-building*¹³. Elementy dookreślające region w jego wymiarze fizycznym to układy urbanistyczne i całe wsie, duża i mała architektura, toponimia czy obiekty przyrodnicze. Bez próby zrozumienia tego, w jaki sposób ludzie przypisują znaczenia tego rodzaju obiektom, w jaki sposób je odczytują, niemożliwe wydaje się wniknięcie w to, co można by określić weberowskim *verstehen*.

13 A. Paasi, *The resurgence of the 'Region' and 'Regional Identity': theoretical perspectives and empirical observations on regional dynamics in Europe*, *Review of International Studies*, 2009, vol. 25, s. 121-146.

hen¹⁴. A więc odciskająca się w świadomości mieszkańców dzięki społecznie zapośredniczonej percepcji siatka znaczeń nakładana zwrótnie na obiekty przestrzenne zlokalizowane w określonym terytorium stanowi warunek konieczny kształtowania się regionu. To elementy znaczące region, nazwę je regionalnymi markerami.

Eksperti i głosujący w plebiscycie wskazali, że jednym z najważniejszych obiektów architektonicznych stanowiących regionalny marker jest Frombork wraz z niesamowitym wzgórzem katedralnym. Imponujący rozmiarami, odsyłający do znamienitej przeszłości regionu kompleks budowli, niestety mało rozpoznawalny w Polsce, stanowić może to, co za Timem Edensorem nazwać należy *antropologicznym miejscem znaczącym*, takim, w którym w mniemaniu członków wspólnoty regionalnej skupienie cech społecznych, kulturowych i fizycznych jest największe¹⁵. Podobnie rzecz się ma z biskupim zamkiem w Lidzbarku Warmińskim. Miejscami antropologicznymi regionu są Święta Lipka i Gietrzwałd, kojarzone z katolicyzmem, warmińskością (choć pierwszy obiekt zlokalizowany jest poza Warmią), i pośrednio z polskością, poprzez splecioną tożsamość, którą Krzysztof Kosela nazywa nierozpływaną identyfikacją Polak-katolik¹⁶. Mamy tu do czynienia z fizycznym dowodem na to, co nazywane jest *etnicyzacją sacrum*¹⁷, w tym szczególnym przypadku w regionalnym tego procesu wymiarze. Ciekawe jest również wskazanie na pola bitwy pod Grunwaldem z 1410 roku jako regionalnego miejsca znaczącego. Jego powiązanie z etniczną narracją jest aż nadto widoczne. Na średniowieczną bitwę nakładana jest współczesna siatka znaczeń i narodowych kategoryzacji, nie od dziś wiadomo, że czym innym jest historia, czym innym zaś polityka pamięci udająca historię. Wskazano również na Kanał Elbląski jako hydrotechniczną regionalną *differentia specifica*. Znacznikiem regionu, miejscem mieszczącym się w kanonie jest również unikatowa przyroda, co bardzo znamienne, nie tylko wskazano Wielkie Jeziora Mazurskie, które stanowią przyrodniczy wyróżnik od bardzo dawna, ale także przydrożne aleje ozdabiające regionalne drogi. Topos regionu jako miejsca wiecznej kanikui, krainy dzikich kniei z dala od zgiełku stanowi stały element widzenia tego skrawka kraju zarówno przez samych mieszkańców, jak i świata na zewnątrz.

WYDARZENIA

18

Wydarzenia budujące kanon kulturowy regionu można traktować jako spłot miejsca i czasu oraz aktywności społecznej, które traktowane są *ex post* jako kamienie milowe w linearnie pojmowanych, logicznie na pozór uporządkowanych potokach zdarzeń mających dodatkowo jasny cel i sens. Tego rodzaju wydarzenia mają głęboko teleologiczny charakter. Należałoby

14 M. Weber, *Racjonalność, władza, odczarowanie*, wybór, wstęp, tłum. M. Holona, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie, 2004.

15 T. Edensor, *Tożsamość narodowa, kultura popularna i życie codzienne*, tłum. A. Sadza, Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2004, s. 55-94.

16 K. Kosela, *Polak i katolik. Splątana tożsamość*, Warszawa: Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego; Wydawnictwo Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, 2003, s. 309-318.

17 R. Zanderowski, *Religia a tożsamość narodowa i nacjonalizm w Europie Środkowo Wschodniej. Między etnicyzacją religii a sakralizacją etnosu (narodu)*, Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, 2011, s. 39-58.

traktować je jako społeczne rytuały, których odtwarzanie, na przykład poprzez obchodzenie rocznic, świąt czy ich rekonstrukcje, jak wskazywał Émile Durkheim, ma społeczne znaczenie w postaci funkcji integrowania wokół nich zbiorowości społecznych¹⁸. Wspomnę, że pamięć i społeczna recepcja wydarzeń filtrowana jest przez współczesne kalki semantyczne często niewiele mające wspólnego z rzetelnym odtwarzaniem przeszłości. O bitwie pod Grunwaldem już wspominałem, dopowiem tylko, że formacyjną siłę tego wydarzenia wspiera edukacja historyczna młodzieży oraz coroczne happeningi współorganizowane przez władze województwa.

Co znamienne, wydarzenia wskazane przez ekspertów i głosujących w plebiscycie, choć w nieco odmiennej kolejności, odnoszą się do tego, co można nazwać społeczno-kulturowym początkiem, symbolicznym otwarciem, budową nowego na gruzach starego porządku. Takim wydarzeniem symbolicznie określającym punkt zerowy w regionalnej socjogenezie, który ma wyraźnie polocentryczne zabarwienie i wydaje się oczywisty, jest 1945 rok, w którym region stał się częścią państwa polskiego. Koresponduje z nim, mające również w moim oglądzie polocentryczny charakter, wskazanie na plebiscyt zorganizowany w 1920 roku w Prusach Wschodnich, w wyniku którego znakomita większość zamieszkujących sporne tereny Mazurów i Warmiaków opowiedziała się za przynależnością do państwa niemieckiego. Można to zinterpretować jako nieudany polski początek regiogenezy. Takim początkiem polskiego formowania się narodu w świadomości mieszkańców może być II pokój toruński z 1466 roku, w wyniku którego między innymi Warmia stała się integralną, choć autonomiczną, częścią ówczesnej Polski.

Dwojako, tak przynajmniej myślę, można traktować wskazanie na powstanie w Prusach na przełomie lat 1230 i 1231 państwa zakonu krzyżackiego. Z jednej strony stanowi to kontrpunkt dla nasyconych polską etnicznością wydarzeń wskazywanych wcześniej. To swego rodzaju binarna opozycja, która przez negację wyrażaną w schemacie znaczeniowym niepolskości tę polskość historii regionu konstruuje. W ten sam sposób zinterpretować można powstanie Prus Książęcych w 1525 roku, tych, z których potem zrodzą się Prusy jako państwo niemieckie dokonujące rozbiorów Rzeczypospolitej. Ten schemat teleologicznej interpretacji historycznych wydarzeń często unieważnia prawdę historyczną, albowiem tylko *ex post* można stwierdzić, że akt sekularyzacji mógł stanowić rozbiorowe preludium. Ale jak wskazywałem, czym innym jest społeczna pamięć przeszłości, czym innym badana przez historyków przeszłość faktyczna. W odniesieniu do przeszłości krzyżackiej widoczne w regionie są próby jej reinterpretacji, będzie to drugie rozumienie wskazywanego w plebiscycie faktu ustanowienia państwa krzyżackiego. Ze *szwarccharakteru*, jakim widziała ich komunistyczna propaganda i nacjonalistyczna prawica, Krzyżacy przedzierzgają się w uznanych przeszłych gospodarzy tej krainy, w których widzi się coraz częściej nie niemieckich bandytów w płaszczach z czarnym krzyżem, ale sprawnych administratorów, budowniczych zrębów zachodniej cywilizacji.

18 É. Durkheim, *Elementarne formy życia religijnego. System totemiczny w Australii*, tłum. A. Zadrozżyńska, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2010.

Krzyżackość nieśpiesznie przesącza się do regionalnego imaginarium, choć pewnie lata miną jeszcze, nim stanie się jego integralną i niepodważalną częścią.

Wskazanie powstania Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie w 1999 roku być może stanowi odbicie faktu instytucjonalnego ramowania działalności regionalnych elit, wszak jest olsztyńska *Alma Mater* miejscem twórczej pracy kilku tysięcy regionalnych uczonych. A elity, jak wskazałem wcześniej, mają moc stanowienia i upowszechniania kanonu, może być więc tak, iż elity głoszące w plebiscycie dokonały swoistej autoaprecjacji swojego środowiska.

DZIEŁA

Literackie opowieści o świecie nie tylko stanowią wyraz artystycznej ekspresji poetów i pisarzy, mają również dalece pozaestetyczne funkcje. Po pierwsze modelują ludzkie postrzeganie otaczającego świata¹⁹, choć przyznać należy, że w tej funkcji coraz częściej zastępowane są przez telewizyjne symulakra czy wirtualne światy budowane w nowych mediach²⁰. Często obrazy literackie czytać należy jako nieortodoksyjne traktaty socjologiczne opisujące nie tylko świat przeżyć bohaterów literackich, ale również świat stosunków społecznych i treści kulturowych, w jakich są zanurzeni. Co więcej, interpretacja tekstów literackich – choć nie tylko ich, można by pokusić się o stwierdzenie, że wszystkich tekstów kulturowych – może być traktowana jako świetny materiał służący badaniom socjologicznym. Daje się bowiem w nich odszukać to, co w danym kontekście społecznym i kulturowym waloryzowane jest pozytywnie, co zaś traktowane jest jako wymagające negatywnego społecznego sankcjonowania. Kończąc ten wątek, powiem, że stanowią one taki kulturowy wytwór, który przez mieszkańców regionu, w szczególności tych czytających, a tych, jak wiemy, jest coraz mniej, traktowany jest jako medium oddające regionalne *genius loci* najpełniej.

Wskazania ekspertów i głoszących nieco się od siebie różniły. Obie grupy, choć na innych miejscach, wskazały Mikołaja Kopernika „De revolutionibus orbium coelestium”, dzieło raczej mało czytane, ale logicznie wiążące się z postacią, która dla mieszkańców regionu jest jedną z najważniejszych w jego dziejach. Głoszący w plebiscycie wskazali również na czasopismo „Borussia. Kultura. Historia. Literatura”, co także wydaje się zrozumiałe, jeżeli odniesiemy to do waloryzowanego pozytywnie samego środowiska związanego z pismem. Przez jego bowiem lekturę borussianie są poznawani i dzięki niemu propagują ideę *otwartego regionalizmu*. Eksperci wskazali na będący dziełem Melchiora Wańkowicza zbiór reportaży „Na tropach Smętka”. Znakomity eseista, dziennikarz i pisarz swoimi opisami prześladowań narodowościowych polskojęzycznej ludności regionu mającymi miejsce w latach 30. ubiegłego wieku na wiele lat umocnił negatywny obraz Wschodnioprusaków. Dzieło to stało się jednym z filarów polskiego mitu regionalnego tworzonego w antagonistycznej opozycji do niemieckości, funkcjonującego w latach 1945-1989. Aetnicznym pozornie, bo budującym topos regionu w odniesieniu

19 A. Kłoskowska, *Socjologia kultury*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2007, s. 215-245.

20 J. Baudrillard, *Symulakry i symulacja*, tłum. S. Królak, Warszawa: Sic!, 2005.

do jego przyrody, choć nie tylko, była „Kronika olsztyńska” pióra Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Tu etnoregionalna specyfika ludności autochtonicznej przykrywana jest specyfiką przyrodniczą, neutralne aksjologicznie lasy i jeziora ukrywają Warmiaków i Mazurów z ich nie-mieckością czy etniczną indyferencją. Etniczne toponimy Mazury, Warmia, Prusy Wschodnie neutralizuje neologiczny choronim *olsztyńskie*. Wskazane dzieła są elementami procesu budowy nowego regionu po roku 1945, próbą ustanowienia nowego regionalnego imaginarium.

W pewnym sensie po drugiej stronie symbolicznej barykady sytuuje się reszta wskazywanych dzieł. Będą one odwoływać się do przeszłości niemieckiej, warmińskiej i mazurskiej przed 1945 rokiem. Pokazują losy ludzi, kultur, społeczności wymykające się prostym schematyzacjom nacjonalistycznym, zarówno niemieckim, jak i polskim. Należy do nich wskazana historia Zygmunta Rogalli z Łukowca. Prowadzenie przez niego małego regionalnego muzeum wplecione zostało w opowieść o nieśpiesznej egzystencji Mazurów, Niemców i Polaków, których zwykle życie dalekie było od wielkich nacjonalistycznych sporów, a ich świat zdmuchnięty został z powierzchni świata przez wichur dziejów wygenerowany przez demona szowinizmów narodowych. Podobnie można napisać o innym mazurskim eposie, surowym, nieco depresyjnym opisie świata, którego już nie ma, mówię tu o dziele Ernsta Wiecherta noszącym tytuł „Dzieci Jerominów”. Ekspertsi wskazali dodatkowo archaiczną już nieco, ale barwną i ciekawą pozycję „Historia Mazur. Przyczynek do dziejów krainy i kultury pruskiej” autorstwa niemieckiego historyka działającego w XIX wieku Maxa Toeppena. Wyrazem przyznania prawa do żalu i rozpacz, uznania krzywd, jakie wyrządzono przeszłym gospodarzom tej ziemi, w końcu wyrażenia swego rodzaju gotowości do przejęcia depozytu kulturowego wschodniopruskości (przynajmniej niektórych jej elementów), jest wskazanie (dokonane jednakowo przez ekspertów i głosujących w plebiscycie) mądrego, przejmującego opisu dramatu ucieczki z Prus Wschodnich, wpleczonego w opowieść o historii rodu arystokratycznego żyjącego w wieloetnicznym świecie różnych kultur autorstwa Marion Dönhoff. Mam tu na myśli „Nazwy, których już nikt nie wymienia”.

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA

W prezentowanym tu kilkunastostronicowym eseju chciałem przedstawić plebiscyt o nazwie „Kanon kulturowy Warmii i Mazur”. Miałem zamiar omówić jego wyniki i spróbować je zinterpretować. Oczywiście jest, że nie jest to ścisły naukowy traktat, choć pisany jest przez pryzmat socjologicznego widzenia świata. Nie jest to również puenta, ale raczej przyczynek do dyskusji, która powinna w regionie się toczyć. To, co udało mi się wyczytać z wyników plebiscytu, można by określić dialektyką tego, co polskie i przeszłe, niemieckie, mazurskie i warmińskie. Ludzie, miejsca, wydarzenia wskazane jako fundamenty kanonu regionalnego w pozornie wykluczającym się układzie faktycznie stanowią o specyfice Warmii i Mazur. To region wielu końców i początków, nakładających się kulturowych dziedzictw, wypędzeń i zasiedleń oraz podejmowanych wciąż od nowa prób radzenia sobie z tą materią. Palimpsestowa natura wskazanego tu kanonu przez swoją różnorodność stanowi naturalny niejako wsad

tego, co w borussiańskiej optyce nazywane jest otwartym regionalizmem. Twórczy eklektyzm wskazanych elementów regionalnego kanonu poprzez twórcze napięcie generowane przez jego wewnętrzne zróżnicowanie dużo lepsze jest dla regionu niż jakikolwiek monolit kulturowy będący kulturowym destylatem czystości narodowej w jej regionalnej odmianie.

Czy kanony kulturowe są dziś potrzebne w świecie schizofrenicznej ponowoczesnej fragmentaryzacji świata, w dobie efemerycznych jednodniowych autorytetów, w czasach deprecjacji wartości wyższych spychanych na margines przez kulturę uciech, przyjemności i użyteczności? Odpowiedź brzmi: tak. Jak starałem się wskazać w pierwszej części tekstu, kanon formuje tożsamość, zakorzenia człowieka w miejscu, w którym mieszka. Bycie w regionie staje się dzięki sensotwórczej pracy, jaką wykonuje funkcjonowanie kanonu w praktyce, celowe i dobre. Region zaś rodzi się jako miejsce życia autentycznego, nie jest zaś przypadkową lokalizacją marnej egzystencji. Dlatego też działania związane z plebiscytem mającym wyłonić czy też wskazać ramy kanonu regionalnego są początkiem pracy, jaką chce grupa organizująca to przedsięwzięcie zainicjować. To proces tworzenia wraz ze współpracą jak najszerszych środowisk (szkół, NGO, władz regionalnych i lokalnych) mechanizmów permanentnego dopracowywania kanonu regionalnego, tworzenia mechanizmów jego upowszechniania w regionalnym dyskursie publicznym i regionalnej edukacji oraz narzędzi, które umożliwią jego konwertowanie na kapitał ekonomiczny, chociażby dzięki tworzeniu produktów związanych z turystyką kulturową.

Jacek Poniedziałek

KANON EKSPERTÓW

Osobowości

1. Mikołaj Kopernik
2. Ignacy Krasicki
3. Johann Gottfried Herder
4. Wojciech Kętrzyński, Erich Mendelsohn
5. Feliks Nowowiejski
6. Krzysztof Celestyn Mrongowiusz
7. Ferdinand Gregorovius
8. Marion hr. Dönhoff, Albrecht Hohenzollern, Michał Kajka
9. Herkus Monte, Hieronim Skurpski
10. Gustaw Gizewiusz

Miejsca

1. Frombork – wzgórze katedralne
2. Lidzbark Warmiński – zamek biskupów warmińskich
3. Kanał Elbląski, Święta Lipka – sanktuarium
4. Szlak Wielkich Jezior Mazurskich
5. Gietrzwałd – sanktuarium
6. Reszel
7. Sztynort – założenie pałacowo-parkowe
8. Wsie starowierskie (Gałkowo, Kadzidłowo, Wojnowo); Grunwald – pole bitwy; Olsztyn – kampus (Uniwersytet Warmińsko-Mazurski)
9. Giżycko – twierdza Boyen
10. Aleje przydrożne; Pranie – muzeum Konstantego II defonsa Gałczyńskiego; Olsztyn – zamek; Puszcza Piska; Puszcza Romincka

Wydarzenia

1. Bitwa pod Grunwaldem – 1410
2. II pokój toruński 1466, traktat (hołd) krakowski; powstanie Prus Książęcych – 1525
3. Utworzenie państwa zakonu krzyżackiego – 1230/1231
4. Bitwa pod Tannenbergiem – 1914; koniec II wojny światowej i przyłączenie Warmii i Mazur do Polski – 1945
5. Plebiscyt w Prusach Wschodnich – 1920
6. Wysiedlenia/przesiedlenia Polaków i Niemców po 1945 roku
7. Rozbiory Polski; likwidacja Prus Królewskich – 1772
8. Powstanie Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie
9. Utworzenie tzw. diecezji pruskich – 1243
10. Okres kampanii napoleońskiej – 1806-1813

Dzieła

1. Siegfried Lenz „Muzeum ziemi ojczystej”
2. Max Toeppen „Historia Mazur. Przyczynek do dziejów krainy i kultury pruskiej”
3. Ernst Wiechert „Dzieci Jerominów”
4. Marion hrabina Dönhoff „Nazwy, których już nikt nie wymienia”
5. Mikołaj Kopernik „De revolutionibus orbium coelestium”
6. „Borussia. Ziemia i ludzie. Antologia literacka”, red. Kazimierz Brakoniecki i Winfried Lipscher
7. Robert Traba „»Wschodniopruskość«. Tożsamość regionalna i narodowa w kulturze politycznej Niemiec”
8. Hubert Orłowski „Warmia z oddali. Odpominania”
9. Konstanty Ildefons Gałczyński „Kronika olsztyńska”; Hans Hellmunt Kirst „Pan Bóg śpi na Mazurach”; Piotr z Dusburga „Kronika ziemi pruskiej, czyli Chronicon Terrae Prussiae” z tekstami Krzysztofa Hartknocha o Prusach (wydanie z 1679 roku)
10. Kazimierz Brakoniecki „Światologia”; Andreas Kossert „Prusy Wschodnie. Historia i mit”; Erwin Kruk „Z krainy Nod”; Mieczysław Orłowicz „Ilustrowany przewodnik po Mazurach Pruskich i Warmii”

WYWIAD



WYWIAD

Cały świat może głupiec, ale mnie nie wolno

**Marek Barański rozmawia
z prof. Tadeuszem Orackim**

MAREK BARAŃSKI

ur. w 1951 roku, olsztyński poeta i dziennikarz. Laureat Nagrody Prezydenta Olsztyna im. Hieronima Skurpskiego w dziedzinie sztuk plastycznych (2013).

Marek Barański: Został panu akcent warszawski...

Tadeusz Oracki: Ja myślę...

MB: Urodził się pan w Warszawie. Jest pan warszawiakiem...

TO: Prawda. Moi rodzice wywodzą się z Mazowsza, ale ja urodziłem się w Warszawie, bo rodzice szukali dla siebie lepszych perspektyw w stolicy. Czasami nie wiem, czy jestem warszawiakiem, olsztynianinem, czy Mazurem.

MB: Czego dotyczą pana najstarsze wspomnienia?

TO: Pamiętam wakacje spędzone na wsi, u najstarszego brata mojej matki, który miał gospodarstwo dwadzieścia kilka kilometrów od Warszawy. Pułtusk, Wyszków to strony matki. Do powstania styczniowego ze wsi Suwin, gmina Somianka, poszło sześciu Krzyżewskich.

MB: Matka była z domu Krzyżewska?

TO: Tak. Drobna szlachta. Ojciec pochodził z rodziny chłopskiej, ale zamożnej, z okolic Grodzisk – Błonie Mazowieckie.

MB: Przez pięć lat pracował pan w Mazowieckim Ośrodku Naukowym, prowadząc Stację Naukową w Mławie.

TO: Poznałem tam wybitnych historyków, jak prof. Stanisław Herbst i prof. Aleksander Gieysztor, którzy byli moimi przełożonymi jako prezesi rad naukowych tego ośrodka. Zaprzyjaźniłem się ze znanym na Mazowszu sędzią, działaczem i historykiem prof. Ryszardem Juszkiewiczem, potem senatorem I i II kadencji. Bardzo ciekawa postać, on wprowadził mnie w środowisko mazowieckie.

Prowadząc Stację Naukową w Mławie, przygotowałem pierwszą dla województwa warszawskiego bibliografię retrospektywną Mławy i powiatu oraz makietę słownika biograficznego „Zasłużeni dla Mazowsza w XIX i XX wieku” (wyd. 1977).

Współorganizowałem badania archeologiczne. We wsi Modła pod Mławą wykopano najstarszy miecz na terenie ziem polskich.

MB: Był pan przewodniczącym Klubu Młodej Inteligencji w Ostródzie, także członkiem Rady Okręgowej KMI w Olsztynie [w latach 1955-1956 kluby dyskusyjno-polityczne organizowane z inspiracji czasopisma „Po Prostu” – MB].

TO: W paryskich „Zeszytach Historycznych” ukazał się duży artykuł na ten temat, w którym jestem wymieniony. W województwie olsztyńskim istniało wtedy 17 albo 18 Klubów Młodej Inteligencji, ale tylko dwa spośród nich, z Ostródy i Pasłęka, przystąpiły do Klubu Krzywego Koła. Myślę, że kierowano się obawą, by zbyt nie zbliżać się do centrum politycznego, bo przecież Klub Krzywego Koła był pierwszą próbą legalnej opozycji w PRL.

MB: Gdy dowiedział się pan o śmierci Ernesta Hemingwaya, wysłał pan do wdowy list kondolencyjny...

TO: Odkąd przeczytałem pierwsze opowiadanie Hemingwaya, stałem się miłośnikiem jego twórczości. Mam wiele monografii o nim. W 1960 roku odwiedzili mnie w Ostródzie dziennikarze pisma studenckiego „Od Nowa”. Napisali potem m.in., że spotkali człowieka, który im przypominał Hemingwaya: *Ostrzyżony na jeża*.

MB: Jak pan znalazł adres Hemingwaya?

TO: Wysłałem list na adres stanu, gdzie miało miejsce zdarzenie [pisarz zastrzelił się 2 lipca 1961 roku w Ketchum w stanie Idaho – MB].

MB: Wdowa podziękowała panu?

TO: Napisała dwa zdania grzecznościowe.

MB: List się zachował?

TO: Niestety nie, bo w Ostródzie spłonęło całe moje archiwum łącznie z korespondencją z prof. Julianem Krzyżanowskim i prof. Stanisławem Pigoniem, do których pisałem w sprawie Nagrody Nobla.

MB: Badania nad Noblem z dziedziny literatury zajmują wiele miejsca w pana dorobku...

TO: Możemy przejść do sąsiedniego pokoju, zobaczy pan całą szafę książek poświęconych

Noblowi. Mam na przykład książkę „Nobel. The Man and his Prizes” (Amsterdam–London–New York 1962). Chce pan wiedzieć, jak ją zdobyłem?

MB: Proszę opowiedzieć.

TO: Byłem w tamtych latach nauczycielem w Ostródzie i każdego roku jeździłem na Targi Książki do Warszawy (wtedy w Pałacu Kultury). Zobaczyłem książkę, którą wystawił na stoisku znany wydawca z Amsterdamu – Elsevier, ale nie mogłem jej kupić, bo takie były przepisy. Udałem się do dyrektorki Ars Polona, która organizowała Targi Książki i poprosiłem, by spowodowała, abym mógł książkę kupić. Po dłuższej dyskusji oznajmiła mi, że jeśli będę dyskretny, spełni moje życzenie. Ale jest jeden warunek: następnego dnia zapłacę za książkę dolarami (ok. 30 dolarów). [do końca lat 70. czarnorynkowy kurs dolara wahał się od 80 do 120 zł za dolara – MB]. Wróciłem wieczorem z Warszawy do Ostródy. Dolarów nie miałem, telefonowałem w tej sprawie do wielu znajomych. W końcu jeden z nich skontaktował mnie z pewnym typkiem, który handlował dolarami. Transakcja się udała i następnego dnia, po zawiadomieniu dyrektora szkoły, rano pojechałem ekspresem po książkę. Wracając z Warszawy szczęśliwy, bo wtedy zajmowałem się literacką Nagrodą Nobla (doktorat obroniłem w 1970 roku).

Przynajmniej kilkanaście książek w moich zbiorach ma podobne albo ciekawsze życie.

MB: W pana pracy dużą rolę odgrywa intuicja. Mógłby pan opisać jej działanie...

TO: Intuicja jest potrzebna we wszystkich dziedzinach nauki, ale w humanistyce jest chyba najtrudniej. Wyobrażam sobie tematykę humanistyczną jako tablicę Mendelejewa, gdzie większość pierwiastków jest już odkryta, ale są też puste miejsca. Żeby jednak znać te puste miejsca, trzeba wiedzieć więcej, niż się chce samemu powiedzieć.

Zajmując się biografiami, traktuję pracę naukową jako przygodę przyrodnika. Wie pan, co oglądam w telewizji?

MB: Proszę powiedzieć...

TO: Filmy przyrodnicze. Biografie w moich słownikach biograficznych od XV do XX wieku to dzungla, która nie ma końca.

MB: Przygotowuje pan nowe wydanie słowników biograficznych Warmii Mazur. Co pan w nich zmienia?

TO: W tych pudłach, które pan widzi: tu, tam i pod stołem, są kartki do słownika. Będą uzupełnienia biograficzne, jak na przykład w wypadku Ludwika Kalksteina. Ustalono wcześniej błędną datę jego urodzin, ale nic nie było wiadomo o jego wykształceniu. Przeglądając metryki uniwersytetu w Lejdzie, znalazłem informację, że Ludwik Kalkstein wpisał się na prawo. Miał wtedy 23 lata.

Będą nowe opracowania i nowe postaci. Będą też sprostowania, gdyż ufając niektórym badaczom, powtórzyłem ich błędy.

MB: Uwzględnia pan, tak jak poprzednio, Niemców?

TO: Uwzględnię kilku Niemców, którzy do czasów hitlerowskich utrzymywali z polskimi uczonymi bliskie kontakty, przyjeżdżali do Polski, korzystali z archiwów i bibliotek. Jak wiadomo, Polacy, naród gościnny, przyjmowali ich. W czasach hitlerowskich niektórzy z nich stali się członkami NSDAP i założyli mundury. Należał do nich niejaki prof. Heinrich Harmjan, który przed wojną wydał, jeśli chodzi o osadnictwo, dwie moim zdaniem cenne książki. Napisał prawdę o kolonizacji Prus Wschodnich, zwłaszcza terenów południowych, które zasiedlali Polacy. Udowodnił to, korzystając między innymi z prac Wojciecha Kętrzyńskiego. W październiku 1939 roku przyjechał do Warszawy już jako hitlerowski funkcjonariusz – „powiernik do spraw zabezpieczenia niemieckich dóbr kulturalnych na wschodnich ziemiach wcielonych w 1939 roku do Rzeszy”. Jednocześnie Harmjan był komisarzem zarządzającym skonfiskowanych dóbr kultury polskiej. Znał sygnatury archiwaliów i starodruków. Był to zwykły rabunek.

Najwybitniejszy mediewista niemiecki Erich Maschke, profesor numer jeden w Niemczech, znawca dziejów zakonu krzyżackiego, ceniony także przez naszego Karola Górskiego, bo mieli wcześniej kontakty, przedzierzgnął się w czasach hitlerowskich w publicystę politycznego. Swoje „badania”, bo trudno je nazwać badaniami naukowymi, ukierunkował tak, iż starał się udowodnić, że Hitler jest kontynuatorem tradycji zakonu krzyżackiego. Zarówno Harmjan, jak i Maschke byli związani z królewieckim ośrodkiem naukowym.

Ciekawe, że dwa wydawnictwa prywatne z Niemiec zwróciły się do mnie z prośbą, bym wyraził za odpłatnością zgodę na elektroniczną wersję moich słowników.

MB: Sam pan sfinansował „Bibliografię scalonych spisów zawartości czasopism za lata 1966-2012 o tematyce humanistyczno-społecznej”. Dlaczego?

TO: Wydawca, któremu zaproponowałem książkę, twierdził, że wszystko jest w Internecie.

MB: A tak nie jest?

TO: Kazałem to zbadać. Zapłaciłem dwóm doktorom, żeby zrobili wydruki. Okazało się, że w Internecie jest około 20 procent, z tego około 10 procent z błędami.

MB: Wiedzie pan spór na temat Marcina Gerssa [1808-1895, mazurskiego redaktora, publicysty i pisarza – MB].

30

TO: Wybiela się fakty z jego biografii, które zostały udowodnione na bazie źródłowej. Był germanizatorem. Mało tego. Jako nauczyciel za kontakt seksualny z uczennicą został pozbawiony prawa nauczania.

Jeśli chodzi o stosunki polsko-niemieckie, próbuje się pewne rzeczy wybielać, jakby z dążeniem do przyspieszenia pewnych aktów poprawczych, co jest według mnie głupotą. Pewien poseł PO ze Śląska zrobił kopię przedwojennej pocztówki z niemiecką nazwą Zabrze – Hindenburg, i wysyłał swoim wyborcom. Podobnie jest z językiem.

Współcześni językoznawcy w swej masie to ludzie niedouczeni. Językoznawstwo, które

nie bazuje na historii i kulturze, jest pozbawione sensu. Powstała koncepcja języka kaszubskiego. Nie ma języka kaszubskiego, tak jak nie ma języka śląskiego i mazurskiego. Skąd ja to wiem? Z analizy statystyk niemieckich na terenach etnicznie polskich. Na Mazurach był język polski i niemiecki. Na terenach wiejskich istniała przewaga powyżej 50 procent języka polskiego. Niemcy nie mogli tego znieść i wprowadzili trzecią grupę: język miejscowy. Od tego zaczęły się tendencje separatystyczne.

Nauki humanistyczne są miękkie, delikatne. I one ulegają przeważnie naciskom politycznym. Zwłaszcza jeśli swoje koncepcje lansują ludzie ze słabym charakterem. Obowiązkiem uczonego jest nie być nikomu posłusznym, ani synodowi, ani Panu Bogu. Ja staram się być niezależny od poglądów politycznych.

Gdy byłem młody, próbowano, proponując pieniądze, zachęcić mnie do podjęcia różnych tematów. Większość na to idzie. Taka jest natura ludzka. Ludzie kochają pieniądze. Ja traktuję pieniądze jak papier toaletowy: są potrzebne, ale nie powinny stanowić celu życia. Wyżej sobie cenię bezinteresowność niż materialny kształt życia.

MB: Pan gdzieś powiedział, że Tadeusz Kotarbiński jest dla pana wzorem. Ateista. Panuje takie przekonanie, że światopogląd jest sprawą prywatną. Ale katolicy mówią o nim głośno, natomiast ateści nie przyznają się publicznie, że nie wierzą w Boga.

TO: Wie pan, to jest tak jak z homoseksualizmem. Mniejszość, która jest źle widziana, stara się nie manifestować.

MB: Czy więc ateści nie powinni robić *coming outów*?

TO: Nie. Walcząca ideologia mnie zraża. Zraża mnie Kościół katolicki, bo jest walczący. Podam taki przykład: przerywanie ciąży i *in vitro*. Jeżeli ktoś jest prawdziwym wyznawcą danej religii, danego systemu, będzie przestrzegał Dekalogu. Ale okazuje się, że choć ludzie uważają się za katolików, niekiedy żarliwych, to pewnych zasad nie przestrzegają. Co robi Kościół? Tracąc wpływ na takich wiernych, naciska na polityków katolików, by ich zdyscyplinować przez ustawy. Sprawa przerywania ciąży powinna należeć wyłącznie do kobiety. Ona jest matką, rodzicielką. Bazujemy na świadomości człowieka. Zostawmy człowiekowi szansę, by on decydował.

To że obecnie zwyciężył PiS, to jest między innymi zasługa episkopatu i ks. Rydzyka, który kilka procesów miał i na żadnym się nie zjawił. Jest poza prawem.

Jestem przekonany, że obecna koncepcja polityczna PiS zbudowana na bazie klerykalizmu, nacjonalizmu i obietnic finansowych wcześniej czy później upadnie i nigdy nie zmartwychwstanie. Kiedy słucham tych młodziutkich posłów PiS, którzy w środkach masowego przekazu niczym ewangelię powtarzają wyuczone slogany według instrukcji Jarosława Kaczyńskiego – to zastanawiam się, jakie wychowanie dali im rodzice i jacy pedagodzy dali im dyplomy ukończenia szkół. Kiedy słucham tego bezmyślnego bełkotu, to nie wiadomo, czy płakać, czy się śmiać.

Mimo że żyjemy w atmosferze zagrożenia terrorystycznego, Kościół organizuje wielotysięczny spęd pod nazwą Światowe Dni Młodzieży. Całkowicie w oderwaniu od rzeczywistości.

Przeraża mnie mentalność przeciętnego Polaka wyznającego teorię Polak-katolik. Przybiera ona tak skrajne formy, jak obóz narodowy z naczelnym hasłem: Polska dla Polaków. Dziwię się, że tego nie zlikwidowano. Przecież tam Matka Boska Częstochowska miesza się z symbolami zbliżonymi do hitlerowskich. To są rzeczy okropne i ich źródło upatruję w niskim poziomie przeciętnego Polaka. Przejawia się to między innymi w epidemii w sprawie telefonów komórkowych.

MB: Proszę to wyjaśnić.

TO: Na ulicy ludzie chodzą z telefonami. Przechodzą przez jezdnię z telefonami. Wsiadają do tramwaju, trzymając telefon, wysiadają z niego z telefonem w rękę. Nie dotyczy to tylko młodych, ale średniego i starszego pokolenia. Tu rozmawia, a w torebce dzwoni następny telefon. Dojeżdżam do biblioteki gdańskiej PAN kolejką. Czego ja tam nie wysłuchuję. Że pogoda, że dwie chmurki...

MB: Takie jest życie.

TO: Cały świat może głupieć, ale mnie nie wolno. Jeżeli ktoś przy mnie głośno rozmawia, zwracam mu uwagę: Niech pan mówi głośniejsze, bo słyszy tylko 20 osób... Oczywiście mogę dostać za to po mordzie. Odstaję od przeciętności. Ale nie mogę tego aprobować. To samo dotyczy źle zachowujących się dzieci. W barze, w którym jadam, matka przychodzi z dzieckiem, dziecko łyżką wali w stół, ja zwracam uwagę, a trzy osoby odzywają się: Pan chyba nie lubi dzieci.

MB: Palił pan?

TO: Nigdy w życiu. Nie dlatego, że szkodzi na zdrowie, tylko po prostu zarysowała się moja indywidualność, silniejsza niż otoczenie. Raz z kolegami poszliśmy za szkołę puścić dym. No i kiedy dano mi cygarę, puściłem ten dym i wtedy stwierdziłem, że to świństwo. Cholera, ale co ja potem miałem ze strony kolegów! Że maminsynek, że to, że tamto, ale mimo to nie dałem się. Gdy byłem w obozie pracy przymusowej [Tadeusz Oracki trafił do obozu po powstaniu warszawskim jako czternastolatek – MB], zbierałem pety. Grzebałem w śmietnikach. Rozrywałem niedopaloną końcówkę papierosa i tytoń, który był nie-spalony, chowałem do takiego pudełeczka. Jak już trochę nzbierałem, dostawałem za to od palaczy kawałek chleba.

32 **MB:** Gdzie był ten obóz?

TO: W Limbach w Saksonii. Korespondowałem w tej sprawie z Wydawnictwem Naukowym PWN w Warszawie, bo zauważyłem, że w „Wielkiej encyklopedii” PWN w tomie 15 brak jest informacji, że w Limbach w czasach hitlerowskich istniał obóz pracy przymusowej, w którym również dzieci zmuszano do pracy. Wprawdzie nie ma tej informacji w powojennych wydaniach „Meyers Neues Lexikon” oraz „Brockhaus Encyklopedie”, ale Niemcy mają powód, by ukryć ten fakt. Jak pan sądzi, czy powinien on znaleźć się w polskiej encyklopedii?

MB: Oczywiście. Znał pan język niemiecki, gdy trafił pan do obozu?

TO: Gdy chodziłem na tajne komplety w Warszawie, nie mogłem zrozumieć moich rodziców, że każą mi uczyć się historii starożytnej i niemieckiego. Dopiero jak człowiek dorośnie, to rozumie takie rzeczy. Poszedłem w obozie do spowiedzi...

MB: Dlatego mógł pan iść do spowiedzi, bo rodzice wysłali pana na komplety...

TO: Moja niemczyzna była wtedy prymitywna, nie mogłem dogadać się z księdzem. A ponieważ ksiądz był niedoświadczony i młody, widziałem po jego minie, że jest zdenerwowany, szybko dał mi rozgrzeszenie.

MB: Jakie w III Rzeszy miał grzechy 14-letni robotnik przymusowy z Polski?

TO: Już wtedy wątpiłem. Wahałem się, czy nie zerwać całkowicie. Nie pamiętam, co miałem do powiedzenia. Ale wie pan, jak wkroczyli Amerykanie, to było ciekawe.

MB: Proszę opowiedzieć...

TO: Mieli wielkie czołgi. Zajmowały jezdnię i chodnik. Bardzo sympatycznie się do nas odnieśli. Nawet jeździłem na czołgu. Dostałem czekoladę. Namawiali mnie, żebym wyjechał do Ameryki, tam się odżywię, gdyż w Polsce jest głód. Sympatyczni, młodzi. Nawet Murzyn był wśród nich. Nagle pojawili się agitatorzy z Polski. Pomyślałem sobie, że muszę spotkać się z rodziną i nie będę jechał za granicę dla kawałka chleba. Ale przed wyjazdem Amerykanie zabrali naszą grupę Polaków, a było nas ze dwudziestu, na kraniec miasta, do fabryki, która produkowała odzież dla Afrika Korps. Wszystko w kolorze piaskowym. Wprowadzono nas do sali: bierzcie sobie, co chcecie. Gdy zobaczyłem stos butów leżących w formie stożka, zgłupiałem.

MB: I co pan sobie wybrał?

TO: Kombinezon. Cały skórzany. Mięciutka skóra... Ale to było za wielkie na mnie. Skarpety. Jeszcze je nosiłem w Ostródzie dziesięć lat po wojnie i nie było dziury w nich. I żółte swetry. Potem zastanawiałem się: po co im w Afryce swetry?

MB: Zimne noce. Daleko pan zaszedł w tym skórzanym kombinezonie?

TO: Granica była poza miastem Chemnitz. Stał Amerykanin i Rosjanin. Tych, co chcieli wracać do Polski, podwieziono do granicy samochodami. I jak odjechali Amerykanie, Rosjanie zaczęli nas okradać.

MB: Z czego?

TO: Ja miałem ze sobą m.in. trzy swetry, kombinezon, nowe buty...

MB: Ogolili pana z tego?

TO: Ogolili. Zabrali kombinezon. Buty. Jeszcze tłumaczyli, że za duże na mnie.

MB: I przyjechał pan do Polski towarowym wagonem. Dlaczego do Ostródy?

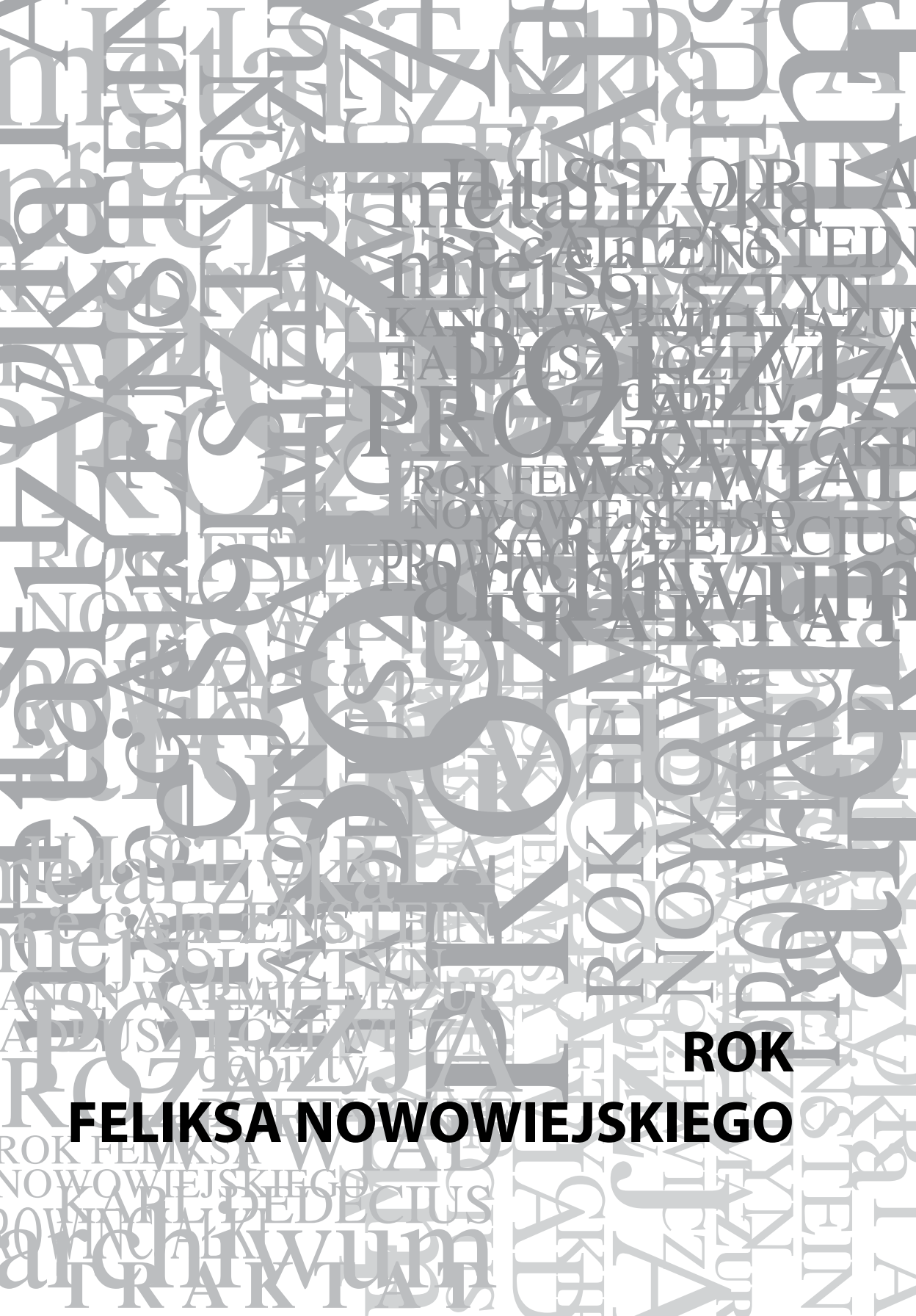
TO: Jeden z moich dalszych kuzynów był tam w zespole komisarzy ziemskich kierujących osadnictwem.

MB: Ocalał pan, pana matka i siostra. A co stało się z ojcem?

TO: Ojca, gdy został aresztowany, straciłem z oczu w 1940 albo w 1941 roku. Do dzisiaj nie mogę ustalić jego okupacyjnych kontaktów. Nie ma już tych ludzi. Matka szukała po wojnie i dostała wiadomość z PCK, że ojciec został zamordowany przez hitlerowców.

*Prof. zw. **Tadeusz Oracki** ur. w 1930 roku – historyk i krytyk literatury, biograf, folklorysta, regionalista, bibliograf, edytor i publicysta. Studia filologiczne w WSP w Gdańsku, na UMK w Toruniu i Uniwersytecie Gdańskim. Nauczyciel akademicki od 1970 aż do przejścia na emeryturę na Uniwersytecie Gdańskim (2001). W 1988 roku uzyskał tytuł naukowy profesora.*

Ułożył między innymi pierwszy regionalny słownik biograficzny w Polsce – „Słownik biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla od połowy XV w. do 1945 r.” (1964). Był członkiem Rady Naukowej Instytutu Badań Literackich PAN oraz Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej PAN w Warszawie. Od 1964 roku związany z OBN im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie, a także z Towarzystwem Naukowym im. Wojciecha Kętrzyńskiego jako członek Rady Naukowej, były wiceprezes Zarządu i członek honorowy. W maju 2014 roku Rada Miasta Ostródy nadała mu tytuł Honorowego Obywatela Ostródy.



ROK

FELIKSA NOWOWIEJSKIEGO

Historia w listach zapamiętana Listy z kolekcji Feliksa Nowowiejskiego

IWONA FOKT

od 2000 roku prowadzi Archiwum Akademii Muzycznej im. Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu. Opublikowała m.in. „Z życia muzycznego Poznania. Programy koncertów 1900-1939”. Od kilku lat zajmuje się badaniem życia i twórczości Feliksa Nowowiejskiego. W planach publikacja teki utworów kompozytora (w języku polskim i angielskim) oraz jego biografii. Aktywnie współpracuje z Towarzystwem im. Feliksa Nowowiejskiego w Poznaniu, m.in. przygotowując ekspozycję dokumentów i pamiątek po kompozytorze, a co roku (od 2007) wystawę czasową związaną z działalnością artysty.

Feliks Nowowiejski w ciągu życia napisał setki listów, krótkich, czysto informacyjnych, i obszernych, pełnych opisów, dygresji o charakterze prywatnym i służbowym, do rodziny, znajomych oraz do rozmaitych instytucji. Zachowała się tylko znikoma część tej korespondencji i obecnie przechowywana jest w Bibliotece Raczyńskich oraz pośród dokumentów innych osób bądź instytucji, do których były skierowane. Niezwykły zbiór stanowią dotąd niezbrane listy Feliksa Nowowiejskiego do żony z przełomu lat 1939 i 1940. Te listy, tak bardzo osobiste, są prawdziwym i bezpośrednim świadectwem pierwszych lat okupacji, narastających represji, ograniczania wolności osobistej, ale również świadectwem cierpienia i bólu. Wojna była tragiczna nie tylko dla tych, którzy walczyli na froncie, ale także dla ludności cywilnej, która próbowała przeżyć w tych trudnych czasach.

Po pierwszych nalotach – działaniach II wojny światowej – Nowowiejscy, jak wielu innych przerażonych mieszkańców Poznania, podjęli decyzję o opuszczeniu miasta. Feliks Nowowiejski wraz z rodziną, ratując część dobytku, w tym swoje kompozycje, udał się do Słupcy, do zaprzyjaźnionej rodziny Szelutów. Od lat Nowowiejski pomagał Apolinaremu Szelucie w propagowaniu jego twórczości w Poznaniu;

teraz w jego domu znalazł schronienie. Bardzo szybko okazało się, że poczucie bezpieczeństwa było złudzeniem. Nie udała się również próba zabezpieczenia manuskryptów. Część z nich Nowowiejski przekazał Janowi Czajewiczowi, burmistrzowi Słupcy, który zamierzał przedostać się do stolicy i tam zdeponować dorobek życia kompozytora; urzędnik nie dotarł jednak do Warszawy i nuty przywiózł do Poznania. Tak więc Feliks z żoną i najmłodszym synem wrócili do Poznania, by dopilnować ulokowania nut w bezpiecznym miejscu, a starszym synom udało się przedostać do Generalnej Guberni (GG), do Krakowa.

Z zachowanych dokumentów wynika, iż dorobek kompozytorski Feliksa Nowowiejskiego ostatecznie został oficjalnie zdeponowany 15 listopada 1939 roku w Bibliotece Raczyńskich¹. Potwierdzenie przyjętych w depozyt materiałów zostało wystawione 1 grudnia 1939 roku przez Der Stadtkommissar² i zawiera zastrzeżenie, iż dokumentów nie wolno wydawać ani udostępniać bez wiedzy i zgody ich autora. W świetle tego dokumentu należy zweryfikować dane przez lata powielane przez badaczy życia Nowowiejskiego: wersję samego kompozytora mówiącą, że nuty w Bibliotece Raczyńskich przechowywane były w tajemnicy:

Ponieważ spodziewałem się, że spotka mnie tenże los, kompozycje swoje niedrukowane i drukowane (po 1 egzemplarzu) ulokowałem przewidując u jedyne go polskiego woźnego Biblioteki Raczyńskich. Nuty ukryliśmy na strychu Biblioteki. Zostawiłem tu kilka walizek pełnych rękopisów, dorobek omal 50-letniej pracy³,

i wersję synów mówiącą, że przekazania nut dopilnowała Elżbieta Nowowiejska:

Matka szuka azylu dla rękopisów. Wreszcie przewozi wielkie paki do Biblioteki Raczyńskich, gdzie składa je pod opiekę polskiego pracownika, Romana Knaka⁴.

Według relacji synów po powrocie do Poznania twórcę „Roty” wezwano na przesłuchanie w związku z dwoma donosami:

Sąd w poznańskim gestapo jest chyba najokropniejszą chwilą w życiu naszego ojca, ostрым wstrząsem nerwowym, jedną z przyczyn bliskiej choroby. Na końcu każdego słowa waży się los. Szczęśliwie znajomość języka niemieckiego dopomogła⁵.

Z opublikowanych niedawno wspomnień duszpasterza Niemców w Poznaniu Alberta Steuera wynika, iż Nowowiejski podjął natychmiastowe działania celem uniknięcia aresztowania. Pod datą:

1 Zbiory Specjalne Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. Pismo Feliksa Nowowiejskiego o przekazaniu manuskryptów w depozyt z 15 listopada 1939 r.

2 Zbiory Specjalne Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. Pismo przyjęcia depozytu z 1 grudnia 1939 r.

3 *Ostatni list F. Nowowiejskiego*, Ruch Muzyczny, 1945, nr 6.

4 F. M. i K. Nowowiejscy, *Dookoła kompozytora. Wspomnienia o ojcu*, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie, 1968, s. 230.

5 Tamże.

22.10. (niedziela) – Steuer zamieszcza informację – *opowiada mi Ojciec Breitinger, że nawet Nowowiejski, kompozytor nieprzyjaznej dla Niemców „Roty”, chce mieć zaświadczenie o swoim przyjaznym nastawieniu do Niemców*⁶.

Twórca „Roty” miał prawo obawiać się o swoje życie. Niemcy mieli świadomość przesłania patriotycznego tej pieśni i siły jej oddziaływania. Rękopis wiersza i autograf muzyki znajdujące się w Bibliotece Miejskiej w Bydgoszczy hitlerowcy po zajęciu miasta w 1939 roku natychmiast zarekwirowali, a w 1940 roku zorganizowali specjalną wystawę. Rękopisy „Roty” stanowiły na tej wystawie jeden z najbardziej eksponowanych dowodów „polskiej zbrodniczości”.

Obawy te podsycaly przymusowe wysiedlenia, które od listopada 1939 roku stały się zbiorowym doświadczeniem dla tysięcy poznaniaków, których w kilkadziesiąt minut pozbawiano dorobku całego życia. Do podstawowych kryteriów stosowanych przy wyborze Polaków i zamieszczeniu ich na listach⁷ osób przeznaczonych do wysiedlenia w pierwszej kolejności należały:

*przeszłość polityczna, zdolności do pełnienia roli przywódców lub członków konspiracji niepodległościowej, przynależność do warstwy polskiej inteligencji, posiadany majątek i miejsce zamieszkania*⁸.

Każdy mieszkaniec zobowiązany był do wypełnienia druku „Zgłoszenie celem policyjnego stwierdzenia ludności”, który dostarczał okupantowi danych do selekcji. Z zachowanego zgłoszenia kompozytora⁹ dowiadujemy się, iż należało podać: wyznanie, narodowość, język – *którym mówi się w domu* (formularz zgłoszeniowy miał instrukcję pomagającą w jego wypełnieniu, a do pytania o język, którym wypełniający się posługuje, dołączono rubrykę z językami do wyboru: niemiecki, polski, ale również m.in.: *mazurski, kaszubski, ślązacki*). Ponadto należało podać datę zamieszkania na *nowym obszarze Rzeszy*, informację o służbie w armii polskiej, zawód oraz stan posiadania¹⁰. Dane wypełniający potwierdzał odciskami palców.

23 listopada 1939 roku Nowowiejski otrzymał przekaz do szpitala wydany przez otolaryngologa dr. Gałdyńskiego¹¹. Trudno dzisiaj zweryfikować tezę mówiącą o tym, iż wobec narastającego zagrożenia Nowowiejski sam postarał się o skierowanie do szpitala Elżbietanek, gdzie

6 H. Breitinger, *Als Deutschenseelsorger in Posen und im Warthegau 1934-1945*, Mainz: Matthias-Grünwald-Verlag, 1984, s. 198.

7 Informacje dostarczane przez Niemców zamieszkałych w Polsce stały się podstawą do zredagowania w pierwszych tygodniach okupacji kolejnych spisów Polaków przewidzianych do aresztowania. Listy uzupełniano o dane z akt polskich urzędów, instytucji i organizacji. Ocenia się, że listy proskrypcyjne zawierały łącznie ok. 80 tys. nazwisk Polaków przeznaczonych do aresztowania. Ludzie, których nazwiska umieszczono na listach, za swoją czynną i patriotyczną postawę zapłacili życiem przeważnie w pierwszych miesiącach wojny. Zob.: M. Wardzyńska, *Był rok 1939. Operacja niemieckiej policji bezpieczeństwa w Polsce. „Intelligenzaktion”*, Warszawa: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2009.

8 Tamże, s. 16.

9 Zbiory Specjalne Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. Na formularzu wypełnionym przez F. Nowowiejskiego niestety brak daty.

10 W Archiwum Państwowym zachowały się dwa dokumenty o stanie posiadania przygotowane przez Nowowiejskiego dla okupanta. Jeden brudnopis z notatkami oraz jeden czystopis. Sygn. 53/5172, s. 26 i 27.

11 Zbiory Specjalne Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. Legitymacja ubezpieczeniowa Feliksa Nowowiejskiego. Sygn. 53/5172, t. 3.

schronił się w obawie przed aresztowaniem. Trudno też uwierzyć, że ten oddany rodzinie człowiek myślał tylko o sobie, nie dbając o żonę i najmłodszego syna. Prawdopodobnie przesłuchania, obawa o życie odbiły się na zdrowiu kompozytora, potrzebował więc stałej opieki lekarskiej. Następujące kolejno wydarzenia zaskoczyły rodzinę: żona Feliksa, Elżbieta, wraz z synem Janem podzielili los większości poznaniaków – wyrzucono ich z domu i razem z innymi mieszkańcami trafili do tymczasowego obozu przesiedleńczego, który okupanci utworzyli przy ulicy Bałtyckiej w peryferyjnej wówczas dzielnicy Główna.

Trudno dziś powiedzieć, kiedy rodzina Feliksa Nowowiejskiego trafiła do obozu przy ulicy Głównej, gdyż nie zachowały się dokumenty potwierdzające datę ich aresztowania. Możemy jednak domniemywać, że nastąpiło to w połowie grudnia, ponieważ jeszcze 4 grudnia 1939 roku została uiszczona składka ubezpieczeniowa za dom¹², jednak nie później, gdyż jeszcze w grudniu zaprzestano czasowo wysiedleń do Generalnej Guberni¹³. Pobyt w obozie już w grudniu potwierdzają również listy Feliksa do żony pisane ze szpitala Elżbietanek.

Zachowana korespondencja – 11 listów – to rodzaj grypsów pisanych na różnych skrawkach papieru, a nawet na bilecie wizytowym (*Piszę na świstku, który mieści się w portmonetce – inaczey nie da się*¹⁴). Feliks obawiając się o swoje życie, nie korzystał z tzw. poczty obozowej¹⁵; listy małżonkowie przekazywali sobie przez pośrednika określanego jako „pan S.". Kompozytor ostrzegał wręcz żonę przed używaniem pełnych nazwisk w listach: *Korespondencja tylko przez p. S. Krótko, nigdy pełne nazwiska!*¹⁶.

Często pisał w pośpiechu, wykorzystując nadarzącą się okazję przekazania informacji żonie: *Piszę prędko, bo p. S. – czeka i jedzie do baraku*¹⁷. W innym liście: *Piszę prędko, bo chłopak czeka*¹⁸. Pośpiech powodował, iż pismo jest mało czytelne szczególnie w przypadku nazw ulic, urzędów czy nazwisk. Ponadto Nowowiejski pisał drobnym pismem i wykorzystywał każde wolne miejsce na papierze, co dodatkowo utrudnia odczytanie niektórych z listów. Niestety na żadnym z nich nie została zamieszczona data, tylko z ich treści możemy domyślać się czasu ich powstania (np. informacje o Wigilii czy urodzinach kompozytora).

Strach przed wszystkim, ogromny strach, powodował, że treść listów była czasami ograniczona do minimum. Obracała się wokół podstawowych informacji dotyczących stanu zdrowia, pieniędzy i przesyłanych paczek. Ale najwięcej miejsca zajmują w nich informacje o po-

12 Archiwum rodzinne, druk wpłaty za ubezpieczenie od ognia domu przy al. Wielkopolskiej 11.

13 M. Rutowska, *Lager Głowna. Niemiecki obóz przesiedleńczy na Głównej w Poznaniu dla ludności polskiej (1939-1940)*, Poznań: Instytut Zachodni, 2008, s. 419.

14 Archiwum rodzinne, Listy Feliksa Nowowiejskiego do żony Elżbiety.

15 Na terenie obozu powstał Komitet Polski, który starał się pomóc uwięzionym w obozie Polakom, m.in. utworzył tzw. pocztę, dzięki której rodziny mogły nawiązać kontakt, ale również przekazać uwięzionym paczki z żywnością i odzieżą. Korespondencja poddawana była dwukrotnej cenzurze. Patrz: M. Rutowska, *Lager Głowna...*, dz. cyt., s. 40, 41.

16 Archiwum rodzinne, Listy Feliksa..., dz. cyt.

17 Tamże.

18 Tamże.

dejmowanych przez kompozytora próbach pomocy najbliższym i planach przedostania się do Krakowa. Nie było to łatwe, gdyż Polakom nie wolno było poruszać się po Kraju Warty bez przepustki.

Pisałem Ci już, że pisałem do Berlina o legalną przepustkę; spodziewam się odpowiedzi w poniedziałek lub wtorek – ale pewny nie jestem, bo wojna, mrozy, śnieg etc. Daj Bóg, aby nadeszła przychylna decyzja, a będzie może łatwo, Ciebie i chłopca wydostać z baraku, wówczas razem pojechalibyśmy do Krakowa¹⁹.

Nowowiejski mocno wierzył, że:

Twoje zwolnienie może przyjść nagle, modłę się o to. W tym wypadku przyjdiesz wprost do szpitala ze synem, tak umówiłem z siostrami²⁰.

Nowowiejski z desperacją walczył o uwolnienie żony i syna z obozu. W kolejnym liście informuje żonę:

Bez zmian. Wczoraj wysłałem podanie w sprawie przepustki (Poznań – Kraków) do Berlina, a to z polecenia z Prezydium Policji, gdzie dotychczas wyrażali [zgodę – IF]. Trzeba 8 dni czekać. Motywowałem, że fundusze się wyczerpały na dalsze leżenie w szpitalu, a syn w Krakowie da mi pełne poparcie. Wysłałem jako list polecony, ale równocześnie kartkę do Dra FL. [Fleischner – IF], mego niemieckiego librecisty, aby tam poszedł i poparł. Więć czekam, ale w międzyczasie mogą różne niespodzianki przyjść²¹.

Nowowiejski mobilizował również żonę do tego, aby sama podjęła walkę:

Staraj się sama – może z pomocą p. D. lub księdza lub kogoś innego o Twoje zwolnienie na podstawie: 1) omyłki, 2) pochodzenia Twego ojca (metryka!) 3) słabego serca Twego, 4) choroby na chłopca (kasa chorych!) – Szpital Ciebie przyjmie choć na 8 dni, a chłopak może ze mną spać – przepustka nadejdzie może – i razem pojedziemy do Krakowa.

Prawdopodobnie te słowa skłoniły Elżbietę do napisania prośby w języku niemieckim, która zachowała się.

Od 6 dni jestem internowana z mojego mieszkania i jestem z moim synem w tym obozie. Mój syn cierpi na zapalenie ucha środkowego, a dziś ma temperaturę. Dlatego proszę o zezwolenie, abym mogła przenieść się na mój koszt do Krakowa, gdzie moi dwaj starsi synowie mają zatrudnienie²².

19 Tamże.

20 Tamże.

21 Tamże.

22 Tamże.

Rzeczywiście synowie – Feliks-Maria i Kazimierz – znaleźli w Krakowie mieszkanie i prawdopodobnie dorywcze zajęcie, o czym niezwłocznie powiadomili ojca, a ten żonę:

*W tej chwili pisząc te słowa otrzymuję kartkę od naszego syna Fel. M., abym już przyjechał, bo pokój na mnie czeka i utrzymanie będę miał u niego*²³.

Młodzieńcy, gdy zagospodarowali się nieco, również zaczęli czynić starania o przepustki dla rodziców. Prawdopodobnie na prośbę ojca załatwiali zaświadczenie o zatrudnieniu go w jednej z krakowskich szkół muzycznych, które mogłoby pomóc w szybszym uzyskaniu zezwolenia na opuszczenie szpitala. W zachowanym fragmencie listu czytamy:

*Jeszcze raz piszę dlaczego nie załatwiliśmy sprawy z Konserwatorium a tylko ze Szkołą Muzyczną. P(ana). Krzyształowicza poznaliśmy przez p. Garbusińskiego i on nam natychmiast podjął się załatwić sprawę, omówiliśmy to z nimi już w grudniu i teraz zaraz wiedząc o co chodzi prędko załatwiliśmy; list odszedł w tym tygodniu w poniedz. 22 I [1940 roku – IF]*²⁴.

Na tym liście Nowowiejski dopisał informację o przekazaniu paczki dla żony i syna, i przekazał go Elżbiecie.

Starania o los najbliższych przejawiały się również we wskazówkach i radach, jakie udzielał kompozytor żonie:

*[...] – jak trafić w razie gdybyś zajeżdżała w stronę Warszawy: staraj się o 2 bilety z Czerw. Krzyża do Warszawy, tam wprost na ul. Kawęczyńska 49. Na drugi dzień znowu bilety z Czerw. Krz. do Krakowa*²⁵.

W innym liście pisał:

*Po wylądowaniu: zgłoś się zaraz do ks. Proboszcza n.p. w Częstochowie u ks. Fr., lub ks. Naszańskiego (św. Barbara), lub do klasztoru, wszędzie moi wielbiciele. Warszawa; Sobierajski, Butkiewicz, Lublin: ks. dr Manzał, dyr. chóru. Wyśpij się jedną noc, potem na dworzec, bilet i jazda do Krakowa*²⁶.

Starał się przewidzieć wszystko, doradzał:

23 Tamże.

24 Tamże.

25 Tamże.

26 Tamże.

W barakach zbliżyć trzeba się do administratora Dusinga, znającego p. S. i do p. Jerzykiewicza, biuro obozu kuchni – chodzi o miejsce wygodne w pociągu i dowiedzieć się jaki kierunek pociągu!!!²⁷

Wszystkim tym działaniom nieustannie towarzyszył strach. Jeszcze w 1939 roku władze niemieckie przejęły dom prowincjonalny sióstr elżbietanek i szpital. Część sióstr zostało internowanych. Reszta dostała areszt domowy; nie było wolno żadnej wyjechać ani wychodzić do miasta²⁸. O tym, w jak trudnej i niepewnej sytuacji znalazł się, Nowowiejski pisał do żony:

muszę opuścić szpital, tak lekarze twierdzą. Mimo że nie jestem zdrow, trzeba miejsce robić dla ciężko chorych po operacji! Nie wiem, kto mnie przyjmie, spróbuję pierw org. Posadowdkistr. 29., nawet biedny art. mal. Czarnecki zaprosił mnie do swej zimnej mansardy na 5. piętrze. Schwabenstr. 48 V Wohnung 18. [...] Ja nie śpię i siedzę jak na węglach (jak zresztą każdy!), bo nie mam przepustki. Stosunki się wszędzie zepsuły, nawet Wł. boją się, bo obostrzone są przepisy, więc staram się gwałtownie legalną drogą – inaczej droga do baraku, a to może nagle, niespodziewanie przyjść – tak mi mój dr mówił otwarcie²⁹.

Dalej, przerażony, pisze:

Dla Twojej orientacji, gdybym umarł: moje preludia w tonacji d-moll podzieliłem w 3 części i rozdałem 1) p. Z. 2) Kn. 3) Siostrę poetkę³⁰. W ten sposób choć część tych cudnych preludiów fortepianowych uratuję. [...] Już pakuję ewent. dla baraku. Derkę chcę pożyczyć sobie od Matki Przeł., wybieram się dziś do niej. Los mój rozstrzygnie się dziś lub jutro, najpóź. pojutrze.

W innym zaś liście w ostatniej chwili na marginesie na skrawku wolnego miejsca dodał:

Boję się ciągle. Fn ...z Prąt. , może mnie b. zaszkodzić. Tobie już nie, bo jesteś w b. – ale mnie, bo czarty i są. Co mam robić. Ty jesteś za daleko od świata!!!³¹

Strach i niepewność niewątpliwie miały ogromny wpływ na stan zdrowia kompozytora, który znacznie się pogorszył:

Kochana, Jedyna Elżbietko!

[...] Operacji nie będzie, badał sam dyrektor, rzecz niebezpieczna! Ale serce puka mocno

27 Tamże.

28 E. Schaefer (s. Aquina), *Zgromadzenie sióstr świętej Elżbiety*, Lublin: Redakcja Wydawnictw KUL, 1996, s. 224.

29 Archiwum Rodzinne, Listy Feliksa..., dz. cyt.

30 Nie wiemy, o jakich preludiach pisał kompozytor ani komu je przekazał. W tece kompozytora wymienione są dwa preludia na fortepian: Preludium (data powstania: 1915 [na kopii 1925]) oraz Preludium op. 57 (data powstania: 1937).

31 Tamże.

w nocy, prócz tego atak mózgowy, muszę być ostrożny. Może się teraz udam z prośbą do p. Jah. a gdyby droga szła przez barak

– tu niestety brakuje dalszej części listu³².

Feliks był osobą głęboko wierzącą i to wiara dawała mu siły do tego, aby przetrwać ten trudny okres.

Znowu ofiarowałem Komunię świętą dla Ciebie i synka. Mam taką wiarę, że będziesz wolna i że razem pojedziemy do Krakowa³³.

A składając życzenia świąteczne, napisał:

Najdroższa, najkochańsza Elżbietko! Błogosławionych świąt! Serce mi pęknie dziś we Wigilię! Został mi tylko III Zakon św. Fr.³⁴

Sądzę, że pasja tworzenia muzyki również bardzo pomogła mu przetrwać straszną rzeczywistość i nie dopuszczała do załamania. Będąc już w Krakowie, napisał:

Jeszcze w Poznaniu napisałem wśród bomb i maszynówek moją 5-tą mszę liturgiczną „Christus, Spes mea”, a w szpitalu 4 pieśni dla chóru Sióstr, m.in. „Procesja do stóp św. Elżbiety”, słowa siostry Salezji, dyrygentki chóru³⁵.

Autograf pieśni zachował się w kolekcji Wiesławy Cichowicz, śpiewaczki, której właśnie w szpitalu Nowowiejski przekazał trzy teczek swoich kompozycji na przechowanie³⁶.

Listy są również świadectwem głębokiej więzi łączącej małżonków. Ze wszystkich listów oprócz troski przebija miłość do żony. To ona była jego najwierniejszą przyjaciółką, może jedyną. Jej zwierzał się ze swoich rozterek i wątpliwości, z nią dzielił się każdą radością, ale i każdym smutkiem. Byli dla siebie wsparciem:

Dobrze, że dajesz mi otuchę, trzeba uratować tylko życie. Piszę na przędce te słowa i lzy gorzkie mam w oczach i w sercu, ale i głęboką miłość do Ciebie, Elżbietko. Niech Bóg

32 Tamże.

33 Tamże.

34 Tamże.

35 Archiwum Salezjańskiej Inspektorii św. Stanisława Kostki w Warszawie. List Feliksa Nowowiejskiego do Antoniego Chłondowskiego, bez daty dziennej, z 1940 r.

36 Kolekcja Wiesławy Cichowicz. Przekazane w 1975 roku Muzeum Archidiecezjalnemu w Poznaniu zbiory Wiesławy Cichowicz były materiałem bardzo przemieszanym i obejmującym wiele dziedzin. Część spadkowej darowizny została wypożyczona Muzeum Etnograficznemu, gdzie w 2002 r. odbyła się wystawa. Tam też obecnie, obok stałej ekspozycji muzealnej, znajduje się część materiałów dotyczących nieetnograficznej działalności Wiesławy Cichowicz.

*Ciebie prowadzi! Znam w zupełności Twoją bogatą duszę, która osiągnie coraz wyższe szczeble doskonałości*³⁷.

Elżbieta Nowowiejska z synem Janem w obozie spędziła ponad dwa miesiące, czekając na transport, który zabierze ich do Generalnej Guberni. Ich nazwiska znajdujemy dopiero na liście nr 16 z 10 lutego 1940 roku osób transportowanych do Jędrzejowa³⁸. Niestety nie zachowały się żadne dokumenty mówiące, kiedy Feliks Nowowiejski opuścił szpital. Wiemy tylko, że kompozytor wyruszył do Krakowa zaopatrzony w zaświadczenia lekarskie³⁹ nie wcześniej niż 7 lutego, gdyż w swoje urodziny przesłał list do żony. Zaświadczenie lekarskie o konieczności wyjazdu kompozytora ze względu na stan zdrowia do Krakowa, do syna, wystawił dr S. Tuszewski. Nie ma więc uzasadnienia historia przekazywana ustnie i potem powielana, iż Nowowiejski wyjechał z Poznania pod przybranym nazwiskiem Warmiński i pod tym nazwiskiem ukrywał się do końca wojny. Do wyzwolenia Krakowa Nowowiejski wraz z rodziną mieszkał przy Rynku Dębnickim nr 8⁴⁰.

Wydające się martwymi do tej pory daty i fakty z życia kompozytora stają się – dzięki udostępnionym listom – bliskie i bardziej zrozumiałe. Historia pobytu w obozie jest dziś niemal zapomniana – przypomniały ją listy Feliksa do żony. Jan Nowowiejski przez lata traktował listy jak drogocenną pamiątkę po rodzicach świadczącą o ich miłości i jedności i nie chciał się nią z nikim dzielić. Pamięć o tych wydarzeniach wprawdzie trwała w kręgu rodzinnym, ale niechętnie do nich wracano. Jak pisała historyk Maria Rutowska⁴¹: *po wojnie liczono przede wszystkim ofiary egzekucji, obozów, więzień, a wysiedleni przeżyli i byli szczęśliwi, że żyją*.

Iwona Fokt

.....
37 Archiwum rodzinne, Listy Feliksa..., dz. cyt.

38 „Liste N0 16 der evakuierten Personen die am 10. Februar aus dem Lager Głowno (Posen Ost) in das Generalgouvernement abtransportiert worden sind”, Archiwum Instytutu Zachodniego, sygn. I.Z. Dok. I – 699.

39 BR Poznań, nieopracowane, Zaświadczenia lekarskie – dr S. Tuszewskiego.

40 W Karcie Rejestracyjnej do Zarządu Miejskiego w Krakowie w rubryce „data stałego zamieszkania w Krakowie” Nowowiejski podał 1 IV 1940. Zaraz po przybyciu do Krakowa mieszkał jednak przy ul. św. Tomasza 26 m. 12. Taki adres podał w piśmie do Rentenkammer w Warszawie. Zob. BR Poznań, nieopracowane; WAP Kraków, Pol.KO, sygn. 133, k. 263, lista muzyków, uchodźców z Warszawy, przebywających w Krakowie.

41 M. Rutowska, *Lager Głowna...*, dz. cyt.

Feliks Nowowiejski – kompozytor z Barczewa

KRZYSZTOF DARIUSZ SZATRAWSKI

ur. w 1961 roku, poeta, prozaik, tłumacz, krytyk literacki i muzyczny, nauczyciel akademicki, prezes olsztyńskiego oddziału SPP, członek m.in. WK „Borussia”, autor tomów wierszy i prozy, ostatnio wydał zbiór poetycki „Wiek nowy” (Olsztyn 2014).

Feliks Nowowiejski jest największym kompozytorem z Warmii, tu urodzonym i wychowanym. Stąd, ze spokojnego miasta południowej Warmii, wychodząc na spotkanie szerokiego świata, ze swojej ojczyzny mógł czerpać inspirację. Tu mógł powracać prywatnie, twórczo i w kontaktach osobistych podtrzymywanych do ostatnich dni życia. Jako autor kilkudziesięciu hymnów oraz kilkuset pieśni patriotycznych, religijnych i artystycznych, wirtuoz organowy i dyrygent, działacz patriotyczny, autorytet w dziedzinie muzyki chóralnej i wychowawca Feliks Nowowiejski już w młodości stał się postacią znaną i cenioną. Wcześniej osiągnął międzynarodowy sukces jako kompozytor utworów orkiestrowych i wielkich dzieł oratoryjnych. A pomimo to każdy, kto bliżej poznaje twórczość Feliksa Nowowiejskiego, szybko nabiera przekonania, że ani miejsce w zbiorowej pamięci, ani ocena jego dzieł nie oddają ich rzeczywistej wartości. W pierwszym okresie pewien wpływ na taki stan rzeczy miał fakt, iż dokonania Feliksa Nowowiejskiego obejmują różne obszary kultury muzycznej, co utrudniało całościową ocenę za życia kompozytora. Podobnie działo się w pierwszych dziesięcioleciach po śmierci kompozytora, kiedy znaczna część jego dorobku, zwłaszcza utwory religijne oraz patriotyczne, została przemilczana ze względów po-



Feliks Nowowiejski, portret na budynku szkoły w Wydminach. Fot. Janusz Pilecki

litycznych. Jednak to właśnie dzięki tym utworom powszechna pamięć o kompozytorze przetrwała.

Urodził się 7 lutego 1877 roku w Barczewie (wówczas Wartemborku) jako piąte z kolei dziecko Franciszka i Katarzyny. Przyszedł na świat w miejscu i czasie szczególnym. Od pokoleń na Warmii funkcjonowała grupa ludności o polskich korzeniach, związanych przez język i elementy tradycji z kulturą polską. Na co dzień w mowie posługiwano się językiem polskim, albo ściślej gwarą warmińską, pisano zaś po niemiecku. Wielokulturowe Barczewo było miastem, w którym sąsiadowały religie i kultury, a ich zadomowienie dawało wszystkim poczucie bezpieczeństwa i przynależności. Nagłe przemiany ekonomiczne i polityczne w ostatnich dekadach XIX stulecia spowodowały, że ów porządek zaczął się chwiać. Jak w wielu rodzinach, także w rodzinie Nowowiejskich narodowość, język i religia związały się w jednolity system duchowej identyfikacji. Wychowany w rodzinie o silnej warmińskiej tożsamości przyszły kompozytor „Roty” na zawsze połączył patriotyczne przywiązanie do polskiej kultury z katolicką religijnością.

47

W dzieciństwie Feliksa Nowowiejskiego wyjątkową rolę spełniła kultura muzyczna, nadając kierunek i energię kształtującej się twórczej osobowości. Pierwsze doświadczenia muzyczne zdobywał już jako dziecko w Barczewie, słuchając organów i śpiewu wiernych w poblis-

kim kościele św. Anny. I pieśń religijna oraz popularne ludowe przyśpiewki stały się jego pierwszym muzycznym doświadczeniem. Być może tu ma swoje źródło skłonność do mistycznego przeżywania muzyki, którą ujawnia cała jego dojrzała twórczość. Jako dziecko pobierał prywatne lekcje i wcześniej wykazał się talentem twórczym, a skomponowana przezeń suita „Łatwe tańce klasyczne i współczesne” przekonała rodziców, że muzyczne uzdolnienia syna powinny zdecydować o wyborze zawodu. Suitę tę kompozytor w późniejszym czasie wydał jako op. 2 nr 3. W konsekwencji, w 1887 roku, mając dziesięć lat, przyszły profesor poznańskiego konserwatorium rozpoczął naukę w odległej od rodzinnego domu o blisko 60 kilometrów, lecz cieszącej się zasłużoną sławą „najlepszej na Warmii szkoły muzycznej” Musik-Anstalt w Świętej Lipce. Chociaż licząca 165 lat szkoła była instytucją wysoko cenioną, w końcu XIX wieku przeżywała coraz głębszy kryzys i ostatecznie w 1909 roku została zamknięta. Traktowano ją jako szkołę przygotowawczą do seminariów nauczycielskich. Kształcenie w szkole miało przede wszystkim charakter praktyczny i było ukierunkowane na rozwijanie wszechstronnych kompetencji przyszłych organistów i nauczycieli.

W 1893 roku, po zakończeniu nauki w świętoliipskiej szkole muzycznej, Feliks Nowowiejski zamieszkał z rodzicami w Olsztynie. Podjął pracę jako zawodowy muzyk – w orkiestrze garnizonowej oraz dodatkowo jako muzyk modnych w owym czasie zespołów salonowych. Mimo młodego wieku szybko zdobył sławę, komponując wiele popularnych utworów dla orkiestry marszowej, między innymi marsz „Unter der Friedensflagge”, za który w lipcu 1898 roku otrzymał I nagrodę w konkursie The British Musician. Utwór został wydany drukiem i spopularyzowany w wielu krajach europejskich i za oceanem. Do znanych marszów Nowowiejskiego należały również „Deutschland Stolz”, „Unter den Schwingen des deutschen Aars” oraz „Zepelin-Marsch”. W Olsztynie odbyła się także premiera młodzieńczej symfonii Nowowiejskiego. Symfonia, którą w późniejszym czasie sam kompozytor wycofał z katalogu swoich utworów, odegrała jednak w życiu twórcy znaczącą rolę. W olsztyńskim środowisku stała się sensacją, zjednując dwudziestoletniemu twórcy przychylne zainteresowanie. Przyjaciele młodego muzyka przekonani o wyjątkowości jego talentu rozpoczęli poszukiwania sponsora i wkrótce dzięki pomocy właściciela fabryki mebli Salo Stauba Nowowiejski wyjechał do Berlina, gdzie rozpoczął naukę jako student prywatnego Konserwatorium Sterna.

Niezwykłe aktywny sześciomiesięczny okres studiów w Berlinie okazał się fascynującą przygodą intelektualną. Był to przede wszystkim czas nowych wyzwań. Młody kompozytor zdobywał pierwsze doświadczenia w prowadzeniu chóru oraz pracy organisty kościelnego. Również w Berlinie Feliks Nowowiejski dziełami Jana Sebastiana Bacha, Feliksa Mendelssohna i swego profesora Otto Dienela zadebiutował jako koncertujący organista. Swoje sukcesy i osiągnięcia pieczołowicie dokumentował, wysyłając wraz z opiniami pedagogów księdzu Józefowi Teschnerowi, proboszczowi parafii św. Jakuba w Olsztynie, z nadzieją, że otrzyma dzięki temu stanowisko organisty. Tak się też stało i po powrocie do Olsztyna, 1 października 1898 roku, Feliks Nowowiejski objął wymarzoną posadę. Nie umiał się nią cieszyć. Rozbudzone zainteresowania i ambicje kierowały uwagę młodego kompozytora na coraz wyższe cele. Po roku

pracy złożył do biskupa warmińskiego Andrzeja Thiela podanie o stypendium, a na początku 1900 roku wyjechał do Szkoły Muzyki Kościelnej w Ratzbonie. Trzymiesięczny kurs w słynnym ośrodku promującym odnowę muzyki sakralnej w duchu cecylikańskim miał dalekosiężny wpływ na działalność twórczą Nowowiejskiego, pierwszym jednak jego skutkiem była decyzja o kontynuacji studiów. Po powrocie do Olsztyna, 1 października 1900 roku, organista zrezygnował z posady i wyjechał do Berlina, aby podjąć studia w Królewskim Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma oraz Szkole Mistrzów Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie, gdzie jego mistrzem i profesorem kompozycji był Max Bruch.

W konserwatywnym środowisku Berlina przybyś z Prus Wschodnich czuł się dobrze. Brak nowych tendencji w muzyce równoważyły dopracowane pod względem technicznym i zrównoważone formalnie utwory, które dawały poczucie związku z tradycją. W środowisku akademickim Berlina talent młodego twórcy został szybko zauważony, a profesor obdarzył studenta przyjaźnią, zapraszając go do swego domu i przedstawiając rodzinie. Już w roku 1902 kompozycjami „Uwertura romantyczna”, fuga na ośmiogłosowy chór z orkiestrą oraz oratorium „Powrót syna marnotrawnego” Nowowiejski zdobył nagrodę imienia Giacomo Meyerbeera. Nagroda była wypłacana w ratach jako stypendia na trzy sześciomiesięczne podróże artystyczne do Włoch, do Paryża i Brukseli oraz do Wiednia, Monachium, Drezna, Lipska i Berlina. Kolejne części nagrody wypłacane były po złożeniu sprawozdania z podróży, którego obowiązkową część stanowiły nowe utwory. Pod wpływem podróży do Włoch, które młody Warmiak postrzegał przez pryzmat lektury „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza, w 1903 roku rozpoczął komponowanie swego najśłynniejszego dzieła, zrazu jako uwertury koncertowej, później oratorium opartego na niemieckojęzycznym libretcie berlińskiej poetki Antonie Jüngst. Z warunków stawianych przed laureatami nagrody Meyerbeera wywiązał się tak dobrze, że w 1904 roku, mimo iż nie zgłaszał swojej kandydatury, otrzymał ją ponownie, tym razem była przeznaczona na kontynuację studiów w klasie Maxa Brucha. W 1903 roku uwertura „Swaty polskie” przyniosła mu nagrodę im. Beethovena w Bonn.

Prawdopodobnie w czasie pierwszej podróży dokonał się przełom tożsamościowy. Pod wpływem studiów i obserwacji oraz znajomości z wybitnymi kompozytorami, m.in. Mahlerem i Saint-Saënem, młody kompozytor coraz wyraźniej odczuwał potrzebę samookreślenia. Szczególną rolę miała odegrać rozmowa z Antoninem Dwořakiem, o której kompozytor napisał po latach, że

konieczność twórczości oryginalnej, zgodnej z charakterem rasy słowiańskiej – na które to elementy ideowe kładł mistrz muzyki czeskiej nacisk największy – pozostała [...] drogowskazem na całe życie.

Po powrocie do Berlina Nowowiejski coraz bardziej otwarcie opowiadał się po stronie polskości. Zacieśnił współpracę z chórami berlińskiej Polonii, zdobył posadę organisty w kościele św. Pawła (Moabit), przy którym również działał polski chór. Efektem przebudzenia

świadomości narodowej było także nawiązanie kontaktów z polskimi środowiskami muzycznymi w Warszawie i Krakowie, stopniowa zmiana tytułów utworów z niemieckich na polskie, a w końcu starania o pracę w Krakowie.

W 1906 roku ukończył oratorium „Znalezienie św. Krzyża”, którego premiera odbyła się we Lwowie (17 kwietnia 1906 roku), a w następnym roku „Quo vadis” (premiera 4 maja 1907 w Uściu nad Łabą). Wsparte dobrą opinią Maxa Brucha oraz rosnącą sławą kompozytora oratoria były wystawiane z sukcesem w kolejnych miastach Europy, także w miastach polskich, z którymi Nowowiejski starał się nawiązać możliwie bliskie relacje. W 1909 roku wygrał konkurs na dyrektora Towarzystwa Muzycznego w Krakowie. Był to trudny egzamin dla młodego artysty. Mimo że nie opuszczał go entuzjazm, nie miał w Krakowie łatwego życia. Niechęć części środowiska spowodowała, że kompozytor często spotykał się z wrogością, zarzucano mu nadmierne eksponowanie niemieckiej muzyki, wypominano mu marsze wojskowe i pruskie obywatelstwo. Próbując przezwyciężyć ostracyzm krakowskiego środowiska i zjednać nieprzychylną sobie krytykę wartościowymi koncertami, prowadził orkiestrę do 1914 roku. Zmagający się z wrogością części środowiska artystycznego kompozytor znalazł zrozumienie w środowiskach patriotycznych i chóralnych. Z okazji zbliżających się obchodów 500-lecia bitwy pod Grunwaldem skomponował pieśń „Grunwald”, później publikowaną jako „Hasło”, a w końcu powszechnie znaną jako „Rota”. Pieśń ta została wykonana przez połączone chóry z towarzyszeniem orkiestry podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Grunwaldzkiego ufundowanego przez Ignacego Jana Paderewskiego. Uroczystości odbywały się w dniu 500 rocznicy bitwy.

W okresie krakowskim powstawały utwory organowe, kompozycje orkiestrowe i kameralne, w tym skomponowany w roku obchodów 100-lecia urodzin Juliusza Słowackiego, nawiązujący do poematu „Anelli”, a zarazem będący manifestacją postawy patriotycznej poemat symfoniczny „Śmierć Ellenai”. W okresie tym Feliks Nowowiejski często koncertował w różnych ośrodkach, zyskując sławę jako organista wirtuoz, jako chórmistrz i autor utworów chóralnych, przede wszystkim jednak jako twórca oratoriów. Wielki sukces przereklamowanej wersji „Quo vadis” w 1909 roku w Amsterdamie, kiedy kolejnymi wykonaniami oratorium dyrygowali dyrektor zespołu Concertgebouw Johan Schoonderbeek oraz Feliks Nowowiejski, ugruntował pozycję młodego kompozytora i otworzył przed nim drogę do największych sal koncertowych, także za oceanem.

Mimo iż Feliks Nowowiejski zdecydowanie manifestował swoje przywiązanie do polskości, wciąż jeszcze zdarzali się tacy, którzy nie chcieli zaakceptować go jako Polaka. Doświadczenia okresu krakowskiego zahartowały charakter muzyka, który nie tylko nie zrezygnował z patriotycznej postawy, ale z tym większym przekonaniem działał w ruchu patriotycznym. Wbrew narastającym tendencjom nacjonalistycznym i szowinistycznym zachował afirmatywny stosunek do uczuć patriotycznych i do własnej tożsamości. W 1914 roku zmęczony nieustannymi atakami artysta zrezygnował z posady dyrektora Towarzystwa Muzycznego. Z począt-

kiem roku akademickiego miał rozpocząć pracę w Konserwatorium Klindworth-Scharwenki. Wakacje w Świnoujściu przerwał wybuch wojny. Jako obywatel niemiecki został wcielony do wojska i lata wielkiej wojny spędził w orkiestrze garnizonowej w Berlinie.

Wielka wojna, która dla sąsiadów ze wschodu i z zachodu była doświadczeniem traumatycznym, dla Polski okazała się okazją do wybicia się na niepodległość. Moment ten, przygotowywany w świadomości społecznej od dziesięcioleci, został przyjęty z powszechnym entuzjazmem, któremu dał się ponieść również kompozytor. W życiu artysty, który w czasie wojny przekroczył czterdziesty rok życia, był to przełom zasadniczy. Choć na tle nieszczęść i niebezpieczeństw, jakie niosło życie na froncie, wcielenie do orkiestry wojskowej można uznać za łut szczęścia, wojna 1914 roku była jednak znaczącą cezurą w jego twórczej biografii. Opowiedzenie się za polskością w podzielonej nowym porządkiem politycznym Europie spowodowało, że dotychczas życzliwie usposobione środowisko muzyków niemieckich dostrzegło w Nowowiejskim wroga. W okresie międzywojennym niemieckie sale koncertowe były dla Nowowiejskiego zamknięte. Z drugiej strony zakończenie wojny, wcielanie do odradzającego się państwa polskiego kolejnych regionów stało się nowym impulsem twórczym, którego efektem była rozwinięta twórczość patriotyczna oraz świadoma działalność państwowo-twórcza.

Z końcem wojny Nowowiejski zakończył pracę muzyka w orkiestrze garnizonowej w Berlinie i wyjechał do Poznania. Nie musiał już dłużej być obywatelem Niemiec, czuł natomiast wewnętrzny przymus włączenia się w odbudowę państwa. Znalazło to wyraz w jego zaangażowaniu w działania komitetów plebiscytowych, które wspierał jako twórca pieśni, publikowanych jako pocztówki cegiełki wspierające działalność patriotyczną, ale też jako wirtuoz, dając koncerty, z których dochód przeznaczony był na cele plebiscytowe. Często były to półrecitale organowe połączone z występami chórów amatorskich. Poczynając od pierwszego koncertu wspierającego plebiscytową agitację, jaki odbył się w Filharmonii Warszawskiej 19 listopada 1919 roku, poprzez udział w wielu spotkaniach na terenach plebiscytowych, poczynania Nowowiejskiego miały znaczenie wyjątkowe. Nowowiejski był już artystą cieszącym się międzynarodowym uznaniem, więc pojawienie się kompozytora podczas organizowanych przez Warmiński Komitet Plebiscytowy spotkań, jego muzyka i deklaracje patriotyczne, a wreszcie wsparcie, jakiego nie szczędził chórom amatorskim, przyjmowano entuzjastycznie. Także w późniejszych latach Nowowiejski uczestniczył w wielu akcjach wspierających polskie środowisko na Warmii, brał udział w akcji kształcenia organistów, instruktorów polskiego ruchu kulturalnego, chórmistrzów i nauczycieli, opiekował się stypendystami Związku Polaków, dbając o ich rozwój zawodowy i osobisty. Obok Warmii wiele uwagi poświęcał kontaktom z ruchem patriotycznym na Powiślu, ale szczególne miejsce zajmował Bałtyk. Prawdopodobnie w okresie kiedy był muzykiem orkiestry wojskowej w Olsztynie, podczas wyjazdów z orkiestrą do jednego z nadbałtyckich kurortów młodego Nowowiejskiego oczarowało morze. W dorosłym życiu, kiedy tylko mógł, wakacje spędzał nad Bałtykiem. Uczucie to było jedną z jego najsilniejszych inspiracji. Na tle dziesiątków hymnów i pieśni patriotycznych „Hymn

do Bałtyku” wyróżnia się szczególnie kunsztowną frazą i niezwykłą inwencją, a cykl „Pieśni morskie” op. 42 oraz wybór tematyki najważniejszego dzieła operowego nie pozostawiają wątpliwości, że zainteresowanie morzem wynikało z głębokiej wewnętrznej potrzeby.

Mimo miłości do morza Nowowiejski osiadł w Poznaniu. Wybór uzasadniał poziom profesjonalnego życia muzycznego, a także możliwości pracy artystycznej i pedagogicznej. Stolica Wielkopolski doceniła warmińskiego kompozytora, który właśnie nad Wartą znalazł świetne warunki do rozwoju swej twórczości. Ważnym argumentem była obecność środowiska rozumiejącego intencje i wspierającego jego działania. W poznańskim Konserwatorium prowadził klasę organów i orkiestrę, koncertował na organach katedralnych jako wirtuoz. W 1924 roku w Poznańskim Teatrze Wielkim odbyła się prapremiera „Legendy Bałtyku”, jednej z najważniejszych oper w historii muzyki polskiej. Cztery lata później w tym samym teatrze wystawiono balet „Wesele na wsi” (później „Malowanki ludowe”), a w 1929 roku premierową inscenizację baletu „Tatry” (w późniejszej wersji zatytułowanego „Król wichrów”). W 1927 roku Feliks Nowowiejski zrezygnował z pracy pedagogicznej, ograniczając aktywność do działalności twórczej i wykonawczej, tworząc kolejne dzieła symfoniczne i pieśni. Jego koncerty organowe i wokalne wielokrotnie transmitowała Rozgłośnia Poznańska Polskiego Radia, koncertował także gościnnie w wielu miastach Polski oraz w Londynie, Paryżu i Rzymie. Oratoria wciąż były wykonywane nawet w odległych ośrodkach muzycznych, a „Legenda Bałtyku” do wybuchu wojny była wystawiana we wszystkich polskich teatrach operowych. W dojrzałym okresie twórczości obok dzieł scenicznych kompozytor poświęcał się także twórczości symfonicznej. Do młodzieńczych poematów symfonicznych i skomponowanej podczas studiów u Brucha I Symfonii h-moll, w przededniu II wojny światowej kompozytor dodał II Symfonię „Praca i rytm” i Koncert wiolonczelowy (1938) oraz ukończone już w okresie hitlerowskiej okupacji III Symfonię (1940), Koncert fortepianowy i III Symfonię pokoju (1941).

Ważną część dojrzałej twórczości Nowowiejskiego stanowi muzyka sakralna, zwłaszcza dziewięć cykli mszalnych, a także liczne hymny, psalmy, kolędy. Najśłynniejsze cykle mszalne to cztery msze z opusu 49 Missa Mariae Claromontanae na chór mieszany a cappella, Missa de Lisieux na chór męski i organy, Missa pro pace na chór męski i organy oraz Missa Stella Maris na chór i organy. Utwory te są zwieńczeniem dokonań w dziedzinie muzyki religijnej, której początkiem były trzy oratoria z młodzieńczego okresu twórczości. Bogata twórczość religijna została doceniona w 1935 roku, kiedy Nowowiejski został uhonorowany tytułem szambelana papieskiego – najwyższą godnością przyznawaną osobom świeckim w Kościele katolickim. Z muzyką religijną korespondują dzieła organowe, zarówno wczesne, jak późniejsze, monumentalne pod względem formy: 9 symfonii op. 45 i 4 koncerty organowe op. 56.

Charakterystyczną cechą twórczych dokonań Nowowiejskiego jest znaczne zróżnicowanie form, ale zarazem organiczna jedność całego dorobku kompozytora, w którym religijność łączy się z patriotyzmem, a wysokie wymagania stawiane wykonawcom nie są przeszkodą dla wysokiej pozycji jego utworów w repertuarze amatorskim. Mimo pewnego stopnia trudności

jego utwory chóralne cieszyły się niezmiennym powodzeniem, a sam kompozytor cieszył się w oczach chórzystów niepodważalnym autorytetem. Postawa Feliksa Nowowiejskiego ukształtowana w katolickim, a równocześnie polskim domu, w przyklasztornej szkole muzycznej w Świętej Lipce, była wynikiem nałożenia elementów rdzennej kultury warmińskiej oraz uniwersalnej kultury europejskiej na system wartości religijnych. Proces poszukiwania równowagi pomiędzy tymi zjawiskami trwał niemal do trzydziestego roku życia kompozytora, jednak dzięki temu w późniejszych latach Nowowiejski mógł opierać swą twórczość na niezwykle stabilnym fundamencie duchowym.

W okresie międzywojennym także pieśni patriotyczne Nowowiejskiego, wydawane w przeznaczonych dla szkół wysokonakładowych zbiorach, stały się powszechnie znane i cenione. To dzięki nim pamięć o kompozytorze mogła przetrwać najtrudniejsze czasy. Uznanie dla patriotycznej wartości dzieł kompozytora już w okresie przedwojennym przyniosło mu wiele wyróżnień, między innymi w 1935 roku nagrodę państwową, a w 1936 najwyższe odznaczenie – Krzyż Komandorski Orderu „Polonia Restituta”. Patriotyczna postawa mogła również spowodować na kompozytora i jego rodzinę niebezpieczeństwo. Wkrótce po wybuchu II wojny światowej Nowowiejski został zadenuncjowany i przesłuchany przez gestapo. Złożył wyjaśnienia i został zwolniony, jednak nie miał wątpliwości, że jego życie jest w niebezpieczeństwie. Zdeponował zatem swoje rękopisy w Bibliotece Raczyńskich i ukrył się w poznańskim klasztorze Elżbietanek. Od 1940 roku ukrywał się w Krakowie, gdzie kontynuował pracę twórczą, komponując m.in. Koncert fortepianowy i ostatnie wielkie dzieło organowe, poemat „In Paradisum” op. 61. W grudniu 1941 roku udar pozbawił kompozytora możliwości dalszej pracy twórczej. W 1945 roku w podpalonej przez Niemców Bibliotece Raczyńskich spłonęła znaczna część zdeponowanych rękopisów. Po wojnie Feliks Nowowiejski powrócił do Poznania, gdzie zmarł 18 stycznia 1946 roku. Został pochowany w kościele św. Wojciecha, na tzw. Wielkopolskiej Skałce.

Feliks Nowowiejski jest kompozytorem wybitnym, choć często bywał niedoceniany. Nieprzerwana obecność jego utworów w pamięci zbiorowej, to, że są stale obecne w polskiej kulturze, świadczy o potencjale jego muzyki. Dzieje się tak między innymi za sprawą wielu osób, które poznawaniu i popularyzacji muzyki twórcy „Legendy Bałtyku” poświęcają się od dziesięcioleci. Najszerszą sławę kompozytor zawdzięcza przede wszystkim hymnom, spośród których wyróżnia się „Rota”, podniosła pieśń patriotyczna, pełniąca w chwilach dziejowych przełomów rolę nieformalnego hymnu Polski. Muzyka Feliksa Nowowiejskiego odegrała ważną rolę w kształtowaniu postaw patriotycznych w pierwszych dekadach XX wieku oraz polskiej tożsamości kulturowej w okresie międzywojennym. I chociaż w latach powojennych jego twórczość ze względów ideowych i estetycznych była lekceważona, poczynając od lat 60., powraca do programów koncertowych. Poświęcone Nowowiejskiemu festiwale w latach 80. w Olsztynie i od roku 2002 w Barczewie, produkcje oratoriów w latach 90., coroczne konferencje naukowe, konkursy chóralne w Barczewie i Olsztynie, konkurs organowy w Poznaniu, seria płyt nagranych przez filharmonię olsztyńską, w tym nagrodzone Fryderykiem olsztyńskie na-

granie *Missa pro pace* i *Missa Stella Maris*, a także coraz liczniejsze nagrania utworów organowych sprawiają, że Feliks Nowowiejski jako kompozytor staje się coraz lepiej zakorzeniony w pamięci zbiorowej. Cechą szczególną twórczości największego warmińskiego kompozytora jest jej rozległy kontekst pozamuzyczny. Jego utwory są nośnikiem treści, elementem systemu wartości powiązanych z wieloma obszarami kultury, kluczem do zbiorowej świadomości, nade wszystko jednak są wyrazem uczuć głębokich i czystych. A tę cechę mają tylko największe dzieła sztuki.

Krzysztof Dariusz Szatrawski

**ALLENSTEIN
OLSZTYN**

Włodzimierz KOWALEWSKI

Epitafium

WŁODZIMIERZ KOWALEWSKI

ur. w 1956 roku, pisarz, publicysta radiowy, autor słuchowisk, scenarzysta filmowy. Autor m.in. powieści („Bóg zapłać!", „Excentrycy", „Ludzie moralni"), tomów opowiadań („Cztery opowiadania o śmierci", „Powrót do Breitenheide", „Światło i lęk", „Brzydki człowiek"). Jego książki wydawano na Węgrzech i w Austrii, tłumaczenia prozy publikowano w węgierskich, litewskich, niemieckich i rosyjskich pismach literackich.

Powieść „Excentrycy" została w roku 2015 przeniesiona na ekran przez Janusza Majewskiego, zdobywając Srebrne Lwy na 40. Festiwalu Filmowym w Gdyni. Wielokrotnie nagradzany, m.in. laureat polsko-niemieckiej nagrody literackiej im. Samuela Bogumiła Lindego oraz Literackiego Wawrzynu Warmii i Mazur.

Słuchowisko zrealizowane przez Polskie Radio Olsztyn w roku 2015.

Nagrodzone na Festiwalu „Dwa Teatry" w Sopocie w maju 2016 roku – nagroda im. Ireneusza i Teresy Byrskich za słuchowisko radiowe wykorzystujące potencjał regionalnych środowisk artystycznych dla Marka Markiewicza (reżyseria), Jaromira Wroniszewskiego (realizacja), Włodzimierza Kowalewskiego (scenariusz).

„Epitafium" to ballada ukazująca w symbolicznych obrazach losy mieszkańców Olsztyna w XX wieku na przykładzie dziejów jednego mieszkania przy ulicy Warmińskiej, wynajmowanego na początku przez znaną w Olsztynie malarkę i nauczycielkę Friedę Strohmborg, jedyną obok prof. Benno Boehma autentyczną bohaterkę utworu. Słuchowisko zostało zadedykowane pamięci Stanisława Piechockiego, pisarza i publicysty, jednego z pierwszych odkłamujących przeszłość miasta w ujęciu polityki historycznej PRL. Jego postać i refleksje spinają poszczególne obrazy.

OSOBY:

Stanisław Piechocki (S.P.)

Kolega

Sekretarka

Redaktor naczelny gazety

Frieda Strohmborg – postać autentyczna, malarka i profesorka w Luisenschule
w Olsztynie

Benno Boehm – postać autentyczna, filolog klasyczny i profesor w Gimnazjum Męskim
im. Wilhelma w Olsztynie

Ludwig Erckard – urzędnik, nazista

Gertrud Erckard – jego żona

Uli Erckard – ich syn, przyszły ksiądz

Listonosz

Soldat I

Soldat II

Wuja – szabrownik

Biniek – szabrownik

Babcia

Werćka Wendołowska

Nolek Wendołowski

Robert Wendołowski – ich syn

Ewa – licealna miłość Roberta

Majster

SCENA 1

(S.P., KOLEGA)

Lato 1969, Kortowo, tłum na plaży nad jeziorem. W tle – muzyka z odbiorników tranzystorowych (Maryla Rodowicz, Czerwone Gitary, Trubadurzy lub inni rozpoznawalni wykonawcy z tamtych lat), gwar, okrzyki bawiących się dzieci, odgłosy wbiegania do wody. Na pierwszym planie – dwaj czternastoletni chłopcy.

KOLEGA:

Stachu, która godzina? Ale gorąco!

S.P. (do KOLEGI):

Dziesięć po drugiej. Idę do wody, jeszcze się przekąpię!

KOLEGA:

Co ty?! Spadamy już, będzie tłok w trolejbusie. Masz dwadzieścia groszy?

SCENA 2.

(S.P., KOLEGA)

Cd., lato 1969, Kortowo, alejka w parku. Świergot ptaków, gwar plaży w dalekim tle.

KOLEGA:

Stachu! No, chodź! Zaraz matka wraca z roboty, muszę być w chacie.

S.P.

Czekaj... Skoczę w krzaki.

*Rozgarnianie krzewów.***SCENA 3.**

(S.P., KOLEGA)

Cd., lato 1969, Kortowo, alejka w parku. Świergot ptaków, gwar plaży w dalekim tle.

S.P. (z daleka):

Chodź tu! Zobacz!

*Przedzieranie się przez krzaki, odgłos ostukiwania, odgarniania stwardniałej ziemi z kamienia.***SCENA 4.**

(S.P., KOLEGA)

Cd., lato 1969, Kortowo, alejka w parku. Świergot ptaków, gwar plaży w dalekim tle.

KOLEGA:

Zgłupiałeś?... Co to? Kafel? Płyta z chodnika?

S.P.:

Marmur. Czarny, kiedyś błyszczał. Stłuczony, jakby ktoś młotkiem walił. A chodź, odwrócimy...

Zaraz, tym kijem!... O!

Odgłos wyszarpywania połamanej płyty marmurowej z ziemi.

KOLEGA:

Patrz, napis. Po niemiecku. Hier... ruht... in... Gott... Gest... Pięc... Marz... 1933...

S.P.:

Nagrobek!

KOLEGA:

Tu groby? W Kortowie? W parku?

S.P.:

Jeszcze coś napisane.

Odgłos przecierania marmurowej płyty.

S.P. (*czyta z trudem, niepoprawnie*):

„Dem auge fern, Dem herzen ewig nah...”

SCENA 5.

(NARRATOR – S.P. jako dorosły mężczyzna)

NARRATOR:

Zapamiętałem, w domu ojciec przetłumaczył. To znaczyło „Oku daleko, sercu zawsze blisko...”. Piękne epitafium, choć nigdy nie dowiedziałem się dla kogo. Ale to właśnie wtedy, w Kortowie, latem 1969 roku, przeszłość upomniała się u mnie o swoje zatartymi literami i wonią wilgotnej ziemi. Od tamtej pory nie dała mi już spokoju.

SCENA 6.

(S.P., REDAKTOR NACZELNY, SEKRETARKA)

Rok 1986, redakcja gazety. W tle głosy, daleki stukot maszyny do pisania.

SEKRETARKA:

Towarzysz redaktor prosi.

Dyskretny trzask zamykanych drzwi, cisza gabinetu redaktora naczelnego.

REDAKTOR:

A witam, witam pana sędziego!

S.P.:

Nie przychodzę jako sędzia, panie redaktorze!

REDAKTOR:

Tak... A więc, panie Stanisławie, pańską książkę „Tekturowe czołgi” przeczytałem. Owszem, owszem... A ten fragment nowej powieści jeszcze lepszy. Bierzemy. Teraz w sobotę albo za tydzień by poszedł.

S.P.:

Dziękuję. Ale ja do pana redaktora nie w sprawie fikcji.

REDAKTOR:

No?

S.P.

Chciałbym napisać parę artykułów o historii kilku miejsc w Olsztynie. Od początku. Proszę, tu jest pierwszy. O dziejach pewnego mieszkania. Zwykłego mieszkania na zwykłej ulicy.

REDAKTOR:

Hm... Od początku, to znaczy od kiedy?

Szelest kartek maszynopisu.

S.P.:

Od kiedy mówią dokumenty niemieckie i polskie, od kiedy pamiętają ludzie. Tu za każdym rogiem czają się tajemnice. Fakty, niezbrane sprawy, które trzeba odkryć.

REDAKTOR:

A co tu trzeba odkrywać, panie Stanisławie?... Przecież historię mamy ułożoną klarownie. Jest OBN, są dwie dobre monografie Wakara i Browińskiego, są „Spacerki po Olsztynie” Śliwy. Czego tu jeszcze szukać? Chyba nie sensacji? Ale tytuł liryczny pan wymyślił: „Oku daleko, sercu blisko”! Nie pójdzie. Za sentymentalny do gazety...

S.P.

Nie ja wymyśliłem. To epitafium. Kiedyś, jako dzieciak, znalazłem w parku w Kortowie płytę z niemieckiego nagrobka. Nikt nie wiedział, że tam był cmentarz, szpital psychiatryczny. W ogóle mało kto cokolwiek wie o życiu tutaj przed rokiem 1945. O miejscach, o ludziach...

REDAKTOR:

Niech pan da sobie spokój, panie Stanisławie. Ten '45 rok to granica, „żelazna kurtyna” w czasie, czarna dziura. I dobrze. Nic stamtąd nie jest nam potrzebne. Niczego pan nie znajdzie, niczego pan nie zrozumie. Tu każdy stary mur, nawet każda pojedyncza cegła szwargocze w obcym języku.

SCENA 7.

(NARRATOR – S.P. jako dorosły mężczyzna)

W tle stłumiony szum miasta, warkot kilku przejeżdżających samochodów jak zza przymkniętego okna.

Narastający odgłos męskich kroków po drewnianych schodach, zbliżają się i zatrzymują przed rozpoczęciem kwestii narratora. Lekki pogłos klatki schodowej.

NARRATOR:

„Mury szwargocą w obcym języku!” Co za bzdura! Język murów jest ze swojej natury zrozumiały dla wszystkich, jak muzyka. Trzeba tylko umieć go słuchać.

Słońce w oczy, wydeptane schody. Cień bariery na brudnej ścianie. Drzwi grubo pomalowane brązową farbą, odpryski. Klamka na pewno ta sama, wyszlizgany mosiądz, szpara na listy – przytarty napis „Briefe”. Po drugiej stronie ulicy dom z okrągłym świetlikiem nad wejściem i datą „1906”. Ulica Warmińska, ulica Langgasse, wszystko jedno. Widział to każdy, kto tu stanął. Dziś, sto lat temu. Kto stanie za sto lat.

SCENA 8.

FRIEDA (malarka – 42), BENNO (filolog klasyczny – 36)

Rok 1927. Noc, cisza uśpionego miasta, w oddali klekot końskich kopyt o bruk. Bliżej – odgłos kroków kobiety i mężczyzny na trotuarze.

BENNO:

Friedo, dlaczego omijasz latarnie i idziesz w ciemności? Wszyscy już śpią, w żadnym oknie się nie świeci.

FRIEDA:

Prawda, głupie przyzwyczajenie... Ale mnie zaskoczył dyrektor Theiling! Po „Koriolanie” Szekspira dawać koncert jazzowy!

BENNO:

I tak dziś najważniejsze było foyer i twoja wystawa, Friedo. Nadburmistrz Zuelch tak pięknie ci gratulował. *(po chwili, zmienionym głosem)* Nie mogę uwierzyć, że to po raz ostatni, że jutro wyjeżdżasz na zawsze. Kiedyś rozpręgnie się w nicość cały ten świat...

FRIEDA:

Znowu Seneka. Bądź sobą, Benno. Wejdiesz?

SCENA 9.

(FRIEDA, BENNO)

Cd. Narastający odgłos kroków mężczyzny i kobiety po drewnianych schodach.

BENNO:

Uważaj, ta stara, wścibska Erdmann na pewno znowu podgląda przez dziurkę.

FRIEDA:

Teraz już wszystko mi jedno. To ty powinieneś dbać o reputację.

BENNO:

Może mnie też wszystko jedno?

Szczęk klucza w zamku, otwieranie drzwi.

SCENA 10.

(FRIEDA, BENNO)

Cd. Lekki pogłos opustoszałego mieszkania.

BENNO:

Jak tu pusto, obco.

FRIEDA:

Rzeczy spakowane, nadane na bagaż. Zmieściłam się w dwóch walizkach. Zostało to, co wynajęte: szafy, stół, sypialnia.

BENNO:

A twoje obrazy, Friedo?

FRIEDA:

Wczoraj pojechały do Berlina. Ale te z wystawy zostaną tu, w Allenstein. W ratuszu, kilka w teatrze.

BENNO:

Wiesz... Kupiłem tę martwą naturę przedstawiającą twój pokój, jakim był jeszcze kilka dni temu. Powiesiłem naprzeciw biurka. Będę bywał u ciebie codziennie – już na zawsze takiej jak dziś.

FRIEDA:

Jaki ty jesteś sentymentalny, Benno. Czy to przystoi filologowi klasycznemu i badaczowi myśli Sokratesa?

BENNO:

A patefon? Patefon też wynajęty?

Odgłos nakręcania patefonu, opuszczania igły. Metalicznie brzmiące tango z trzeszczącej płyty: „Ich küsse ihre Hand, Madame” w wykonaniu Richarda Taubera.

SCENA 11.

(FRIEDA, BENNO)

Cd. W tle „Ich küsse ihre Hand, Madame” w wykonaniu Richarda Taubera.

BENNO:

Rzuciła nas Wenus ku sobie. Bruki, twarde kamienie pamiętają nasze uściski gorące. I oto minęły! Wyjeżdżasz, wychodzisz za męża. Moja Frieda, moja najpiękniejsza z muz żoną berlińskiego dentysty! O, bogowie!

FRIEDA:

A cóż mi pozostaje? Jak długo można to znosić? Te plotki, ta nasza różnica wieku. To, że jesteś ode mnie młodszy, wywołuje większe zgorzienie niż małżeńska zdrada. Przecież nie odejdziesz dla mnie od Elizabeth, od dzieci? Uczuć nie można zastąpić cytataми z Propercjusza, Benno. A Albert to dobry, porządny człowiek.

BENNO:

Elizabeth od dawna o nas wie.

FRIEDA:

Tym bardziej powinnam wyjechać... Mam tu jeszcze butelkę auslese, z tych, co przysłał mi ojciec z Würzburga. Otwórz. Poszukam w kuchni jakichś szklanek.

BENNO (*do siebie*):

Więc całą swoją niedolę osładzaj winem i śpiewem...

Odgłos korka wyciąganego z butelki.

Głośny fragment „Ich küsse ihre Hand, Madame” w wykonaniu Richarda Taubera, wyciszenie.

SCENA 12.

(FRIEDA, BENNO)

Cd. głęboka noc, przyciszone głosy kochanków.

FRIEDA:

Nie jestem z kamienia, będę tęsknić, to przecież kawał życia. Był kajzer, jest republika, będzie nie wiadomo co. Kiedy tu przyjechałam, kobiety zamiatały spódnicami chodniki, po mieście włóczyli się dragoni w pikielhaubach, a ludzie wciąż plotkowali o zabójstwie majora Schoenebecka w willi drukarza Haricha pod zamkiem. Potem była wojna. Potem byłeś ty...

BENNO:

Jakaż to była noc, o, bogowie, bogowie!

FRIEDA:

Zapamiętuję obrazy, a nie doznania, to podobno nietypowe dla kobiet. Jacobstrasse z Wysoką Bramą i katedrą we mgle, nasze rozmowy w Schloss Cafe, cieniastą drogę do Neu Wadang i żaglówki na Okull See mam utrwalone jak na kliszy. Ale nigdy nie będę ich malować z pamięci. Będę wspominała Luisenschule, w której uczyłam, i dziewczęta. Będę korespondować z moją Ingrid Andersson, która robi karierę wielkiej malarki. Ale przede wszystkim będę żyć nowym życiem.

BENNO:

Mocno stąpasz po ziemi, Friedo. A ja pewnie będę przychodził pod twoje okna... Tak już jest, nie będzie nas, nasze sprawy rozwiną się w powietrzu jak dym, zostaną mury... Patrz, już się rozwidnia. Już pachnie chlebem.

FRIEDA:

Tutaj zawsze nad ranem cała ulica pachnie chlebem z piekarni na rogu Bismarckstrasse. Przecież wiesz...

Zza okna słychać warkot zatrzymującego się samochodu i klakson, potem jeszcze jeden.

BENNO:

Friedo, co to jest? Co ty robisz?

FRIEDA:

Ubieram się. To taksówka. Mam pociąg o piątej czterdzieści.

BENNO:

Jak to? Już? W tej chwili? Tak znenacka? Dlaczego nie powiedziałaś? Myślałem... Zaczekaj, odprowadzę cię na dworzec!

FRIEDA:

Nie. Pojadę sama. Zostawisz klucz w drzwiach. Tak było umówione z gospodynią.

Fragment „Lorelei” w wykonaniu Richarda Taubera. Płyta trzeszczy, zacina się, przeskakuje kilka razy, wyciszenie.

SCENA 13.

(NARRATOR – S.P.)

W tle stłumiony szum miasta, warkot kilku przejeżdżających samochodów jak zza przymkniętego okna.

NARRATOR:

Język murów jest ze swojej natury zrozumiały dla wszystkich, jak muzyka. Trzeba tylko umieć go słuchać. Najważniejsze są miejsca na ziemi, a potem mury, które otulają i chronią ludzkie losy. Mury są ramami dla dziejów pokoleń. To magia: ludzie odchodzą, mury pozostają. To, co żywe – przemija, co martwe – trwa. Chyba że zniszczy je czas albo inny człowiek.

SCENA 14.

(LUDWIG – 35, GERTRUD – 30)

Rok 1930. Narastający odgłos kroków mężczyzny i kobiety po drewnianych schodach; kroki głośne, zdecydowane, choć rytm kroków mężczyzny zakłóca jakaś kontuzja nogi.

Ludwig wszystkie swoje kwestie wygłasza stanowczo, kategorycznie, głośno – jakby nieustannie coś oznajmiał i polecał.

LUDWIG :

Właścicielka kamienicy miała zostawić klucz w drzwiach.

GERTRUD:

Jest.

SCENA 15.

(LUDWIG, GERTRUD)

Cd. Zgrzyt przekręcanego klucza, trzask drzwi, wejście do środka, lekki pogłos pustego mieszkania, kroki.

LUDWIG:

Mieszkanie godne starszego referenta wydziału rejencji, tuż nad lokalem pana Schulza, dyrektora Banku Miejskiego. To już wystarczający powód, żeby je wziąć. Inni lokatorzy też bez zarzutu – ksiądz Radtke, doradca podatkowy Kashnitz. Nawet jeśli robotnicy, to stale zatrudnieni, sprawdziłem na policji. Szkoda tylko, że to drugie piętro, ze względu na moją nogę.

GERTRUD:

Będziesz miał za to bliżej do urzędu niż z tej klitki na Zimmerstrasse. A ja do piekarni i do kościoła.

LUDWIG:

Ponoć stało kilka lat puste, ale jeszcze czuć farbą po tej malarce. Patrz, za piecem korek od szampana, a w tamtym pokoju plamy na podłodze. Trzeba dobrze wywietrzyć.

GERTRUD:

Trzeba odnowić.

LUDWIG:

Szafy staroświeckie, ale praktyczne. Niech zostaną. Patefon oddamy właścicielce, tu będzie stało radio. W każdym niemieckim domu powinien być odbiornik radiowy. A tam telefon

– starszy referent wydziału musi mieć możliwość kontaktu ze swoim przełożonym o każdej porze.

GERTRUD:

A tam, od podwórza, będzie spał nasz Uli.

LUDWIG:

Masz rację, trzeba odnowić. Pomalować podłogi i przede wszystkim wyrzucić te tapety, ohydna pstrokaczna.

GERTRUD:

Widziałam w sklepie u Mondrego w Rynku bardzo ładne, w taki poważny, brązowy deseń.

LUDWIG:

Nie będę kupował u Żydów.

SCENA 16.

(ULI – 10, LUDWIG, GERTRUD)

Rok 1935. Z radia na cały regulator „Horst Wessel Lied”.

Wyciszenie gałką odbiornika.

LUDWIG:

Gertrud, zobacz! Dziś urodziny führera, u nas też maszerują!

GERTRUD:

Widzę, słyszę.

Odgłos otwierania okna. Z ulicy werble, fanfary, marszowy krok podkutych butów na bruku. Echo między domami.

LUDWIG:

Uli, mój synu, chodź tu! Popatrz, ile młodzieży, wojsko! Jakie sztandary, jakie wieńce! Idą aż na Jacobsberg, pod pomnik. Już za rok ty będziesz tak maszerował!

ULI:

Ja nie chcę!

LUDWIG:

Marsz to potęgą życia, mój synu! Musimy bronić naszych Prus Wschodnich, najpierw wypalić żelazem żydowskie plugastwo, a potem tych obcych brudasów, którzy zatruwają nam ulice swoją skrzeczącą gwarą! I tu naokoło pełno tych Kraschinski, Jankowski, Moscharskich!

ULI:

Ale ja nie chcę!

GERTRUD:

Po co opowiadasz dziecku takie farmazony? To dobry, spokojny chłopiec. Zostanie profesorem albo księdzem.

LUDWIG (krzyczy):

Uli! Patrz przez okno! Machaj ręką! Tu jest Rzesza!!! Tu jest Wielka Rzesza!!! Uli, gdzie ty się

wyrzwasz? Co ty tam czytasz u siebie w pokoju?

GERTRUD:

Ogląda egzotyczne zwierzęta w albumie Lebrechta.

LUDWIG:

Jakie książki ty mu kupujesz! Zaraz je wrzucę do pieca!

Zza okna głośny marszowy krok – werble – fanfary.

SCENA 17.

(ULI – 19, LUDWIG, GERTRUD)

Rok 1944. Wycie syren. Hałaśliwa muzyka marszowa i niemieckie komunikaty z megafonów ulicznych.

Odgłos gwałtownie zamykanego okna.

GERTRUD:

W nocy ciemno jak w grobie, tylko ta fioletowa lampa na rogu, w dzień można dostać szалу od tych szczekaczek!

LUDWIG:

To próbny alarm, należy zejść do schronu. Pod karą administracyjną.

GERTRUD:

Dałbyś spokój, Ludwig, ze swoimi karami! W takie święto!? To tylko ćwiczenia, wracajcie do stołu.

Brzęk naczyń, sztućców, nalewanie wina, szelest świadectwa szkolnego.

LUDWIG:

Za twoją wspaniałą maturę, Uli! Jestem dumny. Niemiecki – celujący, historia Rzeszy – celujący, łacina – celujący...

ULI:

Dziękuję, ojczcie. A właśnie... Po rozdaniu świadectw profesor od łaciny ni stąd ni zowąd powiedział mi, że ta malarka, która tu kiedyś mieszkała przed nami, zginęła jeszcze na początku wojny. Podobno gdzieś w Belgii, od naszej, niemieckiej bomby. Nie wiem, dlaczego mi to powiedział.

LUDWIG:

Na szczęście była to tylko Żydówka...

GERTRUD:

Ten twój profesor to dziwak. Kiedyś prawie co dzień godzinami spacerował po naszej ulicy tam i z powrotem. Kilka razy widziałam, jak wcześniej rano kupował chleb w piekarni, chociaż mieszka gdzieś daleko, dojeżdża tramwajem.

LUDWIG:

Zaraz po wojnie i my przeniesiemy się do domu na przedmieściu, niedaleko lasu. Oglądałem już parcelę przy Soldauer Weg, blisko willi prezesa sądu Neuberta. Tak się należy naczelnikowi wydziału finansowego rejencji.

SCENA 18.

(LUDWIG, GERTRUD, ULI, LISTONOSZ)

Rok 1944. Fragment „Lili Marleen” w wykonaniu Lale Andersen, pierwsze słowa komunikatu wojennego, wyciszenie, piosenka w tle.

GERTRUD:

Podobno Sowietci są już nad rzeką Memel i koło Insterburga. Wielu ludzi wyjechało z miasta. Raabe, Blessingowie z sąsiedztwa. Niby w interesach, niby w odwiedziny do krewnych, a całymi rodzinami.

LUDWIG:

To histeria i defetyzm. Jesteśmy bezpieczni. Tu, w Allenstein, nawet nie było bombardowań. Pan nadburmistrz Schiedat w porozumieniu z panem gauleiterem Kochem wydali stanowczy zakaz ewakuacji.
Narastający odgłos kroków na schodach, równych, „urzędowych”. Dzwonek do drzwi – podobny do rowerowego.

GERTRUD:

Uli, otwórz!
Odgłos otwieranych drzwi.

LISTONOSZ:

Czy pan Ulrich Erckard?

ULI:

Tak...

LISTONOSZ:

Powołanie do wojska. Podpisać, pokwitować.

GERTRUD:

Jak to? Miał jechać na studia teologiczne do Tybingi!

LUDWIG:

Jestem z ciebie dumny, mój synu. Jak każdy niemiecki mężczyzna spełnisz obowiązki wobec führera i ojczyzny!

ULI:

Mamo... Ja nie chcę!
Fragment „Lili Marleen”. Wyciszenie.

SCENA 19.

(LUDWIG, GERTRUD, ULI)

Rok 1944, grudzień. W tle radio – komunikaty w języku niemieckim, potem kolęda „Stille Nacht” lub muzyka Bacha.

GERTRUD:

Opuść rolety, Ludwig. Zapalę świece na choince. Zimno, trzeba dołożyć do pieca.

LUDWIG:

Podałabyś już wieczerzę. Zaraz muszę wyjść na dyżur.

Delikatne pukanie do drzwi.

GERTRUD:

Kto to może być?

Trzask zamka, otwieranie drzwi. Metaliczny chrzęst wojskowego oporządzenia.

GERTRUD:

Uli!!! Wszelki duch! Dali ci urlop? Jakiś ty brudny i wynędzniały!

ULI:

Mamo, ciszej... Uciekłem. Czekałem do zmroku w piwnicy, nikt mnie nie widział.

LUDWIG:

Coś ty powiedział??? Zdezertrowałeś!

Głośnie uderzenie w twarz.

ULI:

Uciekłem, ojczy! Tego nie można wytrzymać! To nie jest na miarę człowieka!

LUDWIG:

Mój syn dezertrem! Do tego jeszcze z bronią! Natychmiast, natychmiast muszę o tym zameldować! Zdrajca führera nie jest już moim synem!

GERTRUD:

Ludwig! Jeżeli to zrobisz, jeżeli doniesiesz do gestapo na własne dziecko, zabiję cię! Przyśięgam na krzyż i mękę Chrystusa – zabiję cię! Ukryjemy go, przechowamy. Choćby miał siedzieć w szafie, dopóki nie skończy się to piekło.

SCENA 20.

(GERTRUD, ULI)

Rok 1945, 21 stycznia. Radio, muzyka Beethovena, komunikaty w języku niemieckim. Coraz wyraźniejsze odgłosy kanonady artyleryjskiej.

Jedzenie – łyżki, talerze.

ULI:

Coraz bliżej. Widać łuny od południa i zachodu.

GERTRUD:

Mówiłam, nie wolno ci wyglądać przez okno.

ULI:

Nie mogę przecież cały dzień leżeć w szafie. To dziwne, że jeszcze jest prąd. Radio gra, Berlin nic o nas nie mówi.

GERTRUD:

Wczoraj przy szosie na Diwitten rozstrzelali trzech chłopaków, którzy tak samo jak ty...

Musimy czekać na Sowietów, co nam pozostaje? Jedz, Uli. Doleję ci zupy.

ULI:

Człowiek ma jednak głupią naturę. Do końca liczymy na coś, kombinujemy, jakby nie było wszystko jedno, kto nas zabije...

GERTRUD:

Jeszcze dziś w południe jeździła po ulicach szczekaczka z przemówieniem burmistrza Schiedata: że opór, że honor niemieckiej krwi, że walka do końca z bolszewicką zarazą. A tymczasem burmistrz Schiedat już dwa dni temu czmychnął po cichu z żoną, córkami i służącą...

Bardzo blisko słysząc pojedyncze wystrzały i serie z broni maszynowej.

ULI:

Mamo, słyszysz!? Ruscy już są! Blisko! Chyba na Wilhelm Platz albo na Kaiserstrasse...

SCENA 21.

(GERTRUD, ULI, LUDWIG, *przez telefon*)

C.d. Ostry dzwonek telefonu. W tle daleka kanonada artylerii, a za oknem pojedyncze strzały i serie z broni maszynowej.

GERTRUD:

Halo!

LUDWIG (*głos w słuchawce*):

Bolszewicy już weszli! Uciekajcie, wszystkich mordują!

GERTRUD:

To ty, Ludwig!? Gdzie jesteś!?

LUDWIG (*głos w słuchawce*):

Ewakuuję się z urzędem i archiwum!

GERTRUD:

Zostawiłeś nas, ty tchórze! Cała kamienica już pusta!

LUDWIG (*głos w słuchawce*):

Musicie przedostać się na dworzec, tam stoi jeszcze ostatni pociąg. Prędko! Jak najszybciej!

GERTRUD:

A Uli?

70

LUDWIK (*głos w słuchawce*):

Nie musi się chować, nikt go nie szuka. Jego batalion rozbitý, same trupy. Kończę! Prędkiej, do diabła! Nie zwlekajcie, bo...

SCENA 22.

(GERTRUD, ULI)

Cd. Rozmowa nagle przzerwana, cisza w telefonie.

GERTRUD:

Uli, ubieraj się, bierz plecak! Szybko!

ULI:

A ty, mamó, co weźmiesz?

GERTRUD:

Ja? Ja tylko książeczkę do nabożeństwa.

ULI:

Jak to? Wszystko tak zostawić w jednej chwili? Meble, ubrania, bibliotekę, całe życie?...

GERTRUD:

To tylko mury i rzeczy, nic ważnego.

ULI:

Nieprawda...

Trzask otwieranych i zamykanych drzwi, kroki, pogłos klatki schodowej.

GERTRUD:

Nie zamykaj na klucz, to nie ma sensu. Zostaw klucz w drzwiach.

Oddalające się kroki mężczyzny i kobiety po schodach w dół aż do wyciszenia.

SCENA 23.

(GERTRUD, ULI, SOŁDAT I, SOŁDAT II)

Świst wiatru, w dali pojedyncze strzały, serie broni maszynowej, podmuchy ognia, krzyki, trzask palących się gdzieś i zawalających konstrukcji.

Gertrud i Uli biegną – przyśpieszone oddechy.

ULI:

Ale mróz, chyba ze dwadzieścia stopni! Pali się dom Weinbergera, widno jak w dzień! Pełno krwi na śniegu!

GERTRUD:

Tędy, tedy, synu, przez podwórka, tutaj ciemno... Co to jest?! Kto to?! Uciekaj, Uli! Uciekaj! ...

Strzał, oddalające się kroki.

SOŁDAT I (*rechocąc*):

Aaa, giemanskaja blad'! Stara, ale po nocy nie widać!

SOŁDAT II:

Każdy dom w Prusach to dla nas dom towarowy, każda zenszczina – bordiell!

SOŁDAT I:

Co ty tam masz? Szto eto? „Mein Kampf”?

GERTRUD:

Książeczka do nabożeństwa.

SOŁDAT II:

Już tobie ani twój Gitlier, ani giemanskij Pan Bog nic nie pomogą, suko!

Rechot żołdatów. Wyciszenie.

SCENA 24.

(NARRATOR S.P.)

Odgłosy współczesnej ulicy zza zamkniętego okna.

Napisałem kiedyś powieść o dziejowej sprawiedliwości. Za PRL-u czepiała się jej cenzura, a wydawnictwo bało się wydać. Potem, gdy cenzurę zlikwidowano, sprawiedliwość przestała już kogokolwiek interesować i książka została w maszynopisie. Sprawiedliwe jest tylko to, co się komuś wydaje, że jest sprawiedliwe. Zwłaszcza komuś silniejszemu, pewnemu swoich racji. Tylko mury miasta potrafią wyrosnąć ponad dziejową sprawiedliwość.

SCENA 25.

(SZABROWNICY – WUJA (40), BINIEK (20))

Rok 1945, kwiecień. Narastający odgłos skradania się dwóch mężczyzn po schodach w górę. Naciskanie na klamkę.

BINIEK:

Patrz, wuja, tu chyba nikogo nie było. Otwarte, klucz w zamku. Cud jakiś? Chyba to przez to... co tam na dole leży. Aż tutaj śmierdzi, może trzeba by wziąć i pochować...

WUJA:

Co ty, Biniek, trupa nie widziałeś? Miasto rozwalone, ruiny, że trudno przejść, Ruscy szwabów natłukli, to i pełno trupów! Mają tera szwabów za nasze Warsiawe!...

BINIEK:

A co to za miasto, wuja? Allensztajn, czy coś?

WUJA:

A nie wszystko jedno? Patrz, Biniek, na stole jeszcze spleśniała zupa, dwie łyżki i chleb jak kamień. Ale musieli szkopy spieprzać!

W tle kroki, trzeszcząca podłoga, skrzypienie gwałtownie otwieranych drzwi od szaf, wysuwanych szuflad.

BINIEK:

Jezu, wuja, tu nic nie ruszone! Zegar, radio jakie dobre, Telefunken. Dywan, krzesła chyba nowe, gary, talerze, widelce...

Skrzypienie drzwi od szafy.

WUJA:

Tfu, naftalina... A tu ile kiecek dla matki, dla Tośki i dla ciotek! Dwa garnitury, o, czysta wełna, jeden w sam raz na ciebie. I butów, butów gotowych ile... Biniek, ściągaj kapy z tych łóżek, zawiniem, bierzem na wóz, ile się da. No już!

BINIEK:

Wuja, a tu co to takie dziwne w tej szafie? Pod płaszcami siennik, poduszka i koc, jakby kto tu spał. I jeszcze latarka na baterie.

WUJA:

A cholera, co to cię obchodzi! Latarki bierz! Tam zobacz, na szafie walizy skórzane dobre, ściągaj! Bierzem!

SCENA 26.

(BABCIA – 70, akcent i wymowa wileńska, WERĆKA – 25)

Rok 1946. Odgłos kroków kobiety wchodzącej po schodach. Przekręcanie tego samego klucza w zamku, trzask tych samych drzwi. Zza okna odgłosy ulicy, końskie kopyta, turkot.

BABCIA (z głębi mieszkania):

Werćka, jesteś już? Podaj mnie ten pinzaczek żebrasty, zimno. Świeży chleb czuć na całej ulicy!

WERĆKA:

Bo otworzyli piekarnię na rogu. Zaraz pójde, jak tylko mama wróci z pracy.

BABCIA:

Jak chlebem pachnie, to już nie może być źle. Żeby tylko nam tu kogo nie dokwaterowali. Do Trusiów dokwaterowali felczera z żoną, do Raczkowskich milicjanta.

WERĆKA:

Nie dokwaterują, nie dokwaterują... Pan Klonowski obiecywał, przecież tam pracuje. Zresztą siedzimy tu we trzy. Wiesz, babcia, ja jednak ciągle wierzę, że tato wróci.

BABCIA:

Nie wróci, nie wróci, dziatyńka... Mało kto stamtąd wraca. Zresztą pismo przyszło, ludzie opowiadali...

WERĆKA:

Teraz piszą w gazetach, że to Niemcy ich postrzelali, a nie Sowieci. Mojego kolegę ze szpitala posadzili na UB, bo mówił co innego. A pana Kuzię, tego znajomego mamy, wsadzili za to, że napił się na imieninach i pod ratuszem śpiewał „Legiony to...”.

BABCIA:

Jedni warci drugich, tylko zwykły człowiek cierpi. Co noc śnię nasz dom w Nowej Wilejce. Okna pootwierane, światła zapalone, w środku nikogo... A ja chodzę naokoło i nie mogę wejść, i nie pamiętam, gdzie drzwi, i budzę się potem złana, i serce tak wali...

WERĆKA:

Babcia... A ja nigdzie nie tęsknię, najwyżej tęsknię za kimś. Trzeba żyć. Nawet czasem myślę sobie, że to dobrze, że te ruiny, że nędza, wyszabrowane domy, bo trzeba zbudować coś swojego, mieć własne coś, co się pokocha. Mam gdzieś UB, partię, Bieruta, bo trzeba żyć! Aaa... Zapomniałam powiedzieć. Nareszcie ekshumowali ten grób na podwórku.

BABCIA:

Prawda, wyjeżdżał jakiś samochód. Rano, zaraz jak poszłaś na dyżur.

WERĆKA:

Podobno kobieta tam leżała. Nie wiadomo kto. Znaleźli przy niej tylko książeczkę do nabożeństwa po niemiecku.

SCENA 27.

(NOLEK – 25, WERĆKA)

Rok 1950. Narastający odgłos kroków na schodach. Mężczyzna idący powoli, z zastanowieniem. Nieśmiały dzwonek brzmący jak rowerowy. Szczęk klucza, otwarcie drzwi.

NOLEK:

Dzień dobry. Przepraszam, czy ja tu zastałem... Wera!? Naprawdę Wera!?

WERĆKA:

Coś podobnego! Boże... Nolek? Nolek!?

NOLEK:

Przez dwa tygodnie stamtąd jechałem, potem włączyłem się, szukałem cię po tych wszystkich miasteczkach tutaj i nareszcie, nareszcie!...

WERĆKA:

Babcia! Mama! Chodźcie! Mój Nolek wrócił!!!!

SCENA 28.

(NOLEK, WERĆKA, ROBERT – niemowlę)

Rok 1954. Dawny sygnał Radia Olsztyn i w tle fragment dowolnej archiwalnej audycji. Głośny płacz niemowlęcia.

NOLEK:

A ty znowu beczysz, mały poganinie! Już najwyższy czas cię ochrzcić, a chrzciny urządzimy na przykład w „Teatralnej”! A co!

WERĆKA:

Cicho, Robercik, cicho, cicho... Jaki ty śliczniusi jesteś, no już, już... Szkoda, że babcia nie doczekała.

NOLEK:

Trzeba trochę pomyśleć o mieszkaniu, Werka. Żebym chociaż wiedział, że nam tu kogoś nie wmeldują. Spiałby się człowiek, podremontował choć za własne pieniądze. Wszystko tu polniemieckie, zużyte, za kilka lat zacznie się sypać.

WERĆKA:

W Polsce nie ma przecież prywatnych mieszkań, trzeba by wybudować willę. Wiesz, Nolek, czasem sobie myślę, kto tu mieszkał przed nami. Kto chodził po tej samej podłodze, gotował na tej samej gazówce, to samo widział przez okno. Czy ktoś tu umarł, czy było tu małe dziecko, takie jak Robercik...

NOLEK:

W normalnych czasach są dokumenty, księgi, akty własności. Ale my nie żyjemy w normalnych czasach. Z drugiej strony – to tylko mury, tylko miejsce. Ale to my je wypełniamy, to część naszej osobowości i nieważne, kto był tu kiedyś, nieważne, kto będzie. My jesteśmy ważni.

Wybuch płaczu niemowlęcia, dźwięk grzechotki.

WERĆKA:

No już, już, Robercik... Ty będziesz miał swoją wilę, ty będziesz wspaniałym lekarzem albo architektem...

SCENA 29.

(ROBERT – 11, NOLEK)

Rok 1965. Zza okna odgłosy ulicy.

NOLEK:

Robert, co ty tam masz?

ROBERT:

Czekoladę, tatuś.

NOLEK:

Co za czekoladę? Pokaż. „Van Houten”, zagraniczna. Skąd to?

ROBERT:

Od księdza z Niemiec.

NOLEK:

Od księdza? Jakiego księdza?

ROBERT:

No normalnie! Od księdza! Zajechał takim niebieskim taunusem, błyszczącym, że mówię ci, tatuś! Z niemiecką rejestracją „D”, sto osiemdziesiąt miał na liczniku, sam widziałem, chłopaki też! I takie lampy podwójne!

NOLEK:

Ale co z tym księdzem?

ROBERT:

No nic! Pochodził po podwórku, powiedział, że kiedyś bawił się tu tak jak my, dał każdemu po czekoladzie i pojechał. Pan Lemke przyszedł i tłumaczył. Mówię ci, tatuś, jaki fajowski wozik!

SCENA 30.

(EWA – 19, ROBERT – 19)

Rok 1974. Narastający odgłos kroków młodej kobiety po drewnianych schodach. Krok lekki, szybki. Dzwonek do drzwi o brzmieniu dzwonka rowerowego. Zgrzyt klucza, otwieranie drzwi. Uścisk, pocałunek.

EWA:

No cześć, Robert. Co to, starych nie ma?

ROBERT:

Wyobraź sobie, że dzięki Bogu, nie ma. Stary w delegacji, a jara dyżuruje za kogoś, jak zawsze.

Będzie rano.

EWA:

No co tak się cieszysz? Co? Włącz coś. Masz fajki? O, długie pall mall z Pewexu...

Odgłos klawiszy magnetofonu, potem cały czas w tle „Echa” Pink Floyd.

Odgłos korka wyciąganego z butelki, wina nalewanego do kieliszka.

ROBERT:

Wypijesz bikavera?

EWA:

Troszeczkę. To kiedy wyjeżdżasz? Jutro?

ROBERT:

No tak. A ty?

EWA:

Ja też. O dziesiątej dwadzieścia.

ROBERT:

I co będzie? Dwie strony Polski. Ja Gdańsk, ty Wrocław. Matura to taki wykop w dupę. Od razu traci się grunt pod nogami. Nie wiem, jak będę mógł żyć w akademiku jako szczęśliwe dziecko Edwarda Gierka, student żebrak, ale pan. Nie odkleję się od tych murów.

EWA:

Nie gadaj. Ja na stałe mogę się związać z człowiekiem, z miejscem nigdy. Nie wskoczę z tobą na całe życie do tej okropnej ponemieckiej szafy, co wygląda jak bunkier albo jak karawan. Że też twoi starzy przez tyle lat jej nie wywalili...

ROBERT:

Boję się, że ciągle będę chciał tu być, chodzić tą ulicą, kupować rano bułki w piekarni. Że będę ciągle miał przed oczami nie to, co naprawdę widzę. Może nie tęskniłbym, gdybym mógł być z tobą. Te pociągi, te kilometry, te pożegnania...

EWA:

Eee tam... Podobno są wyjątki, ale takie licealne... Wiesz, Robert, tak jak ty i ja byliśmy ze sobą... Że to nie wytrzymuje... Że może lepiej się nie męczyć, może lepiej od razu...

ROBERT:

To znaczy, przyszedł pożegnać się naprawdę.

EWA:

Tak, Robert.

Głośniejszy fragment suity „Echa” Pink Floyd.

EWA:

Czemu nic nie mówisz?

ROBERT:

Myszę, czy w tym pokoju ktoś już kiedyś żegnał się tak ze sobą...

SCENA 31. – III wersja

(S.P., MAJSTER, ROBOTNICY)

Hałas wiertarki, młota udarowego, kucie, stukanie, kroki robotników.

MAJSTER:

Panowie, dzisiaj koniec!

ROBOTNIK:

A jutro na którą?

MAJSTER:

Sms-a przyślę!

ROBOTNIK:

Dobra!

MAJSTER (*do S.P.*):

Sorry, pan tu szuka kogoś?

S.P.:

Nie, nie... Przychodzę tylko od czasu do czasu popatrzeć. Oku daleko, sercu blisko.

MAJSTER:

O, ładne. To tytuł nowej książki będzie, panie Piechocki?

S.P.:

Nie, to stare epitafium. Kiedyś znalazłem na cmentarzu w Kortowie. Zna mnie pan?

MAJSTER:

„Olsztyn magiczny”! Kto tego nie zna! Mój kumpel Marek, taksówkarz, opowiada klientom pana „Dzieje olsztyńskich ulic”. Serio!

S.P.

To miłe!... A tu mieszkał profesor Robert Wendołowski...

MAJSTER:

...ale mu matka zmarła, to sprzedał, no i remont robimy.

S.P.:

Pani Wercia?

MAJSTER:

Uhm...

S.P.:

Mury można sprzedać, ale tego, co między murami – nigdy. Mnie interesują przede wszystkim miejsca. One zatrzymują w sobie czas. Opisują też człowieka lepiej niż najzdolniejszy literat.

MAJSTER:

Modne takie stare wnętrza. Na razie wszystko trzeba zrywać, coś tam zgniłe, zbutwiałe, czasem śmierdzi...

S.P.

Tak, przeszłość nie zawsze pachnie najładniej. Za to przyszłość to zapach farby i silikonu.

Drzwi wejściowe zdjęte...

MAJSTER:

Już do niczego. Pójdą na śmietnik.

S.P.:

Klucz jeszcze siedzi w zamku. Wezmę na pamiątkę, dobrze?

Zgrzyt klucza.

S.P.:

No to... do widzenia.

Kroki na schodach.

MAJSTER (woła):

Tu będą cuda-niewidy: polery, klima, wanna z masażem, dizajn Milano Art... Do widzenia panu!

S.P.:

Każda przyszłość będzie kiedyś przeszłością... Do widzenia, do widzenia...

Zanikający odgłos kroków na schodach – do wyciszenia.

Włodzimierz Kowalewski

Olsztyn, kwiecień 2015



POEZJA

Waldemar KONTEWICZ

Chasydzki Pentagon i Pan Cytrymbałm

Israel Sztern – dusza

*Wielcy pisarze, wiedząc, że są artystami, ciągną
swoją wzorzec po piasku, po wybojach, po błocie.
I wiele czasu i wysiłku wymaga doczekanie się
świeżego powietrza, dojrzałości owoców, aromatów.*

Israel Sztern

Splątała się chasydzka Dusza
z Bogiem na Amen już w chederze
i jesziwie nad Narwią w Ostrołęce
za czasów Romanowów z Petersburga

Oczywistym jest że zapomniała:
zmierzyć ciężar swego ciała
przyoblec w ludzkie odzienie
rozchmurzyć niebieski smutek
połatać dziurawe kieszenie
w postrzępionym chałacie
powiedzieć światu że wielki poeta
plącze się po Krochmalnej
i po Tłomackiem
w Warszawie w Bożą Noc
jak też wydrukować

dawno napisany wiersz –
„To się stanie”:
w Gettach
w biały dzień
na oczach całego świata
dzieci matki ojcowie babcie
inwalidzi starcy poeci:
„Na Szpitalnym” termometrze
„41, 42, 43...
coraz bliżej Boga”

Zgubiła Dusza ciało –
jedni mówią że w Treblince
inni że na warszawskim bruku

Senchariw

W żydowskich miasteczkach Mazowsza
przyłgnął przydomek „Senchariw” (Miecz)
do Napoleona Bonaparte w jego marszu na Rosję

Wszystko zaczęło się w Ostrołęce
podczas sobotniej uczty u cudotwórcy:
rabin Szlomo z Karolina
i rabin Mendele z Rymanowa
wiedzieli że Imperator Francuzów
miał potężnego Anioła Stróża
i dlatego jego żołnierze
nie bali się grenadierów
króla pruskiego i cara Rosji
odprawiono modły *jichudim* i *tykunim*
za wygrane bitwy Senchariw

Pozostała też w Ostrołęce legenda
o Chaimł Hersz Jankielu z Kadzidła
w którego spichlerzu zbożowym
znajdował się sztab wojsk Napoleona
Podejrzewano Jankiela o szpiegostwo

Senchariw przebrał się nawet za wieśniaka
by móc obserwować żydowskiego kupca
którego skazał później na karę śmierci

Stał się jednak cud Chaimł Hersz Jankiel
uniknął uwięzienia i Miecza Damoklesa
tak jak i jego rodzina którą aresztował
polski generał Józef Poniatowski

Kto wie może Chaimł nie był winny
skoro udało mu się uciec
a na Łuku Triumfalnym w Paryżu
wryto inskrypcję OSTROŁĘKA

Fałszywy Baal Shem Tov

Deborah
twój mąż jest wśród dębów
olch topoli i brzoź kilku rzędów
a może za morzem
któż to wie

Deborah córko Samsona
mleczarko z Mazowsza
samotna w każdy szabat
nie płacz już więcej
weź z sobą wszystkie srebrniki
gomółkę sera w owczym pęcherzu
i woskowych świec tuzin
jam jest Baal Shem
który przepędził diabła epilepsji
córki ogromnego Żyda
podobnego do ruskiego muzyka
jam jest Baal Shem
który liczył opadające liście
z przydrożnego drzewa
na oczach Berrela – woźnego z bóżnicy
i upadających braci Izraela

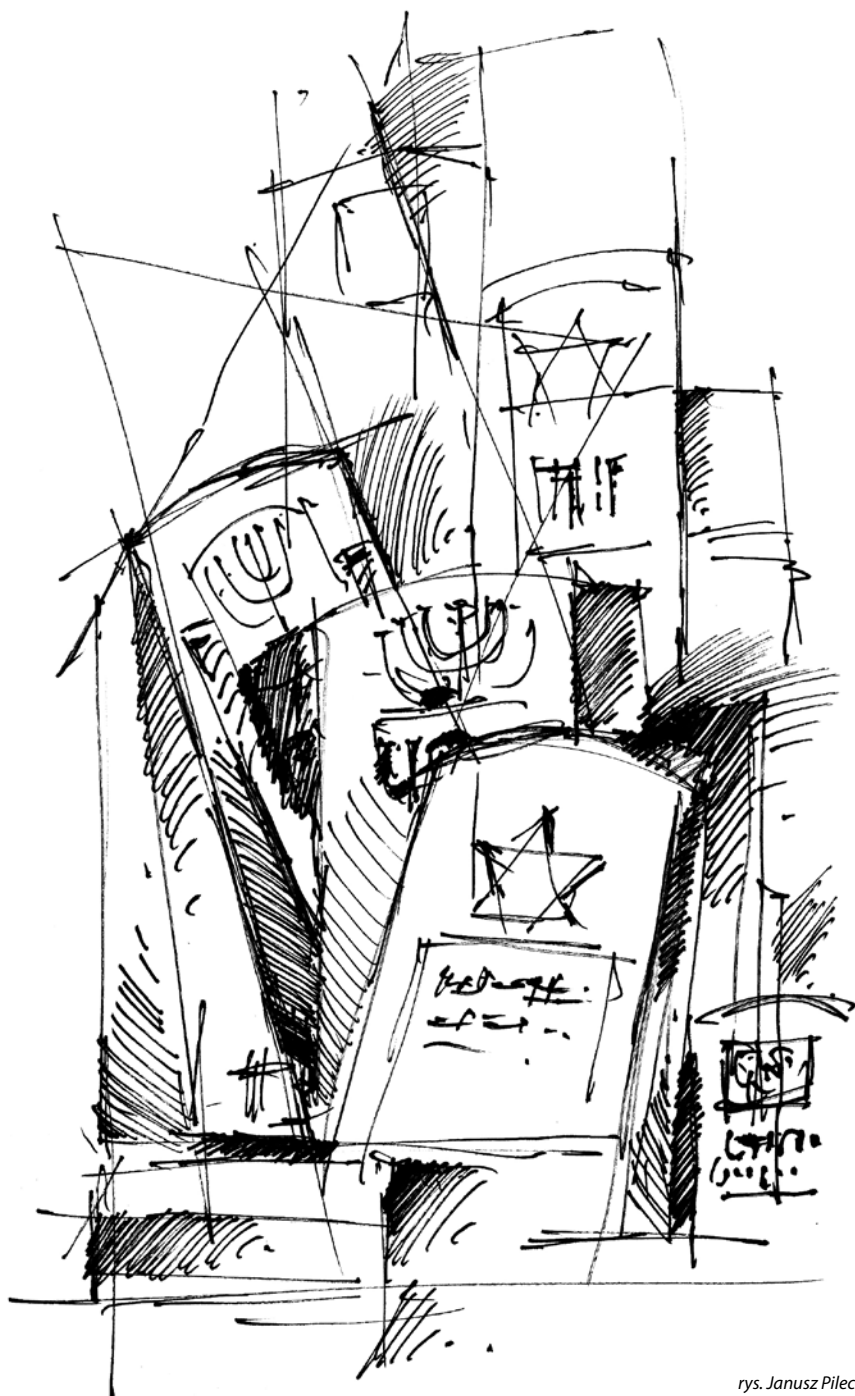
Deborah odważna Żydówko
wejdź do gęstych borów
i słuchaj mojego szofaru
bo ja idę szukać twego męża
twoje świece oświecą mi drogę
pośród korzeni bagien i uroczysk
srebrnikami przekupię diabły
tylko słuchaj mojego szofaru

Deborah zawiedziona żono
to nie jest moja wina
że coraz słabiej słyszysz
smutno grający róg
że coraz gorzej widzisz
płomień woskowych świec
twój mąż jest daleko
zajęty szukaniem Jeruzalem

Deborah córko Izraela
wracaj do Przasnysza
i więcej już nie płacz

Motele Cycewicz z Ostrołęki

Jeszcze przed Pierwszą Wojną
z Motele często stawaliśmy
na moście nad Narwią
i liczyliśmy płynące rzeką tratwy
(ojciec mówił że do samych Niemiec)
Patrzyliśmy godzinami
jak flisacy zręcznie
mijali palisadę naszego mostu
i wsłuchiwalismy się uważnie
w rozmowy i gawędy w jidysz
niesione przez lustro wody
Ojciec Motele był ciamajdą
o rozległej wiedzy i wielu zawodach
o takich w miasteczku mówiono:



rys. Janusz Pilecki

„Dużo fachów – mało szczęścia”
i zapewne starczało im
na tyle co z „ręki do ust”
Spędzaliśmy wiele godzin
przy wielkim stole
w mieszkaniu pana Cycewicza
klejąc papierowe torebki do sklepów
oraz wieszając śledzie na patykach
i susząc je później w kaflowym piecu
Zapach ryb roznosiliśmy
po całym mieście wraz z torebkami
za które zbieraliśmy należność
Często biegaliśmy na most
by odpływać z flisakami
do Erec Israel o którym
flisacy woźnica Czaplipaj,
nawet pobożni chasydzi (choć po cichu)
wyśpiewywali same cuda
Do domu Cycewiczów
zajrzała okrutna bieda
oddano Motele by terminował
u stolarza w Warszawie
odtąd sam chodziłem
na drewniany most
i liczyłem płynące w dole tratwy

Pan Cytrymbałm ze Skoczowa

Pan Cytrymbałm ze Skoczowa Kieleckiego
w Getcie w 1943 roku
z cichutką żoną,
pięcioma parami ogromnych oczu
zapełniających dziecięce twarze,
ze ściśniętymi palcami
na rondzie czarnego kapelusza
i wokół uciekającego życia,
w drucianych okularach,
gwiazdą i duszą na ramieniu,

połykając powietrze,
 jąkając się co drugie słowo,
 zamieniał trzynaście wyroków
 śmierci na siedem:
nie mogę narażać pani rodziny
my jesteśmy Żydami
 Pan Cytrymbałm ze Skoczowa Kieleckiego
 w Auschwitz w 1943 roku
 z wierną żoną,
 pięcioma parami spłoszonych oczu,
 z rozbitym szkłem w okularach,
 wyłamanyimi palcami
 przykrywającymi wstydliwą nagość
 przez którą uciekło życie,
 zachłyśnięty strachem i gazem
 zamienił trzynaście wyroków na siedem:
czy mogłem narażać pani rodzinę
my byliśmy tylko Żydami?
 Pan Cytrymbałm ze Skoczowa Kieleckiego
 w Toronto w 2000 roku
 z żoną i pięciorgiem dzieci
 żyje do dziś w niczyjej pamięci
oni byli tylko Żydami

Pospolite Ruszenie

Przed postem dziewiątego Aw w 1915 roku
 łapano Żydów na ulicy do kopania rowów obronnych
 co nie zyskało sympatii starszych ani młodszych

Ostrołęka wyludniła się jak Sahara w południe
 po której tylko zagubiony policjant krążył
 i zwabiał spragnionych do źródeł fatamorgany

Zanim wyruszyła ludzka karawana do Łomży
 popędzana przez Jeźdźców Apokalipsy
 pod osłoną gradu prusko-rosyjskich kul
 na wozach wypchanych pierzem strachu

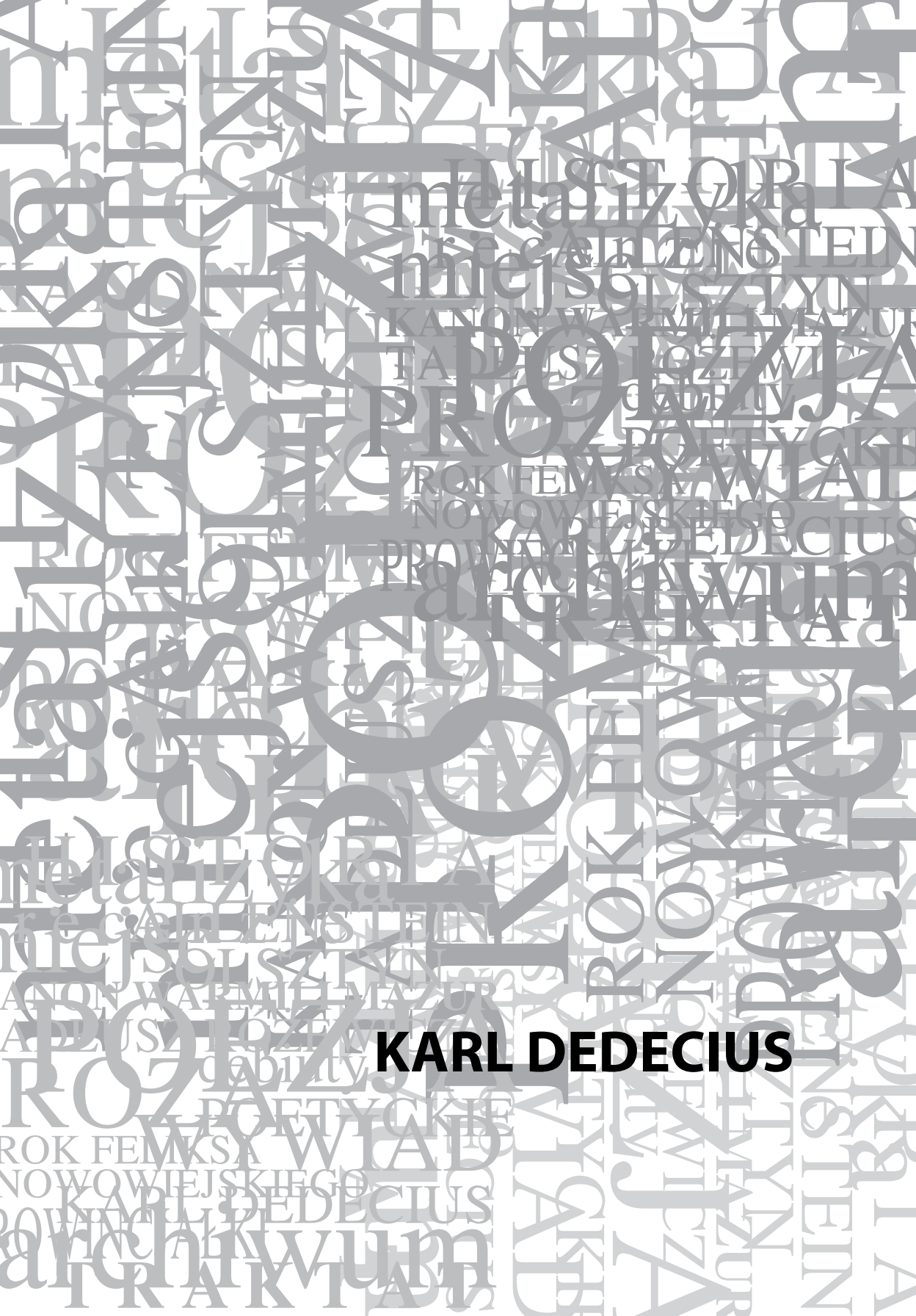
z mosiężnymi garami pełnymi nieszczęścia
rabin z szamaszem nawoływali by stawić się
„dobrowolnie” na podworcu policji

W sobotnich chałatach
odgrodzeni murem niewdzięczności
i płótem wyższym niż nadzieja na wolność
jak czarni mnisi zgięci i pochłonięci w modlitwach
stali przez całą noc pod czujnym okiem policmajstrów
którzy zmęczeni posnęli nad ranem

Poirytowana młodzież przeskoczyła bojaźń
drutów kolczastych i powróciła na łono
umierających ze strachu matek w Kwartalach

Nazajutrz –
krzyk carskiego starszyny rozdarł powietrze nad miastem
niczym piorun brzemienny wół chmur:
„Gdzie podziali się wszyscy młodzi żydlacy?”
„Oni postarzeli się przez jedną noc!”
odpowiedzieli cicho modlący się derwisze

Waldemar Kontewicz, ur. w 1951 roku w Braniewie, poeta, prozaik, tłumacz; studia na WSP w Olsztynie. W latach 70. nauczyciel w Bieszczadach i na Kurpiach, od 1990 do 2015 roku nauczyciel matematyki w Kanadzie, od niedawna na emeryturze w Katowicach. Autor trzech książek, w tym „Braniewnika” (2011).



KARL DEDECIUS

Karl Dedecius (1921-2016) – ekumeniczny teolog literatury

WINFRIED LIPSCHER

ur. w 1938 roku w Barczewie, wówczas Wartenburgu, niemiecki dyplomata, teolog, tłumacz, wieloletni radca Ambasady RFN w Polsce, zasłużony orędownik pojednania polsko-niemieckiego, obecnie na emeryturze; mieszka w Berlinie. Członek m.in. WK „Borussia”, Stowarzyszenia im. Arno Holza w Kętrzynie.

Czy Günter Grass lub inni współcześni niemieccy poeci tworzą, piszą religijne wiersze? Czy treścią tych wierszy jest Bóg albo Kościół, czy też ojczyzna albo naród w znaczeniu sakralno-patriotycznym? Albo: czy artyści niemieccy pielgrzymują do sanktuariów maryjnych? Pytania takie zadawane serio i poważnie spotkałyby się w Niemczech co najmniej z niezrozumieniem lub nawet chichotem.

Nie muszę udowadniać, że w Polsce jest diametralnie inaczej. Każdy zna takie nazwiska jak Karol Wojtyła, Jan Twardowski, Janusz Pasierb. To są duchowni, a ich poezja jest znana. Ale nie tylko duchowni piszą teksty religijne. W przeszłości czynili to Jan Kochanowski, Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki, a w naszych czasach Czesław Miłosz, Roman Brandstaetter i Zbigniew Herbert. Oni także pisali często teksty o charakterze sakralnym. Teksty zawierają to jedyne w swym rodzaju polskie „sacrum” niespotykane w innych językach i u innych narodów. Należą do tego nie tylko takie określenia jak „Bóg” i „Kościół”, ale również „Ojczyzna”, „Wolność”, „Patriotyzm”, „Tradycja”. Zjawisko to rozciąga się też na interpretatorów, odtwórców takich dzieł. Wystarczy być obecnym na wieczorze poetycko-muzycznym, by przekonać się, że takie spotkania bliskie są nabożeństwu

w kościele. Taka celebracja – a byłem często jej uczestnikiem – wywiera na publiczności ogromne wrażenie. Ludzie są często do głębi poruszeni, a opuszczają salę, jakby wychodzili z kościoła po dobrym kazaniu i często napelnieni patriotyzmem i miłością do ojczyzny, co wyzwolić potrafi dużą porcję energii, często o charakterze politycznym, a to miało miejsce za czasów komunistycznych.

W Niemczech ten fenomen jest nieznanym. Spotkania z pisarzami lub ich odczyty bywają interesujące, rzeczowe, niekiedy i zabawne w zależności od treści, ale nigdy nie mają oprawy uroczystej o wydźwięku patriotyczno-patetycznym, w dodatku jeszcze przy muzyce i świecach.

Dlaczego zauważamy tak ogromne różnice między Polakami a Niemcami w tej dziedzinie? Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, gdyż – ujmując rzecz bardzo skrótowo – świat Niemców ma charakter świecki; dziedzina świecka i dziedzina religijno-sakralna nie mają punktów stykowych. W Polsce środowisko człowieka ujmuje się – przynajmniej dotychczas jeszcze – w pewnym sensie całościowo. Nie wyobrażam sobie Polaków, którzy w przyszłości, przy najszybszym postępie rozwoju technicznego, pozbyliby się swojego patriotyzmu i sakralnej miłości ojczyzny.

To wszystko rozumiał Karl Dedecius, ten wyjątkowy człowiek o dwóch językach, kulturach i co ważne, chyba o dwóch duszach: niemieckiej (swojej ewangelickiej) i polskiej duszy katolickiej. Fenomenem pozostawał fakt, że liryka w przekładzie Karla Dedeciusa trafiała i trafia i do niemieckiego czytelnika; ona nie razi, mimo że u nas taka poezja – czy w ogóle teksty religijne – nie mają dobrej koniunktury. Dedecius był ekumenicznym posłańcem i interpretatorem, był teologiem literatury, głoszącym to niepowtarzalne *euangelion* pojednania za sprawą literatury, a przede wszystkim poezji.

Już wiele lat temu Dedecius wydał w Niemczech książkę „Glaube, Hoffnung, Liebe”. Zawiera ona bardzo dobre przekłady polskiej liryki religijnej. Teksty ukazują, że dla Polaka wiara znaczy nie tylko wiarę w Boga, ale również wiarę w to, że być Polakiem to powołanie, to święta rzecz, która zobowiązuje do patriotyzmu. Nadzieja to nie jest dla niego tylko przeświadczenie w zbawczą siłę Boga, ale również nadzieja na ojczyznę (wolną, jak to śpiewano), ojczyznę, która będzie domem dla wszystkich, choćby żyli na emigracji. Dlatego do ojczyzny zawsze się tęskni, choćby mieszkało się w Australii. A miłość to nie jest tylko miłość do Boga i bliźniego w duchu Ewangelii, ale w tym pojęciu mieści się także miłość do ojczyzny, do tradycji, do całej polskiej historii, która nie tylko jest przeszłością, ale która w rozmaity sposób rzutuje na teraźniejszość.

Przytoczę na to przykład z poematu „Myśląc Ojczyzna...” Karola Wojtyły:

*Ojczyzna – kiedy myślę – wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam,
mówi mi o tym serce, jakby ukryta granica, która ze mnie przebiega ku innym,*

*aby wszystkich ogarniać w przeszłość dawniejszą niż każdy z nas;
z niej się wyłaniam... gdy myślę Ojczyzna – by zamknąć ją w sobie jak skarb.
Pytam wciąż, jak pomnożyć, jak poszerzyć tę przestrzeń, którą wypełnia.*

W tłumaczeniu Karla Dedeciusa brzmi to tak:

*Vaterland – wenn ich das denke – dann meine ich bis an die Wurzeln mich,
mein Herz sagt es mir, wie eine verborgene Grenze, die in mir verläuft zu den anderen,
um alle, bis in die Vergangenheit, die früher war als ein jeder von uns, zu umfassen:
Dort komme ich her... wenn ich Vaterland denke – um es in mir wie ein Kleinod zu hüten.
Ich frage mich ständig, wie ich es mehreren könnte und wie den Raum erweitern, welchen
es ausfüllt...*

i dalej:

*Wy, co wolność waszą związaście z naszą, przebaczcie!
I patrzcie! – że wolność naszą i waszą odkrywamy ciągle na nowo jako dar, który przychodzi,
i zmaganie, którego wciąż nie dosyć.*

*Ihr, die ihr eure Freiheit an unsere geknüpft habt, verzeiht! Und seht! – wir entdecken unsere
und eure Freiheit stets aufs neue in uns als ein Geschenk, das uns zuteil wird, und als ein
Ring, das niemals groß genug sein kann.*

Te słowa tchną patriotyzmem, wolnością, miłością Ojczyzny. Wyłania się z nich polskość w całej okazałości, słowo do końca nigdy nieprzetłumaczalne na język niemiecki, bo słowo *Polentum* tego nie oddaje, a jak zestawimy to określenie ze słowem *Deutschtum*, to... nie chciałbym tego nawet zinterpretować. Ale czyż te słowa Karola Wojtyły nie są również bardzo aktualne i na czasie w naszej Europie, kiedy to akurat teraz wiążemy wolność naszą i waszą w jedną całość? W Niemczech jest wszystko inaczej. Ja sobie podobnych słów w moim języku ojczystym wyobrazić nie mogę. Gdyby w Niemczech ktoś położył rękę na swoim sercu, mówiąc: jestem niemieckim patriotą, to obecni wybuchnęliby gromkim śmiechem. W Polsce nikt z takich gestów się nie śmieje. Albo inny przykład: respekt przed symbolami jak flaga, orzeł czy hymn. Proszę podyskutować na ten temat z Niemcami. W Polsce pisarze i artyści zawsze byli z narodem, z ludem, wyrażając jego myśli i potrzeby. W Polsce artyści mają swojego duszpastrza, jeżdżą z pielgrzymkami do Częstochowy. W Niemczech to zupełnie nie do pomyślenia. Tak samo jak nie do pomyślenia są flagi narodowe w niemieckich kościołach.

Jak to wszystko zrozumieć? Karl Dedecius odkrył klucz do tego fenomenu, mówi:

Aspekt transcendentalny w poezji polskiej nie ogranicza się wyłącznie do ścisłej sfery religijnej. Lecz także świecka liryka uwrażliwiona jest na wymiar metafizyczny [...]. Dzie-

dzina duchowa nie występuje wyizolowana w oderwaniu od normalnego życia i dziejów, nie jest wyodrębnioną esencją lub tendencją [...], lecz funkcjonuje całościowo...

W porównaniu do tego Dedecius wskazuje na nasz świat zachodni, gdzie liczy się triumf pieniądza, co powoduje u człowieka brak komfortu psychicznego i prowadzi do ubóstwa wewnętrznego i osłabienia wolności.

To *mysterium fascinosum*, jak Dedecius ten fenomen nazywa, pozostanie dla nas, Niemców, chyba tak naprawdę do końca niezrozumiałe. Ja to nazywam *sacrum polonorum* i często mówię moim rodakom: idźcie zobaczyć, jak wyglądają groby wielkich Polaków, pisarzy, artystów, idźcie na Wawel, gdzie pochowani są Mickiewicz i Słowacki, lub idźcie na Powązki, gdzie groby nawet niereligijnych twórców są zawsze przybrane kwiatami. Mickiewicz nazywany był wieszczem. Już samo to słowo jest prawie nieprzetłumaczalne na język niemiecki. I od razu nasuwa się pytanie: czy Goethe był wieszczem? O Boże, Goethe pisał dużo, aczkolwiek mało na temat Niemiec.

Polacy są narodem o kulturze łańskie, ale o duszy słowiańskiej, i potrzebują tłumaczy, interpretatorów, szczególnie dzisiaj, w dobie przystąpienia Polski do struktur Unii Europejskiej. Muszą istnieć tacy, którzy potrafią Zachodowi wytłumaczyć nie tylko, jak to jest w Polsce, ale dlaczego tak jest. To praca syzyfowa, która nigdy się nie kończy, ale jest potrzebna.

Kilka lat temu wydałem album o Polsce, który nazwałem „Polen – der ferne Nachbar” (Polska – sąsiad oddalony). Chciałem pokazać, że mimo bliskości geograficznej żyjemy wewnętrznie oddaleni od siebie. Trzeba nam więcej zrozumienia. A najlepiej to zrobić można za pomocą literatury, za pośrednictwem „posłannictwa książek”, jak to Dedecius powiedział i tak czynił. Dlatego tłumacze literatury są porównywani do teologów, którzy nam głoszą treści posłania, interpretują, przybliżają. Europa Zachodnia, a szczególnie decydenci w Brukseli, potrzebuje takich głosicieli *sacrum Polonorum*. W przypadku przyjęcia Polski do Unii Europejskiej nie mogło chodzić wyłącznie o „triumf pieniądza”, o *profanum*, tu musiało chodzić także o wartości duchowe, jakie Polska ma do zaoferowania Unii. Dlatego, Polacy, starajcie się o wielu dobrych posłanników, którzy potrafią to Wasze *mysterium fascinosum* wytłumaczyć! Nie starczy dzieśięciu nawet Balcerowiczów czy Kułakowskich, potrzeba zwielokrotnionego Dedeciusa.

Że Karl Dedecius do takich właśnie posłanników należy, zrozumiał już w roku 1987, a więc przed tym całym politycznym przewrotem kopernikańskim, Katolicki Uniwersytet Lubelski, który już wtedy wyróżnił go tytułem doktora honoris causa. Wtedy była to szalona odwaga. Dedecius był pierwszym Niemcem i pierwszym ewangelikiem, który otrzymał to wyróżnienie na KUL-u. Akt ten zawiera w sobie wymiar pojednania między Polakami a Niemcami, także w wymiarze ekumenicznym. Tym doktoratem uhonorowany został ekumeniczny teolog literatury. Jego laudator, prof. Stefan Sawicki, powiedział wtedy, że dzieło Dedeciusa ma wymiar międzyludzki, uniwersalny i moralny, więc ekumeniczny, a tym samym aktualny.

Takiego ducha, wychodzącego poza ramy polskie, znajdujemy również u polskich poetów współczesnych. Janusz St. Pasierb, którego Dedecius bardzo cenił, nasze czasy ujął w charakterystyczny i bardzo zwięzły sposób w wierszu „Rewolucja Jezusa”:

*głodni spragnieni
bezdumni obcy
więźniowie chorzy
wyklęci*

*oto nowa klasa Ewangelii
arystokracja Jezusa
oto Jego wcielenie
na dzień sądu
najbardziej ostateczne*

„Die Revolution Jesu”

*Hungrig durstig
heimatlos fremd
gefangen krank
verdammmt
das ist die neue klasse des Evangeliums
die aristokratie Jesu
das ist seine inkarnation
für den tag des gerichts
die allerletzte*

W tym wierszu Pasierb daleko wychodzi poza krąg ścisłego myślenia polskiego. Ukazuje nam utrapienia naszych czasów niezależnie od kraju, w którym żyjemy.

Tłumacząc ten wiersz, Dedecius właśnie sięga po taki tekst, który nam pokazuje prawdziwe oblicze naszego obecnego żywota. Przekładając tego rodzaju poezję, tłumacz przyczynia się w znakomity sposób do tego, że czytelnik otrzymuje także inny obraz polskiej poezji religijnej, właśnie podejmującej uniwersalne problemy rodzaju ludzkiego. I w tym miejscu należy znów pamiętać o braku takiej poezji w Niemczech. Tematyka ubóstwa, głodu, bezdomności itd. jest kontemplowana, ale bez Jezusa i bez powoływania się na Ewangelię.

95

Konkludując: polska poezja religijna, za przykładem i przekładem Karla Dedeciusa nam, współczesnym Niemcom, szeroko dostępna, zawiera w sobie walory niepowtarzalne. Bez znakomitej sztuki translatorskiej nie poznalibyśmy ani wierszy Karola Wojtyły, ani Pasierba, ani wielu innych.

Drogi Panie Karolu, dziękujemy Panu za to wielkie dzieło chrześcijańskiego posłannictwa. Zakończę Pana własnymi słowami: *Wiersze są akcjami poszukiwania: własnego siebie, świata, sensu życia i Boga.*

Winfried Lipscher

Agnieszka BROCKMANN

Schliemann polskiej poezji Wspomnienie o Karlu Dedeciusie

AGNIESZKA BROCKMANN

kierowniczka Archiwum Uniwersyte-
tu Europejskiego Viadrina we Frank-
furcie nad Odrą

*Ale książki będą na półkach, dobrze urodzone,
Z ludzi, choć też z jasności, wysokości*
Czesław Miłosz

Nazywano go budowniczym mostów, pośrednikiem pomiędzy kulturami, Henrykiem Schliemannem poezji polskiej... To wszystko jednak zbyt mało, aby określić jego znaczenie dla odbudowy stosunków polsko-niemieckich po II wojnie światowej, dla popularyzacji polskiej kultury i języka polskiego na Zachodzie. Karl Dedecius, jeden z najsłynniejszych tłumaczy literatury polskiej, twórca Instytutu Kultury Polskiej w Darmstadt zmarł 26 lutego 2016 roku we Frankfurcie nad Menem.

W opublikowanej w 2006 roku autobiografii mówił o sobie jako o „Europejczyku z Łodzi” – trudno o trafniejsze określenie tej niezwykle osobowości, swobodnie poruszającej się w wielu kręgach kulturowych, wpłątanej w burzliwe dzieje XX-wiecznej Europy. Dedecius urodził się 20 maja 1921 roku w Łodzi, w rodzinie niemieckiej. Za sprawą ojca uczęszczał do polskiego gimnazjum humanistycznego im. Stefana Żeromskiego. Dedecius wspominał ten czas jako okres wszechstronnego rozwoju – uzdolniony mu-

zycznie uczył się gry na skrzypcach, odkrył swój talent do języków, obok obowiązkowej greki i łaciny uczył się polskiego, angielskiego, francuskiego i hiszpańskiego. Interesował się aktorstwem, marzył o karierze muzyka, podjął także pierwsze próby literackie. Były one motywowane nauką języków obcych: Dedecius pisał łacińskie satyry i przekładał z łaciny na polski. II wojna światowa radykalnie zmieniła jego plany. Tuż po maturze w 1939 roku Dedecius trafił do wojska – najpierw do polskich hufców pracy, a po opanowaniu Polski przez faszystowskie Niemcy do Wehrmachtu. Przydzielono go do regimentu piechoty we Frankfurcie nad Odrą – to pierwszy frankfurcki epizod w biografii Karla Dedeciusa. Jako młody człowiek nie mógł jeszcze wiedzieć, że 60 lat później właśnie tutaj trafi jego literacka i tłumaczeniowa spuścizna i stworzy podwaliny dla Archiwum i Fundacji Archiwum Literackie Karla Dedeciusa.

Po krótkim szkoleniu Dedecius trafił na front wschodni, wziął udział w bitwie pod Stalingradem i tam też dostał się do sowieckiej niewoli. To paradoksalne, że właśnie w łagrze rozpoczęła się jego przygoda z tłumaczeniem. W najciemniejszym momencie biografii literatura stała się dla niego światłem przewodnim i źródłem nadziei. Jediną dostępną literaturą byli rosyjscy klasycy: z wierszy Puszkina i Lermontowa, ze strzępków prozy wielkich realistów Dedecius przyswoił sobie rosyjski i ćwiczył się w sztuce przekładu. Fragmentami z rosyjskiej poezji ozdabiał listy do bliskich w Niemczech. Oczywiście nie umknęło to uwadze obozowej cenzury i zarządu obozu, który wykorzystywał zdolnego więźnia nie tylko jako tłumacza w sprawach codziennych, ale także jako organizatora życia kulturalnego. Uwolniony z łagru w noc sylwestrową 1949/1950 roku Dedecius powrócił „do domu”, chociaż tak naprawdę ani jego dom rodzinny, ani jego rodzina już nie istniały. Udał się do Weimaru, tam odnalazł narzeczoną, założył rodzinę i podjął próbę nawiązania do przedwojennych marzeń i przedwojennej rzeczywistości. Kilka lat pracował w tamtejszym Instytucie Teatralnym – tłumaczył radziecką literaturę o teatrze na potrzeby wschodnioniemieckich teatrologów, a w czasie wolnym brał lekcje dramaturgii i dykcji. Na początku lat 50. Dedeciusowie zdecydowali się na ucieczkę do Republiki Federalnej Niemiec. Po pobycie w obozie dla uchodźców i kilkuletniej wędrówce w poszukiwaniu domu i stałego miejsca zatrudnienia osiedlili się we Frankfurcie nad Menem, gdzie Dedecius otrzymał pracę w agencji ubezpieczeniowej Allianz. Podczas gdy w Allianz piął się po szczeblach kariery, rozbudowywał równoległe swą działalność jako tłumacz.

W 1959 roku, prawie jednocześnie, ukazały się pierwsze publikacje książkowe Dedeciusa: dwie antologie poświęcone liryce polskich współczesnych poetów, jego rówieśników, opisujących przede wszystkim, choć nie tylko, doświadczenia wojenne¹. W posttraumatycznej rzeczywistości powojennych Niemiec zbiory te przyjęto bardzo przychylnie, chociaż – jak większość późniejszych publikacji – nie odniosły one komercyjnego sukcesu. Literatura zawsze była deficytowa. Dedecius, świetnie radzący sobie w komercyjnej firmie, był tego świadomy i dlatego do momentu odejścia na emeryturę traktował swą pracę literacką jako hobby

¹ *Lektion der Stille: neue polnische Lyrik* [Lekcja ciszy: nowa liryka polska], wybór i tłum. K. Dedecius, Monachium: Hanser 1959; *Leuchtende Gräber: Verse gefallener polnischer Dichter* [Świejące groby: wiersze poległych polskich poetów], wybór i tłum. K. Dedecius, Heidelberg: Dr. Buddensieg, 1959 (Suplement do „Mickiewicz-Blätter”).



rys. Janusz Pilecki

– uprawiane pokątnie, w chwilach wolnych, podczas uciążliwych podróży służbowych pociągiem lub samolotem. Stąd też – jak utrzymywał żartobliwie – jego sympatia do małych form – liryki i aforyzmu.

Na początku swej literackiej działalności Dedecius tłumaczył „w dwugłosie”: zarówno z rosyjskiego, jak i z polskiego. Obok polskich autorów publikował lirykę Majakowskiego, Jesienina i Ajgiego. To właśnie za tłumaczenia wierszy Gennadija Ajgiego otrzymał doktorat honorowy przyznany przez uniwersytet w Kolonii. Zapytany w jednym z ostatnich wywiadów, dlaczego zarzucił tłumaczenie z rosyjskiego, Dedecius odpowiedział, że w polskim

poruszał się jak w domu, w rosyjskim trafił jedynie do przedsionka, na werandę, może od tej ładniejszej strony, od strony ogrodu...².

Pod koniec życia powrócił jednak do młodzieńczej fascynacji językiem i literaturą rosyjską.

Od początku lat 60. Dedecius publikował od dwóch do trzech książek rocznie. Monograficzne tomy poświęcone twórczości jednego autora wprowadzały lub rozpowszechniały na rynku niemieckim poezję Różewicza, Herberta, Miłosza, Szymborskiej. Wiersze Jana Pawła II Dedecius opublikował w Niemczech długo przed ukazaniem się ich pierwszego polskiego wydania. Niezwykłym sukcesem okazały się aforyzmy Stanisława Jerzego Leca, do tej pory wznawiane kilkunastokrotnie. Jednak specjalnością Dedeciusa stały się antologie, dające przegląd pewnej epoki lub gatunku literackiego, a także pokazujące ukryte zależności pomiędzy autorami oddalonymi od siebie nawet przez stulecia.

Antologie – mówił Dedecius – odpowiadają mojemu symfonicznemu rozumieniu świata. Słyszę poezję jak orkiestrę i nie chcę zrezygnować z żadnego z setki instrumentów: ani z harfy, ani z pojedynczych skrzypiec, mimo że jest ich tak wiele, ani z wiolonczeli, ani z flethu. Nawet bębny i trąbki grają ważną rolę³.

Już pod koniec lat 60. ukazały się antologie polskiej poezji, prozy i satyry XX wieku w wyborze i tłumaczeniu Dedeciusa, jak również żartobliwy „Polonaise erotique: Temat z wariacjami na głos męski i żeński przetransponowany w tonację niemiecką i zinstrumentowany przez Karla Dedeciusa”⁴. Charakterystyczne jest przy tym to, że – w przeciwieństwie do tłumaczy i wydawców w Polsce lub NRD ograniczonych ideologicznymi wymaganiami rynku literackiego – Dedecius zawsze spoglądał na literaturę polską jak na całość, nie oddzielając emigrantów od oficjalnie uznanych poetów lub autorów „drugiego obiegu”.

2 A. Brockmann, „Jede Sprache ist eine offene Tür zur Freundschaft... oder auch zur Feindschaft”. Ein Gespräch mit Karl Dedecius, OderÜbersetzen, nr 5-6-7/2016, s. 110.

3 M. Dönhoff, *Literatur als Fenster*, Robert Bosch Stiftung, Deutsches Polen-Institut (Hrsg.): „Setze den ersten Schritt...” – Für Karl Dedecius nach 18 Jahren Zusammenarbeit. Darmstadt 1997/1998, s. 22.

4 *Polonaise erotique: Thema mit Variationen für männliche und weibliche Stimmen*, in deutsche Töne gesetzt und instrumentiert von Karl Dedecius, Frankfurt am Main: S. Fischer, 1968.

Sklonności antologisty towarzyszyły Dedeciusowi przez całe życie i być może dlatego jako sumę swej literackiej i wydawniczej działalności traktował siedmiotomową „Panoramę Literatury Polskiej XX wieku”, ukazującą się w latach 1996-2000 i przedstawiającą w reprezentacyjnym wyborze polską poezję, prozę i satyrę, uzupełnione portretami autorów i tomem esejów o literaturze polskiej pióra Karla Dedeciusa. Zbiór ten jest w jeszcze inny sposób charakterystyczny dla jego działalności. Pomimo powszechnego przekonania, że tłumaczenie jest czynnością głęboko indywidualną, której należycie poświęcić się można jedynie w absolutnym odosobnieniu, publikacja i popularyzacja literatury są czynnościami prawdziwie towarzyskimi, aby nie powiedzieć „kolektywnymi”, wymagają zbudowania gęstej sieci kontaktów, ich pielęgnacji, łatwości przekonywania i talentu mediatora. Wszystkimi tymi zdolnościami Dedecius dysponował w sposób mistrzowski. Tak jak „Panorama” jest zbiorem tekstów najróżniejszych autorów w przekładach najróżniejszych tłumaczy, skoordynowanym przez Dedeciusa i zespół jego pracowników, tak i kariera literacka Mistrza nie mogłaby rozwijać się bez moralnego i finansowego wsparcia przyjaciół osobistych i instytucjonalnych, jak wydawnictwa Hanser, Suhrkamp, Fundacja Boscha, Volkswagena i innych. Dedecius był tego zawsze świadomy i nieustannie podkreślał wielkie znaczenie „zaplecza” literatury, które po części sam sobie stworzył, a po części było mu ono dane.

Pod koniec lat 70. działalność Dedeciusa osiągnęła nowy wymiar. W 1978 roku opuścił Allianz, aby rok później objąć stanowisko dyrektora nowo utworzonego Instytutu Kultury Polskiej w Darmstadt. Instytut ten – powstały m.in. z inicjatywy Dedeciusa – jest do dziś jedną z najważniejszych niezależnych placówek badawczych w Niemczech, zajmujących się polską kulturą, historią i społeczeństwem. Określając zadania Instytutu, Dedecius świadomie zrezygnował z wszelkich aspektów politycznych i gospodarczych. Podległe wahaniom koniunktury, propagandy i mody aktualne stosunki pomiędzy Polską i Niemcami nigdy go nie zajmowały. Pierwotnym zadaniem Instytutu było badanie, prezentacja i popularyzacja polskiej literatury i kultury, przede wszystkim dzięki ambitnym projektom edytorskim, spotkaniom z autorami, wystawom, wymianie naukowej i artystycznej. Innym ważnym zadaniem Instytutu było szkolenie tłumaczy i polonistów wychodzące poza granice programów akademickich, polegające na nawiązywaniu osobistych kontaktów i bezpośredniej wymianie myśli, doświadczeń i tekstów.

Literatura każdego narodu jest jak okno, przez które naród ten spogląda na obcych i przez które z drugiej strony obcy może zajrzeć w strefę życiową danego narodu. Nasze spojrzenie przez otwarte okno książki na rzeczywistość duchową sąsiadów jest konieczne i pożyteczne – tak opisywał swoje zadanie Dedecius⁵.

101

Takich otwartych okien pozostawił po sobie wiele. Obok wymienionych monografii i antologii był pomysłodawcą i wydawcą 50-tomowej Biblioteki Literatury Polskiej, ukazującej się dzięki współpracy Instytutu w Darmstadt z Fundacją Boscha i wydawnictwem Suhrkamp w latach

.....
5 M. Dönhoff, *Literatur als Fenster...*, dz. cyt., s. 26.

1982-2000. Podobnie jak „Panorama” obejmuje ona dzieła różnych autorów, tłumaczy, redaktorów i wydawców i jest doskonałym przykładem na to, z jak wielką siłą integracyjną Dedecius działał w roli menadżera polskiej kultury. Rola ta nie zdominowała jednak jego działalności. Do końca życia „uprawianie” literatury, ale także myślenie i pisanie o literaturze było dla niego największą przyjemnością i największym wyzwaniem. Dedecius był mistrzem eseju. Jego rozprawy o pisarzach i literaturze polskiej weszły w Niemczech do kanonu lektur polonistycznych, a mimo to nie utraciły czaru jego błyskotliwe odniesienia, gra cytatów, subtelny dowcip, podbudowane głęboką refleksją. Samouk Dedecius poruszał się swobodnie w ogrodzie muz. Nie uszło to uwagi czcigodnych instytucji, które już wcześniej brak komercyjnego sukcesu starały się mu wynagrodzić akademickimi laurami, nagrodami i orderami. Charakterystyczne jest przy tym to, że zasługi Dedeciusa tak samo wysoko oceniono na Wschodzie i na Zachodzie, w Polsce Ludowej i na emigracji. Już w 1962 roku otrzymał wschodnioniemiecką nagrodę Andreasa Gryphiusa, w 1968 roku emigracyjną nagrodę Fundacji Alfreda Jurzykowskiego i wiele innych, z których wymienić można tylko te najważniejsze: Nagrodę Pokojową Księgarzy Niemieckich (1990), Wielki Krzyż Zasługi Republiki Federalnej Niemiec z Gwiazdą (1994), Order Orła Białego (2003), Niemiecką Nagrodę Narodową (2010). Pierwsze laury akademickie Dedecius otrzymał w 1976 roku, kiedy to uniwersytet w Kolonii przyznał mu tytuł doktora honoris causa, za nim podążyły uniwersytety w Lublinie (KUL), Łodzi, Toruniu, Krakowie i Frankfurcie nad Odrą. W 1997 roku Badenia-Wirtembergia przyznała mu tytuł profesora.

Esteta, jakim zawsze był Dedecius, nie pozwolił, aby jego dzieło i jego biografia wystawione zostały po jego śmierci na łaskę przypadku. Stąd też kilkakrotne próby zapisania własnego życiorysu przez teksty innych – „Mein Rußland in Gedichten” ([Moja Rosja w wierszach], 2003), „Meine polnische Bibliothek” ([Moja biblioteka polska], 2011), „Unser 20. Jahrhundert” ([Nasz XX wiek], 2013), stąd wydana w 2006 roku autobiografia („Ein Europäer aus Lodz” [Europejczyk z Łodzi]) i wreszcie album „Vita activa – vita contemplativa” (2011) zbierający w formie kolażu dokumenty jego bogatej biografii, zdjęcia, teksty przyjaciół, listy. Obok tych autobiograficznie motywowanych publikacji Dedecius w ostatnich latach życia nie zaniechał pracy nad tłumaczeniami. Świadomie zwrócił się w stronę swych pierwszych fascynacji, ku poezji romantycznej i klasyce pierwszej połowy XX wieku, przy czym obok autorów polskich znowu pojawili się poeci języka rosyjskiego – obok Mickiewicza czy Tuwima Lermontow i Jesienin... W tej wierności książce leży wielka mądrość: Mistrz wiedział, że gdy odejdzie, one pozostaną: *Ale książki będą na półkach, dobrze urodzone, / Z ludzi, choć też z jasności, wysokości* (Czesław Miłosz).

Agnieszka Brockmann

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Kalendarz pewnej przyjaźni Spotkania z Tadeuszem Różewiczem

MANFRED PETER HEIN

ur. w 1931 roku w Darkehmen, od 1938 Angerapp, obecnie Oziorsk w obwodzie kalningradzkim), germanista, historyk, historyk sztuki, tłumacz z języka czeskiego i fińskiego. Mieszka w Finlandii. Ostatnio ukazały się: „Der Exilant. Zwei Dialoge” (2012), „Sandkörner. Kindergedichte für jedes Alter” (2014), „Spiegelungen Orte. Gedichte 2010-2014” (2015).

1.

Do naszego pierwszego spotkania doszło w środku lata 1963 roku, w cieniu zimnej wojny pomiędzy Wschodem a Zachodem, na zielonym trawniku południowofińskiej miejscowości Mukkula koło Lahti, gdzie odbywał się zjazd pisarzy. Tadeusz dołączył, zaproszony przez organizatorów międzynarodowego spotkania, ja zaś jako mieszkający od pięciu lat w Helsinkach pośrednik i tłumacz współczesnej liryki i prozy na niemiecki. Po naszym wspólnym pobycie na sympozjum w dawnym gospodarstwie Mukkula odbyliśmy wycieczkę po pojezierzu wokół Kuopio i Savonlinna, zaproponowaną przez Arvo Turtainena, wiodącego poetę lewicowej grupy Klin (Kiila), który przetłumaczył ze szwedzkiego wiersze Tadeusza dla „Kansanuutiset” [Wiadomości Ludowe]. *Niebiesko, zielono, niebiesko. A gdzie tutaj są ludzie?* – do dziś słyszę wypowiadającego te słowa Tadeusza, który stał, opierając się o reling naszego parowca podczas wycieczki do Savonlinna, gdzie nocowaliśmy w kajuacie, by potem wrócić pociągiem do Helsinek.

Gdy byliśmy w drodze podczas naszego ostatniego dnia podróży, Tadeusz przypieczętował naszą przyjaźń, składając podpis na pozostałym nam czwartym

jajku¹ – połowie jego udziału w naszym prowiancie, do jego spożycia nic nie mogło go nakłonić, być może była to ukryta aluzja do – jako dziennikarz podróżował po Chinach – rodzącego się z uformowanej w kształcie jaja materii wszechświata rozdzielającego się na niebo i ziemię Pangu. Działo się to 25 czerwca 1963 roku. Zastanawialiśmy się, czy powinno się je wyrzucić przez okno pociągu, czy nie, Tadeusz zapewnił, trzymając na czole ugięte palce wskazujące: *Tutaj tkwi diabełek*². Pasowało do tego zaokrąglenie liter *e* i *i* w spolonizowanym poprzez dołączone o nazwisku współpasażera Heino. Nasze wiersze spotkały się w tym samym roku w kwietniowym numerze „Zeitschrift für Dichtung AKZENTE” – moje sąsiadowały z wersami Tadeusza z jego wiersza „Chaskiel”:

*przyszli Niemcy
z żelaznymi krzyżami
stanęli nad ludźmi
z czarnymi batami*

i odpowiednimi wersami z mojego wiersza „Mur”:

*ochrońcie swój oddech
zasiejcie wasze światło w podzielone zapomnienie!*

Zaledwie niecały miesiąc wcześniej razem z fińskimi pisarzami podróżowałem poprzez Berlin Wschodni, Warszawę i Kraków, zwiedzając Polskę; z powodu pewnych kłopotliwych okoliczności straciliśmy jednak okazję wyjazdu taksówką do Auschwitz. Przypomniało mi się teraz trafne i niezapomniane pytanie przyjaciela: *Wstydziłeś się, Heino? Nie musisz!*

2.

Przeglądając moje zapiski w kalendarzach z lat 1963-2008, doliczyłem się dziewięciu spotkań z Tadeuszem. Kontakt utrzymywaliśmy poprzez lata aż do końca, wysyłając sobie wzajemnie kartki pocztowe i listy, corocznie w sylwestra telefonowałem też do Gliwic, potem do Wrocławia, gdzie odwiedziłem go w kwietniu 1991 roku. Pod koniec lat 60., latem 1969 roku, Tadeusza znowu przyciągnęło do fińskiej metropolii. Zaprosili go jego fińscy przyjaciele Arvo Turtainen i Brita Polttila, z którymi spędziliśmy razem kilka dni. Pewnego czerwcowego dnia spacerowaliśmy po ogrodowej dzielnicy miasta. Miałem przy sobie manuskrypt napisanego przeze mnie słuchowiska „Der Exulant” [Emigrant], którego moderatorem był Helmut Heißenbüttel. Tak jak przed sześcioma laty siedzieliśmy w Mikkula na trawniku i Tadeusz podpowiadał mi dramaturgiczne ingerencje w tekst, które na dobre wyszły w późniejszej wersji drukowanej. Jego uwagi, szczegółowo zanotowane na brunatnym kartonie, ukazujące każde niedostatki tekstu odtwarzanego w teatrze, filmie i w telewizji, stanowiły dla mnie nowy im-

1 Niem. das Ei, ważne ze względu na grę słów Ei-Teufelchen-Heino w następnym zdaniu, przyp. tłumacza.

2 Diabełek, niem. Teufelchen, przyp. tłumacza.

puls do dalszej pracy jako dramaturga, zaangażowanego właśnie przez rozgłosnięć Süddeutsche Rundfunk (SDR) w Stuttgarcie. Umówiliśmy się na spotkanie w Baden-Baden, gdzie Tadeusz chciał odwiedzić kolegę z klasy z Radomska, by potem przez Stuttgart wrócić do Gliwic. W Stuttgarcie na pożegnanie, 8 maja, odwiedziliśmy knajpę, która okazała się lokalem dla gejów, i podpisaliśmy na papierowej serwetce sfotografowaną później przeze mnie „Pozbawioną Smaku TOTALNĄ Kapitulację”.

*Pozbawiona Smaku TOTALNA
Kapitulacja, Stuttgart 8. MAI 70*

Pozbawiona Smaku TOTALNA
Kapitulacja, Stuttgart, 8 maja
1970 roku.



Nasze drogi ciągle się krzyżowały, na północnej trasie w Sztokholmie u wspólnego przyjaciela Bengta Holmqvista, fińsko-szwedzkiego krytyka literackiego w „Dagens Nyheter”, który w latach 60. towarzyszył mojej znajomości z Nelly Sachs do końca jej życia. W październiku 1994 roku Tadeusz odezwał się z Park Hotelu, a Bengt umieścił mnie w Hotelu Örnköld. Jakby to było wczoraj, widzę Tadeusza stojącego w holu hotelu. Szwedzko-turecki fotograf i poeta Lüfti Özkok zrobił nam zdjęcia do swojego archiwum. Tadeusz dostarczył mi – niczym wyciągnięte z własnej *camera obscura* – szybkie ujęcie, które kilka miesięcy później znalazło swój wyraz w wierszu „Behausung” [Domostwo]. Już nie pamiętam, jak to się stało, że Tadeusz pozuje z popielniczką w wyciągniętej prawej dłoni, stojąc przy wejściu do hotelu.

Domostwo³

*Nazwy nazwy
dla ****

*Moja klepsydra / nekrolog
zniszczenie nekrologu portiera
nazwy dla maski mumii*

3 Wiersz opublikowany w tomach: *Gegenzeichnung. Gedichte 1962-1982*, Berlin-Darmstadt: Agora, 1983, oraz *Ausgewählte Gedichte 1956-1986*, Zürich: Amman Verlag, 1987.

w szarym garniturze czterech pór roku
 Gopper Koppe Kaulhöxt⁴
 kostolicy ustawiony w holu
 i/albo jak widzę
 mym wzrokiem łowię między
 wędką a progiem recepcji
 popielniczkę w ręku
 i nazwy tak dalej
 mój nekrolog
 nekrolog głowy
 Groppe Gober Kaulkopf w kościstej koronie
 napis nagrobny dla gardzieli
 i to ciało
 powietrze które smakuję domostwo gdzie ten dzień
 opada na twarz granica zima
 gardziel
 trzymaj ją za nogę i stanie okoniem
 chmura, woda, póki nie zabrzęczy
 wers na rumowisko w światła kłębowisko
 pamięć słowo w słowo tu
 wśród umarłych

(tłumaczenie z języka niemieckiego Joanna Chojnowska)

Impulsem do powstania wiersza był wykład, który – być może już z przecuciem końca zimnej wojny – miałem wygłosić na spotkaniu poetów w Münster (LITERATURTREFFEN MÜNSTER) w maju 1987 roku. Zadedykowałem go Tadeuszowi. Do dedykacji tej Tadeusz sprowokował mnie, uskarżając się na wcześniejszym wieczorze autorskim, na którym dołączył do nas Adolf Endler, że poświęcam wiersze Michaelowi Hamburgerowi, a jemu nie. Wieczór i bez tego miał gorącą atmosferę: jak przy wszystkich wieczorach z trzema autorami dla każdego przewidziano 20 minut. Jednakże mój zegarek odmówił współpracy i zaczął pędzić, dlatego pożyczyłem zegarek od dr. Lothara Jordana, położyłem przed sobą na stole, zapominając o nim jednocześnie i tracąc poczucie czasu. Całość wpadła w poślizg. Dopingowany

4 Są to różne nazwy niemieckie małej, drapieżnej ryby słodkowodnej zwanej głowaczem białopłetwym (Cottus gobio). Należy ona do rodziny głowaczowców/głowaczowatych, podrząd skorpenokształtnych, niem. Groppe, auch Kaulkopf, Rotzkopf, Rotzgobber, Westgroppe, Koppe lub Mühlkoppe. Autor wiersza mógł podać również zwyczajowe nazwy głowacza białopłetwego znane tylko na terenie Prus Wschodnich. Inne, regionalne czasami całkowicie zapomniane polskie nazwy głowacza to: baba, babka, babczuk, pałogłowiec, pałos, głuc, guc i zgar. Według tych określeń można by np. przetłumaczyć nazwy: Gopper Koppe Kaulhöxt jako zgar głuc pałos. Natomiast drugą serię nazw występujących w dalszej części wiersza Groppe Gober Kaulkopf jako głowacz zgar pałogłowiec [przyp. JCh].

przez publiczność, a przez Tadeusza jeszcze w tym zamiarze utwierdzony, czytałem dalej, przynajmniej dziesięć minut ponad przyznany czas. Następnie wystąpił Karl Dedecius ze swoimi tłumaczeniami wierszy Tadeusza. Tadeusz, zirytowany uwagą Dedeciusa, zmienił koncepcję i sam zaczął czytać tłumaczenia, w szaleńczym tempie, które mogło przypominać nam niespokojne tempo mojego strajkującego zegarka i które doprowadziło w końcu do równowagi pozwalającej zapomnieć o wszelkich pretensjach. Tego samego wieczoru w domu profesora Winfrieda Woesslera odbył się inny wieczór autorski w nieco większym gronie, co Tadeusz, jak mi później wyznał, wykorzystał do tego, by naśladując mnie, przekroczyć przewidziany dla siebie czas. *Heino, to przez ciebie*, powiedział mi w cztery oczy.

3.

Wyjątkowość ostatniego literackiego spotkania Wschodu i Zachodu w Münsterze przed upadkiem muru berlińskiego i końcem zimnej wojny otwiera spojrzenie na wspólne elementy w kręgu przyjaźni. Oprócz Adolfa Endlera Winfried Woessler zaprosił na wieczór literacki również Kito Lorenca wraz z innymi pisarzami z NRD. Kito ze swojej strony nawiązał kontakt z Instytutem Serbołużyskim w Budziszynie/Bautzen, gdzie tej samej jesieni miałem wygłosić wykład o projekcie antologii „Auf der Karte Europas ein Fleck. Gedichte der osteuropäischen Avantgarde (1910-1930)” [Plama na mapie Europy. Wiersze awangardy wschodnioeuropejskiej (1910-1930)]. Kito przyłączył się do dokonanego przez Tadeusza zeslawizowania mojego nazwiska, z małą zmianą *i* na *j*. Potrójna przyjaźń Tadeusz – Heino/Hejno – Kito utrzymała się do końca. W nowym tysiącleciu na 2011 rok planowano w Instytucie Serbołużyskim Budziszynskie Spotkanie Poetów, do którego jednakże nie doszło z powodu choroby dwóch przyjaciół: Tadeusza i Kito. Wspomnienie spotkania przyjaciół w czerwcu 1963 roku zostało utrwalone w następujących wersach:

TADEUSZOWI R. Z OKAZJI STRACONEJ SZANSY
NASZEGO POWTÓRNEGO SPOTKANIA 2011

Na początku było jajo

*Kto je wysiedzi
Przypominasz sobie Tadeusz powiedziałeś
złożoność powiedziałeś zdegenerowana
złożoność wylęgu słowa 1 jaja napisałeś
mi na skorupce 25 czerwca 1963 roku*

*Zostawiłem je niewylęgnięte w środku
by wyszło nasze podpisane
przez ciebie nic nie warte
bezwonne czerstwe*

*Może się znów spotkamy
żeby sobie przypomnieć
o tej złożonej
prostocie świata*

Kto ją wysiedzi

Na końcu będzie jajo

(tłumaczenie z języka niemieckiego Joanna Chojnowska)

Ostatni raz spotkałem Tadeusza 1 marca 2008 roku w Strasburgu z okazji przyznania mu Europejskiej Nagrody Literackiej. Nie chciałem przegapić okazji, by wraz z przyjacielskim pozdrowieniem przekazać mu świeże przeciwieństwo do haniebnie wyschniętego prowiantu z minionego stulecia.

*Manfred Peter Hein
Karakallio, sierpień 2014*

Z języka niemieckiego tłumaczyła Małgorzata Żytyniec



*Tadeusz Różewicz i Manfred Peter Hein w Mikkilä, czerwiec 1964.
Fot. Kavakilla Lahti.*



PROWINCJAŁKI

Marcin CIELECKI

Dziennik wewnętrzny

MARCIN CIELECKI

ur. w 1979 roku, poeta i eseista, autor trzech książek, ostatnio zbioru esejów „Miasto wewnętrzne” (2015). Publikował m.in. na łamach „Tygodnika Powszechnego”, „Znaku”, „Toposu”, „W drodze”, „Więzi”.

PIĄTEK, MAJ

W tym pokoju jeszcze nie byłem.

Spakował mnie plecak. Ta sama prawidłowość od kilku lat: pomimo tego, że przygotowuję się do przyjazdu do klasztoru przez kilkanaście dni, w głowie sporządzam listę książek, które zabiorę ze sobą, listę tematów, nad którymi chcę popracować literacko i wreszcie listę spraw duchowych, ostatecznie pakuję się w ostatniej chwili. Wrzucam pośpiesznie do plecaka książki, laptop, brewiarz, z trudem go domykam i staram się wyjść jak najszybciej. Jeszcze tylko niemal na progu domu kucam przed Michałem i mówię: „Daj błogosławieństwo tacie”. Ciepłe ręce trzyletniego dziecka na głowie – wiem, że to wspomnienie musi mi wystarczyć na kilka samotnych dni. Pożegnanie z Mirą jest zawsze trudne, słowa się nie kleją, niby patrzymy sobie w oczy, ale nie widzimy siebie. Oboje wiemy, że muszę tu wrócić, co wcale nie sprawia, że jest dzięki temu łatwiej.

„Pokój numer 3”, powiedziała siostra na furcie.

Siedzę przy biurku i zapisuję pośpiesznie: jedno okno, jedna szafa, jedno krzesło, jedno łóżko. Jeden

kaloryfer – nie martwi mnie to w maju, zimą byłoby trudno wytrzymać. Ostatnio byłem tu zimą dwa lata temu. Miałem pokój na parterze, ale to oznacza, że okno jest na wysokości powierzchni ziemi, a reszta jest wbudowana poniżej tego poziomu. Nazywam parter piwnicą i nikt mi nie wmówi, że jest inaczej. Przyjechałem zimą i marzłem. Któregoś dnia zauważyłem, że jest mi bardziej zimno niż zwykle. Że zamiast pisać i modlić się, wszystkie moje myśli krążą wokół jednego zdania: „Jest mi zimno”. Nie było sensu pisać, czytać, ćwiczyć; wszystko kończyło się na mimowolnym kołysaniu się w fotelu. Dopiero gdy wyjeżdżałem, siostra furtianka zdradziła, że zepsuł się w klasztorze piec i siostry martwiły się, czy nie zamarzę w pokoju. Nie pytały wcześniej, odgradza nas krata. Ja jestem gościem, one są u siebie. Pomiedzy nami jest granica wyraźnie podkreślona przez kratę: klauzura, klamki są po stronie sióstr. Duchowa żelazna kurtyna.

Dla moich potrzeb ten pokój jest idealny.

Na półce nad biurkiem znajduje się tylko kilka książek, same „must have” w klasztorze: Biblia, dzieła Jana od Krzyża, Teresy z Avila. Nic więcej. Więcej nie potrzeba. Ale nie dla mnie. Dokładałem szybko książki, które przywoziłem ze sobą. Jacob Taubes „Zachodnia eschatologia”, Adam Zamoyski „Święte szaleństwo” oraz „Urojone widmo rewolucji”, zbiór poezji Adama Zagajewskiego...

Czuję się jak mysz w klatce. Za głośno, za dużo mnie. Rozpakowywanie plecaka, przesuwanie krzesła, moje stukanie na klawiaturze – wszystko to odbija się od ścian i wraca do mnie. Produkuję wokół siebie hałas, to jeszcze porzucony świat stara się mówić przeze mnie. Co za ironia: uciekłem, aby odzyskać własną mowę, a jedynym mi znanym językiem, mową pierwotną jest gwar, zamęt, hałas. Przyjechałem tu, aby uciec od świata, a przywoziłem go ze sobą. Dopiero teraz widzę, jak żałosny jestem. Wyłazi ze mnie świat. Mówię, piszę, pocę się światem. Gorzki to smak, smak złośliwego chichotu. Dopiero teraz rozumiem ten wers z wiersza Tomasza Różckiego:

*Kula, pewnej czarnej niedzieli wystrzelona
w jego kierunku, wreszcie okrążywszy ziemię
właśnie teraz trafiła cię w sam środek czoła.*

I znów dociera do mnie cała mądrość ukryta we współczesnym apokryfie o Franciszku z Asyżu. Zmierzając z miasta do miasta, Biedaczyna jest ponaglany przez jednego ze współbraci. Samochody mijają wędrujących – niewyraźne refleksy we wstecznym lusterku – pozostawiając tumany kurzu, i to upokarzające poczucie wiecznego spóźnienia. Dzień się już chyli ku zachodowi. Szybciej, szybciej, przynagla współbrat. Franciszek zatrzymuje się i odpowiada, że to demon pośpiechu każe im pędzić przed siebie, śpieszyć się, żyć innym rytmem. Chodź, usiądziemy na kamieniu i poczekamy, aż demon pośpiechu nas minie.

Muszę się mocno trzymać swojego krzesła przy biurku, aby minęła mnie wystrzelona kula, aby demon pośpiechu zgubił mój trop.

Spoglądam na te zapiski pierwszego dnia i dostrzegam drżącą w nich nerwowość. Jakżeż ja się uspokoję?

Wróciłem z kaplicy. Pokój jest już bardziej mój. Ruszam się trochę inaczej, przede wszystkim wytwarzam wokół siebie mniej hałasu. Siadam jeszcze raz do biurka, zaciskam mocno ręce na siedzeniu krzesła. Nigdzie się nie ruszam. Czekam, aż mnie minie ekspres kończącego się dnia.

Cisza.

Milczenie.

Samotność.

Myślę, że się już zameldowałem. Teraz, w tym momencie. Zakon sióstr karmelitanek bosych, klasztor pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej i Bożej Rodzicielki Maryi, Spręcowo, pokój numer 3.

Sobota

Wściekle walenie w ścianę. W budzącym się dniu ledwo dojrzałem wskazówki zegarka. Parę minut po godzinie piątej. Czyżby sygnał wzywający na jutrznię? Ale dźwięk dochodzi zza okna, z zewnątrz. Wychylam się ostrożnie przez okno, by zobaczyć, co się dzieje. W gwałtownym trzepocie skrzydeł dostrzegam czerwony punkt. Dzięki.

Siostry spotykają się na jutrzni o godzinie 5.45. To nie dla mnie. Schodzę do kaplicy dopiero na mszę św. o 7.30.

Pierwsze, co rzuca się w oczy po wejściu do kaplicy, to stojący pośrodku ołtarz. Zmienia to całkowicie perspektywę widzenia, siedzenia, myślenia. Przestrzeń prezbiterium jest podwyższona, dlatego wraz z ołtarzem zdaje się wyspą w poniższej topieli cementu. Nową arką osiadłą na lustrze posadzki. Lub miniaturową górą Karmel, wszak muszę pamiętać, gdzie jestem.

Dopiero za nim jest to, co będzie przykuwać wzrok bardziej niż to, czego świadkiem będzie biały obrus ołtarza. Krata. Jasna granica pomiędzy my i wy, świeckie i sakralne, światowe i klauzurne. W sam środek kraty wbudowane jest tabernakulum. Kapłan sprawujący mszę jest zwrócony twarzą do kraty, do tabernakulum, do sióstr. Siostry stoją naprzeciwko, po drugiej stronie kraty. Twarzą do kraty, tabernakulum, do kapłana. My, goście w kaplicy, jesteśmy nieistotni, dosłownie marginalni. Stoimy, siedzimy w ławkach po bokach, nie wchodząc w powstałą linię spojrzeń. Ludzie zbyteczni.

Szybki rzut oka na takich jak ja, uciekinierów z płonącego świata. Pięć osób, różny wiek. Zawsze zastanawia mnie: po co tu przyjechaliście? Dlaczego jestem tu ja, jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Dla innych pewnie nie. Trzeba będzie przy śniadaniu jakąś bajkę opowiedzieć.

Nie można się przyzwyczaić do kraty. Po tylu latach przyjeżdżania tutaj, podjętych prób życia zgodnie z regułą tego miejsca, porywania się na zrozumienie takiego powołania, wiem, że krata ogniskuje spojrzenie, skupia myśli. Gdzie się nie obejrzyysz – zawsze widzisz kratę lub dostrzegasz jej cień. Nie przyciągałaby tak myślami, gdyby nie to, że za nią są one.

Nowych w kaplicy można rozpoznać po nieustannym patrzeniu na kratę, na próbach ukradkowego zajrzenia Za Granicę. Za Kotarę Rzeczywistości Istotnie Istniejącej. Za Zasłonę Rozdartego Przybytku. Nie jestem już nowy, stwierdzam nie bez satysfakcji. Rzucam jedynie jedno lub dwa zerknięcia w stronę kraty, więcej nie. Moje spojrzenie jest zdawkowym przywitaniem się w miejscu, gdzie obowiązuje milczenie. W realiach życia codziennego powiedziałbym: „Co słychać?”. Tutaj moje spojrzenie mówi: „Jesteście tam jeszcze?”. Są. I nigdy nie wiem, ile ich jest. Krata pozwala na zajrzenie jedynie kilka metrów w głąb. Poza tym kobiety ubrane w identyczne habity zlewają się ze sobą. Można próbować zaglądać, uparcie oczekiwać ruchów siostr, wspomagać się własnym słuchem, gdy zawodzi wzrok. To nie dla mnie. Poprawiam okulary, dłużej w uchu – powtarzam sobie, że jestem tu dla siebie, że muszę wejść głębiej w siebie, aby chwycić nadwątłą nić prowadzącą do siebie samego. Ostatnie spojrzenie. „Jesteście tam jeszcze? Znowu tu przyjechałem”.

Dopiero przy posiłku można rozpoznać, kto przyjechał jedynie na poranną mszę, a kto zostaje w klasztorze na kilka dni. Zatem nie jestem sam. Razem ze mną pozostają tu Beata i Jerzy. Standardowe życiorysy i motywacje. Ona jest studentką, trzeci rok, licencjat, przygotowanie się do sesji i odpowiedzi na tłące się pytanie „co dalej?”. Jerzy kończy studia, ciągnie go do zakonu, ale jeszcze nie wie do którego. Musi rozeznąć. Patrzą na mnie z zaciekawieniem, ale nie pasuję do ich historii. Jestem od nich starszy niemal o połowę życia, wszystkie najważniejsze decyzje mam już rozstrzygnięte. W ich spojrzeniu odczytuję Pytania, Na Które Nie Mam Odpowiedzi. Nie, nie wiem, jak się dokonuje rozeznania. Nie, nie umiem interpretować tego, w czym specjalistami byli Teresa z Avila i Ignacy Loyola: pocieszeń i strapień duchowych. I nie, nie czytałem „Drogi na górę Karmel” Jana od Krzyża. Pytają o przynależność do duchowej szkoły, tak jak się pyta o przynależność do plemienia. Karmelitańska, benedyktyńska, franciszkańska? Pod jaką regułą żyjesz, bracie Marcinie? Patrzą z zaciekawieniem na moją obrączkę. Powtarzam swoje wyznanie wiary: żyję pod Regułą Obrączki, jestem mężem, jestem ojcem. Pytanie: „To po co przyjechałeś?” – brzmi w moich uszach jak wyrzut: „zabierasz nam powietrze”.

Przyjechałem tu, aby pisać.

Zrobiło się niezręcznie i teraz nikt nie wie, co powiedzieć.

Naczynia zmywam w milczeniu.

Przyjechałem tu, aby pisać.

Bez Internetu. Bez oznak życia moich synów zza ściany: upadających łyżek, potwornych kolizji resoraków, kosmicznych bitew Dinozaury kontra Roboty, lokalnych trzęsień ziemi powalających mozolnie stawiane budowle z klocków, wszystkich tych potknięć, zranień, kuksańców, gonitw...

Mam tylko biurko, którego trzymam się jak rozbitek na tratwie. Wokół mnie cisza, samotność. Zasiadam do biurka jak do pracy, wyznaczam sobie godziny pisania i godziny odpoczynku. Kiedy będę jadł i kiedy będę spacerował. Wspaniałomyślnie wyznaczam sobie czas także na drzemkę. Narzucam sobie dzienny limit stron, które napiszę. Oczami wyobraźni widzę spadające z biurka gotowe frazy, lecą strona za stroną. W klasztornej celi uzyskuję niespotykaną dotąd klarowność myśli, czernię papier aż do opuchnięcia palców, w rytm oddechu wyprowadzam miarowe uderzanie w klawiaturę. Wdech: jestem pisarzem, wydech: jestem pisaniem. Wrócę do domu i powiem Żonie, wskazując na pokaźny plik kartek: widzisz, było warto.

Przyjechałem tu, aby pisać.

Wszystkie kwestie życiowe mam rozstrzygnięte. Wciąż aktualna jest wzajemna Umowa. Żyję pod Regułą Obrączki. Na trzy śluby zakonne odpowiadam trzema ślubami małżeńskimi: wierność, miłość, uczciwość. Na monastyczne *stabilitas loci* odpowiadam stałością wyboru osoby: *i że cię nie opuszczę aż do śmierci*.

Jestem pisarczykiem, jestem piórem, mam pisać.

Pieką mnie oczy od wpatrywania się w monitor, boli kręgosłup od trwania na posterunku. Wszystkie zdania, które napisałem, brzmią źle. Na koniec dnia zostaję z pustym monitorem.

Niedziela

Druga noc zgodnie ze sprawdzonym schematem. W nocy sny, te o których Mira mówi wprost „sucze”. Po przebudzeniu długo nie mogę dojść do siebie. Celibat nigdy nie był dla mnie. Jednak takie sny w takim miejscu pozbawiają mnie spokoju. Upokorzony? To trochę trwa, zanim dotrze do mnie powtarzany w chłodzie poranka argument: nie masz wpływu na swoje sny.

Pozostaje dla mnie całkowitą zagadką, jak zakonnicy przeżywają sferę seksualności. Może do prawdy określenie ich stanu jako „osoby duchowne” rzeczywiście jest już całą odpowiedzią? Całe moje doświadczenie z siostrami klauzurowymi pokazywało, że nigdy nie były zainteresowane mną jako mężczyzną. Przypadkowe i krótkie rozmowy przy kracie zawsze były inicjo-

wane przez siostry. Zdawkowe pytania, czy nie jest mi za zimno, czy mi czegoś brakuje, o której jest zamykany klasztor i żebym uważał na bezpieczeństwa psy, które czasami wchodzi do klasztornego ogrodu. Nie wyczułem od nich żywszego, kobiecego zainteresowania. Raczej dziecięcą ciekawość, że pojawiają się jako gatunek nieco nieznany, ale ostatecznie mało zajmujący. Ja sam odbierałem ich kobiecość jak „babciną”: ciepłą, bezpieczną, całkowicie asekualną, niewinną. Może dlatego często łapię się na tym, że w tych zdawkowych rozmowach z którąś z siostr czuję się jak dziecko. Bezpieczny, czysty, wolny od seksualności. Poza snami.

Niedziela w klasztorze jest zawsze inna od pozostałych dni.

Zakonnice rozpoczynają dzień zwyczajnie o świcie, śpiewając jutrznię. W pozostałe dni, zaraz po pierwszych psalmach, udają się na mszę. W niedzielę msza jest jednak dwie godziny później. Co zrobić z darowanym czasem? W klasztorze – dla mnie – odpowiedź wydaje się być oczywista.

Pisze mi się powoli, ale równo. Słowa w ciszy brzmią mocno. Piszę przez dłuższą chwilę bez wytchnienia, pokój wypełnia się dźwiękiem stawianych liter. Dopiero później, gdy odchylam się do tyłu na krześle, dociera do mnie wibrujące w skromnym umeblowaniu echo uderzeń w klawiaturę. Czy nie obudziłem nikogo z tych, co śpią gdzieś tam za ścianą, w czeluściach tego wielkiego budynku?

Dopiero teraz dociera do niego sens innego rozkładu dnia w niedzielę. Ten dzień musi się wyróżniać spośród innych, choć w klasztorze wszystko pozostaje na swoim miejscu. Siostry wciąż będą otwierać swoje brewiarze, śpiewać psalmy, spędzać czas na własnej modlitwie. Zamiast pracy w ogrodzie czy w pracowni haftu zostanie dodany czas na wspólne rozmowy. To jednak msza pozostaje centrum dnia. Eucharystia, która się spóźnia, jest Eucharystią, której smak odkrywa się wciąż na nowo.

Na mszy w kaplicy łatwo rozpoznać tymczasowych mieszkańców klasztoru, różnią się od parafian. Pierwsi są przezornie ubrani w swetry tak kontrastujące z upalnym majem. Okoliczni mieszkańcy wyjęli za to ze swych szaf garnitury, białe koszule, gustowne lekkie sukienki.

118

Kaplica wypełnia się całkowicie ludźmi. Nowobogacy z rozsianych po polach i wzgórzach domków wciąż różnią się od miejscowych. Kobiety zbyt szczupłe, zbyt zadbane, mężczyźni z wypisanym w oczach utraconym sensem gonitwy za króliczkim dobrobytu. Zbudowali lub kupili dom za miastem, a teraz widzą, jak córki i synowie opuszczają ich, jadąc w świat. Powoli dociera do nich, że sami skazali się na samotność, choć nie chcieli takiego życia. Pozostała im żona, a do picia, zamiast kumpla, kominek lub wielki telewizor. Ale mają za to dom.

W niedzielę wszystko jest inne. Śniadanie jedzone w dni powszednie około godziny 8 teraz jest jedzone około godziny 10. Jestem głodny, jestem zły. Zagłuszam burczenie w brzuchu

kolejnymi kromkami chleba. Z Beatą i Jerzym wymieniam zdawkowe uprzejmości. Różni się. Pozostają dla nich przeciwnym brzegiem niż ten, do którego chcą zmierzać. Wyruszają w inną stronę, ale sama moja obecność, konkurencyjność mojej Reguły Obrączki wobec ich domniemanej Reguły Habitu, podważa dotychczasową pewność. Mówiąc inaczej, stałem się dla nich pytaniem: „a może jednak ten sposób?”. Są zawieszeni pomiędzy dwoma brzegami, jeszcze nieodrodzeni, a być może już umarli. Pozostają Charonami własnych żywotów...

W pokoju czytam to, co napisałem rano. Jest tu jakaś klarowność myśli. Nie jestem w stanie pociągnąć dalej, rozwinąć tego dalej. Może rzeczywiście powinienem pisać tylko rano? Uderzam jeszcze palcami w klawiaturę, ale to już nie to. Rzeźbię kolejne zdania, jednak czuję, że są puste, że pozostają tylko formą bez życia. Jakby odcięto mnie od prądu. Nie zapłaciłem duchowego abonamentu?

Z doświadczeń wiem, że będąc w klasztorze, muszę poświęcić przynajmniej godzinę na spacer. Siostry rozwiązują to inaczej. Obowiązuje je przydział obowiązków, określona liczba godzin pracy fizycznej. Pracownia haftu, kuchnia, ogród, pracownia ikon. Ze mną jest inaczej; będąc gościem w domu objętym regułą zakonną, na dobrą sprawę muszę sam stworzyć sobie porządek dnia. Jest tylko kilka punktów, w których nasze rytmy dnia spotykają się. Przede wszystkim łączy nas liturgia godzin, która wyznacza porę wstawania i udawania się na spoczynek. Dalej Eucharystia. I posiłki. O całą resztę muszę zadbać sam. I niby zapakowałem do plecaka buty do biegania, i niby wyznaczyłem sobie dzienną porcję pompek, brzuszaków i grzbieców, i coś tam jeszcze roilo mi się w temacie rozciągania, ale... Spaceruję. Z góry i pod górę. Oddech wplątam pomiędzy paciorki różańca.

Spacerując, wsłuchuję się w pojawiające się we mnie echo. Jeszcze nigdy nie przyjechałem tu sam. Ktoś zawsze zabiera się we mnie na gapę. Cisza powoduje, że przeszłość odzywa się wyjątkowo wyraźnie. Nie można jej zagłuszyć. Podpełza i każe spojrzeć sobie w oczy. Najczęściej powracają wydarzenia nieprzyjemne. Na tej ścieżce przewędrowałem już z niejedną osobą. Z kim dziś przyjechałem? Z zaskoczeniem odkrywam, że z... „Madame” Libery. Nigdy mi się to wcześniej nie zdarzyło. Nagle jakaś tęsknota za powtórnią lekturą. Ale za czym ta tęsknota? Za bohaterami, których już niezbyt pamiętam? Za intrygą, której nie potrafiłbym już rzetelnie streścić? Libera, „Madame”. Dlaczego nie żywy człowiek, z którym relacje wymagałyby ode mnie wewnętrznego przepracowania, modlitwnej intencji? Przecież nie pogodziłem się ze wszystkimi, z połową świata mam na pieńku. Może zamiast walki zaczyna przyzywać mnie do siebie po prostu piękno?

Niedziela burzy klasztorną regułą, dlatego jej nie lubię. Schroniłem się w tych murach, aby poddać pokornie głowę pod jarzmo jednakowych dni. Mam dosyć chaosu wokół siebie, zbyt wyraźnie czuję na karku oddech pstrokatej bestii. Uciekłem od przypadkowych spotkań, nadmiaru ludzi, e-maili i telefonów. Nie na długo. W niedzielę najczęściej przyjeżdża ktoś z rodziny któregoś z sióstr albo pojawiają się jakieś grupy modlitewne z Olsztyna. W porze obiadu jest

już nas więcej. Obok Beaty i Jerzego siedzą już dwie panie w średnim wieku. Wymieniłem jakieś zdawkowe uprzejmości, siłą się, aby zagłuszyły próbujący się ze mnie wydostać skowyt: przyjechałem tu pisać.

A pisanie nie idzie. Zamiast tego, co zaplanowałem – ból kręgosłupa od kilkugodzinnego siedzenia przy biurku. Moja straż dzienna, straż nocna. Albo lepiej tak, bez metafory, jak powiedział to Filip: dupogodziny. Znęcam się nad sobą i zapytuję raz po raz: wysiedziałeś już swoje dupogodziny? Możesz zejść z posterunku? Nie piszę tego, co sobie założyłem, dlatego – żeby w ogóle pisać, psiamać – piszę dziennik.

Gdy ból kręgosłupa staje się już nie do zniesienia, kładę się na podłodze. Twarda powierzchnia przynosi ulgę plecóm. Czytam Jacoba Taubesa „Zachodnią eschatologię”. Na stronie 9 pomiędzy wierszami znajduję ukrytą myśl, że pierwszym słowem człowieka wobec Boga jest słowo „nie”. Jestem sparaliżowany. Od chłodu podłogi. Od bólu pleców. Od trafności tej myśli. Moje życie znalazło swoje wyjaśnienie.

Nie chce mi się już pisać. Nie dziś.

PONIEDZIAŁEK

Początek tygodnia, zacznijmy od początku.

Topografia miejsca:

Spręcowo, dawniej Spiegelberg, znane też jako Spręcewo. I ta nazwa ostatnia jest bardziej melodyjna. Ale na miejsce, w którym się znajduję, mówi się skrótowno: Karmel.

Topografia duszy:

Zakon karmelitów, dziwny twór. Nie wiadomo nawet, kiedy dokładnie powstał. Karmel to góra w Palestynie, nad Morzem Śródziemnym. Przyjęło się mówić góra Karmel, choć bardziej to pasmo górskie, dość długie, bo ma aż 25 kilometrów. To dużo. Jak się potem okaże, tyle miejsca szybko się przyda. Karmel oznacza „ogród”. Dziwna nazwa, zarówno dla samej góry, jak i dla zakonu. Góra jak to góra – kamienie, pieczary, uskoki skalne – żadna tam roślinność kojarząca się nam z ogrodem. Chodziło zatem o inny ogród, ogród obecności Boga. Oaza. Raj. Dla późniejszego zakonu to nie lada problem. Podczas gdy inni bracia wskazują w swych nazwach na konkretne miejsca powstania, jak Citeaux, Jerozolima czy Camaldoli, oni wskazują na miejsce, które odsyła do innego miejsca. To tak, jakby na pytanie „skąd jesteś”, odpowiedzieć „stamtąd”. Ani to konkretne, ani znowu ładne. Ale był też inny problem. Zakonne nazwy wywodzą się od miejsca albo od założyciela. Z karmelitami jest znowu problem. Inni mają swoich Franciszków, Benedyktów, Dominików, a oni

nie mają nikogo. Jako swojego założyciela wskazują postać z samego wnętrza Biblii, proroka Eliasza.

Kroniki podają, że zakon karmelitański bierze swój początek w czasach krucjat. Z głównego nurtu krzyżowców co i rusz ktoś z nich odłącza się i przybywa na górę Karmel. Wiele jaskiń umożliwia ukrycie się. Zrzucają stare ciuchy i dawne imiona i zaczynają być pustelnikami. Nie wiele wiemy o ich regule, zresztą jeszcze niespisanej. Na pewno żyją w odosobnieniu, w milczeniu i w ciszy, spotykając się co jakiś czas na Eucharystię. Prosił Boga o przebaczenie. Może o cofnięcie czasu. O to, by dosięgła ich sprawiedliwość. Albo zapomnienie. Albo miłosierdzie. Można to ująć jednym zdaniem: dzień i noc rozmyślali o prawie Pana. Czy znaleźli to, czego szukali? Na pewno zostawiono ich w spokoju. Zwierzchnik Jerozolimy zaczął nazywać ich świętymi mężami. Zdziczali ludzie na dzikiej górze, z której podobno było bliżej do Boga.

Upada Jerozolima, upada Edessa i Akka także. Królestwo Jerozolimskie zwija manatki. Krzyżowcy wracają do domu, a wraz z nimi ludzie góry Karmel. Europa nie wita ich z otwartymi ramionami. Jest już dosyć zakonów, więcej nie potrzeba. Ci, którzy mogą, odnajdują się w istniejących już zakonach, inni mają zbyt duże poczucie odrębności. Walczą o uznanie ich istnienia. Kto was założył, pytano wszędzie. Co mieli odpowiedzieć? Wstyd? Wskazują na Eliasza, krwawego, ognistego Eliasza.

W Europie nie ma już góry Karmel, są za to miasta, zamki feudalów, wsie i parafie. Papież zgadza się, niechętnie, bo już się zaczyna monastyczny tłok, na zatwierdzenie nowego zakonu. Karmelici, bo taką nazwę przyjmują, rozpoczynają mozolne określanie własnej tożsamości. Na razie są rozdarci: są pustelnikami z jaskiń, a mają opiekować się parafiami, wolą samotność, ale jednak tworzą wspólnotę, wreszcie muszą rywalizować o jałmużnę z innymi zakonami żebraczymi. Młodszy zakonnicy nie czują balastu góry proroka, chcą być nowoczesnym zgromadzeniem. Starsi chcieliby żyć dalej w cieniu swej góry. Zakon jest targany sprzecznymi dążeniami, wobec czego następują skrajne decyzje: młodszy przenoszą się do franciszkanów i dominikanów, starsi uciekają do cystersów, reszta czeka, sama nie wie na co. Żeby stać się zakonem, muszą ustalić swoją tożsamość. Decydują się na trzy wyznaczniki: góra Karmel, prorok Eliaasz, Matka Boża. Zaangażowanie apostolskie zostaje wygaszone, być może energiczni młodzi dojrżeli i nieco się zestarzelili. Zakon obrał kurs na pielęgnowanie modlitwy kontemplacyjnej, na przebywanie w duchowym ogrodzie Boga.

Topografia miejsca, jeszcze raz:

Za klasztorem znajduje się pas ziemi niczyjej. Teren nierówny, teren podmokły. Tu i tam rowy, zagłębienia, w nich puszczające do mnie oko kałuże brudnej wody. W oddali jest las. Początkowo niski, karłowaty, który potężnieje, im dalej jest od poświęconej ziemi. Zawsze mnie to zastanawia, dlaczego ziemia naprzeciw klasztoru jest tak nieurodzajna? Przecież ogród klasztorny jest rozległy, owocujący, pachnący, żyjący. Dlaczego zatem przestrzeń na-

przeciwko jest tak odmienna? I jedyne, co mi przychodzi do głowy, to wyobrażenie, że jest to konflikt sięgający znacznie głębiej i dawniej. Że tu, gdzie stoję, jest poświęcona ziemia, a tam, gdzie patrzę, jest ziemia pradawnego kultu. Że z przestrzeni chrześcijaństwa spoglądam na pruską przestrzeń. Że to, co nie zostało skropione w imię przedziwnego boga przybyszów, skryło się pod poszyciem. Że chociaż miejscowi odwrócili się od wiary w dawnych bogów, to pierwotne bóstwa pozostały na swoim miejscu. Co mogło znajdować się na tym dziwnie ukształtowanym terenie? Może cmentarz. Teren podmokły zawsze stanowił naturalną granicę między Tam a Tu. Na bagnach chowano wyrzuconych poza społeczność – tych, którzy dopuścili się porwania na świętość: zdradzających małżonków oraz świętokradców. Stałbym więc na przecięciu dwóch terenów, z których każdy jest święty na swój sposób?

Topografia duszy, jeszcze raz:

Klasztor w Spręcowie powstał w 1985 roku. Jest filią (córką) klasztoru w Elblągu. W połowie lat 80. przekazano obecny teren karmelitankom. Oficjalne rozpoczęcie życia zakonnego to rok 1994.

Ale mnie interesuje historia schowana za uroczystymi datami. Teren pod klasztor przekazał Mikołaj Suszyński wraz z żoną Czesławą. Mikołaj brał udział w kampanii wrześniowej, trafił do niewoli sowieckiej. Wywieziony na Syberię cudem uniknął śmierci przez zatopienie barek z jeńcami na Morzu Północnym. Swoje ocalenie zawsze przypisywał Matce Bożej. Teren pod klasztor jest więc wotum. Ale też wezwaniem do mieszkańców za klauzurą: pierwotną intencją tego miejsca nie jest wasze zbawienie, ale wieczny spokój tych, nad którymi zamknęły się lodowate wody.

Legenda do mapy:

Spręcowo (Spręcowo) jak Karmel, Łyna jak Jordan. Olsztyn – Atlantyda Północy, Jerozolima Północy. W trzech rogach tej dziwnej mapy zmarli. W czwartym ja.

WTOREK

122

Codziennie widzę kratę. Rankiem podchodzi do niej kapłan, otwiera tabernakulum – jedyne wyjście. Popołudniem wpatruję się w nią podczas samotnych godzin brewiarzowych. Wczorzem bardziej wiem, niż widzę, że po drugiej stronie ktoś jest i podejmuje swoją wewnętrzną wędrówkę.

Karmelińska klauzura początkowo była powtórzeniem samotności oferowanej przez górę Karmel. W XVI wieku podczas reformy terezańskiej powrócono wyraźniej do tego wymiaru. Klauzura jest sposobem życia pustelniczego w świecie, powtarzano. Zamknięta przestrzeń, wysokie mury, pojedyncze i niedostępne cele miały stworzyć klimat modlitwy podobny do

tęgo, który mogli przeżywać prorocy. Jeśli nie można było udać się na pustynię, należało ją stworzyć. Celem klauzury jest zogniskowanie całego życia – jedzenia, spania, pracy, modlitwy, studium – do przebywania w Obecności. Wszystko ma prowadzić do kontemplacji, przebywania sam na Sam. Ukryte życie monastyczne zmierza do tego, aby stało się na wzór równie ukrytego ogrodu, *hortus conclusus*. Ogród zamknięty, częsty motyw w sztuce średniowiecza i renesansu. To właśnie w ogrodzie – przydomowym, niewielkim – wyobrażano sobie scenę Zwiastowania. Scena cicha, skromna, gdzie Pan Bóg mówi wprost do duszy. Wkrótce zaczęto „ogrodowi zamkniętemu” nadawać znaczenie mistyczne, odwołując się przy tym do słów z *Pieśni nad pieśniami* (4, 12). To serce człowieka pragnącego zjednoczenia z Bogiem staje się ogrodem, do którego wstęp ma tylko Ogrodnik.

Współcześnie psycholodzy twierdzą, że jeśli nie masz ponad 100 znajomych na portalach społecznościowych, to twoje relacje ze społeczeństwem są patologiczne. Bo nie istniejesz. Klauzura wywraca to myślenie na nice. Ilekroć uda mi się porozmawiać z siostrą Joanną w rozmównicy, tylekroć jestem zdumiony. Pomijam wszystkie aspekty życia psychicznego – dowcip, koncentracja uwagi, ciekawość człowieka i świata, dialogiczna postawa z rzeczywistością. To wszystko jest w wyjątkowej formie do tego stopnia, że to ja się lękam o swój stan psychiczny. Ja nie mam w sobie aż takiego żartu, otwartości na innych. W rozmowach z siostrą Joanną zawsze delikatnie zasugeruję wątki polityczne. Siostry czytają znacznie mniej prasy i racjonują sobie dostęp do Internetu i telewizji, a mimo to ich ogląd sytuacji zawsze trafia w punkt. Widzą sedno problemu, potrafią przenikliwie nazywać rzeczy po imieniu. To ja, światowy człowiek, nie mam zdania, to ja jestem zagubiony i to ja potrzebuję przewodnika.

Przyjeżdżam tu raz na jakiś czas. Wchodzę w miejsce „przedklauzurowe”, jestem dopuszczony na dziedziniec pogan, dziedziniec gości. Żyję obok przestrzeni ciszy. To nie jest półklauzura, nie istnieje coś takiego. To, z czego korzystam, to czas odosobnienia, dni samotności. Nie nadaję im większego znaczenia, niż jest to konieczne.

Jerzy i Beata wydają się celebrować ciszę tego domu. Chodzą cicho, myją naczynia bez hałasu, wstydliwie przełykają kęsy pożywienia podczas wspólnego posiłku. W porównaniu do nich jestem niemal rubaszny: mokre talerze wysuwają mi się z łoskotem z rąk i uderzają o dno zlewu, siorbię gorącą herbatę, moje glany skrzypią na posadzce. Niewiele sobie z tego robię. Ciszę wyciąga z nas całą karykaturalność zamaskowaną dotąd hałasem. Mnie śmieszy celebrowanie młodych wobec świętej ciszy. Ich zapewne rozbawia do łez moja mantra: jestem tu, aby pisać.

ŚRODA

Dzięcioł nie pojawił się już ani razu. Teraz budzi mnie rutyna. Co więcej: nie mam nic przeciwko. Poddaję się jarzmu powtarzalności, dostrzegając, że ma to na mnie zbawienny wpływ. Potrzebuję teraz spokoju, muszę dojść do ładu ze swoim życiem, z pojawiającymi się emocjami, które mnie niepokoją. Powtarzalność sprawia, że czuję się bezpieczny, uspokojony. Co-

dzienny rytm jest niezmienny: pobudka, msza, śniadanie, pisanie, obiad, spacer, drzemka, czytanie, pisanie, kolacja, pisanie... Leczenie duszy rutyną, o tak.

Nie przestaje zachwycać mnie krajobraz. Codziennie ten sam. Który nie ma w sobie niczego atrakcyjnego. Przyjeżdżam do klasztoru w te same pory roku: wiosną, latem, zimą. Albo zie-leń traw, albo śnieg. Nigdy nie byłem tu w momencie złotej jesieni. Wciąż i wciąż lubię ten widok, który nie ma w sobie niczego zachwycającego. Ta sama odległa linia lasu, który skrywa w sobie jakąś tajemnicę. Mokradło, pas ziemi niczyjej, rozciągające się swoją nierównością od lasu do szosy. Wzgórze klasztorne, do którego prowadzi jedna ścieżka. Drzewa u podnóża klasztoru, wśród których czasem ćwiczę. Droga, którą codziennie schodzę z klasztoru i wspina-m się nią, aby do niego wrócić. Patrzę na to dzień w dzień i czuję, jak nasiąkam rozpoście-rającym się przede mną obrazem. Nigdzie mnie nie gna. Nie pamiętam urzekających widoków z moich wędrówek, przynajmniej teraz nie znajduję ich w sobie. Natomiast chciałbym wi-dzieć codziennie ten sam krajobraz z klasztornego wzgórza. W mieście nie mam tej rutyny, w mieście mam pstrokaczną bestii. Męczy mnie ciągły atak na moje zmysły, irytuje ciągle zmiana, której – zwłaszcza w kontekście Olsztyna – nie odbieram na lepsze. Zatem: leczenie krajobrazem, tym samym wciąż.

Jutro przyjedzie po mnie Mira z chłopcami. Kończy się czas odosobnienia. Nie mam śmiałości zapytać Beaty lub Jerzego, czy ten czas był dla nich owocny. Takich pytań się nie zadaje.

A ja? Coś tam napisałem. Nie to, co chciałem, i nie tak, jak tego pragnąłem. Nie wyrobiłem swojej normy. Dałem się jedynie prowadzić pochyłym literom. Trudno to teraz ocenić. Może gdybym został tu jeszcze kilka dni, może gdybym wszedł jeszcze głębiej w ciszę, w samotność, w powtarzalność dni...

Wracam. Zdecydowanie.

PIĄTEK

Nauczyłem się, że pobyt w klasztorze kończy się dopiero po kilku dniach od powrotu do domu. Inne prędkości, inna grawitacja. Trzeba nauczyć się używać od nowa zmysłów.

124

W czwartek Mateusz i Michał biegali pomiędzy głazami, na których przytwierdzono wyobraże-nie stacji drogi krzyżowej. Michał stanął przed Ukrzyżowaniem. Palcem trzyletniego dziecka pokazuje na siepacza z młotkiem. „O, pan majster”. Uwielbiam teologię uprawianą przez dzie-ci. Szatan jako Bob Budowniczy *teatrum mundi*?

Zastanawiam się, jaki ołtarzyk cierpienia teraz sam sobie zbuduję.

Marcin Cielecki

Adolf Israelski czyli tajemnice łyżki do butów

TOMASZ GLINIECKI

ur. w 1967 roku wieloletni dziennikarz, redaktor naczelny „Gazety Olsztyńskiej” i „Dziennika Elbląskiego” w latach 2006-2008, dr historii, regionalista, mieszka w Elblągu.

Powiedzmy od razu, że dziś połączenie imienia i nazwiska właściciela elbląskiego sklepu obuwniczego jawić się może co najmniej dziwne, ale właśnie dlatego zauważyć trzeba, że były takie czasy, kiedy bez żadnych podtekstów można było nazywać się Adolf Israelski.

Zaczęło się tak, że widząc na starej, pogiętej blaszce dziwny napis, miejscowy znalazca zdecydował się przekazać ją w ręce osób zawodowo zajmujących się przeszłością. Po oględzinach w muzeum kawałkiem metalu okazała się stara łyżka do butów. Znajduje się na niej napis: „Schuhwarenhaus, Adolf Israelski, Elbing, Brück-Strasse 16”. Tak, mamy do czynienia z łyżką z dawnego elbląskiego sklepu obuwniczego. Butami handlowano tu prawie sto lat temu. I dopiero po 1933 roku, kiedy niemieccy naziści z ich programowym antysemityzmem urosli w siłę, takie połączenie imienia z nazwiskiem do zbyt szczęśliwych nie należało. W kolejnych latach obywatele niemieccy żydowskiego pochodzenia doznawali różnych szykan, wśród których normą było demolowanie i zamykanie sklepów, przejmowanie przedsiębiorstw. W Elblągu dotyczyło to również i dużych firm, jak przodująca w Europie fabryka cygar Loeser & Wolff, którą – mimo pozostawienia nazwy – w zarządzanie

przejął „aryjczyk” Walter Beyer. Do początku II wojny światowej połowa Żydów niemieckich wyemigrowała. Z tych, którzy pozostali, 90 proc. zginęło podczas Holokaustu. Elbląg nie był na tym tle jakimś szczególnym wyjątkiem.

Adolf Israelski w latach 20. XX wieku handlował butami w sklepie ulokowanym przy jednej ze staromiejskich uliczek, dzisiejszej Mostowej. Pisał o niej w „Pangritz Kurierze”, współczesnym czasopiśmie byłych elblązan, pasjonujący się historią rodzinnego miasta Hans Preuss. Zauważał tam, nieco zastanawiająco, że w tej kamienicy był kiedyś, nieznany mu bliżej, sklep obuwniczy. Nam już znany, ale potraktujmy milczenie Preussa jako znak czasów i ludzi. Po tym, jak Israelski zniknął w otchłani przeszłości, w kamienicy pojawił się nowy interes, handel nasionami, prowadzony przez Heinricha Wibbinga. Za to przed Israelskim, już w 1896 roku, interesujący nas lokal handlowy należał do kupca Paula Schillera. W domu tym, w części mieszkalnej, w tym samym roku mieszkał też dr Robert Dorr. Dla miasta to postać szczególnie zasłużona, bo on – przez ponad 30 lat przewodniczący Elbląskiego Towarzystwa Starożytności, kustosz muzealny i profesor miejscowego gimnazjum – cały długi czas opiekował się miejskimi zbiorami archeologicznymi i propagował działalność w celu zgłębiania przeszłości okolicznych ziem. Tajemniczy sklep, o którym napomknął jedynie Preuss, udało się odszukać na starym zdjęciu z archiwów policji budowlanej. Jednak jest to fotografia wykonana już po odejściu Israelskiego i rozpoczęciu handlu nasionami przez jego następcę, skoro nad oknem witrynowym i drzwiami do sklepu widnieje napis: „Samenhandlung...”.

Łyżka do butów, która nas tak zaciekała, była jednym z elementów popularnego wówczas przyciągania klientów drobnymi przedmiotami reklamowymi, nierzadko upominkami wręczanymi nabywcom. W tym przypadku gadżet był jak najbardziej właściwy, tani i skuteczny. Przypominający o dobrym sklepie obuwniczym przy każdym zakładaniu butów. Lecz nie tylko tak reklamował się właściciel. Stosowne ogłoszenia z jego nazwiskiem znaleźć można było na łamach miejscowej prasy w drugiej połowie lat 20. XX wieku. Pierwsza z odnalezionych reklam to pracochłonna na owe czasy grafika gazetowa z butami kobiety i mężczyzny podczas jesiennej słoty, uzupełniona o treść mówiącą, że zdecydowanie warto kupować buty u Adolfa Israelskiego. Kilka innych ogłoszeń z 1925 roku przynosi wiadomości o przecenach i wyprzedażach, kilkugodzinnym otwarciu sklepu w niedzielę. W kolejnym roku również informował Israelski o swym sklepie w gazetowych inseratach, a kilka opłaconych przez niego reklam mówiło o butach tanich i solidnych, sezonowych obniżkach cen i aktualnej modzie. Jedna z opublikowanych reklam informowała o sześciodniowej przecenie na różnego typu buty dziecięce. Nie wiemy, o ile cena została zmniejszona, ale w zależności od typu i wielkości rozmiaru buciki dla najmłodszych kosztowały od niecałych dwóch do siedmiu i pół marki. W tym czasie niższe ceny miały też kapcie domowe dla pań – szmaciane półtora, skórzane zaś niecałe cztery marki. Następną reklamą to typowa informacja o szerokim wyborze, niskich cenach, obowiązkowo z nazwiskiem właściciela i adresem sklepu. Dwie kolejne reklamy ukazały się w 1928 roku w półrocznym niemal odstępie. Ogłoszenie czerwcowe napominało, że buty u Israelskiego są tanie. Tym razem zapraszał do zakupu wybranych

modeli dla kobiet, mężczyzn i dzieci. Chwalił się modnymi kolorami i eleganckimi wzorami dla pań, gumowymi podeszwami od amerykańskiego Goodyeara i popularnymi r-boxami tuż za kostkę dla panów. Sandaalki miał w popularnych kolorach: czerwonym, beżowym, szarym i niebieskim. W popularyzowanej ofercie było też obuwie sportowe dla obu płci. Reklama czwarta ukazała się w okresie przedświątecznym z hasłem: „Każdy chce mieć nowe buty” i propozycją zakupu ich w tymże sklepie. Grafika reklamowa z gałązkami świerku i płonącymi na choince świeczkami wyraźnie nawiązywała do tradycji świąt Bożego Narodzenia. Wyjątkowa oferta zawierała m.in. lakierki, śniegowce i ciepłe buty z wyściółką z wielbłądziej wełny. W przedświąteczną niedzielę, 23 grudnia 1928 roku, sklep Adolfa Israelskiego miał być otwarty między godziną pierwszą a szóstą po południu i oferować elblązanom praktyczne prezenty.

Reklamy Israelskiego były zamieszczane w gazecie „Freie Presse”, będącej organem elbląskich socjaldemokratów, związanych ze środowiskiem królewieckim. Gazeta ukazywała się przez krótki czas również pod tytułem „Elbinger Freie Presse”, a z perturbacjami była edytowana w latach 1925-1930. Nie uzyskała regularności wydawania, mając czasem jedno wydanie w tygodniu, a w lepszych latach codzienną edycję. Podobnie było z liczbą prenumeratorów, którzy stanowili o sile pisma. Ich liczba wahała się między 1000 a 4000 odbiorców. Duży wpływ na zamieszczane w piśmie treści mieli jego redaktorzy: Paul Schmidt, Paul Schulz, w końcowym okresie zaś Rudolf Haetzel. Głównym problemem gazety elbląskich socjaldemokratów był – naturalny w prasie dla robotników, niższych urzędników i drobnych właścicieli – chroniczny niedobór płatnych reklam. Przedsiębiorcy z Elbląga, Malborka i okolic stonili od reklamowania się wśród ludności ubogiej i wspierania zarazem pisma będącego w opozycji do ich liberalnych lub konserwatywnych poglądów. Tym ciekawsze okazuje się reklamowanie sklepu obuwniczego naszego „bohatera”, bo kilkakrotne pojawienie się w piśmie oznacza, że wybór nośnika reklam nie był przypadkowy i pan Adolf mógł z socjaldemokratami sympatyzować, wspierając ich inseratami swej firmy.

W 1930 roku, kiedy „Freie Presse” kończyło swe życie wydawnicze, sprzedawca butów Adolf Israelski dalej prowadził swój sklep przy Brückstrasse pod numerem 16. W razie potrzeby można było skontaktować się z nim telefonicznie, dzwoniąc pod numer 30-06. Nazwisko i adres widniały wówczas w corocznie wydawanej księdze mieszkańców miasta, tzw. Einwohnersbuch. Jednak kilka lat później właściciel sklepu obuwniczego zniknął z popularnego spisu mieszkańców, a lokal pod numerem szesnastym otworzył nowy już właściciel. Miesięcznik miejscowego towarzystwa pływackiego z połowy 1933 roku przyniósł informację, że Adolf Israelski przestał być członkiem stowarzyszenia. Nic dziwnego, kiedy na kolejnej stronie wielką czcionką cytowano już hasła jego niesławnego imiennika Adolfa Hitlera.

Akcent

Fromborska katedra potrafi wchłonąć niejedną sonatę, suitę czy adagio. Wystarczy jeden wirtuoz organów, który będzie umiał zręcznie wciskać czarno-białe klawisze klawesynu lub nożnie brązowe drążki leżące tuż pod jego stopami, aby renesansowe kadencje zaczęły sycić otaczającą przestrzeń.

W lipcową niedzielę 2003 roku nisza gotyckiego kościoła nad Zalewem Wiślanym wypełniła się kantatą „Aus der Tiefen rufe ich, Herr, zu Dir”. Barokowe anioły na bocznych ołtarzach mocno zadęły w tuby niebiańskie, a argentyński wirtuoz Geronimo Torre począł dodawać do Ermlandowego Universum brakujące tonacje mollowej harmoniki. Siedmioletnia kościelna cisza, zamknięta w czerwonej bryle katedry, została znów naruszona piszczałkami organów, oddechami turystów, gapiów i wiernych.

Muzyczny akcent zawierający kantaty, oratoria, msze i pasje przypominał o renesansowej przeszłości kanonii warmińskiej. A co śpiewano podczas przemiany heliocentrycznej we Fromborku, tego nie wie nikt. Kopernik miał wówczas głowę w chmurach.

W tę samą lipcową niedzielę inny muzyczny akcent nawiedził warmiński Frombork. Byłą pruską wrótnię

miejską przekroczyła w samopięt – czyli sama – kiejdańska gwara, a właściwie kiejdańska pieśń. Mollowe staccata, adagia, suity i kadencje ulatywały w obcą dla siebie przestrzeń, złączając ją fleksyjnymi ornamentami i semantycznymi koziołkami. Kresowy śpiew znad Niemna przypominał rośne zagajniki pokryte ściółką sucholeszczą, przez którą biła jaśń surowa i błada. Mowa, która spijała miód z pasiek przy grodzie Giedymina, skronie miała pocięte chruśniakiem, na głowie jedwabną ptyfenię, a piersi schowane w krasnej soroczce kupionej na jarmarku u Żyda w Trokach. Grała też wilniucka mowa w preferans na fornirze przykrytym wzorzystą serwetą, tuż przed wieczerzą z kołdunami nadziewanymi baraniną, blinami kartoflanymi, szczukami słodkowodnymi, suszonymi prunelkami i węgryznem.

Niestety, przyszło skonać jej na Warmii. Pozostała tylko pani Lusja Poznańska, która potrafi wyśpiewać każdą kiejdańską arię: z rajtarią huliaków i ze skoczną żurawiejką, z wiszenkami i z bakłażanem, z dymem snującym się nad Niemnem i mgłą kryjącą dachy północnej Jerozolimy – jak nazywali Żydzi Wilno. Ktoś podpowie, że jeszcze w Żugieniach i Rogiedlach można spotkać Wilniuków, którzy na łózkach piernaty układają pod sam sufit, a kaczergą ogień w popielniku mieszają. Jednakże ich dzieci i wnuki to już nie Wilniuki, nie wiedzą, jak przepasywać spodnie dziażką, jak zrobić błyskający szmermel z suchego łomu czy też jak zakwaszać zajęczy comber w skoworodzie. I nie powiedzą *Łabas dzienas* zamiast dzień dobry. To nie ich dom, to nie ich rzeka, to nie ich religia. Oni już nigdy nie zaciągną się tak jak Niemen mgłą na Litwie. Osiedli na swoim kurosadzie i pieją na każdą przedostatnią sylabę jak każdy Lach w Polsce. Nawet Geronimo Torre, artysta organów z Buenos Aires, próbuje ich naśladować, bo ma żonę Polkę. Wilniucka mowa nie będzie miała swojego epitafium. Jej akcent odleciał z powrotem nad niemeńskie łozy i schował się na Rossie.

CHORAŁY GREGORIAŃSKIE

*So may we sing the psalms that mind
and voice will blend in harmony.
„Rule of Saint Benedict”, chapter 19*

Do opactwa Saint-Benoît-du-Lac nad jeziorem Memphrémagog, we francuskojęzycznej prowincji Kanady – Québec, można trafić tylko przez przypadek. Ascetyczny, szary klasztor z wychudzoną wieżą dzwoniczą ukrywa się w tarczy morenowego pejzażu niczym szarotka w tatrzańskim turni.

Czy to przez wyobraźnię, czy przez telepatię, prowadząc samochód, da się słyszeć *Da pacem, Domine* na kilka ładnych mil od klasztoru. To Benedictes Moines [bracia benedyktyni] od stu lat, odkąd wygnano ich z Francji, porozumiewają się gregoriańskimi kanzonami ze swoim

patronem – świętym Benedyktem i Bogiem. Zresztą nie tylko śpiewem żyją tutejsi mnisi. Ich kozie i owcze *fromages* [sery]: – *Ermít*, *Gruyére* i *Ricotta*, klonowy syrop, jabłkowy dżem, sok i sos smak mają benedyktyński – jeśli takowy jest zdefiniowany. Zapewne też codziennie śpiewane kancjonały powodują połączenia *Spiritus Domini* pomiędzy elementarnymi częściami wchodzącymi w skład klasztornego universum. *Alleluia, Veni Sancte Spiritus*.

Stałem oparty o jedną z kolumn nośnych klasztoru, uczestnicząc w misterium eucharystii śpiewanej przez zakonników w białych habitach. Słyszałem, jak mnisie *chants* wsiąkają w wapienne lastryko nawy głównej i bocznych korytarzy.

Podczas jedynej odprawianej tu mszy wielkanocnej uwiodła mnie przeszłość: W 480 roku młody Benedykt wysłany został do Rzymu z rodzinnej Umbrii, by studiować prawa Boże. Szybko jednakże porzucił skorumpowany świat człowieka i ukrył się w grocie Subiaco, by kontemplować Boga w modlitwach. Ponieważ znaleźli się uczniowie, którzy chcieli podążać jego śladami, Benedykt opuścił grootę w 529 roku, by założyć sławny klasztor na górze Monte Cassino. Tam też spisał swoje ważne „Prawidła”. Niemalże święty za życia mnich zmarł w 547 roku.

W kruchcie kościoła Saint-Benoît-du-Lac śpiewana kantata *Victimae paschali laudes* drżała w wazie ze święconą wodą, nad którą zwiślał pryzmat boskiego oka uczepiony samego sufitu, co przypominało dzieło Salvadore Dalí „Sen”. Cały klasztor swoją konstrukcją oddawał to, co mógłby czuć każdy młody architekt po przeczytaniu Melchiora Wańkowicza „Monte Cassino”: *Przechodniu, powiedz Polsce...*, że nie tylko „Czerwone maki na Monte Cassino...” kwitną wdzięczną pamięcią po żołnierzach z Korpusu Strzelców Podhalańskich z 1944 roku, którzy nosili na pagonach szarotki z tatrzańskich turni.

Kościół w opactwie wypełniony był *Québécois* [mieszkańcy Québec] i turystami do ostatniego miejsca niczym Święty Krzyż w Braniewie, gdzie rezurekcji wielkanocnej świadkowałem tylko raz jako mały chłopak w trzeciej klasie. To właśnie tu do Prus i Warmii w X wieku wysłano z Monte Cassino świętego Wojciecha – przyszłego biskupa Pragi i patrona Polski – by wyzwał ludy z pogaństwa i grzechu. W trakcie podróży do Prus św. Wojciech spotkał się z Bolesławem Chrobrym na jego dworze. Stamtąd w towarzystwie 30 wojów udał się do Gdańska, a następnie z bratem Radzikiem i diakonem Benedyktem odpłynął łodzią do Prusów. Pierwsze spotkanie z nimi miało miejsce koło portu Truso, a kilka dni później zginął męczeńską śmiercią koło grodu Cholin w Pomezanii.

Kiedy słuchałem francuskiego *Notre Père* [Ojciec nasz] nad rozlanym jak naleśnik na patelni jeziorze Memphrémagog wokół Sowiej Głowy (morenowe spiętrzenie zwane górą), uświadomiłem sobie, w jaki to mistyczny sposób Wielka Niedziela kryje się w każdym języku. Przecież właśnie w Braniewie *Pater noster* spędzało mi sen z powiek i napędzało strachem, gdy pytałem babkę o wyjaśnienie łacińskiej zagadki szeptanego pacierza. Dzisiaj w kanadyjskiej

szkole, kiedy słyszę *Our Father*, przestaję się dziwić mojej warmińskiej „babuszcze”, która kiedyś goniła mnie – młodego poganina – do Świętego Krzyża na niedzielne nabożeństwo.

Z zadumy nad prusko-włoską przeszłością budzą kanadyjskie dzwony, których interwały czasowe wyznaczają klasztorne zajęcia: medytacje, pracę, a przede wszystkim śpiewanie psalmów jednoczących z Bogiem i z Jeruzalem, które to zalecił w swoich „Prawidłach” św. Benedykt. Tysiąc trzysta lat z okładem zeszło, zanim Kościół katolicki uznał chorały gregoriańskie za swoje własne. W XIX wieku w opactwie Solesmes powrócono do zaleceń świętego patrona. Odtąd też datuje się renesans tych pięknych śpiewów harmonijnie łączących melodie ze znaczeniem słów.

Wspomnienia o klasztorze Monte Cassino pamiętam też z Żelaznej – małej wsi zagubionej w Kurpiowskiej Puszczy, gdzie uczyłem od 1975 do 1978 roku. Na wrześniowe „upolitycznienie” szkół zaproszono mieszkańca wsi pana Berka. Pomyłką wielką okazało się goszczenie strzelca Korpusu Podhalańskiego, bo ten nie wiedział nic o bitwie pod Lenino i „sławnych” sowieckich generałach. Wprowadził zamęt w głowach dzieci i nauczycieli, opowiadając o generale Andersie i szarżach na benedyktyński klasztor u boku australijskich i hinduskich żołnierzy. Biel klasztornych murów, żółć prażącego słońca i czerwień krwi padających przyjaciół od kul zabarykadowanych Niemców była dla mnie wtedy czymś zupełnie nowym. Dziś wiem, że miałem szczęście widzieć i słyszeć kogoś, kto dawał prawdę słowom świętego Benedykta, które słychać w gregoriańskich chorałach mnichów z Saint-Benoît-du-Lac.

Waldemar Kontewicz

Ile poezji mieści się w fiaciku?

JAN JASTRZĘBSKI

ur. w 1952 roku, prozaik, krytyk literacki. Ostatnio opublikował powieść „Zaćmienie księżyca” (2014) i wybór opowiadań „Ona” (2015). Mieszka w Gołdapi na Mazurach.

*Przejechał, postępując fiacik, przyczłapały dwa
podniszczone polonezy.
Kazimierz Brakoniecki, „Ziemiectwo”*

Pokaż mi, czym jeździsz, a powiem ci, kim jesteś – mądrzą się niektórzy. Jeśli chodzi o mnie, to ostatnio, czyli od dziewięciu lat, kołaczę się po drogach škodą fabią, którą czasem nazywam fabiusią, a żona twierdzi, że na tym wyczerpują się zasoby mojej czułości. Zgoda, lubię ten samochód, nabyty zresztą za sprawą Ani, ale patrzę nań głównie pod kątem użyteczności.

A tu wyprzedzają mnie na podwójnej ciągłej merce, beemwice i audiki, siedzą na tylnym zderzaku, by za chwilę cisnąć w szyby drogowym miałem, ople, cytryny i renówki, dyszą chęcią zepchnięcia marudy z drogi szpanerskie terenówki. Powszednia jazda po mieście też podnosi ciśnienie, lecz zakazałem sobie pokazywania obraźliwych gestów. Za to nierzadko kalam usta niewybrednymi epitetami, gotowymi się przerodzić w lapidarne charakterystyki. Mimo wszystko nie znaczy to przecież, że każdy bliźni za kółkiem jest potworem.

Dawniej, w innej epoce, nie miałem takich problemów. Byłem niezmordowanym piechurem, który z ta-

kim samym zapalęm przemierzał warszawskie ulice i polne drogi. Sentyment do tych ostatnich mogłem jeszcze pielęgnować w początkach belfrowania na Warmii. A chrzest drogowy odbyliśmy z Anią w czasie wędrowki do niedalekich ponoć Sątóp, gdzie spodziewaliśmy się kupić lampę do pokoju i parę innych rzeczy. Zakupy się udały, a to, że zostały okupione dwunastokilometrowym marszem, bynajmniej nie przeszło bez echa. Jeszcze bardziej romantyczny był powrót z Bisztynka, dokąd udaliśmy się na „Pożegnanie z Afryką”, która do dziś pozostaje wielką miłością Ani. Za bardzo więc się nie zdziwiłem, gdy wówczas uznała, że dziewięć kilometrów, dzielących nas od Grzędy, winniśmy przebyć pieszo, aby móc dłużej rozkoszować się atmosferą filmu. Ale kiedy potrzebowało się lekarza albo chciało się zrobić gospodarskie sprawunki, nie przedstawiało się to różowo. Tym bardziej że autobusów było jak na lekarstwo, a ostatni z nich nawiedzał naszą wieś około szesnastej. Na szczęście pozostawały w odwodzie dwie syrenki sąsiadów, więc jakoś sobie radziliśmy i daleka była nam myśl o własnym samochodzie.

Świat, jak wiadomo, nie stoi jednak w miejscu, toteż pewnego dnia gruchnęła nowina, że w naszej szkole wkrótce rozpocznie się kurs na prawo jazdy. Ania, umysł postępowy, nie zamierzała zmarnować tej okazji, a ja podążyłem w ślad za nią tą ciernistą ścieżką cywilizacji. Co ciekawe, nie mając do tej pory łączności z motoryzacją, należeliśmy do nielicznych kursantów, którym instruktor wróżył sukces. Jego przewidywania sprawdziły się – egzamin zdaliśmy za pierwszym razem – i oto latem '86 roku wszystkie drogi stanęły przed nami otworem.

Mój młodszy brat Marian przyjął nasz sukces z mieszaniną radości i zdziwienia, a później – jako człowiek praktyczny – podjął starania, dzięki którym jesienią następnego roku staliśmy się właścicielami samochodu marki Fiat 126p. W ten sposób spełniło się proroctwo Edwarda Stachury, który w pewien majowy zmierzch, witany w pewnym miasteczku, powiedział do mnie z odrobiną smutku w głosie: *Kiedyś też będziesz miał samochód*. Odebrałem to niemal jak obelgę i – cokolwiek urażony – gwałtownie zaprotestowałem.

* * *

Mieliśmy więc samochód, co niektórzy wzięli nam za złe, bo ujrzeli w nas bogaczy. I faktycznie staliśmy się bogatsi, ale o kłopoty, ponieważ nasz fiacik coraz to ujawniał swoje słabe punkty. A ja nie byłem „majstrowaty” i gdyby nie złote ręce mojego sąsiada Bogusia, przepadłbym z kretesem. Na domiar zmartwień benzynę kupowało się wtedy na kartki, z czym właśnie wiązała się nasza pierwsza samochodowa przygoda. Otóż w maluchu nie działał między innymi wskaźnik poziomu paliwa. Zaradzałem temu, wożąc w kanistrze parolitrową rezerwę; komuś go jednak pożyczyłem, wrócił do mnie pusty i prędzej czy później musiało coś się zdarzyć. Ale dlaczego akurat w drodze na „Misję”? Niestety, w pobliżu Bisztynka silnik nieodwołalnie zgaśł. Listopad, wieczór, wiatr. I szybka decyzja: Ania zostaje na straży, ja – kanister w dłoń i na CPN. Tylko że w tym wypadku kartka na benzynę nie rozwiązywała problemu. Próba zakupu paliwa bez stojącego obok samochodu właściwie pachniała kombinatorstwem, lecz byłem tak zziąjany, że pracownik stacji uwierzył mi na słowo. Powrót z ciężkim

kanistrem musiał swoje potrwać, toteż do kina dotarliśmy spóźnieni. Gdy wślizgiwaliśmy się na widownię, ekran wypełniał się pamiętnym obrazem wielkiej kipieli i spadającego w nią krzyża. Wszakże mnie bardziej zapadł w pamięć widok Ani, tkwiącej w ciemności obok unieruchomionego auta, które dodawało jej odwagi migotem awaryjnych świateł.

Ot, zdarzyło się i koniec. Natomiast wiecznym utrapieniem było łapanie gum i zakład wulkanizacyjny w Bisztynku sporo na naszym fiaciku zarobił. Pierwszego kapcia oczywiście się nie zapomina. Wracaliśmy wtedy wieczorem z Bartoszyc i, wymęczeni na fotelu dentystycznym, wśluchiwalismy się z lubością w opowiadki, którymi bawiła nas emerytowana pani od polskiego. Zjechaliśmy już z głównej drogi i w całkiem dobrych humorach dojeżdżaliśmy do Łabławki, kiedy raptem samochodem zakołysało. Przymusowy postój. No tak, lewe tylne koło... A tu ani latarki, ani praktyki. Koła niezablokowane, źle dobierane klucze i tak dalej. Oglądane potem w domu dłonie prezentowały się żałośnie, ale zachowałem wszystkie palce. Wszelako ćwiczenie czyni mistrza i niebawem doszedłem do takiej wprawy, że, jak żartowałem, mógłbym zmieniać koła w czasie rajdów samochodowych.

Ta biegłość jednak nie na wiele się zdawała przy kapciu podwójnym. Nie wiem, czy Ania i jej koleżanka Grażyna jeszcze pamiętają, że u początków ich pedagogiczno-dyrektorskich karier stał brązowy samochodzik, którym przed laty, niedziela w niedzielę, jeździły do Olsztyna, doskonaląc się w terapii pedagogicznej. No i pewnego niedzielnego ranka, zaraz za Prositami, niestety, kapciuszek. Szast-prast, zakładam zapasówkę i naprzód! Ale tuż po wjeździe do Barczewa powtórka z rozrywki. Absolutny kapeć i żadne dopompowywanie dętki nie wchodziło w grę, choć tym sposobem przejechałem kiedyś czterdzieści kilometrów. Wsiadliśmy więc do podmiejskiego autobusu, po czym dotarliśmy do mieszkania znajomych Grażyny, skąd zadzwoniłem do Bogusia. Ten wyraźnie się ożywił, bo w niedzielę chyba ździebko się nudził, a że zostawiliśmy mu klucze od drzwi, znalazł w „zachowanku” rezerwową dętkę i, rozumiem się, dostarczył ją syrenką do Barczewa. Poezja!

A wracając do Grażyny, to właśnie z nią i Wojtkiem Zgolińskim, moim ówczesnym szefem, odbyłem swoją najtrudniejszą fiacikową podróż. Działo się to na znajomej trasie Olsztyn–Bisztynek, lecz nocą i we mgle tak gęstej, że ustępowała jej nawet ta z „Siekierzady”. Wiodczość niemal żadna i taka też szybkość. W dodatku przykleił się do nas jakiś samochód, dobijały mnie jego światła wypełniające wsteczne lustro. Swoją drogą radziłem sobie w tej mgle-wielu dosyć dobrze i dopiero na skrzyżowaniu w jakiejś podbisztynckiej wsi usłyszałem krzyk Wojtka: *Uważaj!*, a przed sobą ujrzałem płot... Ale od czego są hamulce?

Za to kapci w tym czasie prawie już nie łapałem. Prawie, bo oto w jesienne niedzielne przedpołudnie zapukał do drzwi Franek, nasz nowy sąsiad, i wydukał, że jego żona chyba będzie rodzić, więc może by tak do Bartoszyc... Jak trzeba, to trzeba. Zabrała się z nami również Ania, żeby dodawać Lilce otuchy. Prowadziłem w niej jakim napięciu, bezwiednie dociskając pedał gazu, i w pewnej chwili, psiakość, guma. Pamiętam jak dziś: Lila stoi na poboczu

i trzyma się oburącz za brzuch, Ania próbuje zatrzymać jakiś samochód, a Franek i ja szukamy czegoś, co można by podłożyć pod koła... W każdym razie zdążyliśmy. Czy to nie poezja?

Może z tą poezją trochę i przesadzam, co nie zmienia faktu, że jeżdżenie fiacikiem miało pewien poetycki urok. Na przykład często urywała się w tym aucie linka od rozrusznika, toteż wozilem ze sobą kijek, który pomagał uruchamiać owo urządzenie. W pewnych sytuacjach przydawała się także gumka do włosów. Kiedyś ktoś znowu doradził mi zmianę kopułki przerywacza. Wymieniłem ją akurat przed jazdą do Gołdapi, która z tej przyczyny trwała pół dnia. Traf chciał, że był to 25 czerwca 1988 roku – finał Euro – i nie zobaczyłem na żywo kapitalnej bramki van Bastena strzelonej Ruskim. Oczywiście przeżyliśmy jeszcze przygodę z wachaczem, który trzasnął na dołku we Franknowie, i parę innych historii, lecz wszystkie te urozmaicenia fiacikowi wybaczałem, pomny tego, że nie zawiódł owej listopadowej nocy, gdy z duszą na ramieniu wiozłem Anię do szpitala. Warunki były już zimowe, zaś drzwi od strony pasażera nie chciały się domknąć. Ofiarnie przytrzymywała je Tereska Zgolińska, żona wspomnianego Wojtka – której zawsze będę wdzięczny za to, że wtedy z nami pojechała.

A najjaśniejszym momentem w dziejach tego samochodu jest z pewnością ów cudowny majowy dzień, w którym wiozłem z Biskupca urodzonego tam mojego syna Aleksandra – prócz świeżo upieczonych i przejętych do cna rodziców towarzyszył mu w tej podróży niebieski miś: jego pierwsza zabawka. Nawet olsztyński finał Pucharu Polski między Legią (z Dziekanowskim i Koseckim) a Jagiellonią (z braćmi Bayerami), na który wybrałem się z Waldkiem Żakowskim, to w zestawieniu z tym świętem tylko miły epizod.

Późną wiosną '92 zacząłem żegnać się z Warmią. Ania i Alek od listopada mieszkali już w Gołdapi, a ja jeszcze parę tygodni miałem „posiedzieć na Grzędzie”. Wszakże w każdy weekend jeździłem do moich, przewożąc przy okazji różne rzeczy. Wielkość ładunku i stan kół za każdym razem zatwierdzał Boguś, najbardziej zresztą spokojny o wahacz, który sam wykonał, gdyż w okolicznych miasteczkach była to rzecz nieosiągalna.

Pewnej soboty główny ładunek stanowiły szafki kuchenne. Za Kętrzynem minąłem stojące na poboczu dwa maluchy, z wyglądu znacznie nowsze od mojego i wypucowane jak się patrzy. Ich młodzi kierowcy i pasażerowie obojga płci najwyraźniej jechali na wesele. Skończyli właśnie postój i wskoczyli do samochodów. A we mnie zagrała krew: utrzyć im nosa na oczach ich dziewczyn, ot co! O dziwo, ten ambitny plan mógł się powieść. W Węgorzewie zgubiłem rywali i myślałem, że już po zawodach, lecz wkrótce pojawili się za mną jak rozdrażnione charty. Deptałem pedał gazu, szafki klekotały ostrzegawczo i choć bywało ciężko, wciąż w tym durnym wyścigu prowadziłem. I nie odpuściłem aż do Bań Mazurskich, które dla ścigających mnie młodzieńców okazały się miejscowością docelową. *I co, nie daliście rady dziadkowi* – zachichotałem złośliwie, a stuknęła mi wtedy dopiero czterdziestka.



Natomiast nie byłem z siebie zadowolony po późniejszym wyczynie, którym było wyprzedzenie TIR-a na trasie Grajewo–Łomża. Otóż miałem za sobą połowę tego manewru, gdy z asfaltu wyrosła nagle czarna bestia (przegapiony znak? przeoczona górką?) i gnała wprost na mnie. Bezsensownie zerknąłem na licznik. Dobrze, że jadę sam, błysnęło mi w głowie, nim w ostatniej chwili wbiłem się w zbawczą lukę. No, może w przedostatniej, skoro bestia nie mignęła wściekle światłami i nie dzielił mnie w potylicę ryk klaksonu TIR-a. Tak czy inaczej, władzę w prawej ręce odzyskałem gdzieś koło Zambrowa.

* * *

Okres gołdapski to już ostatnie lata fiacika, choć sypał się, trzeba przyznać, z godnością. Naturalnie od czasu do czasu płała figle, jak to maluch, o czym przekonał się Mirek Słapik, któremu w Suwałkach zgotował niewolę zablokowany pas. Rozbawiony i próbujący wybić się na niepodległość poeta chyba nie przypuszczał, że właśnie w tych okolicznościach liryka wiązała się cichym sojuszem z techniką. Umacniał się on zaś w czasie corocznych Jesiennych Dni Literatury, kiedy wspierałem organizatorów jako kierowca. Kogóż to w te nasze jesienie nie wozilem? Przede wszystkim Marzannę Kielar, laureatkę nagrody im. Kościelskich i prawdziwą gwiazdę tych spotkań. Raczej nie narzekała na brak towarzystwa, lecz ja miałem niejako patent na odwożenie Poetki do domu jej rodziców. Z podwózek moim autkiem korzystali też Zbyszek Fałtynowicz i rzeczony Mirek Słapik, czuwający nad przebiegiem Dni, czynili mu zaszczyt twórcy z regionu: Józka Drozdowska, Wacław Klejmont, Marek Borawski i Tadeusz Dawidejt, jak również honorowali je goście ze świata: Grażyna Dobrzeńko, Dariusz Bugalski czy Andrzej K. Waśkiewicz. A pamięć podsuwa jeszcze nazwiska Józka Romasza, operatora filmowego, i Zbigniewa Waszkielewicz, człowieka teatru.

Na liście pasażerów fiacika osobne miejsce zajmuje Kazimierz Brakoniecki, bardzo ważny dla mnie poeta, którego poznałem w latach 70. w Warszawie. Tymczasem, ni stąd, ni zowąd, nastał grudzień '94 i oto jechaliśmy z Gołdapi do Olecka, gdzie Kazik miał spotkać się z młodzieżą – towarzyszył nam Mirek Słapik, który nie narzucił się ze swoją narracją. Rozmawialiśmy zatem o pisaniu, wspominaliśmy wspólnych znajomych, a ja – świadom jego wzrostu – współczułem mu w duchu, że musiał zatykać sobie uszy kolanami. Autor „Zeszytów Jedynejo” nie poskarżył się jednak ani słowem.

Po spotkaniu chciałem co prędzej ruszyć w drogę, bo nocna jazda nie była moją mocną stroną, lecz poeci zapragnęli pospacerować i puszczali mimo uszu moje marudzenie. Zdążyliśmy więc potem do Gołdapi w ciemności, sprzymierzona zresztą z porządnym deszczem. Jechaliśmy i jechaliśmy, a ja się usprawiedliwiałem, że lepiej tak się wlec, niż skrócić kark. Kazik zaś w pewnej chwili rzekł: *Proponuję wyłączyć światła. – Ależ, Kaziu – westchnąłem – cały czas są włączone.*

* * *

I tak się jeździło, a czas biegł, lata płynęły, podsuwając nam takie lub inne samochody – a może kolejne mamidła. Mimo wszystko ciekaw jestem, czy Zbyszek Chojnowski nadal jeździ škodą, natomiast wiem, że Zbyszek Fałtynowicz postawił na volkswagena golfa, Wojtek Kass śmiga toyotą avensis, Janeczka Osewska zaś porusza się rozważnie samochodem Suzuki Swift. Ostatnim samochodem Henia Sekulskiego był z kolei volkswagen passat, a Wacław Klejmont pozwalał się wozić srebrzystą fabią. Tylko Kazik Brakoniecki i Mirek Słapik tak są zakochani w swoich metafizycznych rowerach i tak pogrążeni w rowerowych medytacjach, że mogli nawet nie zauważyć nielekiego zamieszania, które wywołał Szczepan Twardoch, zostając ambasadorem marki Mercedes-Benz Polska.

Co do mnie, to jeżdżę sobie, bo jeżdżę, zadowolony z tego, że „fabusia” sprawia mi niewiele kłopotów. Tyle że coraz częściej parkuję w pobliżu przychodni, szpitali i cmentarzy. Cóż, taka karta. Taki przyszedł czas.

Jan Jastrzębski

METAFIZYKA MIEJSC

112 schodów

**IWONA
BOLIŃSKA-WALENDZIK**

dr sztuk pięknych, uprawia batik, zajmuje się też witrażem, projektowaniem graficznym, ilustracją książkową; autorka wielu wystaw indywidualnych, prezes Warmińsko-Mazurskiego Stowarzyszenia „Areszt Sztuki” w Olsztynie; pisze wiersze i małą prozę.

W,
jak wejście w głęboki śnieg. Nogi zapadały się w nim po kolana.

Szliśmy lasem w pobliżu wsi Nerwik, konary drzew otulone białym puchem zasłaniały całe niebo. Wiatr w swym szumnym graniu zrzucał białe w dół na białe. Podążaliśmy skrajem lasu, napotykając coraz więcej tropów jeleni. Idąc ich śladem, dotarliśmy do miejsca, gdzie na polu leśniczy zrzucił kisonkę. Śmierdziało, ale widać, że smakowało i jeleniom, i dzikom, i innym mieszkańcom ostępów. Pokrążyliśmy chwilę, odszyfrowując zwierzęce tropy w wydeptanym śniegu. Wracając do lasu, trafiliśmy do młodego zagajnika. Był to dziwny zakątek. Odnaleźliśmy tam mnóstwo śladów bytności jeleni. Wygrzane bezśnieżne legowiska, odchody, okorowane przez nie drzewa. Wygryzione kawałki pni wyglądały, jakby szalony rzeźbiarz próbował coś w nich wyrzeźbić i szukał odpowiedniego materiału. Dookoła panował półmrok pomimo bieli śniegu. Na karkach czuliśmy wzrok rzeźbiarza.

W,
jak wyprawa, spacer po lesie, polach i wszystkim, co się da przejść prawie suchą stopą.

Celem tym razem było znalezienie, wykopanie i dostarczenie do ogrodu przebiśniegów, które powszechnie znane są z tego, że nie patrzą na nic, szczególnie na leżący na nich śnieg, i gdy tylko poczują, że słońce dłużej błądzi po nieboskłonie, wyciągają się ku górze jak białe kapsuły małych radości.

W plecaku wędrowca miałam łopatkę i coś na przeniesienie skarbu.

W powietrzu czuć już było wiosnę, niebo nad Purdą całe w śpiewie i ruchu ptaków. Tyle tego, że głowa nieustannie pracuje i słuch się wyostyra. Bo tu bociany w końcu przyleciały i moszczą się w gniazdach, czajki w szalonych podfruwajkach tańczą nad rozlewiskiem, rybołów śmiałym korkociągiem spada w dół, gęsi gubią ostatnie klucze, nieme łabędzie dzielą żerowiska z krzykliwymi, a żurawia para oznajmia swoim głosem wiosenną gorączkę.

Śnieg praktycznie zszedł z pól w ciągu kilku dni, chociaż wydawało się, że będzie to trwało wieki, no, może tygodnie. Krokusy w ogrodzie otwierają swoje fioletowe i żółte główki w reakcji na ciepłe promienie. Wszystko drży z podniecenia, przeciągając się, wracając do życia. I tylko ja boję się, że to moje ostatnie spacerunki, bo już budzą się nie tylko kwiatki, ale moje ulubienice, koleżanki od fobii – żaby.

W lesie było jeszcze trochę śniegu, doszliśmy duktami do wsi, której już nie ma, została tylko na mapach i w pamięci okolicznych mieszkańców. Jedyne, co po niej zachowało się, to most ze spiętrzeniem wody, miejscowa Niagara, tu wcześniej stał młyn, obok fundamenty kilku domostw i kępy przebiśniegów. Wykopaliśmy jedną i z takim trofeum wróciliśmy do Purdy. Pamięć o wsi Grabowo przetrwa w przydomowym ogródku.

W,

jak wybielone słońcem deski pomostu, położyłam się na nich.

To dopiero początek czerwca, ale woda w śródleśnym jeziorze Artąg zachęca wyjątkowo do kąpiei. Jakie tajemnicze, magiczne słowo ARTĄG, jak z jakiejś skandynawskiej baśni.

Pólnaga, bo zupełnie nieprzygotowana na taką ewentualność, wskoczyłam do wody, przepłynęłam kawałek, z powrotem i jeszcze raz ten sam dystans. Na środku jeziora woda tak samo ciepła jak na brzegu, tylko gdy zmieniałam kierunek i prostowałam się tak, że moje nogi dotykały głębi, robiło się zimno w jeziorze Artąg.

W oddali wzdłuż brzegu kwitły nenufary, klimat niczym z Claude'a Moneta. Podpłynęłam bliżej kwiatów, żeby wejść w pejzaż niczym w obraz. Biel płatków odcinała się od błękitów wody i nieba oraz zieleni wszystkiego dookoła. Aż niemożliwe, że jeszcze dwa miesiące wcześniej chodziliśmy po lodowej tafli jeziora i szukaliśmy zimowych bobrowych śladów. A teraz nenufary i ja w wodzie, a przecież świętego Jana jeszcze nie było, a według zabo-

bonów, podań i przypowieści przed przesileniem letnim kąpeli w jeziorze się zabrania. Ja do tegorocznego czerwca tej wersji wiernie się trzymałam. Ile ja jeszcze granic przekroczę, ile razy wezmę się ze swoimi zasadami za bary i będziemy się łamać?

Droga powrotna znad jeziora biegła przez pola, gdzie w wysokich trawach można się całkiem schować. Przynajmniej jak się ma wzrost metr pięćdziesiąt w kapeluszu. To nie mój wzrost, chociaż czasem chciałabym być taka nieduża albo jeszcze mniejsza. Wracając do łąki – pachniała rozkosznie. Nad ranem padało, a i potem niebo się całkowicie nie rozchmurzyło, ale koło południa zrobiło się parno, bardzo, i tylko ja po zażyciu kąpeli odczuwałam lekki chłodek, miałam na sobie ubrania zwilżone wodą, która nie zdążyła jeszcze odparować.

Tuż przed wsią nabieraliśmy szczawiu i białych kwiatów czarnego bzu. Ze szczawiu w Purdzie zrobiliśmy pyszną szczawiówkę, a kwiaty bzu zapiekliśmy w cieście naleśnikowym. Smakowało. A za chwilę pojawiają się poziomki, jagody, kurki i inne owoce runa leśnego. Można będzie zapomnieć o zakupach w supermarketach.

W,

jak wisielec. Smutne, jak często jesteśmy, my, ludzie, bezmyślną przyczyną śmierci naszych braci mniejszych.

Weekend nad morzem, wędrowanie po bardzo wiejskiej dzielnicy Gdańska. Brzeźno dokładnie 100 lat temu 1 kwietnia 1914 roku (i nie był to *prima aprilis*) zostało przyłączone do metropolii gdańskiej. Mała rybacka osada stanowiąca przez kilka wieków własność cystersów z Oliwy, jeszcze dziś można tam znaleźć ślady wiejskości: nieduże domki i brukowane uliczki prowadzące wprost na piękną plażę nad zatoką. Pewnie ta piękna łacha piachu, na której i teraz podczas krótkiego spaceru wśród setek ludzi można znaleźć kawałki bursztynowych kamieni, stała się przyczynkiem do tego, że prawie dwieście lat temu miejsce to zasłynęło (nie tylko w Gdańsku) jako kurort z Halą Brzegową, Łazienkami i dwustumetrowym molem, do którego przybijały stateczki wycieczkowe. Współczesne moło jest nieco krótsze, ale w ciepłym słońcu przyjemnie jest usiąść choćby na jego deskach, z braku dostatecznej liczby ławeczek i przez chwilę wsłuchiwać się w szum morza, gwar plażowiczów i podglądać ptaki, niekoniecznie mewy. Siedząca na lampie wrona rozprawia się z jakimś smakowitym kęsem.

Brzeźno to również część parkowa, pas porośnięty głównie sosną o swoim charakterystycznym żywicznym zapachu wystrzajającym się w czasie słonecznego popołudnia. Kryją się w tej zieloności pozostałości systemu umocnień, fortyfikacji z przełomu XIX i XX wieku. Idąc wzdłuż jednego z pięciu pozostałych bunkrów, zwróciłam uwagę na coś mocno trzepoczącego się na gałęzi drzewa. Było to truchło kawki. Ptak ten zaplątał się w jakąś linkę i nie mogąc się z niej uwolnić, umarł i teraz trzepocze się jego pierzaste ciało na wietrze bez możliwości odlotu.

W,

jak wiara, nadzieja, miłość.

A z nich najważniejsza miłość – takimi słowami rozpoczęło się kazanie na ślubnej mszy w Gietrzwałdzie. *Gietrzwałd duża wieś, znana z tego, że jakieś sto pięćdziesiąt lat temu objawiła się tam na drzewie klonu, dwóm dziewczynkom, Matka Boska, dziś jest tam sanktuarium Maryjne. Warto zajrzeć też do karczmy, gdzie podają dzyndzołki warmińskie.*

Dwa lata wcześniej byłam na podobnej mszy, wtedy ślub brała Joanna. Specjalnie wybrane miejsce na tę specjalną okazję. Dzisiaj miałam *déja vu*. Znowu patrzyłam na pannę młodą, znowu przyglądałam się gościom weselnym, nikogo co prawda nie znałam, ale nie przeszkadzało to w obserwacji. Panna młoda – jak na nowoczesną, wyzwoloną kobietę przystało – miała na sobie tatuaż: spływające z barku na ramię pędy z czerwonymi kwiatami. Lekki muślinowy materiał okrywał ten rysunek, który w ten sposób stapiał się w jedność z suknią kobiety. Wąziutka talia kończyła się rozkwitłą kremową różą udrapowanej tkaniny. Świadek Georg świadczył o pewnej nietypowości tego związku. Ksiądz w rozwinięciu kazania wyjaśnił, że młodzi mieli mieszkać po ślubie w Anglii. *List do Koryntian XIII, Hymn o miłości*, napisany przez św. Pawła, skierowany był do wiernych mieszkających w grzesznym mieście Korynt. Tam wszystko było złe, a seks był formą oddawania czci bóstwom. Współczesny Londyn został porównany do tego miasta, mieszanka kultur, religii, możliwości i pokus może stać się trudna do odnalezienia drogi tej jedynej właściwej – ku miłości.

Wyszłam z kościoła, wyszli młodzi, zostali obsypani płatkami kwiatów, podniosłam jeden, aby powąchać, aby zatrzymać chwilę – był sztuczny.

Gość weselny

*Czarnoskrzydły anioł kucnął na nagich plecach kobiety,
osłonięty przed oczami wiernych
jedynie dwoma rzędami rzemyczków,
podtrzymujących czarną suknię.
Wnętrze kościoła dawno nie widziało
tak swobodnie falującego biustu
pod cienkim atłasem czarnego materiału.
Czarna szpilka przebijała posadzkę świątyni.*

W,

jak wehikuł, konkretnie rower, który pędzi z prędkością bąka.

Spostrzegłam go nagle przez prawe ramię. Chwilę towarzyszył mi swoim bąkowym lotem w mojej wędrówce, zanim nie odbił bardziej w prawo, widocznie nie mieliśmy tego samego celu u kresu podróży.

Czułam się jak członek ekipy filmującej lot gęsi czy innych skrzydlatych braci mniejszych. Rower nie tylko pozwala przemieszczać się z prędkością lotu bąka, pozwala przede wszystkim docierać do miejsc niedostępnym samochodom, wyznaczać nowe ścieżki, pozwala też odwiedzać znajomych w niekonwencjonalny sposób, wzbudzając w nich podziw siłą naszych mięśni i siłą naszej woli.

Kilkanaście kilometrów od Olsztyna i niespełna godzina czasu rowerowego pozwala zjeść renklody i pomidorki koktajlowe, porozmawiać o sztuce życia i życia ze sztuką w dobrym towarzystwie w Kabornie.

Kolejne 45 minut lotu i już jestem na obiedzie we wsi Purda.

Bąk to ma klawe życie.

W,

jak wierzchowiec, o wdzięcznym imieniu Belmondo, na którym kłusowałam po polach i lasach.

Teren był urozmaicony, godzina przedwieczorna, upał ustępował miejsca wieczornemu oddechowi. Konie nie chciały opuścić obejścia, były już po dwóch jazdach w większym skwarze, przy bezlitosnej ilości owadów, od których musiały się wciąż opędzać. Widok ze wzniesienia, na którym położone było gospodarstwo, był rozległy, w oddali horyzont gubił się w lasach, a od strony, gdzie słońce chyliło się ku zachodowi, wśród drzew przeblyskiwało jezioro.

Jezioro Redykajny należy do jednego z piętnastu jezior Olsztyna, nie jest ani największe, ani najmniejsze, ale całkiem niedawno zostało wprowadzone na miejską listę, która powiększa się i zmniejsza w zależności od potrzeb mieszkańców. Kilka jezior w historii miasta zostało usuniętych ze względu na cenę parceli w tym miejscu. Na pewno jezioro Redykajny jest czyste, gdyż żadne większe osiedle jeszcze się nad nim nie usadowiło. Ogródki działkowe i kilka gospodarstw, ot i wszystko.

Na przyjemnie chłodną ścieżkę wokół jeziora wjechaliśmy wolnym stępem, konie myślały wciąż o powrocie, zwlekały, robiły miny, podjadały – ociągały się. Nasze umiejętności jeździeckie nie robiły na nich żadnego wrażenia. Im bliżej nadjeziornej łąki, tym ich chód stawał się bardziej sprężysty, powoli docierało do nich, że to też kierunek ku stajni, tylko trochę dłuższy. Przez pole już pokłusowały, sprawnie przebiegając przez zwalone drzewo. W głowie zaświtała mi myśl: a może by galop? Po zeszłorocznych doświadczeniach z upadkiem i jego konsekwencjami miałam opory. Sama wzmianka o galopie sprawiała, że drżały mi całe nogi. Spojrzałam na koleżankę wymownym wzrokiem. Instruktorza pokazała nam odcinek, który miałyśmy pokonać w galopie. Delikatne wzniesienie porośnięte łąką, zamknięte chojakami – może 50 metrów. Obie pomyślałyśmy, że jeżeli nawet coś się stanie, to wylądujemy na miękkiej trawie. Ruszyłyśmy. Nasze konie zaledwie się rozhuściły i znowu przeszły w kłus, potem

nastąpiły kolejne dwie próby. Dotarliśmy do ściany lasu. Nasze głowy już były pełne galopu, znowu wzniesienie i w końcu sukces, pierwsza długa prosta i my szczęśliwie galopujące.

A wszystko to dzięki Asi, która podesłała mi takiego SMS-a: *Dziś jest pierwszy dzień mojego życia. Właśnie kupiłam bryczesy, galop to już tylko kwestia czasu...*

W,

jak wabiące zimnozielonym światłem iskrzyki, świeciuchy i oczywiście robaczki świętojańskie.

Nie wiem, który gatunek świetlikowatych spotkałam na wczorajszym spacerze w podgutkowskim zagajniku. Jednak były: świeciły jak oczy wilków, jak błędne ogniki, chcące zguby wędrowca. Uzbrojona w kalosze przed żabami weszłam do lasu i próbowałam złapać jednego w ręce. A gdy mi się już udało, bo nie charakteryzują się one lotem błyskawicy, to przyłożyłam oko do lekko rozwartych dłoni i świetlny spektakl był już tylko dla mnie.

W,

jak wejść pod górę, pokonać 112 schodów.

Odkryłam kiedyś skrót, który prowadzi do mojej pracy. Skrót ma swoje tajemne przejście z ul. Wyzwolenia, między dwiema zaniedbanymi kamienicami. Gdy tam się skręca, nawet w dzień, ma się obawę, co może cię tam spotkać. Wyjście jest już mniej tajemne przy ul. Małków. Właściwie cały skrót – 112 schodów – ma imię Karola i Roberta Małków, jest ulicą, która skręca o 90 stopni i przeistacza się w całkiem normalną arterię miejską: są na niej domy, kamienice, instytucje. Jednak skrót im. Małków to 112 schodów biegnących wzdłuż ogrodzonego boiska szkoły – liceum i gimnazjum. Rano widzę tam grającą w piłkę młodzież. Druga strona skrótu to niezabudowany skwer, zbocze, stromizna, gdzie ta sama młodzież spotyka się na przerwie, po czy przed szkołą w celu zaciągnięcia się świeżym powietrzem i porozmawiania o różniczkach, całkach i trygonometrii. Ja na szczęście te problemy mam już z głowy, chodzę tamtędy dla widoku, który roztacza się stamtąd na Olsztyn. 112 schodów to jakieś szóste piętro. Widok na starówkę, czerwone dachy, wieże kościołów i zamku, zapiera dech i tak zaparty, bo pokonanie 112 schodów to poranny wyczyn.

W,

jak wzrok utkwiony w jeziorze.

Siadłam na ławce pod akacjami. Szkoda, że to nie końcówka maja, bo wtedy kwiaty tych drzew pachną niesamowicie. Teraz lato upaja zapachem delikatnej bryzy od jeziora. Zapachy lata na początku sierpnia osiągają swe apogeum, po to by zaraz wpaść czy zatopić się w jezienną melancholię. Ale na razie można o niej nie myśleć i wpatrywać się w środek Jeziora Długiego, gdzie kormorany suszą skrzydła.

Na jednym brzegu jeziora trójkątne szczyty poniemieckich domów, drugi tonie w ciemnej ścianie lasu, z wyraźnym rysunkiem rudych pni sosnowych. Oba brzegi spina most, z oddali nie widać jego betonowej konstrukcji. Dobiega stamtąd gwar kąpiących się plażowiczów. W górze pasma leniwie płynących obłoków. Sielanka...

Za mną hałas ulicy Bałtyckiej. Sznur ponad 3 tysięcy samochodów przejeżdża, przetacza, tłoczy się w ciągu doby tą arterią Olsztyna.

W,

jak wyżeł co z nosem idzie za tropem zwierzyny.

Ja też na dwie godziny zamieniłam się w tropiciela. Przemierzałam podmiejski las w poszukiwaniu grzybów. Nie przepatrywałam nowych miejsc, ot, z rodziną przeszliśmy się dawno odkrytymi ścieżkami. Oczywiście to nie tak, żeby zaraz na tym samym dokładnie stanowisku czekały grzyby. Ale...

Na pierwszy ogień ruszyły maślaki, zaskoczyły nas na powitanie, było ich zatrzęsienie. Lepkie główki w jasnym kolorze rudoochry, dałam się do nich przekonać wizją przesmażonych z cebulką. Potem kilka kurek w młodniku pod świerkami próbujących się ukryć w miękkim mchu, wytropione zażółciły się do nas słonecznie. Dalej podgrzybki brunatne najlepsze, te jeszcze małe o kapeluszach wielkości i barwie kasztanów, aksamitnie przyjemne w dotyku. Jak chcą niektórzy, właściwie borowiki kasztanowe. O nazwę i zaklasyfikowanie niech się spierają mykolodzy, ja je będę suszyć albo lepiej marynować. Kolejne wytropione wpadały podgrzybki złotawe, zajączki, opieńki. I tak trzymając siostrzenicę za rękę, dotarliśmy obie do duktu leśnego, którym wydawałoby się przemaszerował cały tabun ludzi. A jednak stał tam i wcale nie pod brzozą *Leccinum scabrum*. Dość młody, ale już postawny, na prostej nodze, o miększu jędrnym, wybrany przez klan na strażnika. Wypatrzyłam go, zdobyć pozostałe to już tylko chwila. Mój koszyk wypełnił się koźlarzem babką. To było zwieńczenie mojego grzybobrania. W miejscu gdzie pozostawiliśmy samochód, stała inna grzybiarka, w różowych pończochach.

W,

jak wojny, które przestawiają granice.

147

Rzeka Piaśnica pełniła rolę granicy przez dwadzieścia lat. Jej ujście do morza wyznaczało zachodnią rubież Polski. Dziś świadczy o tym czasie odtworzony granitowy słup z napisem *Versailles 28.6.1919* i tablica z fotografiami osób, których pewnie już nie ma wśród nas, a które stoją, siedzą przy, na, pod słupem.

Letnie popołudnie, północny brzeg Jeziora Żarnowieckiego, odpoczywamy. Na południowym brzegu chciano wybudować elektrownię atomową. Sprzeciwy, niechęć okolicznych miesz-

kańców uniemożliwiły inwestycję. W wyniku planów budowy elektrowni dla zachowania budownictwa Kaszubów zorganizowano w Nadolu skansen. Elektrowni nie ma, zagroda gburą funkcjonuje.

Piaśnica wpływa od południowej strony do Jeziora Żarnowieckiego, a na północnym wypływa. Wychodzi szerokim wartkim strumieniem i wydaje się czysta jak kryształ. Wije się jakieś 7 km w stronę morza. Na odcinku ostatnich dwóch kilometrów szalenie meandruje, jakby się zapierała, nie chcąc tracić kontaktu z ziemią. Z rdzawymi osadami dociera do kresu swej drogi, zaznaczając krótki ślad rudym kolorem, który Bałtyk szybko wchłania, nie patyczkując się z tą odrobiną słodkiej wody.

U ujścia pełno plażowiczów, którzy korzystają z morza, brodzą też przez rzekę. Na tablicy informującej o tym, że w tym miejscu przebiegała granica II RP, napisano, że w 1945 roku granicę przesunięto o 400 km na zachód.

W,

jak wolność od reklam.

Rybackie domy na ul. Kościuszki, głównym deptaku Łeby, całkowicie zginęły za sztyldami, posterami, planszami, tablicami, wywieszkami. Pół kilometra kakofonii, w tym morzu reklam nagle ujrzałam jeden dom. Ceglana elewacja, drzwi pomalowane na czerwono, ciemnozielone futryny okien oraz kolorowe kwiaty doniczkowe, a między nimi niezobowiązujący napis, czyli nazwa lokalu, to cała zachęta do tego, aby wejść do środka.

Zaszczyśmy, okazało się, że oficjalne otwarcie dopiero dnia następnego.

W,

jak Wojska Polskiego, ulica odwrócona plecami do rzeki.

Łyna na całej długości tej ulicy, w części miejskiej płynie w głębokim jarze. Przekroczyłam Łynę w Lesie Miejskim od strony ul. Leśnej mostem Smętka. Byłam na wysokości znajdującego się w ruinie Stadionu Leśnego. Obecnie atrakcją tego miejsca są rozlokowane nad wysokim brzegiem parki linowe. Tyrolka lub przejście po wiszącym drewnianym moście, takim, jak widziałam na filmach przygodowych, dostarcza adrenaliny po pachy. W dole rzeka w pięknym przełomie niczym Dunajec w Pieninach. Im bliżej miasta, tym wcale nie jest bliżej cywilizacji. Wysoki brzeg porośnięty bukowiną, przecięty głębokimi jarami, z dopływami Łyny są wciąż mało dostępne, nie pomaga to, że w tym miejscu przerzuconych jest kilka mostów. Na górze zaplecza ulic Radiowej, Kasprowicza, Nad Jarem... Dawniej, przed II wojną, szlak wzdłuż Łyny był zagospodarowany, można było zatrzymać się w restauracji, były wydzielone miejsca piknikowe. Dziś miasto całkiem zapomniało o tym pięknym terenie, ja też. Ostatni raz wędrowałam tamtędy z moim pierwszym olsztyńskim chłopakiem w ostatniej klasie podstawówki.

W,

jak wyśpiewać drogę z partytury zapisanej szumem, buczeniem silnika autobusu przemierzającego Polskę.

Rytm wyznaczony słupkami kilometrażu.

Sto metrów gęsto ustawionych szesnastek brzoź wzbijających się wprost do nieba.

Sto metrów dysonansów kopców krecich pastwiskowej równotonalności.

Sto metrów czterech interwałów pomiędzy przęsłami mostu.

Sto metrów wariacji na temat skrzyżowania.

Sto metrów pasażu z wierzbami płaczącymi.

Sto metrów mocnym akcentem szarej bryły domu.

Sto metrów wyznaczonych akordami zasp śniegu.

Sto metrów z arią na wysokie C komina.

500 metrów zamkniętych na głucho ścianą dźwiękoszczelną z naklejonym cieniem ptaka.

W,

jak wata zamiast nóg.

Tak poczułam się, wchodząc na zamrożone jezioro Żbik, w czasie gdy już zaczęła się odwilż. Kałuże, ślisko, popękany lód, tak wyglądała powierzchnia jeziora. Moja buńczuczna natura i odwaga trapera pozwoliły dojść do linii zmiany koloru lodu, jakieś kilka metrów od brzegu, tuż za szeregi połamanych trzciny. Jeszcze kilkanaście kroków i doszłabym do dużej przerębli wyznaczonej bryłami wykrojonego i wyciągniętego na powierzchnię lodu. Tam dochodzili ci, co kąpią się zimą. Morsy. Ja nie. Mnie wystarczyło obejście jeziora mocno oblodzonymi ścieżkami i pilnowanie, by na nich nie stracić życiowej równowagi.

W,

jak wchodzący w ciało ziąb – jeszcze nie wiosna, ale i już nie zima, słońce zachodzi i dopada nas przenikliwe zimo.

Stoimy na moście w Ornecie, pod nami Drwęca Warmińska. Ktoś pali ognisko, słysząc trzaskanie ognia, wysoki słup dymu wznosi się prosto w niebo. Ktoś porządkuje ogród graniczący z brzegiem rzeki. Między drzewami na szczycie skarpy szereg domów zbudowanych na fundamentach miejskiego muru. Przy jednym drewniana dwukondygnacyjna weranda, robota dawnych rzemieślników, wciąż piękna pomimo ubytków, wybitych szybek, zdrapanej farby.

Zimno przepędza nas z mostu, wchodzimy w uliczkę o nazwie Zaulek Ciasny, okalającą starych od strony rzeki, na niej małe domki, może dawne spichrze. Przechodzimy w ulicę Zamkową i już nie jesteśmy w obrębie murów, nie idziemy dalej. Odwracamy się i ukazuje się nam świat odległy, chociaż na wyciągnięcie ręki. Świat dawnej świetności miasta, wysokie kamienice, spiętrzone, z czerwonymi wąziutkimi pasami dachów. Poniżej pozostałości balkonów, przy-

budówki, komórki, składziki na drewno. Kaskadami opadająca w dół wciąż pulsująca tkanka miasta. Obrazek jak z włoskich sztychów.

Wracamy na wzgórze do wyremontowanej kamienicy przy rynku. Tam rozgrzeje nas wernisażowe wino zamiast słońca, które znika właśnie za szczytami domów...

W,

jak wystąpienie, w historycznym momencie i w historycznym miejscu.

Świeżynka, pierwsze wejścia do już niedługo muzealnego wnętrza. Budynek istnieje jeszcze w zawieszeniu między tartaczynymi urządzeniami a muzealnymi eksponatami, historycznie tartakiem rodziny Raphaelsohnów z końca XIX wieku, a otwierającym się na początku XXI wieku Muzeum Nowoczesności.

Przez wiele lat zapomniany, może i bez perspektyw, dogorywał swych dni. A jednak są ludzie, dla których ta kupa cegieł i spróchniałego drewna miała wartość. Dzięki nim został odtworzony i w stopniu czerwonoceglastym i wysokokominowym będzie reprezentował fragment rozbudowanej dawnej nadłyńskiej dzielnicy przemysłowej Olsztyna. Kiedyś, na przełomie wieku XIX i XX, w pobliżu były tu również inne tartaki, bo drewna było dużo i zapotrzebowanie na nie było ogromne. Stała tu także odlewnia, browary, fabryka maszyn, gazownia miejska, fabryki mydła i powidła. Trochę dalej fabryka zapalek, która spłonęła w pogorzelisku historii. Dziś po większości przyłyńskich miejsc wypełnionych gwarem pracy nie ma śladu.

Tartak ocalał, stoi z odświeżoną konstrukcją ryglową jak z nowym szkieletem i ceglanymi przybudówkami jak z rumianymi, uzdrowionymi policzkami. Będzie teraz wiódł żywot nobliwej instytucji. W czerwcowe późne popołudnie weszłam do niego. Była mowa o tym, że ciepło się tu drewno spławiane Łyną, że teraz gromadzi się tu zbiory świadczące o postępie cywilizacyjnym.

Tego popołudnia wystąpiłam na scenie wcale nie drewnianej i mówiłam o motywach od hali tartacznej odległych, całokształtem osadzonych w kulturze. Czym jest kultura...

A z drewnianego sufitu leciały wióry, jakby ciągle tutaj pracowały traki.

150

W,

jak wartko płynący czas.

Dawno nie byłam w parku Jakubowo. Wydawało mi się, że w ogóle tam nikt nie chodzi. Nikt, oprócz znajomego artysty WW, który prawie zaanektował sobie małe parkowe jezioro Mumel i zaprzął je do współpracy przy akcjach, instalacjach, koncepcjach angażujących wodę, rzeszę wodną, lód na wodzie i swoją osobę turlającą się, biegającą, stąpającą po śniegu bez obuwia, a nawet bez skarpetek.

Zdziwiłam się, gdy pewnego majowego popołudnia trafiłam tam, a park tętnił życiem.

Na zielonym trawniku barman ćwiczył triki barmańskie, wywijając plastikowymi szklankami i pustymi butelkami po whisky, pewnie przygotowywał się do mistrzostw albo co najmniej autorskiego pokazu w jakimś starówkowym pubie.

Pewna para rozkładała prowizoryczne boisko do badmintona, a potem grała w tę grę namiętnie, niczym w konwulsjach miłosnych.

Chłopak intensywnie rozpracowywał rozbudowaną do granic ludzkiej ręki kostkę Rubika.

Poza tym plac zabaw wrzał w szalonym tempie najmłodszego pokolenia olsztynian. A ustawione obok kolorowe zestawy do tortur mięśni pełne były rodziców. Kilka osób siedziało na ławkach, inni spacerowali z psami, kotami, kanarkami.

Zamknęłam oczy i gwar przeniósł mnie do dzieciństwa, gdy wybiegaliśmy na przerwę, a ja zamykałam oczy i pod wpływem słonecznego kurzu przenosiłam się jeszcze dalej nad jezioro i plażę i marzyłam o wakacjach.

W,
jak wieczór na uliczce sztuki.

Uliczka powstała kilka lat temu, jeszcze widnieje napis, liczy może sto kroków średniowysokiej szarookiej, tej, co się przechadza po mieście w czerwonym szalu.

Uliczka Rodziewiczówny leży delikatnie na uboczu olsztyńskiej starówki, mieszczą się na niej same kulturalne posterunki. Dwie instytucje kultury i kulturalny pub. Na okres lata jest zamykana. Ale za to dzieje się na niej a dzieje wiele innych rzeczy niż parkowanie i przejeżdżanie samochodów.

A to artyści pomalują asfalt niebieską i zieloną farbą z fantazją kratkowanego chaosu, a to zawisną nad nią cumulusy z waty niecukrowej, a to inni sztukmistrze przeprowadzą szkolenie w zakresie potrzebnym akurat na letnie spędzanie czasu. Są koncerty. Odkonane także ostatnie przed dłuższą wakacyjną przerwą spotkanie Literackiego Miesięcznika Mówionego. Wystąpiło na nim kilku zaproszonych gości, uliczny grajek wyrwany z głównej arterii staromiejskiej i kilku tych, którzy zgłosili się do uwolnionego mikrofonu.

Tematem było miasto.

Szczególnie dało się poczuć temat, gdy jeden z autorów zaczął czytać. Gdy wymówił słowa bohatera o tym, że w zatorzańskim kościele Franciszkanów był ministrantem i czekał na świę-

tość, rozzdzwoniły się dzwony pobliskiej bazyliki mniejszej pw. św. Jakuba. Zaraz potem usłyszeliśmy śpiew księdza i wiernych uczestniczących w procesji. Z innej strony zza murów instytucji kulturalnej zaczęły dochodzić dźwięki próby zespołu rockowego, a z przeciwległego rogu ulicy z parafialnego podwórka zadźwięczał śmiech dzieci zebranych na oazowym spotkaniu.

W,

jak warsztaty, zakłady, pracownie na dobromiejskiej uliczce. Co weźmie się na warsztat, będzie wykonane.

Nowo odrestaurowana część Dobrego Miasta, uliczka z małymi kamieniczkami na dawnych murach miasta. Domek przy domku, zaglądałam do kolejnych wewnątrz przez nieduże okienka.

W pierwszej malutkiej izbie warsztat szewca. Taki, jakie się jeszcze czasem spotyka z niejednym kopytem, maszyną do szycia, specjalną do naprawiania, robienia cholewek, prasą szewską do dociskania klejonych zelówek czy obcasów, skórzany fartuch, pilniki i inne drobne narzędzia. A na ścianie wiszący dyplom mistrza.

Drugi domek to zakład fryzjerski z marmurowym blatem, drewnianymi krzesłami obrotowymi, ostrymi nożyczkami i brzytwami.

Za trzecim oknem kryje się magiczny świat fotografa. Z lampami doświetlającymi twarz i krajobrazem na ścianie z ośnieżonymi szczytami, ze stolikiem przykrytym śnieżnobiałym obrusem, z wazonikiem ze sztucznymi niebiesciutkimi niezapominajkami.

Ostatni dom to piekarnia, z piecem kaflowym, drewnianą łopatą do wsadzania ciasta i wyjmowania pachnącego chleba powszedniego.

*Warsztaty były, tylko zabrakło w nich życia,
nie było szewca, co sam bez butów chodzi,
nie było fryzjera, co go bolą nogi od stania nad klientami,
nie było fotografa magika, czarodzieja od czarno-białej fotografii komunijnej.*

152 Był piekarz wynajęty na dziś...

W,

jak woda, jezioro, poranek.

Kąpiele w jeziorze zaczęłam w tym roku późno, dopiero po połowie lipca. Nie wiem, czy woda była zbyt zima, czy nie miałam motywacji, czy widok z okna nie był dość zachęcający? Wmawiałam sobie, że gdyby była czynna plaża miejska na Krzywym, którą remontują już drugi letni sezon, to wtedy dawno siedziałabym już w wodzie.

Poranek był pogodny, jak od wielu dni, weszłam do wody, szybkie zanurzenie, bo Jezioro Długie jest długie i rynnowe i każdy krok to spora różnica głębokości. Kolana – aj, uda – aj, pas – aj, piersi – aj.

Już. Krótkie brrr.

Obrałam trasę, najpierw w prawo. Ciemna toń ciepłej wody, przyjemny błogostan. Kontakt z dziką przyrodą – przegoniłam stadko krzyżówek.

Dopłynęłam do wyznaczonego celu, końca jednego trzcinowiska. Obok przeleciała para kormoranów.

Nawrót. W połowie drogi zobaczyłam miotającego się owada, chciałam go uratować – to była osa, nie wzięłam jej i nie położyłam na wystającym nad wodą barku, żeby obsechła.

Nie uratuję całego świata – pomyślałam.

Popłynęłam dalej. Dopłynęłam na wysokość dwóch butelek po piwie, wystawiających swe puste szyjki nad wodę.

Nawrót.

Zajęłam się obserwowaniem dojrzewających papierówek w ogródkach domów przy al. Przyjaciół oraz piruetów i innych tanecznych figur zataczanych przez jaskółki.

Nagle jedna zniżyła lot tuż nad samą powierzchnię wody, na moim wodnym szlaku, w miejscu, gdzie pozostawiłam osę.

W,

jak wziąć za rękę malutkie dziecko, takie co to ledwo nauczyło się chodzić i iść z nim.

Byliśmy z grupą znajomych na spóźnionej majówce w środku lata w pobliżu Tłokowa koło Jezioran, jakąś niecałą godzinę drogi od Olsztyna. W kilka osób zdecydowaliśmy się pójść na spacer w odwiedziny do św. Rocha. Kaplica świętego to raczej skromne określenie, bliższe prawdzie jest: barokowy kościół pielgrzymkowy. Powstanie tej budowli związane było z legendą o znalezieniu w lesie dokładnie w tym miejscu i dokładnie w roku 1652 puszki z Najświętszym Sakramentem. Puskę przenoszono do pobliskiego kościoła kilkakrotnie, a ona w cudowny sposób wracała w to miejsce.

To był znak.

Zbudowano kaplicę, a potem rozbudowano do rozmiarów stanu obecnego. Stoi więc kościół w szczerym polu. Jest otwierany tylko raz do roku na św. Rocha, gdy pielgrzymi z pobliskich Jezioran kończą swoje wędrowanie na mszy w jego wnętrzu. Kapłan z racji braku prądu, który nigdy tutaj nie został doprowadzony, kazanie musi wygłosić własnym głosem bez zniekształceń czynionych przez postępowanie cywilizacyjny.

Maleństwo w letniej sukience najpierw było na rękach u jednej, potem u drugiej cioci, w końcu trafiło do rąk swojego silnego taty, rzeźbiarza, co to z drewnem, gliną, kamieniem czy metalem się zmagają. Otulił ją sobą, gdy poczuł, że wieje chłodny przedwieczorny wiatr. W końcu ubrał w coś pożyczzonego od jednej z ciotek i wtedy zaczęło się.

Małe nogi nie chciały przestać chodzić – nawet gdy tata wziął Małą na ręce: w powietrzu przebiegały jakby nienasycone każdym kroczkiem. Spowalniały wędrowkę całej pielgrzymki.

Później Maleństwo, chwytając obiema rączkami ręce wędrowców, prawie frunęło. Tak doszło ono, doszliśmy my do kaplicy.

Święty Roch przywitał gości zachodem słońca, podkreślającym ceglastą czerwień jego fasady. Chroniący od zarazy patron rolników, ogrodników i zwierząt domowych roztoczył wokół nas zapach pełni lata, dojrzewającego zboża, pyłu drogi.

Maleństwo przeszło tego dnia swoją pierwszą pielgrzymkę.

W,
jak wejść w przestrzeń – nową – chociaż znajomą.

Dopiero co, hucznie otwarty, z przemówieniami, programem rozrywkowym Park Centralny, już przez niektórych mianowany Central Parkiem, stał się miejscem spacerów.

Ja też się tam wybrałam, znałam tę przestrzeń wcześniej. Przemykałam się tamtędy, gdy chciałam zrobić skrót z ul. Kościuszki na ul. Pieniężnego, czyli dalej na starówkę, czasowo się opłacało. Wokół gęstwiły się zagajniki, zarośla, dziczące jabłonie i inne drzewa owocowe, pozostałość ogródków działkowych. Ścieżki były wydeptane przez skrótowiczów, maślaki i bezdomnych szukających tu schronienia. Wcześniej można było jeszcze znaleźć ślady napowietrznej tancbudy za byłą restauracją „Pod Żaglami”, gdzie pod gołym niebem w dobrych czasach siedziano przy winie, wódeczce, lemoniadzie, oranżadzie, śledziku i tańczono. Pary wirowały w walczykach, tangach i może wyginały się w rytmie twista.

Moje pierwsze wejście w nową-starą przestrzeń było zaplanowane. Zaprosiłam na wspólne śniadanie na trawie kilka osób. Umówiliśmy się pod brzozą, którą widzieliśmy tylko na fotce. Na zdjęciu wyglądała bardzo samotnie, a wokół rozciągał się olbrzymi trawnik. W rzeczywi-

stości brzoza była niepozorna, całkiem niedaleko były inne drzewa, a trawa jeszcze zbyt świeża na to, by tam śniadaniować. Tak duża przestrzeń w mieście, które się tak dobrze zna, okazała się miejscem eksploracji. Znajomi pogubili się w czasie poszukiwań. Jedni znaleźli się w cieniu pod ponadstuletnim bukiem, inni ocenili się w bżowym zagajniku.

Z drugiej strony Łyny w dawnym tartaku nagle zadziałał komin: uszła z niego para, jakby odechnął na nowo, widząc ludzi wkoło. To był tylko dym sceniczny, ale ludzie i nowy park to rzeczywistość.

Ja przyszedłam ze swoimi nowymi numerami pisma „VariArt”, jedna ze znajomych z cudnie grającymi cymbałami z połowy ubiegłego stulecia. Obie miałyśmy wrażenie, że piknikujemy gdzieś poza Olsztynem. Gdzieś trzysta kilometrów dalej, w całkiem nowym miejscu.

W,
jak wyjść z klatki.

Schronisko dla zwierząt nie jest miejscem, do którego zaglądam zbyt często.

Jednak zachęcona ulotką o biegu na sześć łap trafiłam do tego miejsca, na końcu miasta.

Były emocje.

Był też trener, który poprowadził rozgrzewkę.

Były dwa psy Mika i Maks. Oba dzielą jeden boks-klatkę-dom. Mika – nieduża, ruda, krótkowłosa ośmioletnia suczka. W schronisku od sześciu lat. Maks jedenastoletni niewysoki kawaler, czarny, długowłosy elegant z białym krawatem. W schronisku od roku, podobno szczeka, gdy zostaje sam w domu. Ja też nie lubię być sama. Świadczy to pewnie o tym, że jestem zwierzęciem stadnym – on też.

Pojawiłam się w schronisku tuż przed wyznaczoną godziną biegu. Trener zrobił rozgrzewkę. Rozgrzaliśmy mięśnie. Grupa biegająca pobiegła. Ja nie chciałam biegać, nie czułam się na siłach przebiec zaplanowanych pięciu kilometrów. Poprosiłam o psiaki, które będę mogła wyprowadzić po prostu na spacer. Pierwsze, co zrobili nasi podopieczni, to wolne wypróżnianie się. Jak im to było potrzebne. Wyjście z boksu i w wolnej przestrzeni uwolnienie spętanej fizjologii.

Krótkie rozpoznanie charakterów. Mika nie reagowała na inne psy, patrzyła na nie raczej przyjaźnie. Maks pomimo niedużych rozmiarów pokazywał pozostałym, kto tu rządzi. Tolerował tylko Mikę, towarzyszkę z jednej klatki. Mocno wydeptaną ścieżką weszliśmy do lasu. Jak one wachały wszystko, co chwila znakowały teren. Byliśmy dla nich jedynie tymi, którzy pozwalają

im na chwilę zapomnienia. Trochę szarpały, płątały smycze w tropieniu i wietrzeniu świata. Wybraliśmy ścieżkę oznaczoną żółtym szlakiem pieszym, który doprowadził nas do rzeki Wadąg. Psy z pełną rozkoszą, niemalże wyszarpując się nam, wbiegły do wody. Zanurzyły swoje stęsknione takiej rozrywki pyski i chłęptały. Potem ochlapały nas, dokładnie otrząsając się z wody. Wróciliśmy na ścieżkę. Wzięłam oba psy i jak w zaprzęgu pokrzykując (dalej, Mika, dalej, Maks), zaczęłam biec. Psy tworzyły idealny tandem, przez moment poczułam coś, co może czują ci, co ze sforą psów przemierzają dalekie przestrzenie. Psia siła była moją siłą. A one pełne energii biegły, biegły i biegły. Trwało to jakiś czas, aż moje nogi się zmęczyły. Zawróciliśmy, psy zasłużyły na ponowną kąpiel. Jeszcze chwila na błądzenie po lesie i zebranie kilku podgrzybków. Pod koniec spaceru Mika nawet zajrzała mi w oczy.

Jest w schronisku już tak długo. Sześć lat. To jest życie, które zna najlepiej. Jakie były jej dwa pierwsze lata życia? Jest rozumnym kundlem, wie sporo o pieskim życiu.

W,

jak wędrowanie na piechotę, pociągiem, autobusem, samochodem.

Z każdym środkiem komunikacji podróż ulega zmianie.

Przyśpiesza, spowalnia. Są przystanki jedyne właściwe i te na żądanie lub w dowolnym momencie. Płaci się krocie lub wprost przeciwnie.

Ważna jest sama droga, czasem cel.

Wysłałam za próg z plecakiem wypełnionym tak, abym mogła przeżyć poza domem dwa dni. Bagaż nie był ciężki, widocznie mam już wprawę w pakowaniu. Droga do dworca zajęła chwilę, ot, kilkuminutowy spacer. Szłam wzdłuż ruchliwej ulicy, ale spoglądałam w lewo, obserwując jezioro wyostrome chłodnym powietrzem, jesiennie ciepłe barwnym entourage'em. Żółciejące trzciny i przebarwiające się liście drzew wciągały wzrok w pejzaż. Ciemna toń jeziora pogłębiała to wrażenie.

Dworzec Zachodni jeszcze na początku lat 90. ubiegłego wieku był drewniano-ceglaną budowlą z historią dwu wojen, przesiedleń i moimi podróżami. Jakoś nikt nie zaprotestował, gdy go rozbierano. Dwadzieścia lat później chciano zlikwidować ostatnią pozostałość dawnych zabudowań dworcowych – wiaty wyprowadzające podróżnych z tunelu na trzy perony. Tym razem obudzona świadomość zadziałała. Odremontowano stuletnie metalowe konstrukcje. Pociąg jak w piosence, byle jaki, nadjechał od zachodu, jechał w stronę stacji Olsztyn Główny. Podróż zajęła kilka kolejnych minut. Ot, tyle, żeby spoglądając w prawo, zarejestrować bryłę zamku i zarys starówki od neogotyckich wież kościoła garnizonowego po wieżę nowego ratusza. Podróż po opuszczeniu Dworca Głównego przybrała kształt busa. Kilka złotych wręczonych kierowcy pozwoliło wydostać mi się z Olsztyna i dojechać do Barczewa. Wysiad-

łam na obrzeżach jego centrum. Przeszłam obok domu, w którym urodził się kompozytor Feliks Nowowiejski. Minęłam ratusz, rynek, Bramę Olsztyńską. Stałam. Ze średniowiecznej bramy pozostały dwa filary, umieszczono na nich rzeźby św. Agaty i św. Rozalii. Dziś oglądamy jedynie repliki, drewniane oryginały, co to się ich zęb czasu nie miał, powędrowały do muzeum. Kolejnym przystankiem do celu była synagoga, jedyna zachowana na Warmii. Sala wystawowa mieszcząca się w jej wnętrzach zatrzymała mnie na łyk szampa i wejście w świat artysty.

Dalszy etap podróży przebyłam w popularnym ogórku volkswagenie transporterze. Jechaliśmy bocznymi i leśnymi drogami, biorąc udział w rajdzie turystyczno-nawigacyjnym. Wiedzieliśmy, że mamy dojechać do położonego w lesie gospodarstwa agroturystycznego w pobliżu wsi Nerwik. Dostaliśmy mapę z podanym kilometrażem i gdzie na tych kilometrach skręcać. Po drodze były jeszcze zadania do odszukania. Trzeba było się dobrze rozglądać. A słońce i jesień chciały, aby się rozproszyc, zamyślić, wkomponować w krajobraz. Bez pośpiechu dotarliśmy do ceglanego domu. Z satysfakcją stwierdziliśmy, że zebraliśmy wszystkie punkty na trasie.

U celu było ognisko... podróżować jest bosko.

W,

jak więdzm tańczenie przy ognisku.

Na jeziorach wiało. Wyglądało, że nawet zahaczało o dobrą piątkę z białymi grzywami na fałdach, które miejscami rozciągały się w długie pasma. Żaglówki składały się w przechyłach, jakby w ukłonie Neptunowi. Wiało prawie do zmięzchu. Przygnał nas ten nadjeziorny wiatr do małej kei na dziesięć łodzi i garstkę żeglarzy na brzegu jeziora Mamry. Przystań w Mamerkach powoli się zapełniała. Wieczór jak to w czerwcu nie chciał długo nadejść. Wiatr wciąż nie dawał za wygraną, wszystko i wszyscy pędziliśmy w stronę ognia rozpalonego na zacienionej polanie. Ognisko przyciągnęło gitary, trąbkę, kobiety, mężczyzn i dzieci. Rozległy się śpiewy: pierwsza wiedźma wstała z gałęzią kaliny. Wszystkie panny kiść kalinowego kwiatu wplotły sobie we włosy z prawej strony. Zagrała trąbka: druga wiedźma wstała, zaczęła tańczyć. Przeskakiwać przez ognisko, rozplątywać włosy tuż nad wysokim płomieniem. Kur zapiał: trzecia wiedźma wstała od ogniska, wymamrotała zaklęcie. I znów zaczął wiać wiatr sprzyjający żeglarzom...

157

W,

jak w wodzie utrzymywanie się na powierzchni.

Byłam na basenie – szlifuję styl. Wychodzi. To, że pływałam do tej pory, to cud rzucania bezwładnie kończynami. Żeby dobrze i szybko popłynąć, trzeba regularnie zanurzać głowę. Wypuszczać pod wodą bąbelki. Ryzykować. Bo kto się wody napije, to już prawie na bezdechu podtapia się. Myślenie o pracy dłoni, przedramion, ramion, nóg i połączeniu tego wszystkiego

w jedną pędzącą maszynę zajmuje dużo czasu. Maszyny zawodzą. Przed basenem, w samym centrum starówki widziałam mężczyznę. Zasnął na ławeczce, u nóg stała butelka z płynem w kolorze whisky, pewnie to nie była ona. Jednak moc w plastikowej butelce była. Podjechała straż miejska i w błękitnych rękawiczkach doprowadziła popłyniętego do krainy wiecznego nighy. Po basenie w drodze do domu, już na mojej ulicy, podeszły do mnie dwie dziewczyny, że one się boją, bo obok pod drzewem ktoś leży. Zasugerowałam, żeby zadzwoniły pod 112, widząc wcześniejszy przypadek. Wybrały numer, dyspozytor poprosił, aby podejść do śpiącego i spróbować nawiązać kontakt. Uzbrojone w zaczepionego rowerzystę zaczęłyśmy... Właściwie nic nie zaczęłyśmy, bo popłynięty przebudził się i całkiem trzeźwym głosem poprosił o spokój, bo on tu naprzeciwko mieszka i wszystko ma pod kontrolą. Pływanie to trudna dyscyplina, bardzo łatwo popłynąć...

W,
jak wniebogłosy śpiewanie.

Nie powiem, żebym miała w jak wniebogłosy śpiewanie. Nie powiem, żebym miała głos szkolony. Chociaż całe dzieciństwo spędziłam, bawiąc się pod stołem z bliższym i dalszym rodzeństwem, gdy dorośli biesiadowali i śpiewali. Wujek przygrywał na gitarze, a pozostała część rodziny z zapamiętaniem proporcjonalnym do pojawiających się na stole trunków wtórowała mu głosami wyćwiczonymi w wielu podobnych bojach. Nie pamiętam, aby pojawiały się śpiewniki. Piosenki płynęły gdzieś ze wspólnej pamięci pokoleń. Dzieci nasiąkały śpiewem, wychwytyując co bardziej zabawne frazy. Skończyły się rodzinne biesiady i naturalnie przekazywana radość śpiewania. Z córką mogę jedynie wspólnie pośpiewać kolędy..., chociaż w lipcu jakoś tak nie wypada.

2013-2015

Iwona Bolińska-Walendzik

**ARCHIWUM
LITERACKIE**

Kosiarz i wiązarka

KLEMENS FRENSZKOWSKI

(1899-1964), Warmiak, pisarz, folklorysta.

W niedzielne popołudnie Jan Gradowski czytał w izbie gazetę, bo w powszednie dni na to nie było czasu, a ciekawy był, co też na świecie się dzieje. Był to gbur na osiemdziesięciu morgach zamieszkały w jednej z wiosek powiatu olsztyńskiego. Nie stary jeszcze, bo miał około czterdziestu pięciu lat. Białka jego, Klara, krzątała się w kuchni. Była tylko kilka lat młodsza od swojego chłopca, ale wyglądała jeszcze dość młodo na gębie. Na łysinie nie widać było jeszcze żadnej fałdy. Włosy zaczesane gładko do tyłu, a długie jej warkoczki zwinięte były z tyłu głowy w gruby kok. Na sobie miała długi prawie do ziemi sięgający kitel, wąski w pasie a szeroki u dołu, w czerwonym kolorze z grubego tkanego i farbowanego płótna, i luźny kabacik z barchanu, zapięty pod szyją na haftkę.

Mieli pięcioro dzieci. Ich najstarszy urodził się w roku 1890 i miał teraz osiemnaście lat. Drugą była szesnastoletnia Anka. Trzecia, Agnieszka, była od niej o trzy lata młodsza, a za nią był jeszcze Hugo, który niedawno ukończył jedenaście lat i najmłodszy Józef. Ten nie miał jeszcze ukończonych siedmiu lat i od kwietnia chodził do szkoły niemieckiej. Rozumiał już kilka słów po niemiecku to jest tyle, ile go nauczył w szkole przez te kilka miesięcy już

nauczył, boć kiedy zaczął chodzić do szkoły rozumiał tylko trzy słowa po niemiecku to jest „wie heisst du”. Nauczyli go tego doma po to, żeby wiedział, że na takie zapytanie wypowiedziane przez nauczyciela w języku niemieckim – nauczyciel po polsku nie umiał, a gdyby nawet umiał, nie wolno mu było się w tym języku do dzieci odzywać – ma powiedzieć swoje imię i nazwisko.

Do izby wchodziło się z sieni, gdzie zostawiali kłoce, bo tu się chodziło tylko w paczach albo streflach. W samym rogu, między oknem z jednej strony a szczytowym z drugiej, stała ława z wysokim oparciem, żeby sobie przy siedzeniu pleców nie obieleć, boć ściany pobielone były wapnem. W kąciu pod ławą drzemał kot zwinięty w kłębek. Przy tej ławie stał stół na prostych nogach, a z drugiej strony dwa szemie i dwa stołki z podłużną dziurą w środku, żeby było za co chwycić. Niedaleko pieca stał drugi mały stolik dla dzieci i dwa małe stołeczki. Piec kaflowy – z murkiem – miał wysoką, aż pod sam sufit sięgającą, wytłaczaną w rozmaite kształty koronę. W środku izby wisiała na grubym drucie lampa naftowa ze szkłem specjalnie przystosowanym do płaskiego knotu. Obok drzwi do drugiej izby stał duży zegar stojący z wagami i czworokątnym cyferblatem, ozdobionym różnymi malowidłami. Szafka jego rzeźbiona była w różne wzory. Przy drugich drzwiach – od sieni – przybity do ściany wieszak z drzewa, a obok stała wysoka szafa na talerze, miski, garnuszki, szklanki, ozdobione w gwiazdki lub kwiaty, i najpotrzebniejszy w gospodarstwie domowym sprzęt. W niej poukładane też były, dzień przedtem upieczone, duże bochenki chleba – jeden kołacz i pół kukielki. Zaraz obok stał szlumbank zamknięty na dzień klapą, żeby można na nim siedzieć, a otwarto i wyciągany podobnie jak wyciąga się szufladę na noc. Na jego spodzie wyłożona była świeża słoma. Spali w nim Edward, Hugo i Józefek. Okien nie otwierano, żeby „muchy nie leciały”. Była to izba, w której przebywała w dzień cała rodzina, tu jedli, tu się dzieci bawiły. Tu też przyjmowano gości, a czasem wprowadzano do następnej, gościnnej izby, która służyła jednocześnie rodzicom za sypialnię.

W tej drugiej stało w rogu na czarno pomalowane łóże małżeńskie z ozdobnymi kulami na czterech rogach, wyłożone słomą, którą się co jakiś czas zmieniało (słoma luźno położona, bez siennika). Na noc łóżko się rozciągało, rozkładając równomiernie słomę a na dzień się zsuwało, żeby nie zajmowało tyle miejsca – podobnie, jak to jest w szlumbanku. Pierzyny i poduszki powleczone były powłokami własnej roboty, tkane na krosnach. Na wierzchu łóże przykryte kraciatą płachtą, którą Klara tkła jeszcze w swym domu rodzicielskim i następnie wraz z inną wyprawą tu przywiozła. W środku izby stał długi stół do rozciągania, przykryty wyszywanym obrusem. Wyszywała go jeszcze sama przed głędami i pokazywała go wówczas swojemu brutkanowi a obecnemu mężowi, by się pochwalić swoimi pracami ręcznymi. Dookoła stołu poustawiane wyplecione trzciną krzesła – kilka miało również oparcie wyplecione. Przez wiszące przy oknach firany widać było różnych rozmiarów doniczki z mirtą w całej krasie swej zieleni. Jedna musiała być już bardzo stara, bo sięgała do górnej krawędzi okna. Mirta ta na różne okoliczności się przydała, bo to i na wianek do ślubu dla młodej brutki jak i brutkana, któremu się kilka gałązek przypinało do kłapy, do gromnicy, którą

się gałązkami mirty ozdabiało, a i do poduszki, ozdobnej w różne koronki, w której woziło się niemowlę do chrztu. Przy ścianie między oknami stała stara, trochę już podziurawiona przez robaki komoda, w której trzymało się różne rzeczy. W jednej szufladzie w rogu pod obrusem chowano skrzynkę od cygar, w której gospodarz miał papiery i pieniądze. Niektóre papiery były już bardzo stare i przechodziły z ojca na syna. W rogu stała szafa na ubiory niedzielne, a na niej skrzynka z cygarami dla gości, boć gospodarz najwyżej w niedzielę sobie jedno zapalił. Warto tu jeszcze wspomnieć o świecącym się od złota i srebra – choć może trochę dziwnie się to słucha – piecu. Był podobny do pieca w pierwszej izbie z wysoką, sięgającą do sufitu ozdobną koroną, pomalowaną złotą i srebrną farbą, tak że z daleka się błyszczał. Pomalowane były również wytłaczane skośne kafelki, które dzieliły piec na dwie części – u dołu szerszą u góry węższą.

Jedno, co tu jeszcze wpada w oczy, kiedy się wchodzi do izby, to długie, rozpostarte na całą długość izby, na jeden metr szerokie chodniki z klatów różnokolorowych. Tkane są na krosnach z tym, że zamiast czołenka, przetyka się wąski paseczek szmaty. Pod łóżkiem natomiast schowane są zwinięte w wałek jeszcze lepsze chodniki, tkane ze słomy, które rozkłada się tylko w większe święta, na kiermas, bankiet i czasami jak się gospodyni przed jakimś gościem chce pokazać. Bo to naprawdę nie lada robota taki chodnik. Wyszukuje się do niego najlepsze, długie i proste słomki, które następnie przetyka się między niemi w krosnach przed płochą. Tam, gdzie przy tkaniu płótna przerzuca się czołnek z nawiniętą na cewce nicią, w tym wypadku przetyka się słomkę, a następnie przybija się bijakiem jak przy tkaniu płótna.

Z sypialnej izby wchodzi się do małej sionki, w której z każdej strony jest otwór prowadzący schodkami z cegieł do piwnic. Zamyka się go przykrywą z uchwytem. Z tej sionki prowadzą trzy dalsze drzwi do podsionka mniejszej izby, gdzie spały Anka i Agnieszka, i trzecie do kuchni.

Z kolei zajrzyjmy jeszcze do kuchni. Tu widać od razu rękę gospodyni, dbałą o porządek. Choć podłoga wyłożona ceglami, zafugowanymi cementem, wyszorowana jest na glanc. Większe garnki poustawiane na piecu kuchennym przy ścianie, rynki pozakładane na swoim miejscu, a płyta kuchenna czysto wymyta. Mniejsze garnki i rondelki, garnuszki, sadzanka, mątewka do mieszania muzy, stągiew, duża łyżka i inny sprzęt kuchenny poustawiane są na palicy. W rogu – od strony sieni stoi duża, z klepek sosnowych, tynka na wodę, którą nosi się na pedach z odległej około pięćdziesiąt metrów studni z żurawiem. Obok stoi druga, mniejsza tynka do trenku, a trochę dalej na takim klocku mała centryfuga, niedawno kupiona. Dawniej mleko wlewało się do kamiennych garnków, a po usadzeniu się śmietany na wierzchu, zbierało się ją drewnianą łyżką.

Z kuchni wchodziło się do sieni, a stamtąd już na dwór. Sień wyłożona była również ceglami. Stąd też prowadziły schody na górę.

Wspominając już o tej górze, warto napisać jak też tam wyglądało. Po jednej stronie, pod samym dachem stał duży kufer z kunsztownie kutym zamkiem z żelaza i kunsztownymi malowidłami na przedniej i bocznych ścianach. Był to kufer po nieżyjącej już matce gospodarza. W nim przywiozła swój posag, kiedy się w to gospodarstwo wżeniła. Miała tam w stosy poukładaną bieliznę, powłoki na kilka zmian, mycki, ubiory itp., a do przytwórka ojciec jej włożył posag w gotówce. Leżały w tym kufrze nie noszone już trzy twarde mycki. Jedna z nich, wyszywana złotymi nićmi z długimi wstęgami z jedwabiu schowana w małej skrzynce na spodzie. Była to mycka ślubna. Mycki te zawiązywało się innymi, mniejszymi wstęgami pod szyję. Góra wyłożona była ubitą gliną jak klepisko. W środku stał komin. W nim suszyło się mięso i szpak, który po wysuszeniu wieszało się w małej komórcie obok. Przy zachodniej ścianie stały rozebrane przyrządy tkackie, jak krosna, snowadło, retki, szpulnik itp. Pod strzechą leżały kalendarze warmińskie i kilka gazet polskich tam schowanych.

Tak wyglądało w ich budynku mieszkalnym.

Do gospodarstwa należała jeszcze duża szopa z chlewikiem dla krów, stajnią dla koni i świniami, stodoła z dwoma sąsiekami i dwoma klepiskami oraz mała szopa z dużym szalrem na wozy, sanie, maszyny i torf.

Jedna strona tej małej szopy odgrodzona była od szalra ścianą z desek. Tu wyglądało trochę po staroświecku. Przechowywało się tam poza innymi szeregi przedmiotów obecnie już nie używanych lub też używanych bardzo rzadko. Przy ścianie stał przedmiot podobny do długiego koryta na czterech nogach, wyciosany z grubego kłosa, a w nim leżał długi na całe koryto płaski bal z wyrzyniętymi zębami. Był to folusz do ubijania sukna na ubrania, zwłaszcza spodnie. Pozostawiono go tylko na pamiątkę, boć dawno już takiego sukna nie wyrabiano. W samym rogu znów stała na podstawie z grubych krótkich bali żarna do mielenia zboża, z długą tyczką. Jeden jej koniec z żelaznym, grubym gwoździem tkwił w małym otworze przy samym brzegu kamienia górnego, a drugi cieńszy w dziurce wywierconej w desce sufitu. Przy pomocy tej tyczki obracało się ręką górny kamień. Była to bardzo ciężka praca. Toteż później wożono zboże do wiatraka, jaki tu i ówdzie był we wsi lub też do młyna wodnego. Czasem tylko, kiedy nie było czasu, a potrzeba było śrutu dla świń, na prędce trochę zboża się na nim mieleło, ale to zdarzało się już rzadko. Po drugiej stronie ściany stała duża wałkownica z wałkami do nawijania bielizny, na której leżały duże kamienie, by była cięższa. Tam też poustawiano sprzęt do obróbki lnu – jak terlice, klepadło, rafy itp., jak i stalugi do kręcenia powrozów. Na ścianie wisiały kosy, grabie, szle i uzdy, a na takiej palicy leżały młotki, obcęgi, świdry, różnego rodzaju obcęgi i inne drobiazgi potrzebne w gospodarstwie domowym.

Budynki stawiał jeszcze ojciec Jana Gradowskiego, tylko szopę z chlewami to już on pobudował.

* * *

— Czas żyto siec — stwierdził pewnego dnia Gradowski. — Ziarnka już dojrzały i nie ma co czekać, żeby się nie wykruszyły. Najlepiej by było, gdybym już we wtorek siekli, to łatwiej będzie o ludzi. Jutro bym jeszcze zarżnęli barana, a ty byś kuchów upiekła.

— No jół, ale czy ja zdążę wszystko przygotować. Do picia mam jeszcze trochę lenkwaru, ale to za mało. Będziesz musiał chyba jeszcze achtelek piwa kupić. Do kuchów muszę już dzisiaj rozczynić.

W domu już zaczęli radzić, kogo by zamówić do koszenia żyta. On wziął ołówek do ręki i spisywał po kolei na karteczce nazwiska, przy tym mówił do niej:

— Będziemy siec przez jedno popołudnie. Gdzieś między dwunastą i pierwszą zaczniemy. Myślę, że w osiem par całe pole zesieczemy.

W trakcie rozmów weszła szesnastoletnia Anka, przysłuchiwała się najpierw chwilę, spoglądając to raz na ojca to na matkę i dziwiła się trochę, że o niej się nic nie mówi. Wreszcie zapytała:

— A ja z kim będę wiązała?

— Wejta no ją, wiązać już się jej zachciało razem ze starszymi. Możeś ty sobie już i kośnika wybrała? Nie, moje dziecko, jesteś jeszcze za młoda i nie dałabyś sobie jeszcze rady, a tam nie można w tyle pozostać, bo zaraz następny kośnik ci na pięty włazi. Możesz trochę mnie pomóc.

Na to wstał gospodarz i dał karteczkę Edwardowi ze słowami:

— Idź teraz i staluj. Tylko się spiesz, żebyś jeszcze przed wieczorem był z powrotem. Ja za ciebie dzisiaj wszystko obszykuję. Myślę, że nikt ci nie odmówi.

Jeszcze przed wieczorem Edward wrócił i już na progu radośnie zawołał:

— Wszyscy przymówili. Tylko Tylda od Pompeckich nie może przyjść, bo sami będą siec. Za to byłem u Lizy Widorki. Ona przyjdzie.

— No to będzie akurat dla mnie ziużarka, bo to już taka starsza panna — wtrącił na to gospodarz.

We wtorek, jak tylko kur zapiał, każdy się wziął do swojej roboty, żeby na południe, kiedy zaczną zbierać się kośniki i ziużarki, wszystkie prace domowe były gotowe. Anka z Agnesą zrobiły jeszcze przed południem masło, bo stare już im się kończyło i wylały maślankę do miski. Do maślanki zrobiły szturanych ziemniaków i mieli już na ten dzień obiad. Józef, który tego dnia gęsi pasł, już w południe przygnał je do ogrodu, bo chciał widzieć, jak będą się schodzili kośniki i ziużarki.

Kiedy się już wszyscy zebrali, na podwórze przyszedł gospodarz z kosą na ramieniu i zawołał:

— No to idziemy!

Na zawołanie to ruszyli w pole. Najpierw w gromadzie, a później parami.

Tak doszli na pole z żytem, które chyba dobrze będzie plonowało, bo kłosa pełne ziarna pochylały się w dół nie mogąc udźwignąć tego ciężaru. Miejscami tak wyrosło, że aż położyło się. Ciężko takie żyto sieć i już tak dobrze nie plónuje.

Siekli na ścianę, to już w stronę stojącego jeszcze żyta. Toteż ziużarka musiała się przy swej pracy spieszyć, bo zaraz za nią siekł drugi kośnik, a potem trzeci.

Prowadził August Sękała. Silny był. Jak zamachnął kosą żyto, jakby ścięte brzytwą szerokim pokosem kładło się na to, które jeszcze czekało na następnego kośnika. Za nim zbierała i wiązała żyto Karolinka. Wzięła go najpierw w garść, skrzyła, złożyła wpół i gotowe już prowiązło włożyła sobie pod pachę. Następnie zebrała odpowiednią ilość żyta – tyle by starczyło na jeden snopek – i mocno go związała przygotowanym już prowiązłem. Taki snopek rzuciła w bok, żeby nie leżał w drodze następnemu kośnikowi. Najwięcej się chyba napracowała, bo żaden kośnik nie brał tak szerokiego pokosu jak August, a im szerszy pokos tym więcej roboty dla wiązarki, bo więcej było do wiązania. Choć jej czasem ciężko szło, zawsze za nim zdążyła. Ten, który za nią siekł, nie potrzebował czekać.

Za nimi szedł Bernard Knotowski, a wiązała Finka Kochenków. Nie miał może tej siły co August i nie brał tak szerokiego pokosu, ale za to żyto było równo i nisko ścięte. Poplątane prostował, żeby jego ziużzarce lżej było go wiązać. Czasami kiedy skończył pokos, to jest kiedy przeszli z jednego końca na drugi, wyjął z buta dużą, kolorową, wzorzystą chustkę i obtarł sobie pot z łysiny.

Przedostatni siekł Edward, który miał Franciszkę Armborst za ziużarkę, a ostatni sam gospodarz.

Po przejściu całego pokosu zaostrzyli kosy i szli z powrotem, żeby zacząć znów od początku. Szli parami i sobie rozmawiali. Jedni więcej, drudzy mniej. Czasami po drodze podchodzili do węborków i nacerpnęli stojącym obok garnuszkiem z uchem – lenkwaru albo piwa do picia. Co kto wołał. Mężczyźni więcej pili lenkwar, natomiast kobiety brunatne piwo. Czasami kośnik i ziużarka pili z jednego garnuszka, po połowie.

Około godziny pół do piętej nastąpiła krótka przerwa, bo gospodni z tymi młodszymi dziećmi przyszła z podwieczorkiem i zaraz zawołała, żeby przyjść jeść, dopóki jedło nie ostygnie. Na ziemię rozłożyła dużą białą płachtę i tam postawiła duży dzbanek niesłodzonej kawy z mlekiem, garnuszki, dwa głębokie talerze z jajecznicą na szpaku i widelce. Potem wyjęła jeszcze z kosza nóż kuchenny, dwa kuchen z kruszonką i jeden bochen chleba. Jedną kuchę pokrajała na kawałki i położyła na kupki na płachcie. Chleb pokrajał już Edward, kiedy przyszedł, układając go tak samo.

W tym zaczęli się schodzić kośniki i ziużarki. Dookoła płachty zrobili ze snopków takie koło, żeby było na czym siedzieć i usiedli tak na przeplatane go na snopkach. Ziużarki sięgnęły wtedy po garnuszki i podały jeden najpierw swemu kośnikowi a drugi pozostawiły sobie, a jedna z nich obesła całe koło i po kolei nalewała kawę. Gospodyni i gospodarz raczyli do jedzenia. Chwycili więc za widelce i chleb, i jedli jajecznicę z jednego i drugiego talerza – gdzie bliżej – przygryzając chlebem i popijając kawę. Przy tym sobie wesoło gwarzyli, poruszając różne tematy, a gospodarz rad, że tak dobrze idzie robota, wesoło opowiadał jak to dawniej było przy takim koszeniu, kiedy jeszcze był młodziakiem. Jedna tylko siedziała cicho. Była to Niemka Franciszka Armborst, bo mało rozumiała, co oni tam po polsku gadali, a jeszcze mniej potrafiła mówić. Jej kośnik Edward tylko od czasu do czasu z nią trochę po niemiecku rozmawiał, ale też niewiele, bo rad słuchał, co oni tam po polsku opowiadali. Przy końcu zjedli jeszcze trochę kuchów i pierwszy podniósł się August, a za nim reszta.

Pokrzepieni siekli dalej aż do zachodu słońca, kiedy pozostał już tylko mały skrawek do koszenia. Ten skosili już bez Edwarda i gospodarza, bo ci wyszli wcześniej, żeby wykonać sprzęt w domu. Po skończonej robocie zaczęli się zbierać do domu, tylko Finka zawołała:

— Ja tu jeszcze chwilę pozostanę i uwinę dla gospodyni wianek z kłosów, bom wszystko żyto posiekli.

Bernard na to przyniósł trzy snopki i tak położył, żeby dobrze jej było siedzieć, kiedy będzie wianek wiła. Potem poszukał garść najlepszych kłosów ze słomkami długości trzydziestu centymetrów i trochę modrych kwiatów. Położył jej to na kolanach i usiadł obok niej.

Ona wtedy wzięła trzy kłoski ze słomką i tak zwinęła, że się trzymały. Następnie dodawała kłosek po kłosku, a słomkę obwinęła dookoła poprzednich słomek, przetykając w ten sposób powstający wianek od czasu do czasu modrym kwiatkiem. Kiedy był dość długi, związała go i przypasowała na swoją głowę. Gdy wianek był gotów, on wziął swoją kosę na ramię, a ona wianek i rażno poszli w stronę domu.

Kiedy przyszedli do domu zastali zebranych już i gwarzących sobie kośników i ziużarki. Był też już gospodarz, który wcześniej wyszedł, i Edward. Finka, jak tylko weszli na podwórze, poprosiła żeby zawołać gospodynię Klarę, która krzątała się w kuchni koło wieczerzy. Na pierwsze już zawołania wyszła. Wówczas Finka podeszła do niej, włożyła jej wianek z kłosów na głowę i coś tam do niej mówiła, czego przy tym harmidrze, śmiechu i gwarze nie można było rozumieć. Słychać było tylko różne głosy z wesołej i roześmianej gromady kośników i ziużarek. Gospodyni uradowana dziękowała. Następnie zaprosiła wszystkich do izby na wieczerzę.

Tam długi stół przy ławie i drugi dostawiony już był nakryty. Po drugiej stronie stołów ustawili długą ławkę i stołki. Na stole dymiły się już miski ze skopowiną od zarżniętego w ponie-działek barana, a na talerzu leżała twarda suszona kiełbasa, którą specjalnie przechowywali na ten dzień. Były też jaja uwarzone i pokrajany poukładany w kupki chleb.

Pomagała przy nakryciu stołu i przenoszeniu z kuchni potraw na stół Franciszka Armborst, a jej kośnik Edward krzątał się koło piwa. Nie zaczęty jeszcze achtelek piwa bejerskiego postawił na stołeczek, wybił z achtelka szpunt, żeby lepiej leciało i odkręcił kurek. Pod kran postawił dzbanek, do którego spływało piwo. Kiedy był pełny, natoczył drugi dzbanek piwa brunatnego z zaczętego już achtelka, dla kobiet. Piwo to ponalewał do szklanek na nóżce z wyżyłbionymi w szkle gwiazdkami, poustawianymi na stole.

Przy stole gwaro już było. Gospodarz z dwoma sąsiadami, którzy również u niego żyto siekli, siedział przy końcu stołu. Coś tam głośno rozprawiali, wybuchając od czasu do czasu głośnym śmiechem. W ogólnym hałasie można było tylko zrozumieć, jak wykrzykiwali „do kaduka”, „oszalało”. Finka przysiadła do swojego kośnika, a August usiadł przy swojej ziużiarce Karolinie. Wszyscy mówili po polsku, tylko Edward ze swoją ziużarką gadał po niemiecku, boć ona po polsku dobrze nie rozumiała.

Tak jedli i popijali piwem, a gospodarze ze swoimi sąsiadami i kilkoma starszymi stukali się kieliskami i wołając „na zdrowie” albo „prost” popijali gorzałkę.

Tak już pod koniec wieczery gospodarz zawołał do Edwarda:

— No, Edwardzie, to zagraj nam na harmonii. Pójdziemy w tany. Pierwszą możesz zagrać polkę, bo to mi najlepiej idzie.

Edward nie dał sobie tego dwa razy mówić, tylko wstał, otyjnął z drugiej izby harmonię i zagrał skoczną polkę, przytupując do taktu nogą.

Gospodarz wtedy poszedł po swoją białkę, która siedziała z wiankiem na głowie po drugiej stronie stołu i „zatancowali” poleczkę z przytupaniem nogą. A za nimi poszły wnet w tany dalsze pary.

Jak trochę odpoczęli, zagrał im walera, a później krakowiaka. Takiego, kiedy to od czasu do czasu się rozchodzili, trzymając zgięte w łokciach ręce przy biodrach i patrząc jeden na drugiego z takim przymilnym uśmiechem, następnie znowu się schodzili.

Po godzinie dwunastej Kleofas Sendrowski wstał i zawołał:

— Dobrze nam tu było, ale na nas już czas, bo jutro będziemy po południu u Augusta siec, więc musimy się wyspać.

Klemens Frenszkowski

Klemens Frenszkowski, „Śmierć Brunaczki. Opowiadania”, Olsztyn, Pojezierze, 1967 [zachowano pisownię i interpunkcję oryginału]



PROZA

Krzysztof BEŚKA

Amber-Gold (fragment)

KRZYSZTOF BEŚKA

ur. w 1972 roku w Mrągowie, prozaik, dziennikarz, autor słuchowisk, tekstów piosenek, od 1998 roku mieszka w Warszawie. Autor kilkunastu książek prozatorskich (realistycznych, kryminalno-sensacyjnych), których akcja toczy się na Warmii i Mazurach, w Łodzi, Warszawie, Prusach Wschodnich. Ostatnio opublikował m.in. „Fabrykę frajerów” (2009, nagroda literacka Wawrzyn Warmii i Mazur oraz Wawrzyn Czytelników); „Ornat z krwi” (2013), „Kryptę Hindenburga” (2015). Przygotowywana do druku powieść „Amber-Gold” przedstawia kolejne przygody detektywa Stanisława Berga, którego los rzuca do Królewca końca XIX wieku.

1.

Pędząca Fleischbankenstrasse czarna, lśniąca berlina zaczęła wchodzić w zakręt. Stangret w policyjnym mundurze, który, miast siedzieć jak inni jemu podobni na koźle, stał na wyprostowanych, szeroko rozstawionych nogach, nie miał jednak zamiaru zwolnić. Przeciwnie – podniósł bat, smagnął nim dwa końskie zady, które już się mydlić zaczynały, i zawołał:

— Dalej! Ho! Ho! Dalej!

Buda berliny wychyliła się niebezpiecznie. Tu i ówdzie spod kół gruchoczących brukowe kamienie sypnęły się iskry. Kilku przechodniów w ostatniej chwili zdołało schronić się pod ścianami kamienic.

— Żeby cię piekło pochłonęło! – Jeden z nich, elegancki starszy pan, który zatrzymał się na najwyższym stopniu schodów rzeźbionego portalu kamienicy pod trzydziestym piątym, wygrażał laseczką wariatowi. Ten jednak nie mógł go już usłyszeć ani tym bardziej zobaczyć, berlina minęła bowiem budynek królewieckiego ratusza i zmierzała w stronę mostu Kotlarzy. A piekło to, jakbyście jeden z drugim nie wiedzieli, odwiedzał codziennie. I teraz też najpewniej do niego zmierzał...

Podobne myśli co u przechodniów rodziły także w głowach pasażerów podróżujących powozem.



Königsberg, 1916. Pocztówka z kolekcji Kasi i Janusza Pileckich.

— Kiedyś go zabiję — warknął jeden z nich, trzymający się kurczowo oburącz krawędzi ławki, co jednak nie przeszkadzało mu w paleniu cygara, dostojnym, a jakże!

— Na wszystko przyjdzie pora, drogi przyjacielu — mruknął drugi z mężczyzn, młodszy, niepalący w tej chwili; on z kolei starał się wygrać z przeciążeniami, przyciskając do boku drzwi ręką, którą przełożył malowniczo przez otwarte okienko.

Obaj mieli podobne wąsy, a na głowach identyczne meloniki. Obaj też, czego już nie było wiadać, kryli pod marynarkami rewolwery w skórzanych kaburach. I w głębi ducha cieszyli się, że akurat tego dnia wsiedli do berlińskiego szalonego stangreta. Dzięki temu bowiem szybciej mogli dotrzeć na miejsce. Nie byle jakie, bo miejsce przestępstwa.

Pojazd zaczął zwalniać. Usłyszeli dzwonienie. Jeden z pasażerów, ten przy oknie, wyjrzał na zewnątrz.

— Musimy przepuścić tramwaj – poinformował współpasażera. — Ale już dojeżdżamy.

— Całe szczęście.

Upagnione „prrrrr” usłyszeli po kilku chwilach. Rzuciło nimi na boki, ale szczęściem powóz w nic nie uderzył ani nikogo nie zmiotł. Koła już się nie kręciły, choć konie jeszcze przez dłuższą chwilę stukwały kopytami o bruk.

Pasażerowie wysiedli. Starszy zamaszystym sięgnął po zegarek z dewizką.

— Dochodzi siódma, czyli jechaliśmy niecały kwadrans — podsumował. — Nieźle!

Szaleniec na kozle skinął głową z zadowoleniem, mimo że obaj pasażerowie wyglądali jak dzieci, które przed chwilą, półprzytomne i mokre, zdjęto z karuzelu. Palacz rzucił do rynsztoka

cygaro, młodszy natomiast zapiał marynarkę i ogarnął spojrzeniem imponujący neorenesansowy budynek, przed którym stali.

— Wiesz, że jeszcze tutaj nie byłem? — rzekł do towarzysza, lekko, jak na wakacyjnej eskapadzie. — Mam oczywiście na myśli wnętrze giełdy.

— Nie dla nas takie miejsca — mruknął bez uśmiechu tamten.

— To prawda. Ale posesyjka niczego sobie, nie uważasz? Pamiętam bardzo dobrze, jak ją budowali. Dwadzieścia lat temu.

— Byłeś już aby wtedy na świecie?

— Miałem dwanaście lat. Przychodziliśmy tu z ojcem, żeby popatrzeć. Sam architekt przyjeżdżał z Bremy, by nadzorować prace. Nazywał się, jeśli dobrze pamiętam, Müller. Heinrich Müller.

— A mi się te rzeźby na dachu podobają. — Starszy kciukiem przesunął melonik ku tyłowi głowy. — Nigdy nie jestem pewien, czy to kamienne postacie, czy może ci, którzy tu robią, pomylili się w rachunkach. Utopili nie swoje marki i chcą teraz skoczyć za nimi do rzeki...

Nie było jednak czasu na wspominki ani tym bardziej na żarty, choć w tym, co powiedział starszy z przybyszy, coś było. W gmachu królewieckiej giełdy czekały na nich bowiem dwa trupy, oni zaś byli policjantami z prezydium policji, których chlebem powszednim, choć brzmieć to mogło co najmniej niefortunnie, były zabójstwa.

Rychło znaleźli się przy bocznych drzwiach budynku; przy takich sprawach jak ta, która na nich czekała, rzadko bowiem korzystało się z głównego wejścia. Oczekiwał ich stójkowy, wąsacz z wielkim brzuchem, podzielonym na pół białym pasem z dyndającą szablą. Wyprężył się i dotknął palcami prawej dłoni daszka czapki.

— Wachtmeister Hoffman melduje... — zaczął, ale kroczący przodem miłośnik cygar zgasił go ruchem dłoni; bo i nie było czasu także na parady.

— Prowadź! — rzucił.

Grubas szybko otworzył ciężkie drzwi. Puścił przodem starszych stopniem, choć i tak po chwili musiał ich wyprzedzić, aby należycie wypełniać rolę cicero. Znaleźli się w niewielkiej sionce. Następnie zeszli po schodach i ruszyli wąskim, dość niskim, ale dobrze oświetlonym i dobrze utrzymanym korytarzem. Jedyne, co mogło w tym miejscu przeszkadzać, to woń stęchlizny, co powodowała bezpośrednia bliskość rzeki Pregel. Szli w całkowitym milczeniu.

Starszy z policjantów nazywał się Herbert Mischke. Polizeisekretär Mischke w królewieckiej policji pracował od lat ponad piętnastu. Słynął z tego, że miał wyjątkowy węch: wyczuwał kłamców. Kiepsko było za to z trzymaniem nerwów na wodzy, bo gdy jeden z drugim podejrzany szedł w zaparte, potrafił użyć bardziej przekonujących argumentów niżli prośby, groźby czy paragrafy. A rękę miał ciężką. Kilka razy napytał sobie z tego powodu biedy, został zawieszony w obowiązkach służbowych. Policja w takim mieście nie mogła sobie jednak pozwolić na zbyt długie pozostawanie pana Mischke na przymusowym urlopie.

Drugim z mężczyzn, przed którymi kilka chwil wcześniej prężył się Hoffman, był polizeikommisar Ludwig Schatzki. Z pochodzenia Polak, w ciągu zaledwie dekady dosłużył się oficer-

skiego stopnia. O nim z kolei szeptano, że potrafi wydobyć zeznania nawet od... umarłych. Nieraz widziano, jak nisko pochylał się nad trupem – a to nie zdarzało się nawet najtwardszym – i słuchał. A przecie lekarz już dawno akt zgonu wypisał. Kto wie, czy właśnie nie dzięki temu Schatzki miał na koncie wiele rozwiązanych zagadek kryminalnych.

— Pan opowie w paru słowach, jak było — Schatzki, który nie zamierzał tracić czasu, przerwał ciszę.

— Znalazł ich nocny stróż, którego zaniepokoiły jakieś hałasy — zaczął Hoffman, odchylwszy nieco głowę na bok, tak jak to czyni dowódca kroczący na czele oddziału. — To było gdzieś o czwartej nad ranem. Wpół do piątej może. Zszedł do piwnic, zobaczył ciała. A kiedy mu się odechciało rzygać, wrócił na górę, znalazł telefon i powiadomił prezydium.

Jeszcze jeden zakręt i oto, na końcu korytarza, przed drzwiami z zatartym już mocno napisem MAGAZYN ujrzeli kolejnego policjanta. Tak samo jak Hoffman przybrał postawę zasadniczą, zasalutował, po czym bez zbędnych słów, tylko na nich bowiem czekali, nacisnął klamkę.

— Dzień dobry — przywitał się Ludwig Schatzki, przekroczywszy próg pomieszczenia, choć wiedział doskonale, że nikt mu nie odpowie.

Mischke z kolei uśmiechnął się pod wąsem, mimo że bardziej wypadało chyba uronić łzę, może uczynić znak krzyża, wreszcie ręce spleść przed sobą.

— Za tamtym biurkiem. — Wachtmeister wskazał ręką kierunek.

Obaj specjaliści od morderstw doskonale wiedzieli, że będą się musieli tam udać sami. Nie tylko dlatego, że zwykły stójkowy może nie wytrzymać widoku trupów, dużej ilości krwi, być może nawet narządów wewnętrznych nie tam, gdzie być powinny. Chodziło przede wszystkim o to, aby nie zacierać śladów. W takich przypadkach liczyło się przecie wszystko: od odcisku podeszwy na podłodze, po włos osobnika, który zadał śmiertelne ciosy.

W istocie, dwa męskie ciała znajdowały się za biurkiem, które nikomu już nie było potrzebne, więc wylądowało w magazynie. Dzisiaj spełniło swoją być może ostatnią powinność, służąc za parawan dla okropności. Czegoś takiego bowiem ani Schatzki, ani Mischke nie widzieli.

174 2.

Dwunastoletni Oskar Radtke stał przed sklepem Kardacha mieszczącym się w zaułku staromiejskiej Pauperhausstrasse i wpatrywał się w wystawę. Ech, czego tam nie było! Laski, szelki, ka-pelusze, krawaty – słowem: wszystko, o czym tylko może zamarzyć elegancki mężczyzna, nie tylko w tym mieście, ale pewnie i w samym Berlinie, a nawet Paryżu!

Obok, za drugą szybą, prezentowano rzeczy, których ów pan używał, by stać się jeszcze szczęśliwszym. Szczególną uwagę chłopak zwrócił na trąbki: złote, zakręcone jak muszla śli-

maka. Nigdy wcześniej takich nie widział. Tudzież rakiętę, którą, wiedział o tym doskonale, uderzało się niewielką piłkę na trawiastym polu, przedzielonym siatką o okach dużo większych niż te, które oglądał latem w rybackich wioskach na mierzei.

Kiedys będę taką miał i grał z bogaczami — pomyślał i pociągnął nosem.

Wyjął gołą stopę ze zbyt dużego buta i podrapał się po brudnej pięcie. Rozejrzał się dookoła. Jacyś dwaj, mieli tyle samo lat co on, może trochę mniej, przyglądali mu się, stojąc w otwartych drzwiach kamienicy naprzeciwko. Coś między sobą szeptali.

— Czego? — fuknął nieprzyjaźnie, w efekcie czego tamci znów coś poszeptali, by zaraz zniknąć w półmroku sieni; czuł jednak, że nadal tam są.

Oskar schował stopę do buta i ponownie wlepił wzrok w witrynę. Tym razem jednak nie po to, by znów podziwiać towary, którymi handlował kupiec Kardach, ale wykorzystać szkło jak lustro i przyjrzeć się przechodzącej uliczką kobiecie. Wielki kapelusz, w ręku parasolka, no i to, co najważniejsze – torebka. Ładna, z delikatnej, białej skóry. Niewielka, ale na pewno z ciekawą zawartością.

Chłopak odwrócił się i z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie zbyt krótkich i połatanych portek ruszył za kobietą. Starał się zachować dystans. Sześć, osiem kroków. Wystarczająco blisko, by nie stracić celu z oczu, a jednocześnie wystarczająco daleko, aby nie wzbudzić tym zainteresowania stójkowego. A ten mógł się przecie napatoczyć na każdym rogu.

Elegantka skręciła w lewo i szła teraz w stronę zamku. Oskar przeskoczył na drugą stronę ulicy, tuż przed przejeżdżającą dorożką. Wozak rzucił za nim przekleństwem, ale chłopak nie zwrócił na to uwagi. Musiał nieco przyspieszyć.

Kiedy chwilę później na końcu ulicy Kanta zamajaczył bowiem tramwaj elektryczny, chłopak uzmysłowił sobie, że kobieta może do niego wsiąść. A wtedy nici ze zdobyczy. Za niespełna pół roku nauczy się wskakiwać na wagon i podróżować uczepiony drzwi; teraz jednak nowy środek transportu tylko przepelniał go lękiem.

Nagle kobieta się zatrzymała i tak jak on przed paroma chwilami zaczęła się wpatrywać w witrynę sklepu galanteryjnego.

— Teraz — wydał sam sobie polecenie Radtke, co zawsze mu pomagało.

W kilku susach przeciął ulicę, dopadł kobiety i silnym ruchem wyszarpnął jej z rąk torebkę.

— Złodziej! Ratunku! — krzyknęła za nim, dużo szybciej i dużo głośniejszym głosem, niż się spodziewał.

Dopadł rogu ulicy i przyciskając zdobycz łokciem do boku, pruł co sił w nogach w kierunku placu Gesekusa. Jeszcze kilkanaście kroków i skręci w Koggenstrasse. Tam będzie bezpieczniejszy. Schowa się w jakimś spokojnym kącie, na schodkach prowadzących do piwniczki albo za śmietnikiem, otworzy torebkę, by wstępnie ocenić wartość łupu.

Jeszcze kilka kroków. Za duże buty kłapały po bruku, ale o wiele głośniejsze wydało się Oskarowi bicie jego własnego serca.

— Złodziej! Łapcie go! — usłyszał za plecami.

Obejrzał się. Biegła za nim, wywijając parasolką. Nie, tego się nie spodziewał...

Na szczęście już miał przed sobą róg kamienicy. Mijając go, otarł się ramieniem o szorstki tynk, niszcząc materiał kapoty. To jednak nie było w tej chwili ważne. Sapnął, zwinął palce w pięści, przygarbił nieco, by łatwiej mu było przyspieszyć na prostej. I byłby to zrobił, gdyby nagle jak spod ziemi nie wyrósł przed nim przechodzień.

— Przepraszam — rzucił ulicznik chwilę po tym, jak odbił się od jego klatki piersiowej niczym gumowa piłka.

— Nie szkodzi — odparł tamten; był to pan wysoki, dobrze i drogo ubrany, choć czemuś odrobinę nieświeży, bo bez krawata, kapelusza i bez laski.

Radtkę już miał uskoczyć w bok, by minąć przeszkodę, gdy mężczyzna chwycił go mocno za ramię. Chłopak szarpnął się, próbując wyrwać z uścisku, ale bez skutku. Podniósł wzrok i wtedy ujrzał uśmiechniętą twarz tamtego. Uśmiechniętą specyficznie. Tak szczerzy się myśliwy, któremu udało się upolować zwierzynę.

— Łapać go! — usłyszał za plecami głos obrabowanej kobiety i stukot jej butów, a na koniec głośnie sapanie.

— Puszczaj! — Oskar próbował kopnąć mężczyznę w piszczel, ale tamten nie dość, że zdążył w porę odsunąć nogę, to jeszcze sprytnie przekręcił chłopakiem, uniemożliwiając mu nie tylko ucieczkę, ale także jakiegokolwiek ruch. Widać było, że ma w tym wprawę.

— Już dobrze, złapałem go. To pani własność? — Podał kobiecie odebraną chłopakowi chwilę wcześniej torebkę.

— Tak.

— Proszę sprawdzić, czy nic nie zginęło.

Uczyniła, jak kazał. Pokręciła głową. Sprawa była załatwiona. W tej samej chwili rozległ się jednak ostry dźwięk gwizdka.

— O nie... — jęknął złodziejasek i jeszcze raz próbował się uwolnić, ale z tak samo marnym skutkiem.

Zbliżał się do nich policjant. Radtkę znał go. To był Schulz, wyjątkowa kanalia. Szarpnął się, ale i tym razem człowiek, który go zatrzymał, nie dał się zaskoczyć.

— Co tu się dzieje? — zapytał stójkowy, poprawiając pas z szablą.

Okradziona, której już się udało zapanować nad sapaniem, choć wciąż miała czerwoną od wysiłku i gniewu twarz, opowiedziała, co się wydarzyło. Nieznajomy, który złapał złodziejaskę, cierpliwie czekał na swoją kolej. Ta nadeszła, gdy Schulz przeniósł na niego spojrzenie. Jednak miast otworzyć usta, by zacząć mówić, otworzył je, ale ze zdumienia. Za chwilę przygryzł wargi. Ze złości.

Chwilę wcześniej policjant uderzył bowiem chłopca w twarz. Tak silnie, że ten aż krzyknął. Krzyknęła także poszkodowana pani, a także jakaś inna, przechodząca obok, starsza.

— Odechce ci się raz na zawsze kraść! — ryknął Schulz.

Po czym trzasnął raz jeszcze, powrotnym ruchem.

— Zgnijesz w mamrze, śmieciu!

Z nosa Oskara Radtke leciała krew. Kobieta spojrzała na ulicznika, zacisnęła palce na odzyskanej torebce, by za chwilę przenieść wzrok na młodego mężczyznę, który ją dla niej odzyskał. Pokręciła głową. Ledwo dostrzegalnie, ale zauważył to.

— Proszę tego więcej nie robić — rzekł mężczyzna, wbijając wzrok w policjanta.

— Co? — Schulz sprawiał wrażenie, jakby nie dosłyszał; tak naprawdę jednak był po prostu zaskoczony tak słowami nieznajomego, jak i jego spojrzeniem. — Coś pan powiedział?!

— Żebyś pan tego nie robił — powtórzył tamten spokojnym głosem. — To złodziej, a nie morderca. Zasługuje na karę, ale wyrok nie został jeszcze wydany przez żaden sąd.

— Sądy nierychliwe.

— Ale póki co należy mu się minimum szacunku. Żadnego bicia, rozumie pan?!

Twarz stójkowego nabiegła krwią, oczy zwęziły się w szparki, a ręka odruchowo dotknęła główni szabli.

— Jeszcze jedno słowo, a pójdziesz pan do kozy razem z nim — wycodził przez zęby.

— Ja nie mam żadnych pretensji — wtrąciła poszkodowana, patrząc bezzadnie to na jednego mężczyznę, to na drugiego. — Ważne, że odzyskałam swoją własność i...

— Milczeć! — zgaślił ją Schulz. — To ja decyduję, co będzie ze złodziejem.

Wtedy stało się coś, czego nikt się nie spodziewał: mężczyzna puścił ramię młodocianego przestępcy. Nie tylko zelżał jego uścisk i on sam odsunął się od chłopaka, ale pchnął go ku tyłowi, jednocześnie odgradzając od policjanta. Oskarowi Radtke nie trzeba było tłumaczyć dwa razy.

— Halt! — ryknął zaskoczony tym mundurowy, dobywając szablę z pochwy.

Ale chłopak już zniknął za rogiem.

— Z tego już się pan nie wyłgasz — wycodził przez zęby policjant nazwiskiem Schulz, wyjątkowa kanalia, o czym wiedziały już dwie osoby więcej. — Pójdziesz ze mną.

— Nie przywykłem do takiego tonu — mruknął mężczyzna. — I nie piłem z panem brudzia.

— Czego?

— Ten pan mi tylko pomógł — przyszła nieznajomemu w sukurs kobieta, tym razem jednak jej głos był pewniejszy niż wtedy, gdy usiłowała zbagatelizować sprawę rabunku torebki.

— Nikt się ciebie nie pyta o zdanie — syknął Schulz, a do nieznajomego rzucił: — Idziemy. Mężczyzna skinął głową i ruszył pokornie w kierunku wskazanym przez szablę stójkowego. Jednak kobieta nie myślała wcale ustąpić.

— Znam paru oficerów, nie omieszkać ich powiadomić o pańskim zachowaniu — oświadczyła, gromiąc wzrokiem policjanta, do mężczyzny natomiast zwróciła się w te słowa: — Jeszcze raz dziękuję za odzyskanie torebki. Doprawdy nie wiem, co bym zrobiła, gdybym ją straciła... — głos jej się załamał, zaraz jednak odchrząknęła i powiedziała: — Proszę mi przynajmniej powiedzieć, jak się pan nazywa.

Mężczyzna uklonił się z galanterią i mimo niekomfortowej, a do tego wielce absurdałnej sytuacji, przedstawił się jak w eleganckim salonie:

— Bardzo mi miło, nazywam się Stanisław Berg.

3.

— Nieżle musiałeś pan dać do pieca, co?

Słowa, które Berg znał skądinąd, choć wypowiedziane po niemiecku i przez osobę o odrobinę większej ogładzie niż dorożkarska, bo policjanta, spowodowały, że mimo woli się uśmiechnął. Do tej niejednoznacznej odpowiedzi dodał jeszcze wzruszenie ramion. Za to chyba nie skażą go na galery. Albo twierdzą. Na pewno jakąś tu mają. Po drodze widział wiele budynków, które mogły pełnić taką funkcję, a i osobników, których można by było tam umieścić, zauważył paru. A czy w tym, co zrobił, doszukają się powodu, to już inna rzecz.

— No to jeszcze raz: skąd pan siedł i co pan tam robił? — Przesłuchujący Stacha wachtmeister ze zrudziałym od tytoniowego dymu wąsem stuknął kilka razy ołówkiem w papier, na którym zdążył napisać jedynie imię, nazwisko, datę urodzenia i narodowość przesłuchiwanego; Berg odniósł wrażenie, że odrobinę mu chyba nie pasowało polskie imię do nazwiska.

— Byłem nadać depeszę — odpowiedział Stach zgodnie z prawdą.

— Dokąd?

— Do Gdańska.

— A o czym pan pisał, jeśli można zapytać?

— Musiałem stamtąd nagle wyjechać i nie zdążyłem zabrać ze sobą paru ważnych rzeczy. Dlatego prosiłem przyjaciela, aby mi je dostał.

Nuda. Ołówek w grubych palcach policjanta nie napisał ani jednej litery, ani cyfry. Tymczasem Stanisław Berg był w stanie tych kilka zdań nawet... wyśpiewać! Ze szczęścia.

Ech, ile prawdy było w zdaniu, że czasem należy upaść bardzo nisko, aby zrozumieć, jak cennym darem jest życie. Bo poprzedniej nocy, na niezwyklej, pływającej arenie, gdzie gladiatorzy z przypadku walczyli o to, by nie spędzić reszty swych dni na cuchnącej krypie, Stach jednak nie utrzymał się na nogach. Upadł. Na szczęście chwilę wcześniej, czego już nie zdążył zauważyć, zrobili to także dwaj ostatni walczący. Ich zmagania zakończyły się remisem, co w ostatecznym rozrachunku oznaczało, niestety, porażkę.

O tym wszystkim Stanisław Berg dowiedział się chwilę po tym, jak ocucono go, wylewając na głowę wiadro zimnej, słonej wody z domieszką wodorostów i odpadów. Spluwając z obrzydzeniem rybią łuską, ujrzał nad sobą skrzywioną w uśmiechu twarz kapitana „Czerwonej Ostrygi”.

Rudolf Pringsheim miał dla niego dwie wiadomości: dobrą i złą. Nie zapytał jednak, którą ma podać najpierw, tylko poinformował, że jako jedyny z całej ósemki, zgodnie z obietnicą, może Berg zejść na ląd. Zła wiadomość była taka, że będzie to możliwe dopiero w najbliższym porcie, gdyż szkuner od godziny znajdował się na morzu. A teraz zaprasza do swojej mesy na gorący posiłek, oczywiście suto podlany. Marynarz poda za chwilę oczyszczone ubranie.

Detektyw zdawał sobie doskonale sprawę, że powinien nienawidzić tego człowieka. Gdy tylko zostaną sami, rzucić mu się go gardła choćby z gołymi rękami. No bo co to za metody, wielki Boże, żeby łapać ludzi na ulicy nocą i kazać im walczyć ze sobą jak jakim kogutom czy psom?! Do drzwi pukał już przecie dwudziesty wiek! A gdyby nie wygrał walki, to co? Leżałby teraz w ładowni z rozbitym łbem razem z innymi, a potem został zaprzęgnięty do roboty na tej przekłętej fajbie?!

Wystarczyło jednak, że zamienili kilka zdań, a cała złość zeszła ze Stacha niczym powietrze z przedziurawionej opony bicykla. Może spowodowała to jego wysoka kultura osobista i manierzy kapitana, których nie powstydziliby się żaden z gości pałacu Finckenstein. A może fakt, że za jego plecami, na półce, stały pięknie oprawione powieści Tolstoja, Dostojewskiego czy Flauberta, a także zbiory wierszy Goethego, Mickiewicza i Puszkina. Poza tym ubranie Stacha było dobrze oczyszczone, a jego kieszenie – nienaruszone.

Z miejsca udało im się znaleźć wspólny temat. A potem kolejny, który sprawił, że detektyw był już pewny, że w swej ocenie Pringsheima się nie mylił. Trzeci temat, który pojawił się, kiedy już zjedli podaną im smażoną solę, rozbudził w detektywie na nowo wiarę sens jego pracy. Miało to zresztą związek z zawartością jednej z kieszeni surduta Berga...

— A jak się pan znalazłeś w mieście? — wspomnienia ostatnich godzin przerwał głos policjanta, który uniósł lewą brew i znów stuknął ołówkiem w papier.

— Przy płynąłem łodzią z Piławy — odparł Berg jak na spowiedzi.

— A wcześniej?

Praktyki Rudolfa Pringsheima oczywiście nie były legalne i każdy szanujący się obywatel miał obowiązek powiadomić o nich władze: policję, urzędy morskie albo nawet kapitanat pierwszego portu, do którego zawinęła „Czerwona Ostryga”. Stanisław Berg jednak tego nie zrobił. I robić nie zamierzał.

— Jak mówiłem, musiałem w trybie pilnym dostać się z Gdańska do Królewca. Wszedłem więc na płynący do Kłajpedy kecz, na którym pływa znajomy bosman. Wyrzucili mnie w Piławie i popłynęli dalej — skłamał bez mrugnięcia.

— Nazwisko tego bosmana?

— Roch Ciupa.

— Polak?

— Rusin.

— A pan to?

— Polak. — Berg uniósł wyżej głowę, mimo że zdawał sobie sprawę, iż przyznanie się do tego w kraju, gdzie wielu ludzi wciąż wspominało z rozrzewnieniem rządu kanclerza Otto von Bismarcka, nie jest zbyt rozważnym ruchem.

Policjant tylko coś mruknął pod nosem. Nic nie zapisał. Notatka służbowa wciąż zawierała tylko podstawowe dane. Czyżby tylko to miało wystarczyć do sporządzenia aktu oskarżenia?

Ledwo Stach o tym pomyślał, wachtmeister potarł wskazującym palcem zrudziały od dymu tytoniowego wąs i pochylił się nad biurkiem, przy którym naprzeciwko siebie siedzieli.

— Tak między nami, panie Berg — zaczął niegłośnie. — Schulz to wyjątkowa kanalia. Nikt z nas go nie lubi. Służbista, co to własną matkę by zamknął bez wahania.

— Co pan mówi...

— Ja niczego nie mówiłem, żeby było jasne. — Mężczyzna pogroził wskazującym palcem. — A wracając do Schulza, to i przyłożyć potrafi, czasem zupełnie bez powodu. Takich ludzi należy leczyć. Nie dziwię się więc panu, że zrobił to, co zrobił.

— Każdy na moim miejscu...

— Dobra, dobra. Wystarczy. Proponuję, żebyśmy zapomnieli o sprawie — powiedział, by dodać, jeszcze bardziej znijając głos i, co zdziwiło Berga, całkiem dobrze po polsku: — Moja żona jest Polką.

— Proszę ją w takim razie ode mnie serdecznie pozdrowić. — Stach uściśnął wyciągniętą nad białem rękę policjanta.

Ten zaś zmiął w tej samej dłoni papier z danymi zatrzymanego, po czym wypisał coś na innym, mniejszym, jak się miało okazać, przepustce, bez której Stach nie opuściłby budynku. Gdy wręczył ją Bergowi, zapatrzył się w okno na zalane słońcem dachy sąsiednich domów i westchnął:

— Są gorsze i poważniejsze rzeczy, proszę pana, niż kradzież głupiej damskiej torebki...

Przyjazny Stanisławowi Bergowi i Polakom wachtmeister miał na myśli sprawę, którą od wielu godzin żyła większa część prezydium policji w mieście nad Pregolą. Była to sprawa podwójnego morderstwa w piwnicach gmachu giełdy. Właśnie nad nim miano rozprawiać piętro wyżej, w gabinecie przełożonego Herberta Mischke i Ludwiga Schatzkiego, inspektora Franza Wincklera. Był to wąsacz dobrze po pięćdziesiątce, siwy już zupełnie, z nieodłączną fajką w ustach i pince-nez na nosie. Raport podwładnych przyjął ze spokojem. Tak by się przynajmniej wydawało osobie, która przy długim dębowym stole, gdzie zawsze odbywały się narady, siedziała po raz pierwszy. Że tak nie było, świadczyły detale. Ot, choćby ręka z zapalną, która podpałała tytoń w fajce. Zawsze nieruchoma, dzisiaj drżała. Podobnie jak głos, który chwilę później rozległ się pośród gęstego dymu.

— Obcięto im głowy?

— Zgadza się, panie inspektorze — potwierdził Schatzki. — Ofiary zostały zdekapitowane. Winckler podparł głowę w łokciu i wbił spojrzenie w gładki blat stołu, obok odłożonej chwilę wcześniej fajki, z której unosiła się cienka strużka dymu.

— Przybyły na miejsce lekarz sądowy zwrócił uwagę na sposób, w jaki głowy oddzielono od tułowia. — Ludwig Schatzki zaszeleścił papierami. — Dokonano tego bardzo ostrym narzędziem. Ale to nie wszystko. Cięcie było jedno, bardzo mocne i niezwykle szybkie.

— Jak gilotyna? — Franz Winckler skrzywił się, bo jako uczestnik wojny sprzed ćwierć wieku niezbyt przepadał za wszystkim co francuskie, a zbrodnicze narzędzie egzekucji, mimo że od dawna używane także w Prusach, kojarzyło mu się jednoznacznie.

Komisarz wykonał niejednoznaczny ruch głową. Coś w rodzaju niemego „tak, ale”. Gilotyna nie zmieści się przecie w kieszeni, a przybyli na miejsce policjanci nie mieli wątpliwości, że tamtych dwóch zamordowano na miejscu. Świadczyły o tym ślady krwi na ścianach i podłodze.

- Stawiałbym raczej, panie inspektorze — odezwał się milczący dotąd Herbert Mischke — na bardzo ostry miecz.
- Miecz?
- Zgadza się.

Inspektor Franz Winckler sięgnął po fajkę i znów ją zapalił. Tym razem ręka mu się nie trzęsła. Być może już oswoił się z faktem, że na jego terytorium doszło do tak makabrycznej zbrodni. Owszem, codziennie zdarzały się zabójstwa, Królewiec był przecie miastem portowym, gdzie zawijały statki z całego świata, miastem stu tawern, podejrzanych szynków, lepszych i gorszych lupanarów, gdzie dziwki spotykały się z marynarzami.

— Kim byli zamordowani? — zapytał inspektor, zmieniając nieco kierunek rozmowy. — Mówiłeś na początku, że to pracownicy giełdy. Coś więcej?

Ludwig lubił, gdy szef zwracał się do niego w ten sposób, po imieniu.

— Johann Bieler, lat dwadzieścia, kawaler, posłaniec. Paul Klimke, lat czterdzieści, żona i dwoje dzieci, stangret — przeczytał z kartki.

— To nie byli maklerzy?! — Franz Winckler zdjął pince-nez i uniósł wysoko brwi; sprawiał wrażenie naprawdę tym zaskoczonego, jeśli nie... zawiedzionego.

— Też zawsze myślałem, że na giełdzie pracują tylko tacy z rączkami jak panny, szefie, co to tylko dwie, góra cztery kartki udźwignie — rzekł półgębkiem Mischke, przypalając cygaro. — Żaden z nas tam nie bywa, bo po co, to skąd mamy wiedzieć, że ktoś tam również wdycha końskie wiatry czy biega po mieście jak kot z pęcherzem. I zbiera kije, kiedy się spóźni.

— Ja tam bywam, Mischke — rzekł niegłośnie inspektor, po czym chrząknął. — Do rzeczy. Mamy dwa trupy, znalezione w miejscu pracy. Zbrodni dokonano bardzo ostrym narzędziem. Jakies pomysły, powiązania?

— Miecz samuraja — odpowiedział Schatzki. — To taki japoński rycerz jest...

— Wiem, kim jest samuraj — burknął Winckler, groźnie błyskając szklami, które chwilę wcześniej ponownie umieścił na miejscu; był to znak, że zebranie zbliża się do końca. — Wypytacie ludzi na giełdzie o Bielera i Klimkego, a potem przejedziecie się do portu. Może zawinął do nas jakiś statek ze wschodu, który mógłby przywieźć na pokładzie kogoś z taką długą brzytwą...

— Bruneta. Pięć i pół stopy wzrostu — dorzucił Ludwig Schatzki, by zaraz dodać: — Znaleźliśmy kilka czarnych włosów na futrynie drzwi.

— Wysoki jak na Japończyka — zauważył Winckler.

— Tym lepiej dla nas — ucieszył się Mischke.

— A potem powęszycie w tawernach — dokończył przełożony, co było starą śpiewką.

Chwilę po tym, jak Schatzki i Mischke opuścili gabinet, inspektor Franz Winckler podniósł słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie z giełdą.

— Z maklerem Laudanisé, proszę — rzucił do tuby.

4.

Znalazszy się na ulicy, Stanisław Berg przez kilka dobrych chwil stał bez ruchu i rozglądał się na boki. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Idąc kilka godzin wcześniej pod eskortą na posterunek, wbrew przyzwyczajeniom nie przyglądał się okolicy. Jakby nie wierzył, że wiedza ta będzie mu jeszcze potrzebna. Być może powodem tego była poprzednia, pełna emocji noc, którą spędził częściowo pod, a częściowo na pokładzie „Czerwonej Ostrygi”.

Przeciągnął dłonią po twarzy. Marzył o wygodnym łóżku, by odespać zaległości, ale też o gorącej kąpeli, zmianie bielizny, świeżej koszuli i skarpetkach. Niestety, miał przy sobie tylko kilka marek. Reszta pieniędzy została w kufrze, a ten miał być dopiero przesłany z Gdańska przez hrabiego Henryka Wierzbowskiego. Jak to dobrze, że przynajmniej tyle udało mu się załatwić.

— Przełom w wojnie włosko-abisyńskiej! Co zrobi cesarz Menelik II?! — wykrzykiwał gazietaarz w czapce na bakier, wymachując egzemplarzem jakiegoś miejscowego zapewne dziennika. Gdy dzieciak się oddalił, uszu Stacha doszedł dziwny dźwięk. Pierwszy raz coś takiego słyszał: metaliczny, niepokojący rumor. Sekundę później rozległ się dzwonek.

— Boże! — Berg niemal podskoczył.

Odwrócił się i ujrzał sunący po szynach najprawdziwszy tramwaj elektryczny. Wypełniony pasażerami, przywodzący na myśl dziwnego stwora i prowadzony przez poważnego niczym ksiądz na pogrzebie motorowego wagon, wchodził właśnie w zakręt z potwornym zgrzytem i skrzypieniem.

Stach przypomniał sobie niedawną chwilę na Piotrkowskiej w Łodzi i swój sceptycyzm.

— To naprawdę jeździ... — mruknął sam do siebie, odprowadzając wzrokiem tramwaj. Obiecawszy sobie, że przejedzie się później, ruszył przed siebie.

Kwadrans później zatrzymał się na brzegu rzeki Pregel. Usiadł na ławce, a wtedy dała o sobie znać druga z rzeczy, którą prócz pugilarasu miał przy sobie w momencie porwania. Wyciągnął z kieszeni pudełko cygar, które na stacji w Rosenbergu wręczył mu młody arystokrata. Ech, gdyby przypomniał sobie w porę, że je ma, pewnie nadal byłby w Gdańsku.

Tylko że wtedy nie wiedziałby tego, co wie teraz. Że poszukiwany przez niego Nicolas Gross, syn łódzkiego potentata, najprawdopodobniej... znajduje się w Królewcu. Kapitan „Czerwonej Ostrygi” nie miał wątpliwości, że widział go pośród walczących na dolnym pokładzie swojego statku. Nicolas, pojmany znanym już sposobem z jakiejś tawerny nad Motławą, upadł jako jeden z pierwszych. Jak to się więc stało, że nie został marynarzem wbrew swej woli? Bo... nikt nim nie zostawał, gdy tego nie chciał. Wszystko, o czym mówił świszczypała Pringsheim przed walką, było bowiem jedną wielką błagą.

Jeśli można go by było o cokolwiek oskarżyć, to jedynie o porwanie i przetrzymywanie wbrew woli. Tak, tak, każdy z tych ludzi po kilku dniach jak gdyby nigdy nic, cały i zdrow, jeśli nie liczyć

kilku sińców i zadrapań, głodny, bo Pringsheim nagradzał sutym posiłkiem tylko zwycięzców, na powrót schodził na ląd w Gdańsku. Oczywiście, mógł zostać. Przypadki, że ktoś rzeczywiście nie miał do czego wracać, a przygoda na „Czerwonej Ostrzydze” była przysłowiowym losiem wygranym na loterii, również się zdarzały. I Stachowi myśl taka przez głowę nawet przeszła. Tylko że potem, gdy już przełknął ostatni kęs wybornej soli, wyciągnął z kieszeni fotografię Grossa, którą zdobył dla niego Wierzbowski, a kapitan powiedział swoje.

— Gdzieś tu jesteś, studencino, czuję to — rzekł do fotografii, szybko jednak schował ją do kieszeni, miejsce było bowiem dość ruchliwe, on zaś nie chciał być posądzony o dewiację, a takie myśli mogło przecie zrodzić przemawianie do portretu mężczyzny.

Poprosił o zapalniczki jakiegoś przechodnia i zapalił cygaro, podarunek od Konrada Wilhelma. Było naprawdę wyjątkowe. Ponownie sięgnął do pudełka, by sprawdzić, ile jeszcze porcji przyjemności przeznaczono mu na później. Okazało się, że trzy. Opuścił wieczko, by za chwilę unieść je po raz trzeci, a to za sprawą etykiety, która oddzielała cygara od blachy.

— Ki diabeł... — mruknął pod nosem.

Ostrożnie, by nie uszkodzić delikatnych zwojów liści, wyciągnął papier spod cygar. Nie była to, jak sądził etykieta, ale napisany przepięknym gotykiem liścik od darczyńcy.

Szanowny Panie Berg — zaczął czytać Stach półgłosem — proszę przyjąć ten skromny upominek. Tuszę, że H. Upmann przypadnie Panu do gustu. Á propos, gdyby znalazł się Pan w nagłej potrzebie, a wciąż przebywał na terenie Prus, proszę odnaleźć najbliższą trafikę, która ma w swojej ofercie produkty tej firmy, i powołać się na mnie. Tam udzielą Panu wszelkiej i rychłej pomocy. Serdecznie ściskam dłoń. K.W. Finck von Finckenstein.

— Dziękuję, hrabio. — Berg uśmiechnął się, złożył liścik na pół i wciągnął do ust dym z cygara.

— Taki piękny pan, a taki samotny! — usłyszał za plecami kobiecy głos.

Szybko się domyślił, do kogo może należeć. Portowych dziwek pełno było na każdej uliczce. Obejrzał się przez ramię i umyślnie nie wyjawszszy z ust cygara, odpowiedział:

— Niestety, kochana. Tak wyszło...

Stała kilka kroków od ławki. Lewa ręka pod boczek, mocny makijaż, wyzywające spojrzenie. Była bardzo młoda i ładna nawet, a te dwie cechy połączone za każdym razem powodowały w Stanisławie Bergu jakąś dziwną rzewność. A jednocześnie zawstydzenie i trochę też złość na świat i to, jak jest urządzony. I nieważne było, czy rzecz się dzieła w Londynie, w Łodzi, czy jakimkolwiek innym mieście.

— Bez towarzyszk i bez złamanego feniga — dokończył z kwaśną miną.

Przykry skurcz skrzywił również twarzyczkę dziewczyny. Przystąpiła z nogi na nogę i już zaczęła się rozglądać za nowym klientem, który nie byłby golcem ani, jak pewnie ten, bo ubranie miało nelihe, blagierem. Coś jednak kazało jej pozostać na miejscu.

— Nie podobam się panu? — naciskała.

Stanisław Berg wstał z ławki, uśmiechnął się, skinął głową dziewczynie i zdecydowanym kro-

kiem podążył przed siebie. Pokonał most, nie wiedząc jeszcze, że właśnie znalazł się na wyspie. I choć Kneiphof leżał w sercu wielkiego miasta, wciąż była to wyspa, na którą dostać się można było albo po którymś z mostów, albo wpław.

Może zrodziłoby to uśmiech na znów posępnym obliczu Berga, kto wie. Bo przecie od dawna czuł się jak rozbitek...

Sprzedawca w trafice przy Victoriastrasse, niedaleko Dworca Wschodniego, dokąd Stanisław Berg dotarł pół godziny później, jedynie dwa razy zapytawszy o drogę, na szczęście miał w ofercie cygara marki H. Upmann. Była to jednak dopiero połowa sukcesu.

Na dźwięk nazwiska grafa zmarszczył bowiem wysokie czoło.

— Finck von Finckenstein? — zapytał, jakby nie dosłyszał.

Detektyw nie zdążył się jednak nawet tym zmartwić, bo już po chwili sprzedawca, a był to mężczyzna lat około pięćdziesięciu, szczupły, czarniawy, pochylił się nisko nad ladą i zapytał:

— Jak mogę panu pomóc, panie...

— Berg. Stanisław Berg — przedstawił się przybysz, po czym odetchnął z ulgą.

— Miło mi. Samuel Cohen. — Głos sprzedawcy przeszedł w szept, mimo że w trafice w tym momencie prócz nich nie było nikogo.

Stach pokazał mu list od Konrada Wilhelma, chciał być bowiem do cna wiarygodny, a następnie w kilku zdaniach opowiedział o swojej sytuacji. Oczywiście nie o wszystkim; nauczony doświadczeniem, wolał zachować daleko idącą ostrożność. Przynajmniej na razie.

— Jutro powinienem otrzymać z Gdańska swoje rzeczy. Może statkiem przy płyną, a może przyjadą pociągiem, tego nie wiem — zakończył, po czym wstrzymał oddech w oczekiwaniu na reakcję sprzedawcy cygar.

W tym samym momencie zabrzmiał dzwonek przy drzwiach i do trafiki weszło dwóch młodych mężczyzn. Berg nie chciał przeszkadzać sklepikarzowi w pracy, toteż odsunął się nieco na bok, robiąc miejsce przy kontuarze. Udawał, że bardzo interesują go gliniane fajki, które prezentowano w stojącej pod ścianą oszklonej witrynie. Jedna z nich, umieszczona w kącie na specjalnym stojaku, długa chyba na trzy łokcie, rzeczywiście robiła wrażenie.

— Dzień dobry, czy są cygara Partagas? — zapytał jeden z mężczyzn; nazwę marki wypowiedział z wyraźnym trudem.

— Niestety, nie — odparł z galanterią Samuel Cohen, po czym wykonał półobrót i wskazał miłym gestem na regały za sobą pełne kolorowych pudełek. — Ale polecam szanownemu panu inne. Proszę się rozejrzeć. Właśnie mieliśmy świeżą dostawę.

— Mnie chodziłoby o Partagas — mruknął tamten.

Coś bardzo dziwnego było w tym dialogu. Sztucznego. Nawet ktoś taki jak Berg, który językiem niemieckim posługiwał się na poziomie raczej średnim, zauważył to bez trudu.

— Jutro, najdalej pojutrze powinniśmy mieć kolejną dostawę, szanowny panie. Statek z Londynu już płynie do Królewca... — Cohen był wzorem grzeczności, mimo że osobnik, do którego się zwracał, ani trochę na to nie zasługiwał; tego Stach był coraz bardziej pewny.

Potwierdzenie swych domysłów otrzymał sekundę później: rozległ się trzask rozbijanej szyby.

Drugi z klientów, którzy tak naprawdę byli byłymi i, daj Boże, przyszłymi klientami, ale dobrze strzeżonego więzienia, już wyjmował z witryny puszki z tytoniem...

— Zostaw to! — Samuel rzucił się w stronę złodzieja.

I to był jego błąd. Działania złodzieja tytoniu były li tylko próbą odwrócenia uwagi sprzedawcy. Dodajmy – udaną próbą. Ledwo bowiem Cohen oddalił się od lady, aby ścigać rabusia, drugi z nich, fałszywy miłośnik cygar marki Partagas, wśliznął się niczym piskorz na jego miejsce i dalej otwierać szuflady, gdzie najpewniej znajdowała się gotówka.

Stanisław Berg przyglądał się temu w najwyższym zdziwieniu. Nie, nie dlatego, że nigdy nie widział złodzieja w akcji; chodziło o to, że obdartus nic, zupełnie nic nie robił sobie z jego obecności. Jakby nagle Berg stał się przeźroczysty! Podczas gdy Samuel Cohen szarpał się z drugim złodziejaskiem, któremu nie udało się opuścić z łupem trafiki, pierwszy z nich spokojnie przetrząsał szuflady, co raz upychając coś – zasłaniała go wysoka lada – po kieszeniach.

— Wystarczy — odezwał się Stach spokojnym głosem.

— Zamknij się, pedale! — krzyknął bandyta, nie przerywając czynności, ale też nie zaszczycając przypadkowego świadka napadu nawet przelotnym spojrzeniem. — Nic nie widziałeś, zrozumiano?!

Pewny jest swego, nie ma co – ocenił w duchu Stach. Na głos zaś rzekł:

— Nie zrozumiano.

Wtedy amator cygar Partagas, których pewnie na oczy nie widział, nie mówiąc już o zapaleniu choćby jednego, pierwszy raz spojrział na świadka swych niecznych poczyną. Twarz miał czerwoną z wysiłku, a i może ze złości. Co ją spowodowało? Reakcja świadka, bo przecie nikt dotąd gęby nie śmiał otworzyć ani drgnąć nawet, każdy uszy po sobie, wzrok w podłogę, bywało, że oddychać nawet przestawali. A może był to kiepski jak na koniec tygodnia utarg trafiki przy Victoriastrasse?

— To się jeszcze zobaczy. — Sięgnął za pazuchę, skąd wydobyl rewolwer, który wycelowal w pierś intruza.

— Zastrzelisz mnie? — zapytał Stach.

— Nie dziś. Ale zapamiętał ja sobie twoją gębę, eleganciku.

Berg kątem oka sprawdził, co dzieje się z Cohenem. Sklepiarz siedział oparty o ścianę. Dyszał ciężko, wyczerpany szamotaniną. Drugiego z napastników nie było. Obok leżały porzucone puszki z tytoniem. Towar został ocalony, ale nie był to jeszcze koniec bitwy.

— Na ziemię! Obaj! Już! — wrzasnął bandyta, celując na zmianę w Stacha i w właściciela pechowego sklepiu.

Wykonali polecenie: Żyd szybciej, nie tylko dlatego, że do podłogi miał dużo bliżej, Polak zaś dużo wolniej, nie spuszczać wzroku z palca na cynglu. Gdy wreszcie uczynili zadość żądaniu, napastnik szybkim krokiem skierował się w stronę drzwi. W tym samym momencie wzrok detektywa padł na przedmiot stojący pod ścianą. Dla każdego, komu nieobce były zasady walki *hagana atsmi*t, był to widok wręcz wymarzony.

Stanisław Berg poczuł w sobie znajomy chłód.

Tylko czy wytrzyma? — pomyślał, wyciągając rękę...

5.

Do szynku Alfonsa Wiedemanna „Pod Tłustym Wieprzkiem”, który mieścił się na zachodniej pierzei Nowego Rynku, wejść mógł każdy. Szyld był wielki, widoczny z daleka, a że przedstawiałającego się na różnie świniaka naturalnej wielkości, wielu ślinka ciekła na ten widok.

Tak, wejść mógł każdy. Ale nie każdy chciał. Szynk Wiedemanna był bowiem miejscem, gdzie lubili się spotykać królewieccy stróże prawa. Bez względu na szarżę ani zajmowane stanowisko służbowe siadali przy solidnym stole z kuflem piwa i zabierali się za golonkę. Pchanie się tam kogoś, kto miał coś na sumieniu, było więc niczym wsadzenie głowy do otwartej paszczy lwa. I wtedy nie pomogłaby nawet najsmaczniejsza golonka, najmocniejszy porter, najprzedejniejsze cygaro czy fajka, najlepsze towarzystwo.

— Dwa jasne! — zawołał w stronę szynkwasu, gdzie rządził sam Alfons Wiedemann, przekraczający właśnie próg szynku Herbert Mischke. Za nim szedł Schatzki, czemuś zamyślony.

— Witam, witam. I zapraszam! — zawołał z uśmiechem właściciel przybytku, sięgając po pierwszy kufel z grubo rżniętego szkła.

Przybyli policjanci przecięli zapełniającą się dopiero klientami główną salę konsumpcyjną szynku „Pod Tłustym Wieprzkiem”, by po kilku chwilach znaleźć się w dość sporych rozmiarów niszy. To właśnie było ulubione miejsce policjantów.

— Szacuneczek! — Mischke rzucił melonik na ławę i sam ciężko klapnął obok. — Jak dzień? Przy stole siedziało czterech mężczyzn w różnym wieku. Wszyscy mieli przed sobą kufle i talerze z obgryzionymi kośćmi; widać biesiadowali „Pod Tłustym Wieprzkiem” od dłuższego czasu.

— Myśleliśmy, że już nie przyjdziecie — odezwał się jeden z nich, z wyglądu najstarszy, z imponującymi, odstającymi na boki wąsami.

Był to Thomas Vogt, wybitny specjalista od włamań, w dodatku mogący się pochwalić w tym towarzystwie najdłuższym stażem pracy, bo zaczynał jeszcze za urzędowania Bicmarcka; lubił go zresztą cytować i robił to często.

— Nawet nie pytaj — fuknął Mischke. — Cały dzień na nogach, jak jaki stójkowy żółto-dziób. Nie na moje to lata. Ludwig młodszy, ale i on, jak widzicie, ma dość.

Spojrzenia wszystkich spoczęły na wciąż zamyślonym obliczu Schatzkiego, który dopiero teraz dotarł do niszy i kolegów po fachu. Tak jak towarzysz rzucił melonikiem, który bezbłędnie wylądował na swoim miejscu.

— Nóg nie czuję — mruknął.

Na szczęście chwilę później przyniesiono im zamówione piwo. Schatzki i Mischke z lubością pociągnęli po kilka solidnych łyków złocistego trunku. Starszy z nich westchnął, z głośnym stukotem odstawił szkło na blat.

— Tego mi było trzeba!

— Słyszeliśmy, że mieliście dziś rano ciekawe odkrycie w gmachu giełdy — zagaił ściszo-nym głosem Thomas Vogt.

— Dobrze słyszałeś — mruknął Mischke.

Rozmowy „Pod Tłustym Wieprzkiem” toczyły się wieloma torami. Od polityki, przez kobiety, jak to w męskim gronie, aż do cen śledzi. Nie uciekano od tematów związanych z prowadzonymi sprawami. Co więcej, czasami wymiana poglądów i uwag pomagała pchnąć śledztwo do przodu.

Herbert Mischke opowiedział pozostałym współbiesiadnikom o kończącym się właśnie, rzeczywiście pracowitym dniu, który jednak kończyli z Schatzkim niemal z niczym. Nieraz tak bywało, choć nie należało się tym zbytnio martwić.

— Ludzie na giełdzie, których wypytywałem o Bielera i Klimkego, nie mieli nic ciekawego do powiedzenia — rzekł Mischke. — Ot, ta sama śpiewka co zawsze. Że dobrzy koledzy, sumienni pracownicy, a żaden nie pił ponad normę. Idę o zakład, że gdyby zamordowani jakimś cudem wstali z martwych i jakby nigdy nic przyszli jutro rano do roboty, byłiby najgorszymi na świecie, co to się do niczego nie nadają. A na ich miejsce czeka dziesięciu innych, więc jeśli chcą jeszcze popracować, a nie szlifować bruki... I dalej w ten deseń.

— O zmarłych mówi się albo dobrze, albo wcale — zauważył z powagą Vogt. — Nie znasz tej starej zasady, przyjacielu?

— Znam. Znam bardzo dobrze. — Mischke, nie wiadomo czemu, zrobił obrażoną minę.

— I co dalej? — chciał wiedzieć któryś z policjantów, do których dosiedli się prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa w podziemiach królewieckiej giełdy.

— Zgodnie z zaleceniami starego poszliśmy do portu — rzekł milczący dotąd komisarz Schatzki. — Sami wiecie doskonale, że roboty jest tam zawsze od groma, i to nie tylko dla nas. Tym razem jednak musieliśmy udawać, że nic nie widzimy. Ważne było tylko to, czy na któregoś z kryp nie przypłynął do nas posiadacz samurajskiego miecza...

— Samurajskiego miecza?! — wyrwało się z kilku gardeł jednocześnie.

W tym samym momencie w nisy, w której biesiadowali policjanci, pojawił się Alfons Wiedemann. Szynkarz miał w zwyczaju najważniejszym klientom dania podawać osobiście. Przyniósł dwa talerze z parującymi frankfurterkami i ziemniakami, bo właśnie tego zażyczyli sobie Herbert Mischke i Ludwig Schatzki.

— Smacznego! — rzucił jowialnie.

— Co z tym mieczem? — dopytywał Thomas Vogt, a pozostali ciekawie nastavili uszu; wiedzieli przecie jedynie o tym, że w magazynie gmachu giełdy znaleziono dwóch martwych mężczyzn, ale nic na temat sposobu pozbawienia ich życia.

Jednak i tym razem nie dane im było dowiedzieć się więcej, gdyż przy stole zameldował się kolejny policjant po służbie. Był to Johann Witt z komisariatu na Dworcu Wschodnim.

— Ale miałem dziś hecę, panowie. Nie uwierzcie! — wypalił zamiast zwyczajowego „dobry wieczór” czy choćby „jak się macie, stare przyki?”.

Najstarszy przy stole Vogt wskazał mu miejsce, co miało też oznaczać, by przybysz się uspokoił, czytaj: zamknął. Ten jednak nie miał najmniejszego zamiaru tego zrobić. Już zacierał dłonie, ale nie w oczekiwaniu na piwo i jedzenie, lecz opowieść, którą przyniósł.

— Dostaliśmy zgłoszenie, że przy Victoriastrasse był napad na trafikę — pierwsze zdanie wyrzucił z siebie jednym tchem. — Akurat kończyłem służbę, więc wybrałem się z dwoma chłopakami, a nuż grubsza sprawa i się przydam. Przyjeżdżamy na miejsce, a tu oba ptaszki

leżą na ziemi, a każdy spętany jak baleron. Nad nimi właściciel trafiki i jakiś przypadkowy klient, który pomógł ich zatrzymać. A wiecie, czym się posłużył, by to zrobić?

— Rewolwerem?

— Kosą?

— Armatą! — prychnął Mischke bez uśmiechu, kończąc licytację.

Oto nadszedł moment kulminacyjny, puenta facecji. Johann Witt potoczył wzrokiem po siedzących i wypalił:

— Nic z tych rzeczy, panowie. Otóż ten szatan, bo nie wiem, jak go nazwać inaczej, posłużył się... fajką!

— Co?! — Thomas Vogt zaśmiał się nerwowo, zamrugał, wreszcie oczy wybałuszył; rzadko widziało się u niego taką minę.

— Taką fest, trzy łokcie długości. Najpierw zatrzymał bandytę, łapiąc go główką za nogę niczym rączką laski. Złodziej zupełnie się tego nie spodziewał. Chwila i leżał na podłodze, a na nim przytomny na szczęście sklepikarz. Minutę później klient tą samą fajką zlał na kwaśne jabłko drugiego napastnika, który czekał na zewnątrz. Wszystko trwało może z minutę. Nam pozostało zabrać ptaszki do klatki. No i fajkę, niestety, połamał w drzazgi.

Wystąpienie nagrodzono szczerym śmiechem, ktoś nawet zaklaskał, choć to przecież nie policjant z Dworca Wschodniego zasługiwał na głośnie brawa za obywatelską postawę: ujęcie rzeźmieszków i ocalenie utargu.

— Piwa! — zaordynował przybysz, by wreszcie zająć wskazane mu miejsce, choć jeszcze przez dobrą chwilę kręcił głową i powtarzał pod nosem: — Fajką, uważacie, zwyczajną drewnianą fajkę ich oćwiczył...

Wtedy dopiero rozwiązał się worek. Na początku ktoś opowiedział o zdarzeniu, do którego doszło dziś w porcie w Piławie, który stanowił coś w rodzaju przedsionka portu królewieckiego. Na jednym z trawlerów szwedzkich podejrzenie celników wzbudziły drewniane skrzynki. Każda miała około dwóch łokci berlińskich szerokości, trzech długości, mniej niż jednego wysokości.

Co tam schować można? Okazało się, ku wielkiemu zdziwieniu i wesołości – choć do czasu – celników, że... człowieka. Wydało się, gdy z jednej ze skrzynek dobiegło pokasywanie. Kiedy podniesiono wieko, stwierdzono obecność leżącego w pozycji embrionalnej osobnika rasy żółtej, płci męskiej, lat około dwudziestu. Podobnie było w przypadku kolejnych siedmiu skrzynek. Wszystkich przemycanych ludzi, a także kapitana statku zatrzymano do wyjaśnienia.

Stuknęły nowo przyniesione kufle.

— Dziś w południe — podjął kolejny z policjantów — do komisariatu przy Jacobstrasse zgłosiła się niejaka Wilhelmina Schuhardt, lat siedemnaście, panna, wyznania ewangelickiego. Osoba ta działa w towarzystwie dobroczynnym, zajmującym się osobami starszymi i schorowanymi. Panna Schuhardt od kilku tygodni opiekowała się niejaką Gretą Kutz, lat sześćdziesiąt

cztery, a zajęcie polegało na wyprowadzaniu na spacer dwóch psów rasy pinczer. Tym razem jednak drzwi otworzył jakiś młody mężczyzna.

— Czyżby kochanek? — prychnął któryś, ale go zaraz uciszyli psykaniem.

— Schuhardt wzięła go za syna, tudzież wnuka. Gdy zapytał uprzejmie, po co przyszła, zamknęła ponownie drzwi, by po chwili wyprowadzić oba psy. Pół godziny później Wilhelmina wróciła do mieszkania. Stuka do drzwi, nic. W końcu nacisnęła klamkę. Otwarte. Weszła do mieszkania, a tam na środku największej izby siedzi rzeczona Greta Kutz przerażona, przywiązana sznurami do krzesła, zakneblowana ścierką kuchenną.

— Nieźle! — skwitował Thomas Vogt.

Kilka chwil później w najdalszym kącie stołu o blat plasnęły skórzane okładki grubych służbowych notatników. Właścicielem jednego z nich był Ludwig Schatzki, drugiego zaś Albert Schäfer, który na co dzień pilnował porządku na Haberbergu, południowej dzielnicy Królewca, ale lada dzień miał się przenieść na Sackheim.

— Powiedziałeś: miecz? — Przez chwilę z uwagą przewracał zapisane drobnym maczkiem strony notatnika. — Nie krzyżacki?

— Ostry jak brzytwa — sprecyzował Ludwig.

— Taki, że jeden cios i łba nie ma?

— Dokładnie taki. A co?

Albert Schäfer jeszcze przez chwilę wertował notatnik, pełen okropności, ludzkiej krzywdy, krwi i łez, czyli tego wszystkiego, z czym policjant musiał się stykać na co dzień, przemierzając uliczki Haberbergu.

— Tydzień temu do kliniki chirurgicznej przy Wagnerstrasse trafiło dwóch osobników — zaczął mówić. — To moi starzy znajomi. Pobicia, wymuszenia i temu podobne przyjemności. Jedna ważna i ciekawa rzecz: czasami dawali się wynająć, gdy na przykład mąż chciał pokazać kochankowi żony, gdzie jego miejsce.

— Drodzy są?

— Przeciętni. Ale tym razem trafili prawdopodobnie na sporo mocniejszego od nich. I ten ktoś nauczył ich szacunku, traktując podobnie jak twoich z giełdy, tyle że delikatniej.

— To znaczy?

— Obaj żyją, jednak wylądowali w szpitalu, a nie w kostnicy. Chociaż było blisko, bo mogli się wykrwawić, prawda?

— Fakt. I co?

— Jeden pożegnał się z lewym przedramieniem, drugi z prawą dłońią. — Ołówek w palcach Alberta coś podkreślił w notatkach. — Lekarze, którzy się nimi zajęli, zwrócili uwagę na precyzję cięć i ostrość narzędzia. Nie była to na pewno zwyczajna siekiera ani nóż. Kto wie, może to ten sam sprawca.

— Kto wie... — powtórzył w zamyśleniu komisarz Schatzki, po czym sięgnął po kufel z piwem, ale nie wypił z niego ani łyka. — Czy ci dwaj są jeszcze w szpitalu?

— Chyba nie. Ale służę adresami. Powinni już przyjmować wizyty. — Schäfer zamknął z traskiem notatnik.

Tak oto biesiada w szynku „Pod Tłustym Wieprzkiem” po raz kolejny przyniosła wymierny efekt. Z tą myślą Ludwig Schatzki z zapalem zabrał się do jedzenia stygnących coraz szybciej frankfurterek i ziemniaków.

Krzysztof Beśka

Księga Wolfów (rozdział IV)

Gdyby ktoś odpowiednio wcześniej powiedział nam o wszystkim, co przyniesie przyszłość, gdybyśmy mogli zawczasu przewidzieć wszelkie konsekwencje swych czynów, może nasze życie i wszelkie wątki z nim związane potoczyłyby się inaczej, może umielibyśmy uniknąć swego losu. A może właśnie nie dalibyśmy mu wiary i przepędzili natręta słowem i czynem? Koktajl możliwości najlepiej smakuje tym, którzy nie widzieli, jak się go przyrządza. Nawet podstawowe składniki powinny pozostać tajemnicą.

Następnego dnia, a był to piątek albo poniedziałek, zajęliśmy się naprawianiem wszystkiego tego, co zniszczyła wojna. Uporządkowaliśmy dom, wynieśliśmy na podwórze i spaliliśmy stare gazety i kalendarze, zamówiliśmy nowe prenumeraty, zakupiliśmy portret głowy państwa i naszą nową flagę narodową. Wprawdzie miałem wrażenie, że nowa flaga i nowy portret niczym nie różnią się od starej flagi i starego portretu, ale rozsądnie powstrzymywałem się od komentarzy. Spoglądałem, wysilając pamięć, na nowy portret i nie mogłem odnaleźć w nim nic, czego nie doświadczyłem już podczas wcześniejszych kontaktów z władzą i doświadczeń politycznych. Może przybyło kilka siwych włosów, może wyraz twarzy stał się bardziej stanowczy, a spojrzenie

utraciło ów opiewany przez poetów blask, może wreszcie wszystkie twarze polityków są do siebie podobne, chociaż nikt rozsądny nie chce tego dostrzec?

Nie kupiliśmy godła, gdyż parlament nie potrafił uzgodnić liczby gwiazdek okalających głowę orła. Ilekroć ktoś podawał propozycję, okazywało się, że gdzieś już uchwalono taką liczbę gwiazdek, a nie możemy przecież mieć godła takiego jak jacyś Americanos albo poprzedni, odpuść nam Panie Boże, rząd. To miał być rząd? To był przecież jawny nierząd, a my jako tragarze postępu powinniśmy liczbę gwiazdek przynajmniej podwoić. Sam orzeł nie podlegał dyskusji, lwów w naszych stronach nie było, a więc to orzeł był jedynym niekwestionowanym królem zwierząt. Dzieciaki uśmiechały się na to z politowaniem. Wiedziały, że od czasu otrucia ostatniego niedźwiedzia freonem, metanolem, kwasem pruskim, cyjankaliami, karbidem, chlorkiem sodu i siarkowodorem królem naszych lasów mógłby być już tylko wilk, chociaż i wilki zniknęły w głębi lasów, kiedy ich tereny zajęli partyzanci. A warto wiedzieć, że partyzanci mieli silną frakcję parlamentarną i zawsze głosowali przeciwko wszystkiemu, nawet jeśli głosowano ich własny projekt lub poprawkę. Później śpiewali piękne chorały albo sprośne piosenki na głosy, a ich konie klekotały podkutymi kopytami do taktu albo rżały w uroczystej skali doryckiej, co mogło oznaczać, że próbują zestroić melodię z aktualną sytuacją. Ale sytuacja zawsze była aktualna.

Zupełnie inaczej przedstawiały się sprawy, w których jakkolwiek rolę odgrywał upływ czasu. Czas bowiem przyspieszał, a czynił to powoli i systematycznie, czas rozpędzał się jak dobrze naoliwione koło zamachowe i coraz częściej mieliśmy wrażenie, iż należy to do jego z góry ustalonych obowiązków. Nastaly dni pośpiesznej krzątanimy, nerwowego rytmu posiłków i pracy. Ojciec zatrudnił się w ratuszu, gdzie spędzał całe dnie, planując przyszłość, którą zamyslał w kolorowych słupkach wykresów, w liczbach układanych warstwami, które przypominały przekroje geologiczne. Jego gabinet nie należał do największych pomieszczeń w pierwszym oficjalnym budynku miasta, ale też zapewniał mu samodzielność, w której posuwał się do granic wytrzymałości burmistrza i miejskich radnych. Później miało się okazać, że jako samodzielny specjalista od spraw planowania przyszłości nie pomylił się w obliczeniach. Przewidział, że zostanie burmistrzem. Przewidział, że przestanie nim być. Przewidział, że bez względu na rzeczywiste zasługi będzie musiał uciekać z miasta. Nie potrafił przewidzieć, czy uda mu się tego dokonać. I z tego głównie powodu cierpiał stale na bezsenność, a kiedy już wyczerpany organizm pogrążył się w krótkim i płytkim jak oddech dziecka śnie, budził się z krzykiem. Wielkie koło polityki obracało się coraz szybciej.

Z każdym dniem zmieniał się nasz las, a wraz z nim zmieniało się również miasteczko. W lesie wyrabano długie polany i nadano im nazwy. Z drewna zbudowano płoty i latarnie. Okoliczni mieszkańcy, obdarzeni adresami, numerami telefonów, prawami jazdy i biletami miesięcznymi, zapomnieli o swych imionach. Imiona nadawano więc od nowa. W jednej chwili wszyscy nazywali się Nowak. A już tydzień później wszystkie dowody tożsamości wystawiano na nazwisko Kawon, gdyż ktoś leworęczny w odwrotnym kierunku odczytał rozporządzenie burmistrza.

W końcu, kiedy nasz ojciec został burmistrzem, ludziom nadawano nazwiska z nieprzebranej skarbnicy naszej domowej biblioteki, a właściwie z jednego tylko wybranego naprędce dzieła, którym był chyba słownik wielkich matematyków, fizyków i astrologów. Od tej chwili częściej obserwowaliśmy, jak przedsiębiorca budowlany pan Galois bezskutecznie próbuje przeliczyć krążących bezładnie robotników albo usłyszeć w sklepie kolonialnym:

— Panie Gauss, wydał mi pan za dużo reszty!

— Statystycznie się zgadza — czerwieniąc się, odpowiadał pan Gauss i odbierał należną mu część zysku.

Ale zabawa dopiero się zaczynała. Kiedy pewnego słonecznego poranka dowiedzieliśmy się, że wszyscy jesteście równi, a dzieciaki wdrapały się na krzesła i usiłowały zrównać się z nami wzrostem, rozszalała się prawdziwa burza, w której argumenty za utrzymaniem dotychczasowych systemów wartości i historyczne próby uzyskania lepszej pozycji przetaczały się ponad chaosem codzienności, niwecząc naiwne nadzieje autorów konstytucji. Dzieciaki wiedziały oczywiście, iż równość nie istnieje w świecie rzeczywistym, rozumiały umowność i abstrakcyjną nośność tego symbolu powszechnego szczęścia, ale nie potrafiły jeszcze stosować swej wiedzy do konkretnych przypadków. Nie wiedziały, że równanie postępuje w odwrotnym kierunku, że raczej to my powinniśmy liczyć się z niebezpieczeństwem skrócenia; cóż, uroki demokracji... Czyż Sokrates nie poznał ich aż nazbyt dobrze? Nie pamiętacie? Niewielu spośród nas chciało w owym czasie pamiętać.

Nasz ojciec to demokrat, technokrata, republikanin i rojalista. Nasz ojciec to facet z charakterem, chociaż komunista i klerykał, militarysta wspierający walczący pacyfizm i zwolennik ekologii, która nie ma nic wspólnego z systematyczną nauką, grotołaz i smakosz, miłośnik reńskich win i francuskiej erotyki, gwałtownik i racjonalista. Nasz ojciec to idealista, wegetarianin, piwosz i egzorcysta. Nasz ojciec wybrany, ojciec obwołany burmistrzem, oszacowany w publicznych wyborach, wyniesiony na piedestał lokalnej władzy nie brał już udziału w naszym życiu codziennym. Pojawiał się w domu na kilka godzin w niedziele i święta, a eskorta czekała przy samochodzie na podjeździe.

Zjadaliśmy ciastka, pączki i czekoladki, raczyliśmy się ciężką maderą i lżejszymi winami reńskimi, spożywaliśmy delikatne greckie winogrona, karmiliśmy się włoskimi figami, których słodycz ściekała po palcach jak słoneczne nazwy południowych mórz, nie zapominaliśmy o rosyjskich konfiturach z wiśni popijanych mocną, zaparzoną przez Annę herbatą z Cejlonu, której czerwony odcień i cierpki aromat przypominał nam o przemijaniu i nastrojał nostalgicznie, o paryskich kruchych ciasteczkach, o pruskich precelkach z makiem, o warszawskich pączkach nadziewanych konfiturą z owoców dzikiej róży, o zaplecionych w warkocz chwałach, o toruńskich piernikach, obwarzankach z Wilna i czeskich knedlach, a wiedeński sernik upieczony trochę poza właściwą recepturą, z dużą ilością bakalii i lukrową polewą oraz łagodna arabica o zapachu waniliowym lub mocna kawa kolumbijska z kieliszkiem ajerkoniaku uzupełniały długo oczekiwane świąteczne podwieczorki i rzadkie niezapowiedziane spotkania, które zresztą prawie nigdy nie dochodziły do skutku.

Tak minął rok. A może nie był to rok, a tylko pół; a może jednak półtora roku albo trzy lata. Czas zakreślał pętle i wolty, czas zawracał i przez pewien czas poruszał się w odwrotnym kierunku, aby nagle zatrzymać się z wyciągniętą przed siebie nogą i znów się cofać. Spoglądaliśmy z naszego wzgórza na marsz historii, która nie wiadomo, z jakiego właściwie powodu, tańczyła na naszych oczach kadryla. Ojciec pojawiał się jeszcze w owym wirze, rzucało nim gdzieś w okolicach magistratu, czasami wydostawał się i sfrustrowany, pełen sprzecznych idei przysiadł na ławce w ogrodzie, mówił o uczciwości i uczuciach, o winie i powinności, o karze i karaluchach, i ciągle mylił równość z braterstwem, wciąż nie odróżniał sprawiedliwości od interesu społecznego, społeczeństwa od wspólnoty jednostek, a wolności od godności. Ojciec, ojciec mój, cóż jeszcze uczynić mogłeś w swej nieświadomości?

Naturalną konsekwencją zmęczenia był czas refleksyjnych wypowiedzi. Ojciec nasz udzielał wówczas kilku wywiadów dla lokalnych dzienników i pism kobiecych. Mówił o poszanowaniu praw ludzkich, o naturze władzy, odwołując się do jawności, zdradzał tajemnice służbowe, odmawiając odpowiedzi na zbyt osobiste pytania, powoływał się na tajny charakter swej misji, opowiadał o uzdolnieniach swych dzieci, myśląc przy tym imiona i fakty. A później znów rzucał się w ciemne wody polityki, a my z drżeniem przeglądaliśmy pierwsze strony gazet.

Anna przeczytała już wszystko, co znalazła w bibliotece ojca i słuchając muzyki z miniaturowego japońskiego odtwarzacza, opalała się na dobudowanym w pierwszych dniach dobrobytu tarasie. Od kiedy wszyscy byli sobie równi, nikt już nie budował takich tarasów, a jeżeli nawet budował, to czynił to pod osłoną nocy.

Listonosza już nie było, ale gdyby nawet nie odleciał pewnego dnia, też by go w zasadzie nie było, bo ludzie zaprzestali pisania listów, wyręczając się telefonem i tak zwanymi kontaktami osobistymi. Reklamówki nadawano przez radio i telewizję, a w końcu również faksem, który był ulubioną zabawką Teodora. Zakupów dokonywano przez telefon albo bezpośrednio na ekranie osobistego komputera. Opłaty potrącane były z konta, na które pracodawcy przelewali miesięczne wypłaty.

Jak wiadomo, wyobraźnia ludzka nie potrafi operować danymi liczbowymi tak sprawnie jak wzrokowymi, a wydawanie pomiętych banknotów jest o wiele trudniejsze niż posługiwanie się plastikową kartą, owym niedającym się zużyć pieniądzem, tym czekiem wielokrotnego użytku, stworzonym na podobieństwo bajkowej sakiewki, w której zawsze dzwonią szczerozłote monety. Sakiewka jednak posiada łatwe do spenetrowania dno, a na dnie nie kryje się już nic poza szczyptą okrucichów i wałeczkami sfilcowanego kurzu. Czyż wobec tego może dziwić łatwość, z jaką osobiste konta zastąpiły bajkowe sakiewki? Chociaż Ulisses Wolf nadzorował wszelkie operacje rachunkowe na naszych kontach, coraz częściej na bankowych wyciągach pojawiały się kwoty ujęte w nawias, co oznaczało, że stoi przed nimi minus, a więc że są to pieniądze, jakie Wolfowie winni są bankierom.

Ulisses popadał w depresję, ale nie przeszkadzało to specjalnie pozostałym Wolfom. Społeczeństwo było szczęśliwe z powodu wielu udogodnień i znikomej ilości obowiązków, a jego część związana z bankowością przeżywała swoje najlepsze chwile. W taki sposób mogły minąć miesiące i lata. W taki sposób czas tracił jakiegokolwiek znaczenie. Kadryl zmieniał się w mazurę, a później w oberka albo w polkę, a tempo rozmiękczano za pomocą rubata, fermat oraz nieodpowiedzialnych przyspieszeń i zwolnień, aż wszystkie dźwięki rzeczywistości zlały się w chaos nieprzenikniony.

— Chaos zastępuje porządek, a gdzie nie ma różnicy potencjałów, gdzie nie ma kontrastu, tam zanika energia, a zatem wzrasta entropia — stwierdziła pewnej pochmurnej niedzieli Anna. — Skoro jednak w każdym układzie entropia wzrasta równomiernie, winę za owo przyspieszenie ponoszą elementy układu większego, bardziej rozległego — dowodziła. — Wniosek stąd, że gdzieś jest lepiej, gdzieś porządek nadaje rzeczywistości coraz większą energię, czas płynie w ustalonym kierunku, dzieci dorastają, piekarze sprzedają świeże bułeczki, które spokojnie czerstwieją, dojrzewają owoce i wina, zbrodniarze pokutują za kratami i murami więzień, a absolwenci uniwersytetów wierzą w sens swoich wysiłków, ludzie umierają i rodzą się, powstają i upadają miasta, zegary zaostrzonymi wskazówkami kłują prawdę, a słowa posiadają jakieś w miarę stałe znaczenia, które można odczytać w słowniku. Dzieciaki słuchały z otwartymi ustami.

— Nigdzie nie jest lepiej — powiedziałem spokojnie, chociaż dzieciaki nie zwróciły uwagi na moje słowa. — Wszędzie jest inaczej. Nigdzie nie jest lepiej i nigdzie nie jest inaczej, napisał ktoś kredą na ścianie naszego domu nocą, a obok dorysował trzy kreski składające się na piktogram szubienicy. Z drugiej strony domu inna ręka namalowała sierp i młot, co przez wezwanego natychmiast żandarma zostało zinterpretowane jako zachęta do ciężkiej pracy twórczej, ale nawet dzieci wiedziały, że oznacza to znacznie więcej niż niechętny stosunek okolicznej ludności do naszej rodziny. Interpretację naszą potwierdził w końcu również żandarm, który korzystając z telefonu w bawialni, wezwał siły porządkowe do bezzwłocznego usunięcia napisów ze ścian naszego domu. Oto wypełniły się przepowiednie partyzanckich piosenek. Przegrywaliśmy z kretesem. A kretes uśmiechał się tryumfalnie.

Przypominaliśmy sobie wydarzenia ostatnich kilku miesięcy, nieśmiało próby socjotechnicznego odwracania kota ogonem i przeraźliwe protesty kota. W obronie kota wystąpiły Amnesty International, Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami i Międzynarodowy Czerwony Krzyż, a jego naderwany ogon stał się przedmiotem wielu ekspertyz specjalistów i laików. Pewnego dnia jednak zmęczone całą wrzawą zwierzę zdechło. Dalsze wydarzenia następowały błyskawicznie, jakby były konsekwencją śmierci niewinnego zwierzęcia. Niemal równocześnie nastąpiły prześladowania religijne i skandale polityczne, postępujący kryzys gospodarczy, oficjalnie określany mianem stabilizacji, spory w kręgach przywódców partii rządzących i rosnące niezadowolenie społeczeństwa. Społeczeństwo domagało się od władz wskazania i ukarania winnych swej nędzy i upokorzenia. W powietrzu unosił się zapach świeżej krwi.

Czas ruszył z miejsca w Wielki Piątek, kiedy w prasie codziennej pojawiły się pierwsze doniesienia o mafijnych powiązaniach socjalistów. Nazajutrz dodatki specjalne informowały o największym od czasu wojny, przez kilka miesięcy skutecznie tuszowanym skandalu obyczajowym. Jego bohaterami było kilku powszechnie znanych polityków różnej orientacji, mających swój udział w porwaniach, prostytucji nieletnich, handlu narkotykami, organizacji nielegalnych kasyn i zakładów oraz w wielkiej aferze korupcyjnej. W niedzielnym, transmitowanym przez radio i telewizję kazaniu jeden z kardynałów stwierdził, że nikt inny, tylko szatan jest przyczyną wszelkiego zła, a skoro źle się dzieje, to znaczy, że szatan ma swoich przedstawicieli wśród nas. I to wystarczyło. Ambitni politycy natychmiast wyciągnęli ręce i oskarżycielsko wyprostowanym palcem ochoczo wskazywali jego popleczników. I kierowali swój palec na masonów, których bezbożnym pragnieniem było wybudowanie na ziemi gmachu nowego, bezbożnego porządku. I gdziekolwiek ich palec wskazywał, tam zaraz znajdował się mason. To oni byli winni wszystkich nieszczęść, bowiem po cóż mieliby skrywać swe działania. To zresztą żadna tajemnica. Takie rzeczy każde dziecko wiedzieć powinno. Inni wskazywali na protestanckich przemysłowców, którzy w swoich niepoświęconych fabrykach zamiast ludzi zatrudniają maszyny, powodując coraz większe bezrobocie i nędzę chrześcijańskich rodzin, chociaż sami się za chrześcijan uważają. Ale co z nich za chrześcijanie, jeżeli to nie chrzest, a ciężka praca służyć ma zbawieniu. Znaleźli się też tacy, którzy próbowali oczerniać katolików. Ktoś nawet powiedział, że poza modlitwą i piciem wódki nie zajmują się niczym istotnym, a mają pretensje do rządu dusz i prawdy objawionej, ale takich bredni nikt poważny nie słuchał. Demokratyczna większość wiedziała, że nie ma uczciwszych chrześcijan niż ci, których kościół już z samej nazwy jest powszechny. Szybko się zresztą owi oszczercy przekonali, że za błędy trzeba płacić. A obrońców prawdziwej wiary szybko przybywało. Niewielu za to chciało bronić prawosławia. Na ogół niechętnie spoglądano na stawiających cienkie świece w cerkwiach, ślawiących nie Boga, ale swoją dziwną liturgię oraz ikony zajmujące w ich cerkwiach miejsce ołtarza. Poza tym mieli odstające uszy i nie znali się na kalendarzu. Z punktu widzenia chrześcijan byli więc równie obcy jak muzułmanie, o których nie mówiono już inaczej jak fundamentalisci. Jak wiadomo od czasu, gdy Maurowie nie chcieli przyłączyć się do wypraw krzyżowych, wyznawcy islamu nie są z nami wszystkimi, lecz przeciwko nam. Amen. Z drugiej strony, przecież to nasze chrześcijańskie miłosierdzie sprawia, że musimy wybaczyć im wiele grzechów. Na przykład to, że mordują Izraelitów w ziemi obiecanej. No tak! Należało zwrócić uwagę na Żydów, tych prześladowców chrześcijaństwa i Chrystusa samego, który przecież nie mógł być jednym z nich, bo jakże to pogodzić z całą wiedzą o naszym świecie. Na pewno nie był, przecież w Judei mieszkali różne narody. I jak chce europejska tradycja, sypały się razy na tych wywrotowców, jawnych socjalistów i skrytych producentów wódki, porywających chrześcijańskie dzieci, aby wytoczyć z nich krew i użyć jej do wypieku macy. A później przyszedł czas na Cyganów, którzy także porywają dzieci, a ponadto pod pozorem tańca i zabawy uprawiają wolną miłość i kult pomniejszych bogów. Ale bicie Żydów i Cyganów szybko się znudziło. W ogóle nie jest to ciekawe zajęcie. W końcu robi się to nie po raz pierwszy ani drugi. Kolej więc na komunistów, tych bezbożników i satanistów, na handlujących narkotykami Hindusów, na buddystów, którzy modlą się do pogańskich bożków,

odurzając się codziennie tanim alkoholem i podejranej proveniencji środkami nasennymi, na wolnomyślicieli szerzących pornografię i liberalizm, na liberałów, którzy deprawują nieletnich i sprzedają młode kobiety i dzieci do domów publicznych, nie mówiąc już o libertynach, którzy mogliby nic nie robić, gdyż samo bycie takim, za przeproszeniem, libertynem wystarczy, by zasłużyć na karę śmierci i męki wieczne.

Śladem ich słów podążyli publicyści i aktywiści, którzy w ciągu kilku najbliższych tygodni tłumaczyli zdeorientowanym tłumom, jak dalece prawdziwe są to stwierdzenia, na czym zasadza się logika dziejów i jak fałszywi są wszyscy konwertyci oraz odszczepieńcy, będący już zdrajcami religii, w której się urodzili, a więc w zależności od koniunktury również potencjalnymi zaprzedańcami, a nawet prześladowcami religii przybranej, jak rzadko wreszcie zdarzają się wyjątki, ludzie uczciwi mimo ich całego obnażonego w innym *modus vivendi* człowieczeństwa. Przechrzta w świadomości powszechnej pojawił się jako ktoś znacznie gorszy niż innowierca, a samo słowo z dnia na dzień stało się obelgą jeszcze gorszą niż kosmopolita. Coraz częściej to nie imię boże, lecz imię własne, prywatne i rodzinne, nie wybór takiego czy innego zła, ale wyznanie rodziców albo dziadków decydowały o pozycji w mniej lub bardziej uprzywilejowanym kręgu społecznym, a nawet w społeczeństwie w ogóle. Cyganie zostali odrzuceni jako niecywilizowani, imigrantów nie przyjmowano w szpitalach i urzędach, mniejszości, których istnienie zaprzeczało narodowej jednoznaczności kraju, wysiedlano do odległych prowincji. Separatyści ogłosili, że przystąpili do sporządzania list proskrypcyjnych. Codziennie wybuchały bomby i nikt już nie próbował szukać sprawców. W końcu okazało się, że kardynał pochodzi z rodziny przechrztów, a premier i minister sprawiedliwości posyłają swoje dzieci do szkoły z jakimś dziwnym językiem nauczania. Codziennie wybuchała nowa sensacja. Paparazzi zacierali ręce. Akcje spółek prasowych zwyżkowały. Nasz ojciec w ciszy swego gabinetu rozważał możliwość rezygnacji z funkcji burmistrza. W końcu każdy musi kiedyś odejść, mówił sobie, a w jego oczach skłily się łzy.

Z każdym dniem wydarzenia następowały po sobie coraz szybciej. Podburzeni przez działaczy komitetów antyalkoholowych importowani ze wschodu robotnicy budowlani rozbili wszystkie wystawy w dzielnicy ormiańskiej. Nazajutrz wynajęta przez Ormian firma detektywistyczna okazała się nacjonalistyczną bojówką i zniszczyła fabrykę tekstyliów, której właściciel nie najlepiej mówił w naszym języku, ale zatrudnił kilkuset robotników i płacił im regularnie. Właściciel fabryki ogłosił, że liczy już tylko na odszkodowanie i wyjechał. Robotnicy protestowali, bo zamiast odszkodowania chcieli mieć stałe pensje. Policja spałowała podatników, „bo co będą protestować”, jak kwiecieście ujął to rzecznik najwyższej komendantury. Nieznani podpalacze puścili z dymem szkołę katolicką, a uczniowie tej szkoły ukamienowali kilku żydowskich chłopców uczestniczących w majówce z okazji święta zwycięstwa. A Żydzi jak zwykle rozgłosili na cały świat, że się ich prześladowuje. Jakby to było coś nowego!

Życie społeczne coraz częściej przypominało grę w monopol. Gazety gubiły się w sprzecznych doniesieniach, stacje telewizyjne powtarzały wielokrotnie te same materiały filmowe,

komentując je na wszelkie możliwe sposoby. Poza tym codzienny rytm pracy i wypoczynku coraz częściej regulowały wybuchy bomb podkładanych pod samochodami, drzwiami mieszkań i piwnic, biur i supermarketów. Narodowości składające się na społeczeństwo wyniszczały się wzajemnie w imię różnic w interpretacji Biblii, kodeksu drogowego, prawa cywilnego i Kamasutry. Interpretacja stała się przekleństwem zwyczajnych ludzi, instrumentem, przy pomocy którego możliwe było sterowanie emocjami tłumów i manipulacja poglądami jednostek. Najczęściej sterowano uczuciem strachu. Sąsiedzi, którzy od lat wspólnie spędzali wakacje i święta, bez słowa wyjaśnienia zaprzestawali wymiany porannych pozdrowień, posyłali dzieci do różnych szkół, unikali swego wzroku, kiedy przypadkiem natknęli się na siebie w sklepie. Sąsiedzi, którzy dotychczas ograniczali się do wymiany pozdrowień, nagle i bez wyraźnego powodu obdarzali swym zainteresowaniem tych z parteru albo tych z drugiego piętra, ale nie była to ciekawość bezinteresowna, do jakiej przywykli wymieniał się plotkami sąsiadki oczekujące na powrót swych mężczyzn i dzieci, na zakończenie prania, na dogotowanie się zupy albo ziemniaków. Analiza nazwisk i rysów twarzy, interpretowanie zachowań i wypowiedzi stało się tak modne, że niektórzy uznawali je nawet za konieczną konsekwencję nagle objawionej wiedzy o sensie życia i historii.

W następnych miesiącach wielokrotnie wybijano szyby w oknach naszego domu, w wielu sklepach nie honorowano naszych kart kredytowych, a głuche telefony spowodowały, że przestaliśmy podnosić słuchawkę. Znosiliśmy szykany z godnością. Wielu ludzi wyemigrowało wraz z rodzinami, a niektórzy po prostu zniknęli, tak jak wcześniej uczynił to listonosz. Wniebowstąpienia zdarzały się już tak często, że nikt właściwie nie zwracał na nie uwagi. Coraz częściej natomiast mierzono do osób aktywnych publicznie. Także nasz ojciec, jako persona znana na terenie miasta i okolic, stał się jednym z głównych celów; ataki nań przypuszczali zarówno autorzy niedzielnych kazań, jak i anonimowi publicyści na murach i ścianach publicznych szaletów, których używano już chyba wyłącznie w charakterze trybuny politycznej. Mierzyli również strzelcy wyborowi i krawcy, chociaż każdy powinien znać miarę i nie tylko rzeczą krawców jest jej przestrzegać.

Decyzja, którą prędzej czy później podjąć musi każdy polityk, zapadła nagle. Służbowa limuzyna czekała na świeżo wybrukowanym podjeździe, gdzieś w okolicach bramy i werandy członkowie gwardii przybocznej burmistrza korzystając ze służbowych telefonów, umawiali się z dziewczynami na wieczorne *rendez-vous*, ojciec próbował potraw przygotowanych na uroczystą kolację przez ekipę z restauracji centrum handlowego wybudowanego ostatnio w miejscu starego domu kultury, a my towarzyszyliśmy mu z entuzjazmem. Właśnie zakończyliśmy degustację przekąsek i już mieliśmy przejść do sałatek, gdy limuzyna przy akompaniamencie grzmotu wyciskającego szkło z pseudorenesansowych ram uniosła się w powietrze, aby po chwili krótkiego wahania opaść na podjazd, deformując się i skręcając, jakby była jedynie żartem z pop-artowych komiksów. Ochrona już biegła, wznosząc lufy odbezpieczonej broni, a kurz i dym pokrywały zieleni sadu brunatnym osadem. Po chwili szczelnie osłonięci przed czającymi się z każdej strony terrorystami bez większych ceregieli zostaliśmy wtłoczeni pod stół.

— Odchodzę — powiedział ojciec spokojnie, jakby było to stwierdzenie odnoszące się do wciąż obecnego w jego ustach smaku kawioru. — Tak czy inaczej osiągną swój cel i zmuszą mnie do dymisji, do odejścia z ratusza, do wyprowadzenia się z miasta, do wszystkiego, czego zapragną. O ile wcześniej nie wydarzy się coś jeszcze gorszego. Na przykład proces polityczny albo nasza śmierć w męczarniach.

— Kogo masz na myśli?

— Ich wszystkich — ojciec zakreślił ręką łuk, uderzając o chroniący nasze głowy blat stołu.

— I uważasz, że twoje odejście cokolwiek zmieni? — Anna spoglądała nań, ściągając znacząco brwi.

— Z punktu widzenia tych ludzi? — Ojciec wskazał poruszające się energicznie dolne połowy agentów ochrony, którzy nie wiadomo dlaczego, zamiast zabezpieczać otoczenie budynku i park, kręcili się po domu. — Z pewnością. Podobnie z punktu widzenia moich wrogów.

— A z naszego?

Ojciec uśmiechnął się promiennie. Jego palce zagrały na dywanie pasaż.

— Nic a nic.

W końcu nas uwolniono i mogliśmy rozprostować kolana i karki. Z wyciem syren, migając wszystkimi możliwymi światłami, zatrzymywały się na podjeździe auta brygady antyterrorystycznej, policji, straży pożarnej, wozy transmisyjne ekip telewizyjnych i ambulans pogotowia ratunkowego. Wymknęliśmy się tylnymi drzwiami. Nie chcieliśmy odpowiadać na pytania, które zamierzali zadać nam wszyscy ci ludzie.

Następnego dnia ojciec zwołał konferencję prasową, podczas której poinformował, że ze względu na zły stan zdrowia składa dymisję, odchodzi nieodwołalnie i ostatecznie, odjeżdża w sobie tylko wiadomym kierunku, wycofuje się z życia publicznego, olatuje do ciepłych krajów, rezygnuje z działalności zawodowej, kończy karierę jako polityk, zmienia nazwisko i *image*. A w końcu, schodząc z podium w ciszy przerywanej rzadkimi brawami, dodał:

— Proszę, zapomnijcie o mnie tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Drżącą dłonią wyciągnął z kieszeni grzechoczące tabletki i połknął jedną, nie popijając jej nawet. Tabletki poprawiające samopoczucie nie na wiele mogły się w tej sytuacji przydać, ale i tak łykaliśmy je codziennie, wprawiały nas bowiem w dobry nastrój, a to musiało na razie wystarczyć. Zapomnienie postępuje automatycznie, nasila się do momentu amnezji całkowitej, kiedy czas zdąży zatrzeć wszelkie emocje i ślady zdarzenia, nigdy jednak nie następuje na życzenie.

Ekipa dochodzeniowa nie odnalazła żadnych związków pomiędzy wybuchem i którymkolwiek z działających na naszych terenach syndykatów zbrodni. Sprawdzono połączenia telefoniczne i rachunki za wywóz śmieci, poddano obserwacji wszystkich liczących się z ojcem opozycjonistów i podwładnych, nieogoleni agenci w przebraniach włóczyli się przez dwa miesiące po ulicach i parkach, specjaliści od kryptografii analizowali treść prasowych anonsów i radiowych reklamówek, zaangażowano wszelkie siły, jakie pozostawały w dyspozycji władz, aby

w końcu uznać, iż był to tylko nieszczęśliwy wypadek. Przy okazji wyszło na jaw, że do zapłacenia pozostała większa część podatku dochodowego za ubiegły rok i kilka mandatów za przekraczanie dozwolonej prędkości. Nasilający się kryzys funduszy publicznych zmuszał urzędników do natychmiastowej egzekucji należności, nie tracąc więc czasu na zbędne wyjaśnienia, zamieszkali w bawialni i przez tydzień opisywali widoczne składniki naszego majątku ruchomego i nieruchomego.

Odejście ojca z ratusza trwało tydzień. Wielki bal z udziałem wszystkich podwładnych i lokalnej elity, spakowanie szczoteczki do zębów, maszynki do golenia, kosmetyków, proporczyka drużyny piłkarskiej służb miejskich, albumu z pamiątkowymi zdjęciami i wycinkami prasowymi, kopii tajnych dokumentów na mikrofilmach, zniesienie pudeł do samochodu, który odjechał w niewiadomym kierunku, spalenie kilku teczek z aktami mniej istotnych spraw, spędzenie ostatniej nocy z oddaną sekretarką, zniszczenie biurka i fotela przy pomocy kija golfowego, wyrzucenie przez okno telefonu i telewizora, wypicie ostatnich kilku butelek portwajnu, rozpalenie ogniska na dywanie i śpiewy niosące się ponad głowami śpieszących na poranne nabożeństwo obywateli należały do zestawu czynności zwyczajowo praktykowanych w owym czasie przez odchodzących urzędników. Nasz ojciec nie był wyjątkiem, ale też nie był kimś zupełnie tuzinkowym i pozbawionym fantazji. Zdążył jeszcze upić do nieprzytomności obejmującego urząd burmistrza Jana Nowaka (nazwisko Nowak nosił co drugi obywatel miasta, ale ten Nowak nie pochodził z naszych stron), wezwał służbowego fryzjera ratuszowego i wspólnie wytatuowali na karku nowego Nowaka swastykę, nagi wizerunek osobistej sekretarki oraz trzy cyfry o tajemniczym znaczeniu, następnie ojciec nasz, stwierdziwszy, że zawsze miał na to ochotę, postanowił wypić atrament, ale granatowoczarzny płyn nie odpowiadał jego preferencjom smakowym, dzięki czemu całym pozostałym atramentem mógł wymalować dużą część oficjalnych pomieszczeń, zlikwidował nadane w okresie urzędowania nazwy ulic, podzielił miasto na trzy mniejsze, a później usiadł na schodach ratusza i prosił przechodniów, by pili z nim bruderszaft – w ten sposób połowa miasta stała się jego przyjaciółmi, a połowa wrogami. W końcu, powróciwszy do połowicznej przynajmniej przytomności, kazał się odwieźć do domu, gdzie przez następny tydzień leczył wątrobę, żołądek i ciężką głowę naparem z rumianku, szaflwii i mięty. Prosił również o lekarstwa, ale nie dostał ich za karę, albowiem wielkim grzechem miał się okazać jego brak zapobiegliwości, a faktem jest, że zapomniał o odpowiednim zapasie leków, kiedy hucznie żegnał się z urzędem.

200

— Już tu nie powrócę — powiedział, spoglądając przez łzy na sylwetkę oddalającego się ratusza. — Czekają na mnie ważniejsze zadania, ponadczasowe sprawy, rachunki, które tylko ja mogę rozwiązać. Czekają na mnie w pałacu prezydenckim — wyjaśnił kierowcy służbowej limuzyny w proroczym natchnieniu.

Błędem byłoby jednak sądzić, iż odejście z ratusza pomoże nam w czymkolwiek. Niechętny stosunek okolicznej ludności pogłębił się jeszcze bardziej. Nic sobie nie robiąc z naszej obecności, sąsiedzi wchodzili do naszego ogrodu i plądrowali grządki, zabierali zabawki z piaskownicy, a pewnej nocy znikł nawet basen.

— Ukradli nam basen — powiedział ojciec, odwracając się od okna ze łzami w oczach i położył się do łóżka. Choroba raz jeszcze okazała się naturalną ucieczką przed rzeczywistością.

Nie próżnowali też dziennikarze. W każdym wydaniu gazet lokalnych, a nawet w dziennikach wychodzących w innych miastach, znajdowaliśmy kolejną porcję doniesień o wyczynach ojca, o upadku naszej rodziny, o wyczerpanym kredycie społecznego zaufania. Nic nie mogło przerwać złej passy. Nawet świąteczne, barwne i pełne optymistycznych prognoz wydania okraszone były doniesieniami o prawdziwych lub zmyślonych wyczynach byłego burmistrza. Zupełnie jakby czas zatrzymał się w miejscu, jakby koło fortuny znieruchomiło w najmniej korzystnym dla nas położeniu.

— Jak poruszyć fortuny koło? — pytały dzieci, a ojciec wzruszał ramionami albo odpowiadał:

— Nie wykonywać żadnych ruchów — i nieruchomił przed telewizorem na kilka godzin. Czas wykonał więc pełny obrót i tylko poprawiające samopoczucie tabletki mogły nas wspomóc.

Ale nie dajmy się zwieść grze pozorów. Czas poruszał się w swym nieustępliwym trwaniu. Bez litości i ostatecznie przemijały stulecia. Wojny religijne toczyły się gdzieś daleko, ale nie była to odległość, której nie mogłyby pokonać skrzydła nagłej śmierci. Wiedzieli o tym partyzanci Niewidzialnego, którzy wybudowali w lesie zakonspirowany klasztor i w każdej chwili oczekiwali bezpośredniego ataku. Nawet podczas niesporów ogłaszano próbne alarmy, startowały strategiczne bombowce, a rzenie koni przebiegało przez leśne ostępy. Dzwony miejskiej katedry domagały się szacunku, a sprzedawane za pośrednictwem telewizji relikwiarze chroniły przed siłami nieczystymi.

Tabletki skutecznie chroniły nas przed frustracjami i załamaniem nerwowym. Z powodu ceny i kłopotów z kolejnymi dostawami ograniczaliśmy dawki do minimum, ale ich dobroczynne skutki były wystarczająco trwałe, by odwrócić naszą uwagę od wydarzeń przewracających nasz świat na nice. A działa się wiele. Koronowane głowy toczyły się równie często jak grzmoty odległych batalii. Umierały narody i plemiona, w odległych koloniach głodowały dzieci, wyludniały się i zaludniały kontynenty, przeterminowane racje żywnościowe i środki czystości, które wojskowe transportowce zrzucały na głowy potrzebujących, już po kilku dniach znajdowały się w magazynach wrogich armii, a ich wartość podwajała saldo prywatnych kont w szwajcarskich bankach. Firmy bankrutowały tylko po to, by bez większego zamieszania zmienić właściciela. Właściciele kupowali i sprzedawali, aby stracić i nie płacić podatków. Firmy ubezpieczeniowe wypłacały im równowartość strat, co często powodować musiało ich upadłość. Upadłość prawie zawsze powodowała zmianę właściciela. I nikt już nie wiedział, do kogo należą wszystkie firmy, kto kryje się za nazwami największych koncernów, kto włada całym imperium finansowym cywilizowanego świata, chociaż każde dziecko wiedziało, że cywilizacja oparta jest na prywatnej własności, a własność prywatna to tylko pieniądź, a pieniądź to narzędzie władzy, a zarazem jedyny uniwersalny wskaźnik wartości.

Ale świadomość ta nużyła zwyczajnych ludzi. Oni nie chcieli już słyszeć o bilansach, zeznaniach podatkowych i rachunkowości, woleli wyobrażać sobie gospodarkę jako proste odbicie perskiego rynku wprost z opowieści snutych bez końca przez Szeherezadę. Dzienniki rozpisywały się o sporcie, modzie w nadchodzącym sezonie, morderczych instynktach zwierząt, zwierzęcych instynktach ludzi, morderstwach popełnianych na przypadkowych świadkach, zbrodniach namiętności, miłości przybranej kolorowymi wycinankami w kształcie obowiązkowych serduszek, popołudniówki przynosiły sensacyjne informacje o politykach, aktorach, piosenkarzach i sportowcach, o ich preferencjach kulinarnych i seksualnych, o siłach nadprzyrodzonych i najnowszych odkryciach naukowych, które uczynią rodzaj ludzki bandą najbardziej pomysłowych stworzeń we wszechświecie. Ludzie musieli pracować, ale najchętniej jedli i spali albo oglądali telewizję kablową. Poza tym stale rozmnażali się, co nadal należało do czynności przyjemnych, chociaż z różnych względów nieekonomicznych. Czasami ktoś czytał, ale teksty dłuższe niż dwieście pięćdziesiąt słów przekraczały możliwości percepcyjne większości osobników. Dotyczyło to także uniwersyteckich wykładowców.

Ojciec także zrezygnował z czytania. Książki zapakował do kartonowych pudeł i przeniósł do piwnicy. Chętniej oglądał mapy. Zamykał się z dzbankiem mocnej czarnej kawy w swym gabinecie i od świtu do świtu, godzina za godziną, wypalając papierosa za papierosem, popijając wystygłą kawę, pochylał się nad rozpostartymi płachtami nieznanymi krain, obliczał średni poziom terenu, zaznaczał mosty, kreślił najbardziej uczęszczane trasy, podkreślał nazwy miejscowości, dorysowywał nowe drogi, nowe przełęcze, dopisywał uwagi w nawiasach, a w końcu redukował mapę do jakiegoś sobie tylko zrozumiałego aspektu i wydzierając z niej niewielki zwykle fragment, przechodził do następnej. Czasami sklejał kawałki dwóch map i w ten sposób powstawała mapa trzecia. Zdarzało się, że doklejał czystą kartkę i dorysowywał na niej jakieś sobie tylko znane okolice albo na marginesie wykreślał domniemaną kontynuację brzegów, poziomicy i dróg. Najpoważniejszą jednak jego pracą było wykreślenie zarysów lądu leżącego w białym klinie pomiędzy półkulami. Później powiększona na dużym arkuszu białego papieru kraina zyskała rzeki, miasta i świadczące o znacznym pofałdowaniu terenu pętla poziomicy, a ojciec z dumą opowiadał o życiu codziennym jej mieszkańców.

— Nie doceniałem nigdy roli hipotezy w badaniach geograficznych — powiedział pewnego ranka do Anny.

202

— Domysł, że skoro coś istnieje tu i teraz, to jakieś coś musi istnieć gdzieś i kiedyś, jest konsekwencją zdroworozsądkowego myślenia — odparła Anna. — Ale rzeczywiście, w kartografii hipoteza może odegrać rolę rewolucyjną.

— Właśnie! — rozpromienił się ojciec i zniknął za drzwiami.

— Sprawdzalność w zasadzie nie zmienia istoty mego pomysłu, ale gdyby tak kiedyś ktoś spróbował odnaleźć owe hipotetyczne tereny, mogłoby to mieć zbawienny wpływ na naszą sytuację intelektualną i moralną — powiedział następnego dnia mimochodem, ale Anna była właśnie w ogrodzie i nie podjęła dyskusji.

Kiedy Anna wróciła z naręczami kwiatów i warzyw, które jeszcze tego ranka miały się znaleźć na stole, ojciec zdążył się już rozpuścić w przestrzeniach realnych i hipotetycznych.

— Biedny ojciec, gdybyś nie ukrywał się przed własnymi myślami, gdybyś choć raz zechciał stawić czoła prawdzie — zapłakała Anna. — Tylko patrzeć, jak twoje domysły staną się ostatnią szansą przetrwania naszej rodziny. Czy takiego potwierdzenia oczekujesz? Odpowiedzi nie było. Ojciec przestał nawet przyjmować tabletki, a my cieszyliśmy się, spoglądając każdego ranka na zapas, który topniał znacznie wolniej niż dotychczas.

Ale jednak zapas tabletek znieczulających nas na upływ czasu i odczucia płynące z realnego świata, zapas, który coraz częściej oznaczał życie, szczęście i prawdę, a przede wszystkim dni dobre, chociaż chyba już nieodwołalnie minione, zapas ów topniał i każde z nas wiedziało, że przyjdzie taki dzień, kiedy ostatnia tabletka, ostatni okruszek cudu zostanie skonsumowany i nie pozostanie już nic, co mogłoby utrzymać rodzinę Wolfów przy życiu.

Decyzja o wyjeździe zapadła nagle i bez związku z jakimikolwiek wydarzeniami, o których można by później mówić, że to one tłumaczą takie lub inne zdarzenie. Anna oprawiała w kuchni kaczkę, dzieciaki bawiły się na podwórzu głowicą rakiety balistycznej, muezin nawoływał swoich braci w wierze do czystości i miłości, Teodor analizował graffiti pozostawione przez kogoś ostatniej nocy na frontowej ścianie naszego domu, gdzieś dzwonił tramwaj, gdzieś płakało dziecko, szczekał pies, ponad boiskiem szkoły pielęgniarek szybowała piłka, zegary tykały, a bezsensownie równe sekundy, które już dawno stały się fikcją, przemierzały nasze trzewia, postarzając je w sposób niezauważalny, lecz bezwzględnie stały. I wszystko zdawało się jeszcze trwać, kiedy w jednym momencie nic już nie było trwałe, nic nie było takie samo jak przed chwilą.

— Wyjeżdżamy. — Ojciec stał w drzwiach bawialni, w miejscu, z którego każde z nas mogło go usłyszeć. — Wyjeżdżamy na zawsze, gdyż nie jest możliwy powrót do miejsc, które są tylko przeszłością. A to tutaj jest już tylko przeszłością — dodał i ogarnął gestem całą widzialną przestrzeń. — Przeszłością nic niewartą, dodam, aby nie było wam zbyt smutno się z nią pożegnać. — Milczał przez chwilę, jakby usiłował przypomnieć sobie coś niezwykle ważnego. — Aha, jeszcze coś. Nie myślcie, że będzie mi trudno, nie myślcie, że nie będzie mi łatwo, ja w ogóle nie wierzę już w przeszłość ani tym podobne bzdury! Istnieje tylko to, co się zdarzy! Niech żyje przyszłość!

Ośłupieliśmy. Anna próbowała bagatelizować słowa ojca, wciągać go w rozmowy o pogodzie, polityce i o literaturze, próbowała słowom ojca nadać wymiar teoretyczny, ale on trwał przy swoim zdaniu jak stary osioł.

— Nie jestem taki stary, jakby to się mogło wam wydawać — mówił z przerażającym spokojem. — Wiem, co należy uczynić. I czynię to z całą determinacją, na jaką mnie stać.

— A dokąd to mielibyśmy jechać? — zapytał Igor, unosząc przy tym i ściągając brwi.

— O to możecie się nie martwić, świat ma dość kierunków, a poza tym znalazłem już niegdyś takie miejsca, które z wielu rozmaitych względów warte są naszej uwagi.

— Czy jednak istnieje pojazd, w którym mogliby pomieścić się wszyscy Wolfowie tego świata? I w jaki silnik należałoby ów pojazd wyposażać?! — Prześcigaliśmy się w podnoszeniu wątpliwości.

— Nie istnieje taka siła, nie istnieje taka moc, co by równa naszej była, gdy zapadnie ciemna noc — zaśpiewali partyzanci w swych leśnych kryjówkach.

— Tego problemu jeszcze nie rozważałem. Myślę jednak, że każda trudność może się okazać udogodnieniem, jeśli potrafimy ją odpowiednio ująć. Zamiast rozmyślać nad silnikiem zdolnym poruszyć całą rodzinę Wolfów, może powinniśmy zbudować maszynę, którą wprawia w ruch oni sami. Co wy na to?

— Abba, ojczu, czyżbyś chciał uczynić z nas galerników?

— Niezły pomysł — powiedział ojciec, odsuwając w twórczym roztargnieniu półmisek z niekniętą kaczką i udał się do swego gabinetu.

Przez kilka dni nie wychodził. Jedzenie ustawiane pod drzwiami znikało, a w jego miejscu pojawiały się puste naczynia. I wydawało się, że życie wróciło do normy, kiedy ojciec znów się objawił w całej swej demonicznej postaci.

— Wymyśliłem — obwieścił, promieniejąc radością. — Wymyśliłem pojazd poruszany siłą mojego intelektu i ciężarem wszystkich Wolfów.

Spoglądaliśmy przez chwilę po sobie tak, jakby nasze poczucie humoru rozminęło się z oceną sytuacji. Ojciec tryumfował.

— Mówiłem, że każda słabość może albo nawet powinna okazać się zaletą, rozwiązaniem kłopotliwej sytuacji czy coś w tym rodzaju?

— Mówiłeś — powiedział chór Wolfów.

— No właśnie — ojciec podniósł wskazujący palec i ściągnął brwi. — Wymyśliłem pojazd, który będzie zjeżdżał z górki, a później, kiedy nabierze już rozpędu, będzie mógł wjechać na następne wzniesienie, aby podczas zjazdu znów nabrać prędkości. I tak dalej, i dalej...

— Podróż takim pojazdem musiałaby być nieskończenie monotonna — wtrąciło jedno z anonimowych, trzymających się zawsze w cieniu Wolfów.

— Możemy wyposażać pojazd w telewizor, muzykę i espresso, możemy zabrać kolekcje motyli, znaczków pocztowych i gier strategicznych, a poza tym ktoś musi ów pojazd prowadzić, ale nawigacja uwzględniająca najdrobniejsze przeszkody, wzniesienia i spadki terenu to sprawa na tyle poważna, że lepiej będzie, jeśli to ja się nią zajmę. Negocjowanie z grawitacją to moja specjalność.

Po czym wykonał piruet i krokiem baletmistrza oddalił się, nie dotykając stopami podłogi, a uczynił to w wielkim zaiste stylu.

Krzysztof Dariusz Szatravski



HISTORIA

Ewa KOZŁOWSKA

Francuscy jeńcy wojenni w Treuburgu (Olecku)

EWA KOZŁOWSKA

ur. w 1972 roku, mieszka w Olecku i Paryżu, ukończyła studia romanistyczne we Francji; artystka fotografik, tłumaczka, reportażystka, regionalistka.

Historia życia i obecności francuskich jeńców w Treuburgu pozostawała do tej pory w cieniu innych wojennych wydarzeń i była raczej nieznana. Nikt z dzisiejszych mieszkańców Olecka nie kojarzy sobie starego cmentarza ewangelickiego z grobami francuskich jeńców ani znanych miejsc z barakami obozowymi, a przy tym odnalezione relacje tych jeńców rzucają zupełnie nowe światło na to, co już zostało poznane. Ich losy jeszcze inaczej ogarniają znane miejsca i utrwaloną historię, i warto się temu przyjrzeć.

MECZ W CZERWCU 1944 ROKU

Przed wojną Maurice Laouënan był zatrudniony na stanowisku attaché w Ambasadzie Francji w Wiedniu. Gdy wybuchła wojna, wrócił do rodzinnego Lorient w Bretanii, gdzie został wcielony do 62 Pułku Piechoty. Walczył na granicy z Luksemburgiem, następnie w Belgii dostał się do niewoli. Z Belgii został wywieziony pociągiem przez Akwizgran, Kolonię, Essen, Dortmund, Magdeburg, Berlin, aż do Hohenstein (nieopodal Olsztynka), do Stalagu IB. Po kwestiach organizacyjnych, w lipcu 1940 roku, ponownie zapakowano go do towarowego wagonu i jego ostatnim przystankiem był Treuburg.



Maurice Laouënan na tle ruin komendatury, Olecko 1968 | Źródło: Archives Nationales, Site de Pierrefitte-sur-Seine

W Treuburgu Maurice Laouënan spędził jako jeńiec wojenny cztery lata. Jako że dobrze mówił po niemiecku, stał się pośrednikiem w relacjach międzyludzkich. Sprawdzał się już na samym początku, kiedy na dworcu francuscy jeńcy wojenni byli przydzielani do konkretnych gospodarstw, jak i podczas kwaterunku w opuszczonych koszarach na obrzeżach miasta tych, którzy nie wydali się wystarczająco silni dla pruskich gospodarzy. Maurice Laouënan był oficjalnie sekretarzem-tłumaczem (później l'Homme de Confiance) w Treuburgu (pod rozkazami kaprała Eichoffa i kapitana Hauptmana Moluha) i do jego obowiązków należało także przygotowanie dossier dla wszystkich 1900 jeńców rozmieszczonych w promieniu 30 kilometrów (oficjalne źródła mówią o liczbie 1171, komando 2/215). Mieszkał przy izbie chorych zorganizowanej dla jeńców wojennych, w budynku, który pierwotnie służył do organizacji wesel i bankietów: duża sala (oraz podwórze) została zaadaptowana do nowych potrzeb, z łózkami piętrowymi i z piecykiem pośrodku. Trzech jeńców zmarło na tej sali już podczas pierwszego miesiąca. W 1941 roku do Treuburga przybyło również wielu rosyjskich jeńców wojennych. Zakwaterowano ich pod namiotami i tak spędzili zimę 1941-1942, pracowali również na gospodarstwach, w zakładach i żwirowniach. Maurice Laouënan przez cztery lata, poza wyznaczonymi obowiązkami, obwieszczał innym jeńcom wojennym złe nowiny: śmierć bliskich, interweniował w krytycznych sytuacjach (np. okaleczenia, samobójstwa, zastrzelenie uciekiniera w Sulejkach). W 1944 roku przybyli do podobozu w Treuburgu również włoscy jeńcy wojenni.

Jedynym przyjemnym wydarzeniem, jakie pamięta, było wydarzenie towarzyskie z czerwca 1944 roku. Na miejskim boisku w Treuburgu francuscy jeńcy wojenni rozegrali wtedy mecz piłki nożnej. Przeciwnikami byli żołnierze z Flak-Korps, którzy właśnie powrócili z walk we Francji. Pomimo iż nie było w tym nic złego, dnia następnego Maurice Laouënan został pociągnięty do odpowiedzialności, gdyż takie rozrywki były dla jeńców zabronione, a na wieść o tym niemieccy żołnierze ponoć krzyczeli zdenerwowani: *Scheiße!*, zaś chwilę później wszyscy dowiedzieli się o lądowaniu w Normandii. Docierały także pierwsze sygnały o Armii Czerwonej wdzierającej się na terytorium Prus Wschodnich. Atmosfera była napięta, niektórzy jeńcy francuscy w oddalonych i odizolowanych gospodarstwach zostali zabici, pojawili się dezterterzy: na tyłach izby chorych, w ciężarówce wypełnionej pustymi skrzynkami i ubiorami dla jeńców został zastrzelony, siłą wcielony do wojska, młody żołnierz z Alzacji. Front był już coraz bliżej i rozpoczął się exodus ludności cywilnej. Dopiero 14 stycznia 1945 roku Maurice Laouënan otrzymał oficjalnie przepustkę i mógł udać się w kierunku Sensburga (Mrągowa) do znajdującego się tam kolejnego podobozu. W ogólnym chaosie zdany był już tylko na siebie. Podczas exodusu Maurice Laouënan stał się świadkiem niewyobrażalnych cierpień, gwałtów i rabunków. Uciekając, błąkał się po całych Prusach Wschodnich, samemu również doświadczając okropności, aż zastał go koniec wojny w obozie 20 km od Torunia, gdzie dostał z tej okazji od żołnierzy Armii Czerwonej setkę spirytusu 90-procentowego i posiłek. Parę dni później został przez tych samych żołnierzy zapakowany do towarowego wagonu i pokonał trasę Warszawa–Smoleńsk–Mińsk–Moskwa i dalej do Kalinina (dziś Twer), skąd powrócił w sierpniu 1945 roku, pokonując tę samą trasę, a później, dalej do Berlina. Pamiętał, że na jednym z dworców w Polsce mijał się z wagonami zapełnionymi nowymi osadnikami, którzy jechali na byłe tereny Prus Wschodnich. Z Berlina pociągiem przeniósł się do Magdeburga, później dotarł do Hanoweru i dnia następnego do Holandii. Przez Liège dotarł do Brukseli. Z Brukseli zaś do Paryża, gdzie spędził trzy dni w koszarach, ponownie załatwiając sprawy organizacyjne. Wreszcie, na dworcu Montparnasse, wraz z trzema innymi kolegami, wsiadł do pociągu, który go zawiózł do rodzinnego domu w Bretanii. Pod koniec 1945 roku ponownie podjął pracę w Ambasadzie Francji, tym razem w Holandii.

W 1968 roku, dwadzieścia trzy lata później, Maurice Laouënan (wraz z innymi kolegami z obozu jenieckiego) odbył pełną wzruszeń podróż do Treuburga, który po wojnie stał się Oleckiem. Co wtedy myślał, spacerując ulicami naszego miasta? Jak przebiegał ten pobyt? Z pewnością obecność tej grupy cudzoziemców w małym mieście była wówczas zauważona. Czy ktoś ich pamięta?

209

WIE GOTT IN FRANKREICH

Dezynwoltura francuskich żołnierzy przebywających w Treuburgu podczas II wojny światowej i ślepe posłuszeństwo żołnierzy niemieckich to postawy, które często są opisywane w wielu wspomnieniach. Dwie różne mentalności i spojrzenia na świat w wojennej epoce. Warto się im przyjrzeć, zaczynając od prawa do strajku.

Otóż w pewnym 300-hektarowym gospodarstwie w pobliżu Treuburga zastrajkowali francuscy jeńcy wojenni w proteście przeciwko ciężkim warunkom pracy. Do zbadania sprawy został wysłany kapitan Maluck, który ze swojej niemieckiej perspektywy nie mógł zrozumieć strajkujących, gdyż ich odmowa pracy w czasach wojny równała się karze śmierci. Dowiedział się od nich, iż we Francji strajk to powszechna praktyka, a nie akt rebelii, o który protestujących podejrzewał, a więc nikt z tych jeńców nie rozumiał powagi sytuacji, jak i potrzeby strajku nie rozumiał kapitan Maluck. Więźniowie zmuszani do pracy w opłakanych warunkach higienicznych i żywieniowych, narażeni na agresywność zarządcy majątku, postanowili zastrajkować, jak to zawsze mieli w zwyczaju, aby poprawić swój los. W efekcie obyło się bez dramatycznego finału, ale strajk miał też i swoje konsekwencje: przyczynił się do wzrostu niemieckiej psychozy związanej z aktami sabotażu, co za tym idzie, zwiększył kontrolę jeńców.

Niejaki Gino Bastardi, jeniec pochodzący z Nicei, w wyniku przydziału do pracy został szefem pociągu i kontrolerem na jednej z tras wąskotorówki. Pociąg kursował dwa razy dziennie i zaopiekowany był ludźmi i różnym towarami. Gino raz przez przypadek, w środku zawiei śnieżnej, myśląc, że to już Lehnarten (Lenarty), wysadził w szczerym polu tęciową pułkownika, właściciela tamtejszego majątku. Właściciel ów bardzo zdenerwowany pojawił się dnia następnego w biurze kompanii, całe szczęście pod nieobecność głównodowodzącego został przyjęty przez kaprała Eichoffa i ten incydent obył się także bez dalszych konsekwencji, tym bardziej że jeszcze tego samego dnia ów pułkownik wyjechał pociągiem na front wschodni, nie mogąc sobie dalej zawracać głowy dezynwolturą Gina Bastardiego. Trzeci rok niewoli w Treuburgu i kolejny to były ogólnie już momenty mniejszej kontroli jeńców i nawet momentami namiastka rozrywki oraz wytchnienia. Przykładem na to był fakt, iż jeniec Bonnafous ze sprzątacza awansował i stał się już prawie kierownikiem hotelu Kronprinz, z czego jak mógł, to korzystał, przeglądając piwniczkę z winem, a kiedy z wizytą do Treuburga przyjechali ze Stalagu IB kapelan Henrie Costenoble z oficerem doradcą, to zakwaterował ich z pełnym szykiem w hotelowych pokojach.

Ogólnie, od początku wśród jeńców wojennych panowała atmosfera solidarności i zaradności w zdobywaniu potrzebnych rzeczy. Coraz większa mobilizacja niemieckich mężczyzn sprawiała, iż jeńcy zaczęli zajmować lepsze (z punktu widzenia przetrwania) stanowiska pracy, np.: w młecznicach, piekarniach czy też w masarniach, mniej też byli pilnowani przez strażników, w związku z czym bardziej swobodnie mogli przemieszczać się po Treuburgu, a ciężkie przypadki chorych były również leczone w miejskim szpitalu, gdzie opiekę sprawowały siostry zakonne, którym więźniowie odwzajemniali się za opiekę, dzieląc się z nimi otrzymanymi darami z Czerwonego Krzyża. Wszelką niepewność jutra jeńcy francuscy przykrywali wystudiowaną ironią, jak wtedy, kiedy w komendanturze pewnego dnia postanowiono ich nauczyć pruskiej musztry i była to nie lada fantazja ze strony niemieckich żołnierzy: maszerowanie w lewo, w prawo, salutowanie, wszystko na rozkaz wydawany gwizdkiem. Pomimo ironicznej obrony zdarzały się też często nerwowe załamania jeńców, samookaleczenia, wszystko, aby zostać odesłanym do domu, a pewnego dnia jeden z jeńców – Yannik – nie mogąc znieść

już swojej sytuacji, wybrał samobójstwo, wybiegając po prostu w ciemną noc w środku śnieży. Został znaleziony rano i pochowany na miejskim cmentarzu. Dwaj inni więźniowie zostali oskarżeni o podpalenie. Na szczęście okazało się, że podpalaczem był sam właściciel, którego dosięgła mobilizacja i który bardzo bał się zostawić gospodarstwo. Tym podpaleniem miał nadzieję na odroczenie swego wyjazdu, chociaż jeńcom, na których zrzucił winę, groziła kara śmierci.

Zdarzały się przypadki, które chyba nikomu się nie śniły w Treuburgu, jak jeniec francuski Schatz, który w cywilu był żydowskim krawcem z paryskiej dzielnicy Sentier, a na Mazurach paradoksalnie znalazł schronienie, pracując w komando na gospodarstwie. Pewnego razu kapitan Maluck miał co do niego podejrzenia: *Jude?* – pytał wzburzony, ale więźniowie mu szybko wytłumaczyli, że: *Jaki Żyd, że przecież Żydzi nie biorą udziału w wojnie. Ach so!* I tak, pomimo iż w pewnym momencie Schatz został odesłany do Stalagu IB, przeżył wojnę. Wśród więźniów był też niejaki Rochette, jeniec o romskich korzeniach, który z premedytacją przygotowywał swoją ucieczkę pociągami w wagonach wypełnionych ziemniakami. Wagony załadowywali inni jeńcy wojenni i były one przeznaczone dla wojsk wermachtu we Francji. Rochette podjął próbę ucieczki zakończoną sukcesem, po wielu dniach głodowania, kiedy za posiłek miał jedynie surowe ziemniaki, dotarł do Francji.

Po 22 czerwca 1944 roku przez Treuburg przewijało się wielu żołnierzy wracających z frontu lub na front podążających. Do szpitala coraz częściej przyjeżdżały wojskowe ambulanse. 20 lipca 1944 roku radio doniosło o zamachu na Hitlera, całkiem niedaleko od Treuburga, a więźniowie ze Stalagu IB pracujący w Rastenburgu (Kętrzyn) opowiadali, iż tego dnia widzieli Hitlera w tamtejszym szpitalu. Wielkie zamieszanie, jakie temu przybyciu towarzyszyło, dało im do zrozumienia, że musiało się stać coś ważnego. W biurze kompanii w Treuburgu nikt na głos nie komentował tych wydarzeń. W Prusach Wschodnich wyraźnie można było wyczuć atmosferę przegranej, francuska dezynwoltura i pruski porządek przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie, wszyscy uczyli się, jak powiedzieć po rosyjsku zwroty, które mogły uratować życie, zaś 26 sierpnia 1944 roku radio ogłosiło wyzwolenie Paryża, o czym najpierw nielegalnie dowiedzieli się więźniowie, mieszkańcom Treuburga powiedziano o tym z opóźnieniem. Jeńcy francuscy nie potrafili ukryć radości. Pewien żołnierz niemiecki, który spędził trochę czasu we Francji i chętnie nawiązywał rozmowy z jeńcami, przedstawił im swój żal, iż musiał kiedyś opuścić ten kraj, gdzie żył wedle powiedzenia: *Wie Gott in Frankreich* (Jak Bóg we Francji). I chociaż dziś można doszukiwać się różnorodnych znaczeń tego wyrażenia, to wówczas wszyscy dobrze rozumieli, o jaką jakość życia chodzi.

TREUBURG / OLECKO 1968 ROK

Zachowane relacje oraz archiwa francuskie pozwalają poznać bliżej nieodległą historię z innej perspektywy. Kiedy Maurice Laouënan – francuski jeniec wojenny w Treuburgu – powrócił do normalności, do świata dyplomatycznego, nie bardzo miał komu opowiedzieć swoje

przeżycia. Nie on jeden, taka była ówczesna norma, nie mówiło się o traumach wojennych, zresztą nikt też nie chciał o nich słuchać.

W 1968 roku Maurice Laouënan wybrał się w podróż do Treuburga – Olecka – i wreszcie wtedy wyparte obrazy mogły swobodnie ponownie pojawić się w jego pamięci, miał też z kim o nich porozmawiać, gdyż wybrał się w tę podróż z kilkoma innymi towarzyszami wojennej niedoli. Przypominał sobie wtedy liczne fakty lub urywki zapamiętanych zdarzeń i osób, m.in. to, że na skutym lodem jeziorze w Treuburgu żołnierze niemieccy wyrąbywali małe przeręble i ustawiali choinki w celu jego zamaskowania oraz że w izbie chorych pracował wówczas polski jeńiec w stopniu porucznika, dr Władysław Illzuck, i że na tyłach jakiegoś sklepu przy głównym placu zostały zorganizowane warsztaty (szewski i krawiecki) oraz kuchnia obozowa i że Niemcy uszczęśliwiali jeńców francuskich czasopismem „Le Trait d'Union”, które przypominało raczej jakieś pismo satyryczne, gdyż więźniowie mogli w nim przeczytać, że powinni korzystać z pobytu w Niemczech i pogłębiać swoje umiejętności lingwistyczne, przekształcając „wakacje na siłę” w „podróż studyjną”.

Maurice Laouënan pamięta, iż z wielkim opóźnieniem mógł napisać rodzinie na wypełnionej już odpowiednią treścią kartce, że żyje. Więc kiedy w końcu wysłał też i nieocenzurowaną kartkę do przyjaciela z Wiednia, wykorzystując do tego celu cieszącego się większą swobodą kucharza o nazwisku Peolot, to nie przyszło mu nic innego do głowy jak tekst: *Pozdrowienia z wakacji na Mazurach*, co w danych okolicznościach było sporą dawką czarnego humoru, chociaż dobrze pamiętał, że gdy jeździł, towarzysząc niemieckiemu kapitanowi Maluckowi w jego kontroli pracy poszczególnych komando na gospodarstwach, a zimą takie trasy pokonywane były saniami, to czuł się zauroczony pięknem zimowego krajobrazu Mazur. Pamiętał także, iż kiedy nadchodziły święta, to zawsze widział kobiety niemieckie z dziećmi, jak śpieszyły się, przedzierając się przez śniegi na głównym placu, jak trzymały liczne pakunki, a on wtedy przede wszystkim odpowiedzialny był za pochówki zmarłych jeńców na cmentarzu, tuż obok małej kaplicy, towarzyszył im w ich ostatniej drodze.

Pamięta jeszcze jedno istotne wydarzenie, kiedy to Bonnafois z Palavas-les-Flots, jeńiec, który był odpowiedzialny za sprzątanie chodnika przed hotelem Kronprinz (pracował tam wraz z innym jeńcem, Vandermerem – adwokatem, podoficerem artylerii), zauważył rankiem na początku maja 1941 roku, iż w nocy do hotelu przybyło 10 oficerów niemieckich ze Sztabu Generalnego. Wówczas to jedna z sal hotelu została przemianowana na ich biuro, zawisły mapy sztabowe, przedstawiające granicę wschodnią oraz plany ataków. W hotelu została także zainstalowana nowa linia telefoniczna, jak i w biurach kompanii, które zostały przeniesione do trzypiętrowego budynku obok, mającego połączenie z więzieniem. Biuro kompanii stało się komendanturą, pojawiły się dwie sekretarki w uniformach i główny chorąży (około 60 lat) – w cywilu kancelista w sądzie w Königsbergu. Więźniowie zatrudnieni w biurach kompanii ulokowani zostali na poddaszu komendatury, a ci pracujący w warsztatach (szewskim i krawieckim) w baraku w parku Hindenburga. W więziennych piwnicach zostały utworzone schrony.

Wzmogła się ogólnie aktywność w mieście, było coraz bardziej nerwowo, liczni żołnierze defilowali, ulice pełne były wojskowych samochodów i motorów, a obecność wojska była również wyczuwalna w pobliskich lasach, gdzie stacjonowały czołgi i pancerne pojazdy. Nocą przez Treuburg przejeżdżały liczne konwoje. Komendantura robiła w środku nocy ćwiczenia – alarmy przeciwlotnicze, zaś 22 czerwca 1941 roku o wschodzie słońca powietrze wypełniło się hukami i przez niebo nad Treuburgiem przeleciały liczne samoloty lecące na wschód. W mieście podawano komunikaty z radia, a ogłoszeniom towarzyszyły bębny i werble, ich przekaz był jasny: Hitler dał rozkaz ataku. Maurice pamięta jeszcze, że kiedy później już wszystko było przesądzone i rozpoczęło się opuszczanie miasta, to te dwie przysłane przez centralę sekretarki w uniformach pomachały mu na pożegnanie z samochodu, który go mijał, kiedy stał na ulicy, patrząc na wszystko, co się w chaosie ogólnym działo.

Maurice Laouënan, jak i inny jeńiec wojenny – Doland Loubet, który od 30 listopada 1940 roku mieszkał w baraku przy dworcu kolei wąskotorowej i rozładowywał wagony, czy Alexandre Duchamps, który trafił do pracy na gospodarstwie w Nussdorf (Orzechówko), później w Seesken (Szeszki), czy też Henrie Costenoble (kapelan w Stalagu IB), który przebywał jesienią 1944 roku w Treuburgu, wszyscy oni zaświadczać swoimi wspomnieniami o tamtych czasach. Nie były to łatwe czasy również dlatego, że jeńcy francuscy borykali się dodatkowo z podziałami pomiędzy sobą: nawet w tak trudnych warunkach, niemniej dających bardzo dobrą perspektywę na ogólną sytuację, w obozach tworzyły się koła miłośników Pétaina ślubujące mu lojalność i pochwalające kolaborację. Maurice Laouënan wracając do zwykłego życia, miał jeszcze czas napatrzyć się na powojenne losy Francji, na życie dyplomatyczne, a później wrócić do Treuburga w 1968 roku, kiedy na francuskich ulicach trwały zamieszki, by przynajmniej z niektórymi kolegami niedoli spróbować uporządkować przeszłość.

Ewa Kozłowska

W tekście została zachowana pisownia nazwisk podana przez M. Laouënana.

POEZJA

Aleksandra TCHÓRZEWSKA

* * *

termometr pokazuje 38°C w cieniu
w lodówce spleśniałe truskawki
nadają się do niczego
ciepły szampan nie chce bulgotać w ustach
więc chowamy wszystkie atrybuty
zostaje do wyboru
książka lub seks

więc włączasz radio
w wiadomościach zapowiadają topielców
i udary mózgu

jesteś tak przejęty
że koszula przykleja się do ciała
we mnie rośnie napięcie
otwiera oczy i balkon

* * *

nie nie odwracasz się i nie czytasz z ruchu warg
nie podchodzisz do mnie i nie
nie widzisz tych wszystkich możliwości

nie nie jest dobrze nie pasujesz do wszystkich
statystycznych mężczyzn z którymi
szczotkowałam razem zęby
którzy podchodzili widzieli różni
odwracali się

tutaj nie jest bezpiecznie
tu nie ma ojca dom nie ma kuchni matka nie ma piersi
tu nie ma rąk tu się nabiera
wody w usta

nie nie odwracasz się i nie czytasz z ruchu warg
ja pierwszy raz się nie uśmiecham i nie pieprzę
o miłości robię krok do tyłu i wracam
do punktu wyjścia

przebudzenie

to miasto wyprowadza mnie ze
snu od kiedy krążą mi w żyłach
różne ulice zamykam szczelniej drzwi
i okna składam dłonie a żeby tak powyrzynać w pień budynki
wyburzyć drzewa i lasy wysadzić rzekę

zostanie tylko ta cholerna struna światła
przedświt ramion i ust
napiecie mięśni

czy zdążę na autobus zimnym rankiem
żeby pisać na szybie
pokaleczonym palcem?

Dariusz ŁUKASZEWSKI

* * *

Stasiowi Skolimowskiemu

nazywam się
przyjechałam

jestem malarką
niech pan więcej nie powtarza
że to wyjątkowe zajęcie

niech pan więcej
niech pan

moje miasto pozostało jak dawniej
tyle razy czekało moje miasto
płonęło moje miasto

a później rodzili się poeci malarze
nie istnieją miasta bez poetów malarzy
ale to nie jest wyjątkowe zajęcie
nikt o nas nie mówi
nikt nas nie zna

przyjechałam odjadę powrócę
w tabernakulum farby i głosy
ale to nie jest świętokradztwo
proszę nie mówić nikomu
że nie wiem gdzie jestem

ktoś wspominał zimowe lampiony
to byłam ja

niech pan ratuje moje miasto
niech pan podejmie tabernakulum

malarze poeci to tylko lampiony
tylko na chwilę

gdy zapadają chłody nie wiem
gdzie jestem to bez znaczenia

nakładam farby
moi przyjaciele wymyślają formy

stary malarz próbuje szkicować las
ale to bardzo trudne
tylko stary malarz wie
że sosny są odporne

a nawet wrogie

nazywam się przyjechałam
niech pan już nic nie mówi
mówienie o niczym nie jest pracą
a ja muszę pracować

żeby starość bolała jeszcze bardziej
żebym była starą malarką

bez miasta
i nikogo
przed ścianą
lasu

* * *

Skąd ten czerwony długopis – pyta mój syn,
Ma zaledwie osiem lat. Pisze swą pierwszą książkę.
Buduje zgrabne zdania. Piszczka nazywa selerem,
I chociaż nie wiem dlaczego, jestem zachwycony.

Myślę: jeśli umrę wcześniej, a tak chyba będzie,
Co się z Tobą stanie. Ten świat jest taki wielki.
Ludzie ostrzą zęby. Nie lubią tych, którym
Los sprzyjał, faworytom nacinają usta.

Skąd ten czerwony długopis – pyta raz jeszcze
Ośmioletni syn. Musiałem nie odpowiedzieć.
Dzieci są dociekliwe. Powtarzam, jakbym
Pierwszy raz widział te brązowe oczy i pełne
Policzki, które wprawiają w dobry humor.

Długopis? Jest sklepik naprzeciwko
Kiosku z chrupiącymi zapiekankami, są tam
Kolorowe długopisy: zielone, niebieskie,
Żółte, czarne.

(Słowa spóźniają się jednak
Podobnie jak wiele spraw w moim życiu).

Młodzi chłopcy mają tyle na głowie.
Wiatr tłucze źle zamkniętą furtkę, a mój syn,
Prawie jak don Kichot, pędzi w podróż,
Ani razu nie spogląda przez ramię.

(Różnica pomiędzy rowerem a tamtą
szkapą to jedynie przypis bez znaczenia)

Rację miał stary Levine, gdy odmawiał sensu
Pieśniom kipiącym od łaski i zmiłowania.
Wypędzeni są już nadzieje. Zawsze
Jest zimno. Słońce matowieje i kulą się
Ciała płynące nie wiadomo dokąd.



TRAKTAT

Traktat o samotności

ANDRZEJ BARTNIKOWSKI

ur. w 1972 roku, reżyser teatralny, dramaturg, pisarz, pracował m.in. jako sekretarz literacki w Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie, reżyserował w teatrach w Warszawie, Gdyni, Olsztynie, Poznaniu, Wałbrzychu; obecnie dyrektor Olsztyńskiego Teatru Lalek.

I. Przestrzenie samotności

1. Samotność to pustka. Pustka, którą jestem ja sam.
2. Doświadczenie Innego pod postacią pustki zapośrednicza moje osamotnienie w przestrzeni między mną a Innym. Nazwijmy ją przestrzenią obcości.
3. Przestrzeń obcości jest dystansem. Dystans pozwala dostrzec drugiego.
4. Zjawia się niepokojące pytanie: „Czy drugi może być postrzegany tylko pod postacią pustki?”. Innymi słowy – czy postrzegając Innego, zawsze muszę widzieć tylko siebie samego, własną, wyobcowaną ze mnie pustkę?
5. I dwa następne pytania, dwa końce tego samego sznura. Pierwsze: czy możliwe jest spotkanie z tym? Drugie: jak spotkać w sobie własną obecność – nieoddzieloną?
6. Spotkanie może się spełnić tylko jako przenikanie. Wzajemne przenikanie poprzez przestrzeń obcości.
7. Moja samotność unosi mnie gdzieś daleko od drugiego. Przestrzeń obcości zasklepia się nad moim ciałem, pograżonym w potoku minut i godzin zmierzających donikąd.
8. Czas formuje dystans w konkretne miary i odległości. Wydaje się, że dzięki temu zawęży nieskończoną nieokreśloność oczekiwania w konkretną i wymierną

liczbę. Ale to tylko pozór. W rzeczywistości to zawężenie oznacza twardą nieprzekraczalność pustki teraźniejszego momentu. Jej dotkliwą namacalność.

9. Coś pragnie się przez mnie wyartykułować. Mowie jednak brakuje nakierowania i język zastyga bezradny, wpychając niewypowiedziane słowa z powrotem do gardła.

10. Słowa, które nie mogą wybrzmieć, zapadają gdzieś na dno zamierających w bezruchu myśli i tak stopniowo stają się coraz bardziej nieokreślone, aż w końcu rozmywają się zupełnie w przezroczystości milczenia.

11. Kiedy Inny objawia mi się w swej nieobecności, przestrzeń obcości rozszerza się w nieskończoną próżnię.

12. Jeśli jednak spełnia się spotkanie, to próżnia ta nasyci się wewnątrz nas obu w tym – stającym się – momencie. I nawet gdy oddali się on w minione wspomnienie, nieobecność Innego będzie już czymś żywym.

13. Promień nakierowania przeszywający przestrzeń obcości. Rozdziela się na dwóch jej krańcach: z jednej strony ja, z drugiej – Inny.

14. Współobecność. Między Innym a mną. Im większy dystans, tym bardziej napięta. W końcu pustka między nami zaczyna wibrować.

15. Ale nakierowanie tylko powiększa oddalenie. Teraz bowiem, gdy w mojej pustce objawia się Inny, jego nieobecność staje się czymś niezwykle konkretnym, a przez to dotkliwym. Można powiedzieć, że doznając Innego jako nieobecności, zostaję wydany na łup pustki, która właśnie rozwarła się we mnie.

16. Rozdarcie staje się coraz większe. Jego granice przebiegają wewnątrz mnie.

17. Tak dokonuje się rozdzielenie, które sprawia, że sam sobie jestem obcy.

18. Oddzielony, staję się dla siebie Innym. W samym sobie odkrywam przestrzeń obcości.

19. To, co pozornie znajome, postrzegam teraz jako obce. Nie rozumiem i nawet nie staram się zrozumieć.

20. Kiedy pragnę wyartykułować myśl, słowo czy cokolwiek, oddziela się ono ode mnie natychmiast po zaistnieniu na zewnątrz. Zaczyna żyć własnym życiem, umyka coraz bardziej, zawłaszcza moje ciało i głos. To już nie ja coś artykułuję, lecz artykułowane przekształca mnie niepostrzeżenie.

21. W miarę jak przestrzeń obcości pogłębia się, staram się ją obserwować.

22. Widzenie jest zapośredniczeniem.

23. Widząc, wychodzę naprzeciw temu, co zobaczyłem w sobie jako obce.

24. Wewnętrzne pęknięcie wskazuje na coś, co jest spoza mnie.

25. Widzenie tego, co obce, bycie uważnym na to, co niezrozumiałe, to podstawowe warunki spotkania.

26. Pragnienie zrozumienia, przyswojenia poprzez opis za pomocą znanych pojęć – to wszystko są tylko wybiegi otepiałego umysłu, prowadzące do tworzenia przezeń kolejnych pozorów, odbić tego, co się uwidacznia. Odbić, które są tylko fantomami.

27. Spotkanie oznacza wyjście naprzeciw. Otwarcie się na coś, bez potrzeby chwytania tego i osvajania.

28. Spotkanie z Innym w sobie jest przeniknięciem tego, co nie jest mną – choć noszę to w sobie.

29. Samotność nie jest niczym innym jak skrajną formą tęsknoty za tym.
30. Bez oddzielenia nie może być spotkania.
31. Zarazem każde spotkanie – po tym jak się spełniło – pogłębia samotność, którą po sobie pozostawia.
32. Strach przed tym powoduje, że samotność zmienia się często w ucieczkę przed Innym.
33. Lęk przed spotkaniem, przed jego konsekwencjami, sprawia, że wycofuję się w głąb siebie samego. Zamykam się przed Innym, broniąc dostępu do siebie wszystkiemu, co nieznane, czego nie mogę uchwycić i uczynić swoim.
34. W ten sposób zatracam się nakierowanie.
35. Wycofując się we własny lęk i zamykając się w nim, zamieniam samotność w osamotnienie.
36. Bez nakierowania, w pancerzu własnych iluzji, pogrążam się w bezładnej pustce bezpiecznego trwania. Dryfuję donikąd w nierzeczywistych przestrzeniach osamotnienia.

II. Gramatyka samotności (1)

Mówimy o samotności jako o pewnym stanie. „On jest samotny” brzmi podobnie do „on jest żonaty”. Na czym polega podobieństwo? Punktem odniesienia jest tu relacja z innymi, społeczny wymiar czyjegoś egzystowania. Różnica zaś tkwi w tym, że o ile to drugie wyczerpuje swoje sensory rozpatrywane tylko w owym społecznym wymiarze, o tyle to pierwsze swój najgłębszy i najprawdziwszy sens objawia dopiero p o z a nim.

Porównaj następujące sposoby wyrażania się: „być z kimś” (w znaczeniu: tworzyć z nim parę) i „być samemu”.

Pytamy np.: „Jak długo jesteście ze sobą?”. I ma się tu wrażenie, jakby pytanie dotyczyło początków sytuacji, która trwa i jej trwanie wydaje się czymś naturalnym, co przynależy już do ustalonego porządku, w jakim się ona zawiera. Natomiast pytanie: „Jak długo jesteś sam?”, zdaje się zawierać w sobie ukrytą sugestię nienormalności tego stanu. Daje się w nim też wyczuć pewne otwarcie dotyczące perspektywy przyszłości. Jakby ten, kto takie pytanie zadaje, mówił jednocześnie: „To już nie może potrwać długo”.

Jakby samotność była zakłóceniem naturalnego sposobu funkcjonowania człowieka. Na co wskazuje tutaj określenie „naturalny”? Naturalny dla kogo? Dla człowieka? Dla społeczności? Dla obrazu ludzkiej rzeczywistości, jaki zawiera w sobie język?

Porównaj użycie zwrotów: „być ze sobą” („oni są ze sobą”) i „być sam na sam ze sobą”. Pytamy (jak wyżej): „Jak długo oni są ze sobą?” i chcemy tu uzyskać dokładną informację na temat: ile już czasu trwa ich związek, który postrzegamy jako stan permanentny.

Pytanie: „Jak długo jesteś sam na sam ze sobą?”, brzmi dziwnie. Czego właściwie chciałbym się dowiedzieć, zadając je w takiej właśnie formie?

„Być ze sobą” zawiera element pewnej pasywności, bo używając tego zwrotu, mamy na myśli pewne trwanie. „Być sam na sam ze sobą” zdaje się odnosić do czegoś aktywnego. Na pewno nie chodzi tu o żaden stan, ale o coś, co powiązane jest z jakąś czynnością. Niekoniecznie jedną. Z różnymi czynnościami wewnętrznymi.

Co mogłoby znaczyć: „nie być sam na sam ze sobą”? Czy kiedy jestem z kimś, to jestem też ze sobą?

Mówimy np.: „Zostaw mnie, muszę pobyć sam”. Czego się tu domagamy?

Nie chodzi o tę drugą osobę. Ona mi przeszkadza. W czym?

Dopiero będąc sam na sam ze sobą, mogę w pełni doświadczać s i e b i e.

Na czym polega różnica między „byciem samemu” a „byciem samotnym”? Kiedy jestem sam, to znaczy, że nie ma o b o k nikogo poza mną. Samotny zaś mogę czuć się także wśród ludzi. Samotność m i m o innych to niejako podwójne osamotnienie, gdyż drugi człowiek staje się tu lustrem odbijającym tylko moją pustkę. On sam rozplywa się w tej pustce, dla m n i e prze-staje istnieć.

„Być samotnym” oznacza być odcięty od innych i od siebie – jako Innego. Jest to doświadczenie niepełności samego siebie, bliskie doświadczeniu zgubienia. Dlatego mówię tu o osamotnieniu. Osamotnienie jest zawsze samotnością w o b e c kogoś.

„Bycie samemu” w przeciwieństwie do osamotnienia jest doświadczeniem wewnętrznym.

Możliwe staje się tu spojrzenie skierowane do wewnątrz. Patrzę wtedy z zewnątrz, jakbym od-dzielił się od siebie i stanął obok. Pojawia się rozdwojenie czy – mówiąc trafniej – oddzielenie. Ale nie jest ono doświadczeniem własnej niepełności. Wręcz przeciwnie. W tym dziwnym, od-dzielnym spojrzeniu coś się spełnia: patrzono spotyka patrzącego.

III. Twarze samotności

Czasami samotność ma twarz konkretnej osoby. Ale to tylko pozór. Wkrótce rysy zaczynają się zacierać, a spomiędzy nich coraz jaskrawiej wyłania się coś, co przypomina pusty zarys głowy na prześwieتلonym filmie.

Gdy twarz samotności zaczyna być rozmazana i nierozpoznawalna, znaczy to, że zostaliśmy wy-dani na łup naszej własnej nieokreśloności. Uczucie pustki staje się coraz bardziej nieodparte i dołącza do niego nieprzyjemne wrażenie lekkości, dryfowania w próżni.

Pozbawieni jakiegokolwiek punktu oparcia, oddzielamy się od siebie, ulatując w zimne i obce przestrzenie.

W pewnym sensie przestajemy istnieć.

Czepiamy się rozpaczliwie wszelkich środków zaradczych, lecz one zawodzą. Muszą zawieść, zostaliśmy już bowiem wydani na pastwę nieistnienia.

Zapadamy się do wnętrza tej wsysającej nas czarnej dziury.

Próbujemy w innych szukać potwierdzenia naszego istnienia, ale jest już za późno. Inni mogą nas najwyżej odbić w sobie, odbić niewyraźnie, tak słabo, że nawet tego nie dostrzeżemy.

Zostaliśmy oddzieleni.

Od innych.

Od siebie.

Zaczyna się wewnętrzna szamotanina. Odczucie niepewności w sobie i walka o to, by spróbować być całkowitym, choć na moment. Lecz całkowitość wydaje się już bezpowrotnie utracona. Samotność bowiem oznacza fragmentację.

Czy może jednak także zaprowadzić ku pełni?

Bez samotności pełnia wydaje się niemożliwa.

Więc jak to jest?

Oddzielenie pozwala dostrzec konieczność połączenia. Dopiero odczuwszy swoją niepełność, mogą zacząć przeczuwać, czym jest spełnienie.

A czym jest?

Wyjściem poza siebie.

To samotność przywraca mnie sobie samemu. Oddzielony potrafię zobaczyć siebie z zewnątrz i w tym widzeniu przekroczyć granicę między mną a tym, co zewnętrzne, bez niebezpieczeństwa, że tamto pochwyli mnie i moje patrzenie. Gdyby tak się stało, byłby to tylko inny rodzaj oddzielenia – nie w sobie, ale na zewnątrz.

Widząc siebie, tak jakbym oglądał kogoś obok, jestem w stanie zobaczyć w sobie coś spoza, co się we mnie ujawnia. Jeśli to ma twarz, będzie to twarz Innego.

IV. Obrastanie

Oddzielony, w zamknięciu swego ciała, zaczynasz obrastać czymś, co nie jest tobą. Nawarstwiająca się skorupa nie tylko odgradza cię od rzeczy na zewnątrz. Ona sama staje się twoją zewnętrznością. Dokonuje się zmiana perspektywy z odwzorowującej rzeczywistość na iluzoryczną, będącą tworem twoich myśli, błakających się po labiryntach własnego zagubienia. Rzeczywiste przestaje dla ciebie istnieć, bo nie jesteś w stanie dłużej go postrzegać. To, co jawi ci się jako zewnętrzna realność, jest tylko ciągiem obrazów z twojego snu rzutowanego na wewnętrzną powierzchnię zrośniętej z tobą skorupy.

Tak zamknięty w sobie obrastasza coraz grubszą warstwą twardych pancerzy, odbijających w sobie zewnętrzne obrazy. Ponieważ obrazy wciąż uciekają z ciebie, nie jesteś w stanie rozpoznać ich prawdziwej natury. Wciąż musisz je postrzegać jako realnie istniejące na zewnątrz ciebie.

Gdyby jednak udało ci się odwrócić ten ruch i zamiast na zewnątrz skierować obrazy do środka, byłbyś w stanie rozpoznać ich rzeczywistą naturę. Wtedy, przy ich pomocy, będziesz mógł dojrzeć w sobie coś zadziwiającego – niewielki załazek, coś w rodzaju zarodka, rozwijającego się w samym środku obrośniętego skorupą ciała.

V. Szczelina

Między tobą a tym, co zewnętrzne, istnieje szczelina, która oddziela. Choć może wydawać się niewielka, konsekwencje jej istnienia są dla ciebie jak najbardziej doniosłe. Nie możesz doświadczyć zewnętrzności. Możesz tylko projektować swoje wyobrażenia tego doświadczenia na zewnątrz. W ten sposób popadasz w złudzenie jedności i wkrótce jesteś gotów uwierzyć, że rozdarcie zostało usunięte. Jednak niejasne przeczucie oddzielenia zostaje. Omamiony wzrok produkuje dla ciebie obrazy zjednoczenia, choć w tym samym czasie rośnie odczucie pustki w miejscu, gdzie wydaje ci się, że postrzegasz pełnię. Wynajdujesz więc coraz to nowe

sposoby jej zapełnienia. Zmieniasz obrazy rzutowane w przestrzeń między tobą a rzeczywistością. Za każdym razem na chwilę udaje ci się zapomnieć.

Dałeś się zwieść własnemu złudzeniu, nie potrafisz więc zrozumieć, co się dzieje. Szukasz na oślep coraz to nowych rozwiązań, z których wszystkie tak naprawdę są tym samym.

Miotasz się bezradny, chociaż gdzieś wewnątrz ciebie coś dobrze wie, na czym polega problem. Ta wiedza jest jednak bolesna, więc zdobywasz się na jeszcze większy wysiłek, aby zagłuszyć ten cichy, ledwie słyszalny głos, tę część siebie, która w i e.

VI. Wyjście z kokonu (próbą opisu spektaklu Miho Iwaty „Utsusemi”)

Biała postać wymyka się ciemności. Sunie wolno do przodu. Trudno dostrzec jej ruchy, jest opakowana w szeleszczący papier, spod którego udaje się wymknąć tylko dłoniom bezradnie zwisającym w powietrzu.

Płynie w mroku. Dokądś zmierza. Coś ją przyciąga. Ale czy ona sama wie co?

Gdy wspina się do góry, odsłonięte białe stopy walczą z przestrzenią o każdy krok.

Sunie do przodu.

Obraca się. Skręca.

Idzie.

Upada.

Teraz zaczyna pełznąć przed siebie. Próbuje wyrwać się do góry, ale jakaś siła trzyma ją na dole. Szamocze się jednak, gubiąc fragmenty szeleszczącego ubrania.

Kobieta wyczołguje się z papierowego kokonu. Długo, mozolnie. Widać jej plecy, jak stopniowo wysuwają się spomiędzy białych płacht. Ich nagość demaskuje martwą sztuczność papieru.

Kobieta wyłania się na zewnątrz. Jej ciało wygina się i miota, próbując osiągnąć czegoś poza sobą.

Napięta skóra ukazuje żebra i łukowatą linię kręgosłupa.

Pozrzucane fragmenty ubrania ułożyły się w pas postrzępionych śmieci. Linię papierowego śluzu.

Nogi prostują się nad biodrami, wypychając przed siebie powietrze.

Kobieta tańczy.

Kiedy udaje jej się wstać, może wreszcie sycić przestrzenią swoją skórę.

Może brać do rąk leżące na podłodze papierowe kształty. Może je wplatać w swój taniec.

Tańczy więc z nimi, a potem odrzuca, bowiem jej ciało nie czuje przywiązania.

Jest wolne.

Wolne, gdy się porusza i wolne w zatrzymaniu. Wolne, gdy się wspina i wolne, gdy opada.

Jednak kiedy zupełnie opadnie na podłogę, będzie to oznaczać koniec.

Łuska cykady skończyła swój lot. Leży bezradna na chwiejącym się liściu.

VIII. Bryłka lodu

W ciemnej zawieszinie

Zgęstniałych, zaschłych myśli

Wydrapujesz dziurę,
W której chcesz się schować.

Bryłka lodu ciasno
Zamknięta w twojej dłoni
Topnieje zostawiając
Po sobie mokry obrys.

VIII. Rana

Zranienie jest prawie niewidoczne. Nie ujawnia się jeszcze. Ale otwiera już w tobie zimną pustkę.
Pustka jest nieznośna. Łapiesz się każdego sposobu, aby zasklepić ranę.
Coś, co zostało rozdarte, nie stanie się już całością.
Nigdy w to jednak nie uwierzysz.
Będziesz ją w sobie nosił, te ranę, i wszystko, co w siebie przyjmiesz, będzie sprawiać ból.
I będziesz czuł, jak z wolna rozpada się to, co przychodzi z zewnątrz i co wydaje się niezniszczalne.
Wiesz jednak, że bez niej byłbyś tylko ślepą kulką mięsa, zwiniętą w sobie i całkiem niemą.
Bo rana jest tym, co cię otwiera i wydaje na łup zewnętrzności.
Tak tylko możesz doświadczać. Krwawiąc i pękając w sobie.
Za taką cenę istnieje świat.

IX. Wygnanie z raju

A może rana jest tylko twoim własnym tworem? Ranisz siebie i innych, bo wierzysz, że pęknięcie istnieje od zawsze.
Ale może nie było go, dopóki nie zacząłeś wymawiać pierwszych sylab oddzielenia?
To by oznaczało, że oddzielenie jest w istocie tylko odwróceniem perspektywy.
Więc nie wygnano cię z raju. To ty wygnałeś go z siebie.
Podstawowe pytanie pozostaje wciąż to samo: czy istnieje droga powrotna?

X. Okna

Pamiętasz, jak kiedyś lubiłeś wpatrywać się w światła bloków? Ciemność pochłaniała twoje ciało, które wyobrażało sobie to, co istnieje po drugiej stronie każdego z okien. Nie były to konkretne obrazy wnętrza pokoju, mebli, ścian i tak dalej. Nie o to chodziło. Raczej ogólne wrażenie ciepła czy przestrzeni, która przyjmie cię w siebie, bo rozpoznałeś się jako przynależny do niej.
Każde okno stanowiło przejście do osobnego świata.
I gdybyś wszedł do któregośkolwiek z nich, nie byłbyś tam u siebie. Bo też nie było sensu wchodzić.

Ale gdy patrzyłeś na te rozświetlone kwadraty, mijając je z oddali w zimny jesienny wieczór, miałeś wrażenie, że wszystkie cię przywołują, gdzieś daleko, znacznie dalej niż do światów, na jakie one same musiały się otwierać.

XI. Ty jako pustka

- Nie widzę cię.
- Możesz mnie zobaczyć tylko jako pustkę. Puste miejsce po tym, kogo się tutaj spodziewałeś.
- Więc jesteś tylko niepełnym odbiciem osoby, która jest teraz gdzie indziej?
- Nie. Jestem całą pełnią jej nieobecności.
- Czy kiedy z tobą rozmawiam, nie rozmawiam ze sobą?
- Jeśli twoja samotność byłaby pytaniem, ja jestem odpowiedzią.
- Nie ma odpowiedzi na niezadane pytania.
- Odpowiedzią jest cisza.
- Wobec tego nawet nie muszę ich zadawać. To bezcelowe.
- Mylisz się. Istniejesz tylko o tyle, o ile je zadajesz.
- Ale przecież kiedyś muszę zdobyć jakąś pewność.
- Jesteś pytaniem. To jest pewność.

XII. Ślady

- Coś jakby ssanie. Wewnątrz klatki piersiowej.
- Czy możesz tym sterować?
- Mogę to w sobie obserwować, jakbym był szczurem w laboratorium.
- Spróbuj to opisać.
- Powiedzmy, że spadł śnieg. I zakrył sobą wszystko. Widać tylko biel. Kiedy idę, nie słysząc moich kroków.
- Ale czym to jest dla ciebie?
- Właśnie tym. Po butach zostają lekkie wgłębienia. Śnieg pada. Po chwili nic już nie widać.

XIII. Gramatyka samotności

230

Jeśli powiem: „Jestem samotny”, będzie w tym sformułowaniu coś nienaturalnego. Zabrzmi literacko i sztucznie. W potocznych rozmowach nikt tak nie mówi, bo od razu czuć w tym pozę. Kiedy chcę opowiedzieć komuś o mojej samotności, jak starannie nie dobierałbym słów, zawsze w końcu okazuje się, że mówię o czym innym. Być może dzieje się tak dlatego, że o samotności – jako doświadczeniu wewnętrznym – trudno jest mówić z innymi. Tak jakby język docierał tu do swych granic i próbę ich przekroczenia przypłacał banałem.

**DEBIUTY
POETYCKIE**

Wiersze napisane przez członków Grupy Literackiej
prowadzonej przez Katarzynę Gagacką
w Pałacu Młodzieży w Olsztynie.

Joanna **ANTONOWICZ** | lat 15

Nie zjadaj mi głowy, poeto

Nie zjadaj mi głowy
Siedzeniem na pomoście pięć metrów od siebie
I zdjęciami ślicznym
Z różowymi włosami i kolczykami
Chłopaków, z którymi jesteś w krótkoterminowych związkach
Nie zjadaj mi głowy
Długimi analizami piosenek Lany Del Rey
I
Nudnawymi wierszami
O białej łodzi z Aylon i problematyce godnej starego punka
Nie zjadaj mi głowy
Stosem kaset Velvet Underground
I
Posiadaniem głęboko gdzieś moich własnych tragedii
I tak mam wypalony mózg
Nie musisz pomagać idź zjadać go komuś innemu.

Drodzy wegetarianie

Uderzenie serca
Ochłap świńskiego mięsa
I już po was
Mam nadzieję że wtedy zgłodniejecie
Wasze gałki oczne wywrócą się
Na drugą stronę
Zew bogów nieistniejących
Każe wam zabić
ich i siebie
Zatopić białe zęby w gorących mięśniach
Poczuć zapach krwi i lasu być wolnym najlepsze uczucie świata
Później wróćcie do białych domów

Podłączycie mózg do kontaktu
Wyrwiecie złamane paznokcie i zastąpicie czystymi
Koniecznie przed 18-tą
Zaczniecie się obżerać
Wegańskimi proteinami
Uspokajają błagający o pomoc żołądek.

Zuzanna **DRZAŚCZ** | lat 16

Rano

Wystarczająca wiedza by
się nie zgadzać
ta część nie jest twoja
to jest całe moje
i to do mnie wróci
poranne wątpliwości
utworzone godzinę przed
zaśnięciem
bałaganą w tej godzinie
głowę
ideały są w swoim lustrze
niedoskonałe
a ty je całujesz
święci wykluczeni
czy można być dobrym
siedząc na szczycie
każdy ma swoją własną
modlitwę
i inne wejście na górę
wszystko już zostało powiedziane
a ja mówię to sobie znów
rano
rano kiedy każdy modli się
do kawy

niektórzy jej nie potrzebują
niektórzy nie potrzebują siebie
niektórzy nie potrzebują Boga
wierzą w moc
ze swojego żołądka

Amy Winehouse

Nic nie mów bo zbyt długo
wcześniej milczałeś
ale podszedłeś do trumny
więc pożegnaj się
nie odzywałeś się wcześniej
więc nie wpadaj w histerię
dla ciebie jutro znów będzie dzień
a woal z ich serc... a woal z ich serc...
woal z ich serc...
będzie brzydkim dodatkiem do
ich twarzy.
Mówisz o jej problemach
przeczytanych w gazetach
czy wysłałeś jej kołysankę
jako kwiaty?
sama musiała pozbierać
kawałki swoich dusz
butelka o butelkę
i już jest piosenka.
Nie opowiadaj o jej nocach bo
obcy ci jest Camden Town
nigdy z nią nie piłeś więc
nie wznos toastu pobłogosławionego
jej imieniem.

Ale odwiedź jej grób
i innych z jej klubu
bo każda modlitwa grzesznika
jest ważna
może ją kochasz a może
udajesz
ale to dobrze i tak ma być

członkowie Klubu 27
popatrzą z góry i zaśpiewają
*dobrze zrobiliśmy tutaj
ładniej żyć.*

Wycieczka

Czy jedzie z nami ktoś
kto patrzy zdrowymi oczami
w niebo
i tam widzi swoje miejsce?
czy jest ktoś po kim
zostanie więcej niż wypalony papieros
i
chustka nasączona zapachem
ktoś kto z całą
świadomością przyczynowo-skutkową
nie chce tej czasoprzestrzeni?
kiedy będziesz gotowy by
ruszać?

Byłe nie było za późno
teraz kraty są
najbardziej miękkie.

Sara **JAŚTAK** | lat 17

* * *

Jestem kolejną wiosną.
Jednym z ptaków o 6 nad ranem.
Tym wyjątkowo natrętnym,

Prowokująco odważnym.
Jestem większa niż poduszka,
Ciepłsza niż kołdra.
Zmuszam Cię do czułości.

Dla Ciebie jestem
Uśmiechniętym spanielem,

Którego smycz małym palcem trzymasz,
Choć już wcale nie potrzeba,
Bo wąchać chcę tylko Ciebie.
Założę kaganiec,
Zamerdam ogonem,
Zapnij go tylko.
Wyjdiesz?
Ze mną?
Za mnie?

A-fiksy

Od
Wróć się.
Jesteś otoczony.
Przez poetów.
Kobieta, która codziennie rano sprzedaje ci bułki.
Przy
Patrz się.

Jej pustemu spojrzeniu.
Ten kot, którego
Roz
Jechałeś
Wczoraj na ulicy.
Miał jeszcze tyle do powiedzenia.
Chciał tworzyć wiersze, może najlepsze w tym stuleciu.
Albo ten autokar, który się
Roz
Bił
Siedzące w nim dzieci pisałyby o problemach życiowych 12-latków.
W folderze „poeci”
Jest za dużo pustych plików...

Malwina **BANACH** | lat 18**Aukcja**

licytacja rządowego wynajęcia waginy.
na sali siedzą panowie w garniturach i panie w garsonkach.
elegancko.
ile?
100.
nie dosłyszałam.
kto da więcej?
300 (drżącym głosem).
suki szczekają z niezadowolenia.
kiepski żart.
pani z broszką w kształcie kota mówi:
500 (marszcząc niezgrabne brwi, zaciskając pięści).
ktoś? więcej?
no trudno.
sprzedane.
i co z tego, że dziecko.
i niechciane.

bo przecież nie swoje.
cudze.
i byle było ich więcej.
500 złotych.
tyle wyrzygała moja matka na mój angielski i matkę tylko w marcu.
a za dwa miesiące nawet nie będzie uważana za matkę.
urodziłam się w czerwcu.
mam 17 lat i 10 miesięcy.
jestem drugim dzieckiem.
podobno byłam chciana (ale nie chcę teraz tego kwestionować).
pani w garsonce mówi do mojej matki:
no cóż, no.
no.
pani Doroto.
pani nie jest już matką.

ale wciąż może pani dumnie utrzymywać status Polki.
teraz jest uboższa o jeden tytuł w oczach panujących.
a dla 500 złotych.
na osiedlu zawsze można było zabić.
teraz można też urodzić.

Syberia mieszka w nadgarstkach

Uchylam okno.
Syberyjska trzeźwość widzi już koniec dnia.
Czuję się jak skondensowane gówno na środku chodnika.
A potem wyobraźnia płata mi figle, figielki.
Do złudzenia śmieszne.
Słyszałam, że mam obsesję na twoim punkcie.
Ktoś Ci to powiedział po północy w pubie, a ty uwierzyłeś.
Nie powinienes ufać językom po północy.
Wybuchnąłeś śmiechem, a ja się położyłam z rozpacz na chodniku.
I znowu udajemy, że wszystko gra (albo już tylko ja udaję).
Jestem przedrostem treści nad formą, bo formę mam w bliznach, piegach
i siniakach.
Nic ciekawego.

Nie zwróciłbyś uwagi.
Dziś kolejny przyjaciel mnie zostawił, a ja wiem że żyjesz dzięki słynnym „był
aktywny 8 minut temu”. Gdzieś na Syberii moich nadgarstków.

Błagam o chemotaksje

Dziś jestem drzewem
wyrastającym z trawy, na którą nasikał pies.
Pies miał cztery szybkie łapy i zbyt długi język.
Masz śrubokręt.
Znasz śrubki i pokrętła mojej jaźni.
Wiesz co, gdzie wsadzić.
Znasz cały mechanizm
i stoisz ze śrubokrętem w lewej ręce, bawiąc się nim powoli i przytomnie.
Torturujesz mnie.
A może po prostu obsypię się cukrem i będę tańczyć,
czekając aż w końcu ta pieprzona chemotaksja zadziała.

Izabela **WRÓBLEWSKA** | lat 19

* * *

Czy mogłabym poprosić jeszcze trochę
wczorajszego ciebie?

twoje imię już mi nie smakuje
zostaje na języku
zgrzyta między zębami

przesiąknąłeś smakami
jak biszkopt kremem
pachniesz wszystkimi zapachami lodówki

posolę cię
i popieprzę (jak ty moje zmysły)

włożę cię do blendera
i zrobię koktajl

tylko po to by rozlać go na błękitne kafelki
i klęczeć w nim
póki nie zgaśnie światło

koneser

może byłoby lepiej gdybyś został
zagrzebany gdzieś tam w mrożonkach
bo wyjadasz mi serek wiejski
i przyczepiasz etykiety na czole
samoprzylepne bezpotrzebne
gdy masz dobry humor
jestem dżemem truskawkowym – lipiec 2010
gdy zabrudzisz sumienie

jestem czystą – wesele 2015
pranie na zimno
i opatulanie wnętrzości ciepłem
sól na rany w każdym innym przypadku

prośba o cierpliwość

drapię swoje kostki
odbijam od granic
zaraz się ukształtuję
ukierunkuję
dajcie mi jeszcze chwilę
beztroskiego rozszczepienia
za moment
ułożę siebie jak kostkę Rubika
za moment
będę potrafiła
niestety wszystko

Michał **PAWLAK** | lat 17

* * *

*Jeśli chcecie urazić swoich rodziców, a nie macie odwagi przejść
na homoseksualizm, wystarczy oddać się sztuce.*
K. Vonnegut

Boże,
(pamiętaj, że go nie ma)
jestem artystą!

241

Efemeryczny

Jestem złodziejem.
Kradnę wspomnienia zapisane na stronach książek w twojej sypialni.

Jestem włamywaczem.
Wchodzę do twojego domu tylko w jednym celu.
Jestem klaunem.
Wciąż maluję farbą po twarzy coraz więcej i więcej.
Jestem aktorem.
Nakładam maski tylko po to, żebyś widział to, co chcesz.
Jestem problemem.
Wchodzę tam gdzie nie jestem potrzebny, tam gdzie mnie nie chcą.
Jestem rozpaczą.
Wycieram wciąż te same łzy bez względu ile razy je widziałeś.
Jestem wszystkim czego we mnie nie chcesz,
ale desperacko potrzebujesz.

Gra pozorów

Łeb jak sklep.
Półki puste,
czekają na dostawę.
I tak całe życie.
„Kiedy płacze niebo”
Za oknem jest ładnie.
I tylko tam.



RECENZJE

Stan rzeczy

Iwona Smolka, *Skarpa*, Warszawa: Oficyna Wydawnicza Volumen, 2015
Magdalena Parys, *Biała Rika*, Kraków: Społeczny Instytut Wyd. Znak, 2016
Grzegorz Filip, *Miłość pod koniec świata*, Chorzów: Videograf, 2015

„*Skarpa*” Iwony Smolki to czwarta powieść autorki znanej przede wszystkim ze swej aktywności krytycznoliterackiej. Od wydanego jeszcze w drugim obiegu „*Rozpadu*” (1984, książki ważnej, jednej z nielicznych, które zdają sprawę z wydarzeń Marca '68), poprzez „*Musisz siebie zjeść*” (1996) i „*Dom żywiołów*” (2000) prowadzi Smolka narrację, która, skupiona przede wszystkim na problemach życia osobistego bohaterów – ze szczególnym wyróżnieniem bohatererek, choć nie brak tu i interesujących postaci męskich – nie stroni od zarysowania tła społecznego. Tak jest i w tym wypadku: po krótkiej podróży do USA bohaterka „*Skarpy*” powraca do Warszawy, transportując z sobą urnę z prochami matki, na której zaproszenie, po dwudziestu latach niewidzenia się z nią, przyjechała do Stanów, by stać się świadkiem jej śmierci. W trakcie lotu pojawiają się liczne retrospekcje pozwalające zrekonstruować przeszłość, przy czym wspomagane są one – rzecz dzieje się równolegle – zapisem przeżyć pozostającego w Polsce ojca bohaterki, dziennikarza borykającego się z przeprowadzaną właśnie w redakcjach lustracją, co pozwala na umiejscowienie akcji w roku 2006. Nie jest to, oczywiście, jedyny problem, z jakim się boryka, wszakże tyle znaczący, by warto było zanotować jego myśli:

Teraz, to znaczy jutro. Jutro będzie wiadomo, kto jeszcze pracuje. Lustracja. Kto podpisał, a kto nie, że nie współpracował z bezpieką. Jedni zostaną, drudzy wylecą. Basieńka się boi, ja też. Podpisaliśmy. Paskudnie się z tym czuję, ale trudno, żyć trzeba. Ciekawe, ile razy jeszcze, do końca danych mi dni, powtórzę to sakramentalne „trudno, jakoś żyć trzeba”. Sami siebie prześwietlimy, zgnoimy, zafundujemy rodzime, pełne nienawiści piekielko.

Gdy czyta się całość powieści, przypadek lustracji wydaje się po prostu najbardziej drastycznym przykładem podsycanego nieraz głęboko skrywaną nienawiścią piekła, jakie ludzie sobie w ciągu danych im dni wzajemnie potrafią zgotować. Niemiecki wynalazek językowy – polskiego odpowiednika nie mamy – określa ten stan emocjonalny mianem „Hassliebe”, łączącym nienawiść z miłością. Ta uczuciowa mieszanka, występująca w różnym natężeniu, zdaje się być podstawą wzajemnych relacji łączących bohaterów powieści. Ona też jest źródłem nieporozumień czy też czynnikiem uniemożliwiającym zrozumienie drugiego. Remedium stanowi bądź powinna stanowić repetycja, powtórka, przypomnienie, zwłaszcza to, które towarzyszy ostatecznemu rozstaniu, jak w przypadku ojca bohaterki dawno temu rozwiedzionego ze sprowadzaną przez córkę matką:

Zdaje sobie sprawę, że zaczyna przeżywać żalobę, nie tę, która ma się zacząć wraz ze sprowadzoną zza oceanu trumną, lecz tę sprzed lat, której zaniechał, gdy ona wyjechała, a on pomyślał: wreszcie się skończyło, jestem wolny i nie chcę niczego pamiętać.

Praca pamięci jednak ma swoje ograniczenia, wspomnienia bywają niesprawdzalne, a przez to niepewne, zamglone, niedopowiedziane, przy czym nakładające się na siebie opowieści różnych osób nie pozwalają z całą pewnością wypowiadać się o przeszłości, a wreszcie i oceniać innych, widzianych przecież z odmiennej perspektywy osobowościowej oraz czasowej, inaczej się ukazujących w odmiennych okolicznościach. I tak na końcu pozostaje niewyjaśniona tajemnica, o czym się przekonujemy z relacji o śmierci Jana:

Tacy jak on nie topią się w listopadzie w lodowatej rzece. Na brzegu stał stary, zdezelowany fiacik, otwarte drzwi, kluczyki w stacyjce, porzuconym, żeby było wiadomo, gdzie szukać topielca. Nie zostawił żadnego listu, słowa wytłumaczenia. Pierwszy pogrzeb i niewyjaśniona tajemnica.

Gdzieś w tle zachodzą zmiany społeczne i polityczne (w połowie książki pojawia się informacja: *To był rok 1990. Zaczęło się nowe*), niemniej sprawą najważniejszą dla bohaterów powieści są problemy osobowościowe, tożsamościowe, próba zrozumienia własnych zachowań i przeżyć. Nie dziwi zatem, że ojciec bohaterki, zarazem były mąż sprowadzanej w urnie nieboszczki powiada, iż był zmęczony jej wiarą, że wszystko, oprócz śmierci, zależy od nas. On jest przekonany, że nic się nie da poukładać planowo, w sposób z góry zaplanowany. I to też jest ważnym wątkiem powieści Smolki: starcie dwóch postaw – pierwszej, która hołduje teologicznej wizji świata, i drugiej, zakładającej, że to, co się dzieje, to ciąg nieprzewidywalnych i niemożliwych do zaplanowania przypadków.

„Biała Rika” Magdaleny Parys jest trzecią już – po „Tunelu” i „Magiku” – powieścią tej autorki. I jest to utwór dla wielu spośród czytelników zapewne zaskakujący, gdyż niewiele ma z poprzednimi wspólnego. Przede wszystkim uderza odmiennosc narracji, jej sprawozdawczość, skrótowość i migawkowość. Ale tak przecież działa pamięć, niekoniecznie zachowująca ciągłość, nie zawsze dbająca o chronologię zdarzeń, kołująca, przeskakująca, kierowana ciągami asocjacyjnymi. Co jednak interesujące, jest tu kilka warstw narracyjnych: po pierwsze główna opowieść, po drugie – opowieść rysunkowa wplatająca w tekst pisany szkice drzewek genealogicznych bohaterki, po trzecie wtrącenia i komentarze redaktorki całości i czytelników poszczególnych fragmentów, co przydaje lekturze, przynajmniej mojej, sporo czytelniczej radości.

Narratorką jest Dagmara, która usiłuje poskładać, posklejać czy wreszcie narysować (te drzewka genealogiczne), a w końcu powiązać sieć więzi rodzinnych (jedna babcia w Szczecinie, inna w Gdańsku, jeszcze inna, bliźniaczka tej pierwszej, w Hamburgu, no i też nie na końcu babcia przyszywana – dużo tych babć). Z pierwszą jest problem:

Tu w Polsce obchodzi się imieniny. A kiedy są jej imieniny? Nie ma. W polskim kalendarzu Ruth nie istnieje. Wszyscy wołają na nią Rika. Przywiozła Ruth tę Rikę – siebie – z Hamburga. Tak jej siostra kiedyś wymyśliła i tak już zostało. Jeszcze w domu. Dom. Das Haus. Zuhause.

Ale problemem są i inni członkowie tej – patchworkowej (jest tu i postać „nietaty”), a tym samym wówczas, gdy Dagmara jest jeszcze dziewczynką, nietypowej – rodziny. Nic tu zresztą nie jest ani proste, ani jednoznaczne. Szczecin jest... no jaki może być Szczecin? ...jest polniemiecki. W pomieszanej rodzinie (Dagmara na podwórku określana jest mianem „Ta nowa od Niemki”) dochodzenie do siebie trwa przez cały powieściowy czas, a i tak – bohaterka w końcu znajdzie się w Niemczech – pozostanie sprawą otwartą.

Dagmar jest co najmniej dwie: pierwsza to opowiadająca, druga to opowiadana – bądź na odwrót, co oczywiście ma swoje znaczenie w tym, co bym najchętniej określił jako narrację wtrąconą (uwagi Hanki, uwagi redaktorki, uwagi matki, jak w tym fragmencie:

Właśnie, muszę zapytać mamę, czemu w roku 1981 nie mam miesięcznego biletu. Pytam. Mama nie pamięta. Dziecko, czego ty znów ode mnie chcesz? W tramwaju jest zawsze zimno...

247

To w końcu nie tylko chwyt „formalny”, lecz przede wszystkim stworzenie sposobu opowiadania pozwalającego na zniesienie dystansu między czasem opowiadania a czasem opowiadanym). Ta opowiadana jest dzieckiem, ta opowiadająca jest też matką. Wszystko to dynamizuje świat przedstawiony utworu, którego akcja – choćby w porównaniu z akcją „Tunelu” i „Magika” – jest raczej mikra: a przecież czyta się tę powieść jak kryminał!

Rzecz dzieje się w zasadzie w latach 1981-1985 (w połowie lat 80. Dagmara odnajduje się w Berlinie Zachodnim), choć czas opowiadany rozciąga się w przeszłość i w przyszłość. Warstwowa narracja przenosi jednak czytelnika w najżywszą współczesność i każe – a jeśli nie każe, to przynajmniej to sugeruje – zapytać o to, kim jest ta dojrzała kobieta szlifująca wraz z redaktorką tekst „Białej Riki”, ale też przypominająca sobie swój zachwyt „Zbójcami” Schillera. Zapisuje ona:

Rok 2015. Moja córka pyta, czy dostałam ten paszport konsularny i czy go jeszcze mam, bo chciałaby zobaczyć, jak taki paszport wygląda. Gdzie on się podział? Gdzieś był.

No tak: paszport. Otóż ta kobieta – za sprawą łaski historii może, a może dlatego, że sama tak chce – nie ma z paszportem problemu. Więcej: nie ma problemu ze swoją tożsamością, nie musi i nie chce wybierać między „niemieckością” i „polskością”. I tylko jeszcze jedna zagadka pozostaje nie do rozwikłania: jak ma się w tej swojej uwolnionej od konieczności podobnych wyborów tożsamości ukryta za plecami Dagmary autorka powieści Magdalena Parys? W oduktorskim komentarzu zamykającym książkę (w mojej lekturze zaś stanowiącym jej integralny składnik) wyznaje: *staralam się w „Rice” zmyślać, ile wlezie*. I dodaje: *Jakkolwiek by patrzeć, do jej napisania zainspirowała mnie prawdziwa historia*. Myślę, że „prawdziwa historia” dopiero właśnie w tej powieści została powołana do życia. I jest to prawdziwa historia o prawdziwym człowieku. Dzieje się tak przede wszystkim za sprawą znakomitego i wciągającego czytelnika sposobu opowiadania – tak się właśnie w prawdziwej literaturze zdarza.

„Miłość pod koniec świata” Grzegorza Filipa, druga w dość krótkim czasie powieść tego autora zalecana jest na okładce wersalikami wybitym hasłem „ROMANS, KORUPCJA I CIEŃ PRZESZŁOŚCI”. I rzeczywiście – wszystkie te elementy czytelnik w utworze odnajdzie, ale też i coś więcej, zarazem jednak jest to coś, co trudno czytelnikowi poszukującemu lektury lekkiej, łatwej i przyjemnej polecać: tym czymś jest diagnoza stanu rzeczy – na wielu poziomach, przede wszystkim chodzi o stan świadomości społecznej i o to, co jeszcze Conrad określał jako próbę wymierzenia przez literaturę sprawiedliwości widzialnemu światu.

A narrator Filipa widzi sporo, choć relację ze swych obserwacji podaje dyskretnie, niejako przy okazji opowiadania o tym, co spotyka bohaterów powieści, jakby w tle akcji. Diagnoza jest wpisana w motto wyjęte z „Piosenki o końcu świata” Miłosza: to „staje się już”, żyjemy zatem, powiada narrator, w obliczu zmierzchu, jeśli nie świata, to w każdym razie jego dotychczasowej postaci. To oczywiście klasyczna, powtarzana od antyku piosenka konserwatystów: wiek złoty był dawno temu, teraz świat i ludzie marnieją – *o tempora, o mores!* Co nie znaczy, że nie powinni dążyć do poprawy kondycji.

Tak też się dzieje z dwojgiem głównych bohaterów, których na kartach powieści łączy głębokie, ale też i skomplikowane uczucie. Ona, dziennikarka praktycznie samotnie wychowująca syna (ojciec, naukowiec, w zasadzie jest ciągle poza domem), przyjeżdża do małego miasteczka w okolicach Lublina (tu warto zwrócić uwagę na narracyjną promocję regionu), by prześledzić i ujawnić mafijny układ (co, rzecz jasna, ani bezpieczne, ani łatwe nie jest, gdyż mafioso ma wpływy). On, były idol muzyczny (ale po stronie sztuki, którą porządni ludzie się brzydzą), obecnie, po stanowiącej wstrząs stracie dziecka, wycofany i jakby zdziwaczały. Uczucie go odmienia, wraca do muzyki, ale już po dobrej stronie mocy. Główna opowieść ma swój kontrapunkt: dziennik nastolatki, wrażliwej i dostrzegającej objawy choroby:

Ludzie sami wywołają koniec świata. Gdy tylko się dowiedzą, że to już – przestaną robić cokolwiek. Każdy dojdzie do wniosku, że nie warto. Po co się wysilać? Basta!

Ratunkiem może być wiara, lecz z tym nie jest najlepiej, o czym zaświadcza troskliwe rozmyślania dziennikarki o sytuacji syna:

W dzisiejszych czasach niełatwo szesnastolatkowi podtrzymać w sobie wiarę. [...] Atmosfera wokół katolików, w mediach i w ogóle, robiła swoje. [...] Trzeba być silnym, by się nie poddać, gdy wokół uważają cię za szurniętego, bo chodzisz do kościoła.

Anna ma zresztą także problemy z określeniem miejsca Polski w Unii:

Często słuchała radia, gdzie wirowały wiadomości o negocjacjach akcesyjnych [...] i wyraz „dostosowanie” odmieniany przez wszystkie przypadki. Że Polska musi dostosować swoje prawo do unijnego, gospodarkę do unijnej, dostosować bankowość, edukację i co tam jeszcze. Dostosować! Jak to pojęcie wpływa na sposób myślenia?

Oto kraj, który do niedawna podporządkowany był obcej dominacji, ma się znów zrzec części swej suwerenności – to dla Anny poważne zagrożenie przede wszystkim dla tożsamości narodowej. Przy czym specjalnie destrukcyjną rolę odgrywają tu media, choć i instytucje kultury mają w tym swój udział:

Przyzwyczaiła się, że na zmiany życia społecznego najszybciej reaguje teatr, i rzeczywiście coraz częściej wychodziła w trakcie przedstawień, bo nie dało się wysiedzieć do końca. Stołeczne sceny zaprzężono do powielania ideologicznych schematów i publiczność powoli zaczynała mieć tego dosyć.

Grzegorz Filip, budując trzecioosobową narrację i konstruując narratora wszystkowiedzącego, ogranicza się do prezentacji postaci jednoznacznie krytycznych wobec biegu spraw polskich, nie dopuszczając do głosu ich oponentów. Nie wiemy, kto zaprzęga stołeczne sceny *do powielania ideologicznych schematów*. Więcej: trudno się zorientować w treści owej lub owych destrukcyj-

nych ideologii. Możemy się jedynie domyślać, że to te same siły, które podtrzymują mafijny, korupcyjny układ, który Anna usiłuje wyśledzić, a który w konsekwencji ma sprawić, że kraj w każdej sferze życia ma pozostać podporządkowany obcemu mu porządkowi, do którego zmuszony jest się wbrew własnej woli podporządkować w procesie „dostosowywania”. W ostateczności zatem można dojść do wniosku, że za tym układem mafijnym stoi Bruksela. Bronią przeciw tej opresji ma być wiara i tytułowa miłość.

Leszek Szaruga

Erwina Kruka los utracony

Erwin Kruk, *Nieobecność*, red. Krzysztof Dariusz Szatravski,
Olsztyn: Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, 2015

Erwin Kruk należy do twórców ukształtowanych przez nieszczęście. I jest, w moim mniemaniu, jakoś spokrewniony z Imre Kertészem – węgierskim noblistą, autorem „Losu utraconego”. Oto piętnastoletni narrator tej powieści, wróciwszy z Buchenwaldu, kieruje się do swego mieszkania i doznaje przykrej niespodzianki:

...z uchylonych drzwi spoglądała na mnie obca, żółta i koścista twarz kobiety w mniej więcej średnim wieku. Zapytała, do kogo, a ja jej powiedziałem: – Mieszkam tu. – Nie – odparła – my tu mieszkamy...

Przed swoim domem zatrzymał się również bohater liryczny wiersza Kruka „Dokument”, pomieszczanego w jego najnowszym zbiorze „Nieobecność”:

*Stojąc przy płocie, po raz pierwszy
Rozmawiałem z kobietą,
Która wyszła na próg.
Wtedy, gdy byłem czteroletnim dzieckiem,
Nie wiedziałem, że jej rodzina
Upatrzyła sobie nasz dom.
Ona miała wtedy siedemnaście lat.
Teraz, jak to wdowa, mieszka samotnie.
Mówi, że jej zdaniem*

*Mam do domu prawo.
Przecież urodziłem się tutaj
[...]*

Jakby wreszcie pojęła, że odebrać komuś dom, to zmienić jego los – skazać go poniekąd na egzystencję zastępczą.

Bohater powieści Kertésza, wbrew wszystkim i wszystkiemu, postanawia „ciągnąć” swoje życie, *które nie nadaje się do tego, by ciągnąć je dalej*. Przeorientować własny los musi także Erwin Kruk, urodzony 4 maja 1941 roku w Dobrzyniu na Mazurach. Swym przewodnikiem i mistrzem czyni właśnie owo czteroletnie dziecko, wybrane przez śmierć na życie, zarazem pozbawione najbliższych i wtrącone w *ogromny i bezdomny świat*. Poeta przeczuwa, że jego zasadniczą powinnością jest ocalenie i pielęgnowanie w sobie tego chłopca, którego oczy widziały rzeczy *niepojęte*, gdyż tylko on pozwoli mu stać się strażnikiem *niebacznej istnienia* tych, co odeszli, i jedynie z jego pomocą można będzie odkryć zasypane źródła, odczytać zatarte ślady.

A to coś bezcennego w sytuacji, gdy z ocalałych szczątków próbuje się na nowo złożyć swój świat. Centralne miejsce zajmuje w nim dom, w którym wciąż skrzypią kołyski i *Matki głos z progu wybiega*. Autor „Kroniki z Mazur” przez całe życie, na jawie i w snach, będzie doń pielgrzymował, uparcie wokół niego krążył, wzdragając się jednak przed przestąpieniem jego progu. Bo to dom niby ten sam, ale nie taki sam. Zawłaszczony przez innych, utracił swoją duszę; stał się przestrzenią przeobrażoną, zdesakralizowaną, w pewnym sensie skalaną. Jego obecna materialna postać – podobnie jak cały Dobrzyń – jest więc jakby czymś nierzeczywistym, fantomowym, *zaś dom prawdziwy istnieje* wyłącznie w pamięci, marzeniach i snach. Wygnaniec nigdy go w istocie nie opuścił, nigdy z niego „nie wyszedł”, toteż z czułością patrzy na resztki kuźni, które, tak jak groby na wiejskim cmentarzu, stanowią znikliwy znak bliskiej sercu dawności. Wolno przy tym przypuszczać, że zapach słomy, wypchanej na wsi do sienników, jest dla niego szczególnego rodzaju magdalenką, pobudzającą pamięć, unoszącą w przeszłość. Powidoki i echa utraconego raju zamieszkały na jakiś czas wraz ze swym depozytariuszem w domu jego krewnych, stąd w remoncie zagrody dokonywanym po latach przez nowych właścicieli nie potrafi dostrzec niczego dobrego – oto:

252

*Wszystko będzie zmienione.
Nie przywoła wspomnień.*

Utrata domu szła w parze z utratą języka domowego (gwary mazurskiej), przymusem życia w „głuchym” kraju. Był to bowiem kraj wypełniony milczeniem modlitw i pieśni, zaklętych w porzuconych kancjonałach, przeszyty milczeniem wzgardzonych głosów, utajonych wśród ostów i jałowców, oswojony z ciszą po słowach, które rozumieją już tylko ryby, ptaki i niebo, drogi i drzewa. A stało się tak dlatego, że prawdziwa mowa – biedna, lecz własna – została



wymieciona razem z tymi, co się nią posługiwali, i trwa teraz w uśpieniu. *Dla kogo ją budzić, // Komu jest potrzebna?* – pyta Poeta, wsłuchany w źródła domowych rzek, szum lasów i pieśni kosa. Najdroższymi jej klejnotami są dla niego imiona rodziców: Herman i Meta, żyjące jak tyle innych w *zatrąconej ojczyźnie dzieciństwa* – próba wypowiedzenia ich na głos kończy się szlochem.

To podwójne wydziedziczenie rodziło zrozumiałe poczucie odrębności i obcości, godziło z samotnością. Bolesne przeżycia kazały wszak pozostawać *na uboczu święta*, być nieufnym i ostrożnym wobec ludzi, a ewentualne sojusze zawierać najwyżej z przyrodą i milczeniem. Co więcej, w celu lepszego zamaskowania się należało zostawić swoją *lichą mowę*, w której przemawiał wiatr, i nauczyć się mówić w mowie *wybranej*, w *pożyczonym* języku, który, jak się ostatecznie okazało: *Był nagrodą // Za dziecięcą bezbronność*. Pomagał chłopcu wyrażać się los, wspierał go w układaniu ściśle osobistej baśni.

Ów stan, zestrajający się z wiekiem z odczuciem własnej chwilowości, jest łagodzony przez wytrwałe obcowanie ze zmarłymi. Autor „Znikania” – od dziecka obyty z żałobą – zadamowił się wśród znajomych cieni, a cmentarz w Dobrzyniu stał się dla niego jedynym miejscem, w którym czuł się „swojo”, w którym mógł przebywać *sam jeden ze swymi zmarłymi*... Nie-strudzenie przywołuje więc tych, co *dalszego życia nie doznali*, wciąż pyta: *Gdzie są ci, których nie ma?*, i stara się ocalać ich przemilczane imiona. A oni, przezeń obudzeni, biorą go za rękę i prowadzą przez świat. *Żyję tak* – wyznaje Poeta – *jakby obok mnie // Szła nadal moja matka. // Milczymy oboje*. Tedy między umarłymi a ich ziemskim rzecznikiem odbywa się wzajemna wymiana: oni śpieszą mu z pomocą, podtrzymują go, dowartościowują, on zaś udziela im gościny i opieki, przekonany, że bez niego *Ci, których wyzuto z życia, // Są tacy bezradni*. Ba, można odnieść wrażenie, iż jest o swoich umarłych zazdrosny. W każdym razie sypie im nieustannie mak tkliwych słów:

*Przywołuję was, umarli, i pozdrawiam.
Idę w tę samą stronę – po śladach,
Co zarosły trawą.*

I chyba głównie z myślą o nich, choć i sam należy do „pokolenia bezdomnych”, buduje swoją „mityczną ojczyznę”. Wspomagany przez stare księgi i legendy, zwłaszcza przez Pismo, *które jest nadzieją i schronieniem, // I stroną pamięci wygnańców*, tworzy ją z poniekanych słów, umarłych narzeczy, obco brzmiących imion i zagubionego śpiewu, z zapomnianych czynów i prac, tęsknot i snów, z nierealnych ścieżek, zatartych śladów i rozwianych zapachów. Inaczej mówiąc, z drobin, okruszków i kawałków dawnego życia, śnionego jakby przez kogoś innego. Może przez tego bezdomnego chłopca, który od lata '45 idzie miedzą – pasem ziemi niczyjej – a właściwie przekrada się przez świat, dźwigając bagaż pamięci. Ta przesłonięta kurzawą czasu kraina słynęła z urodzajnych ziem i obfitych wód, a zamieszkujący ją ludzie byli piękni, jaśni i weseli. I to oni – jej prawowici gospodarze – zabrali ze sobą i ukryli w niezna-

nych miejscach jej piękno i blask. W usta Poety włożyli zaś gorzkie stwierdzenie:

Tej krainy już nie ma.

[...]

Została jeszcze dawna nazwa.

Ale ciało Mazur

Jest wydrążone, pobrzmiewa pustką.

Erwinowi Krukowi przyszło zatem żyć na ziemi swoiście przemienionej, zimnej jak noc wygnania i powrót z wygnania na wygnanie. I mógłby powtórzyć za Kertészem: *To nie był mój los, ale ja go przeżyłem...* A mimo to – może dzięki wnuczce Sarze – zastanawia się:

A cóż by się stało,

Gdybym powiedział:

Jestem szczęśliwy.

Jan Jastrzębski

Poeta i pisarz mazurski Erwin Kruk 1 czerwca 2016 roku otrzymał zaszczytny tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego za całokształt twórczości literackiej, kulturalnej, obywatelskiej.

Awers i rewers jednej opowieści

Adam Zamoyski, *Święte Szaleństwo. Romantycy, patrioci, rewolucjoniści 1776-1871*,

tłum. Michał Ronikier, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2015

Adam Zamoyski, *Urojone widmo rewolucji. Tajne spiski i tłumienie ruchów wolnościowych*

1789-1848, tłum. Michał Ronikier, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2016

Przed takimi książkami należy mieć respekt. Zwracają uwagę nie tylko słuszną objętością, ale również niebagatelnym ujęciem tematu, kiedy wydawałoby się, że już nic nowego nie można powiedzieć. Adam Zamoyski napisał w zasadzie jedną książkę, ale wydaną w dwóch tomach. „Święte Szaleństwo. Romantycy, patrioci, rewolucjoniści 1776-1871” jest opisaniem najważniejszych rewolucji z punktu widzenia ich sprawców. „Urojone widmo rewolucji. Tajne spiski i tłumienie ruchów wolnościowych 1789-1848” zaś za bohaterów bierze tych, którzy strzegli dawnego porządku. I choć polskie wydanie obydwu książek dzieli rok (zagraniczne 15 lat), to w zasadzie czytamy jedną opowieść: awers i rewers tych samych wydarzeń. Zamoyski rzeczywiście staje po obydwu stronach rewolucyjnej barykady, dzięki czemu dysponujemy jednym z ciekawszych opisów wydarzeń, bez których nie sposób zrozumieć współczesności.

Byłem ciekaw, w jaki sposób Zamoyski opíše rewolucję amerykańską i francuską, jakim posłuży się kluczem do wzajemnego odczytania tych wydarzeń w Wiośnie Ludów. Spodziewałem się mozolnego odczytywania praw człowieka, obserwowania, w jaki sposób tworzy się nowożytnego obywatela... Słowem standard, do którego od lat przyzwyczajano. Zamoyski narzucił jednak zgoła odmienny klucz interpretacyjny: rewolucja to kolejna konsekwencja... reformacji. Wraz ze śmiercią króla Ludwika XVI nastąpił, jak przekonuje autor, zmierzch dawnego chrześcijańskiego Boga na rzecz objawienia zupełnie odmiennego kultu. Nie czczono już króla, który był w ścisłym sojuszu z Kościołem, ale oddawano cześć Narodowi. W trakcie egzekucji Burbona powinien zabrzmieć okrzyk: *Le Roi est mort, vive le Roi!* (Umarł król, niech żyje król!), zamiast tego w niebo wzbił się okrzyk: *Vive la Nation!* (Niech żyje naród!). Zamoyski wyprowadza fascynujące konsekwencje z tych pozornie oczywistych haseł. Nowością w proponowanym przez autora spojrzeniu jest to, aby na wydarzenia przynależne do myślenia

laickiego nałożyć siatkę pojęciową właściwą dla religii. Przecieram zatem oczy ze zdumienia, gdy czytam, że wiek rewolucji to czas poszukiwania własnej tożsamości, gdy chrześcijaństwo stało się już niewystarczające. Ma to sens, a jest on tym bardziej paradoksalny, że rewolucje odzęgające się od religii w rzeczywistości wprowadzały kult wolności i narodu wzorowany na dotychczasowych wierzeniach. Opisując jeden z rytuałów tajnego stowarzyszenia rewolucyjnego, Zamoyski przedstawia interesującą inscenizację:

Po triumfie nad śmiercią aspiranta zdejmowano z krzyża i następowało jego zmartwychwstanie, czyli awans na wyższy stopień wtajemniczenia. Wszystkie te rytuały, jak również zachowane do naszych czasów patenty, certyfikaty członkostwa i inne dokumenty – zawsze ozdobione wizerunkami różnych wersji krzyża, korony cierniowej, słońca, księżycy, koguta, różg, drabiny, świętego Teobalda, czaszek, skrzyżowanych kości, cyrkli, pięciokątów, trójkątów, a niekiedy również papieskiej tiary, w którą uderza piorun – sugerują, że zorganizowana religia w jakiś sposób rozczarowywała członków tych stowarzyszeń. (s. 282)

Rytuały karbonariuszy i wolnomularzy czerpią pełnymi garściami z języka i symboli chrześcijańskich, wskazując na klęskę „dawnej religii”, jak również własną porażkę, ponieważ nie zaproponowano niczego w zamian. Aby dokonywać rewolucji, należy być człowiekiem wierzącym. Mieć pewność swoich racji graniczącą z pewnością objawienia. Mieć charyzmę przywódczą odpowiadającą poczuciu bycia wybranym na proroka lub oczekiwanym mesjaszem. No i najważniejsze: znosić cierpienia dla sprawy. Okoliczności śmierci rewolucjonistów stylizowane były na akty męczeństwa i otoczone aurą świętości. *Współcześni artyści ukazywali więzienne cele [...] jako mistyczne kaplice* (s. 442). Łańcuchy, jakimi byli skuci więźniowie (a ważyły one, bagatela, 40 kg), traktowane były jako relikwie. Pojedyncze ogniwa noszono przy sobie jako rzeczy najcenniejsze, wymieniano się nimi i handlowano niczym relikwiami. Przyśięgi rewolucjonistów wzorowano na katechizmowych rymowankach, swoje hasła zaś wypisane na sztandarach nazywano „świętymi” i wzywano do „świętej wojny”.

Świętość rewolucyjna

Zamoyski nie jest pierwszym, który przedstawia duchowe odczytanie rewolucji. Takie religijne „okulary” nakładano przede wszystkim na początku wieku XX. Zamoyski pisze zgoła po ponad stu latach, dając ciekawe pytanie: czyżby dzieje raz jeszcze zatoczyły koło? W latach 20. minionego wieku rosyjski myśliciel Mikołaj Bierdiajew pisał w „Nowym Średniowieczu” o rewolucji komunistycznej, że nie można traktować jej w sposób zewnętrzny. Dla niego było to wydarzenie wewnętrzne, czyli duchowe.

Rewolucja miała miejsce nie tylko poza mną i nade mną jako fakt niewspółmierny z sensem mego życia, to znaczy pozbawiony dla mnie wszelkiego sensu; ona dokonał się także we mnie jako wewnętrzne wydarzenie mojego życia. Bolszewizm zjawił się w Rosji i zwy-

ciężył, ponieważ ja jestem takim, jakim jestem, ponieważ nie było we mnie prawdziwej duchowej siły – tej siły wierzenia zdolnej przesunąć góry. Bolszewizm jest moim grzechem i moją winą. Jest on zesłany na mnie próbą. [...] Rewolucja jest satanistyczna. Działają w niej nie ludzie, ale siły wyższe. Rewolucjoniści tylko pozornie wydają się aktywnymi, w rzeczywistości są oni bierni, są oni tylko narzędziem w rękach nieznanej im siły. Lecz rewolucje są nie tylko satanistyczne, są one także opatrnościowe; zesłane są narodom za grzechy i są za te grzechy pokutą.

Cytane po latach diagnozy myślicieli prowokują do dyskusji, a jeśli są trafne, siła nośna ich idei wytrzymuje próbę czasu. Czytając po latach Bierdiajewa, wydaje się, że stosunkowo łatwo było dostrzec demonizm rewolucji komunistycznej. Jaki jest jednak sens naszych dziejów? Wychodząc z długiego cienia Holocaustu i zniewolenia totalitaryzmów, ku czemu zmierzamy? Jak pojąć tę otwartą płaszczyznę, którą jak dotąd spowija pył World Trade Center? Wobec ilości przemian w ostatnich tylko latach – kulturowych, technicznych, obyczajowych – wydaje się to zadaniem niewykonalnym. Rzeczywistość zwyczajnie wymyka się nam, żyjemy w płynnej rzeczywistości, jak głosi Zygmunt Bauman, lub na każdym kroku szczyrzy się do nas pstrokaczna bestia, jak pisał Ryszard Przybylski.

W karnawale cierpienia

Rewolucja zdaje się być upragnionym świętem – odzyskanej wolności, praw, godności. Ale święto rewolucyjne to rzecz zgoła bardziej skomplikowana. Święto to czas zwycięzców. To rozciągnięta w czasie chwila, w której przegrani pełnią określone role. Dawni wrogowie prowadzeni są na smyczy, teraz poprzedzają zwycięzców. Święta rewolucyjne opiera się na wykluczeniu kogoś, na upokarzającym napawaniu się zwycięstwem. Wymienia się pokonanych jak nazwiska z nużącej listy obecności, nierzadko publicznie stawia się jako antywzór. Często stawia się wręcz namacalnie, fizycznie: skępowany, wyszydony – oto on. Święto rewolucyjne zaczyna się od publicznej egzekucji, a krew „starego systemu” jest spoiwem łączącym nowego człowieka rewolucji. W rewolucji święto będzie powtórzeniem mordu założycielskiego, a ten ze swej istoty bardziej przypomina furię zemsty niż uczciwą walkę. Zemsta jest emocjonalna, rozpisana na rozległych rejestrach uczuć. Ciągłe przypominanie o wymierzonej zemście jest wszak rozdrapywaniem starych ran. To przypominanie wcześniejszego upokorzenia, bezradności zapisanych w latach, wreszcie wielu wcześniejszych desperackich prób zrzucenia zniechęconego jarzma. Powtarzane raz po raz uczucia hańby zabarwiają święto rewolucyjne w ciemnych kolorach rubinu. Radość jest okupiona krwią, posoką naznaczone sumienia. Ile razy można świętować dokonane przez grupę społeczną zbrodnie? Prawdziwym werniksem święta rewolucyjnego jest zatem frustracja, przekroczenie prawa ludzkiego i boskiego, ustanowienie prawa, które unieważnia popełniony mord. Aby przykryć smutek stojący za czasem świątecznym, konieczne jest nadanie mu wymiaru bezuczuciowego, chłodnego intelektualnie. Święto musi być opanowane, tłum poinstruowany, jak ma się zachować. Scenariusz jednak zmienia się, bywa udoskonalany, a sens tych poczyną jest dwojaki:

wszelka spontaniczność jest niebezpieczna (rewolucja boi się rewolucji), prawdziwym obiektem święta zaś nie są ludzie, ale reżyser dusz. Ten, który stoi na mównicy, na balkonie jak na ambonie. Ten, który odbiera chwałę. Dyktator, Umiłowany Przywódca, *Princeps Senatus*. Reżyser.

Święto chrześcijańskie jest – pomimo wydawałoby się wielu analogii – rzeczą zgoła odmienną. Wzorem, miejscem spotkania w święcie w Piśmie Świętym jest uczta. To uczta w Wieczerniku i uczta wydana przez Ojca, do którego powraca marnotrawny syn. Eucharystia i miłosierdzie – to właściwa przestrzeń święta chrześcijańskiego. To uderza za każdym razem w trakcie Podniesienia – nikt nie jest wykluczony. Pijemy Światło, zębami rozdzieramy Wieczność. Judasz wychodzi w noc po spożyciu Ciała i Krwi, a wszelki osąd zostaje zawieszony (mój także). I to jest właściwe miejsce święta chrześcijańskiego. Święto chrześcijan to święto nas – przegranych, miotających się w ciemnościach nocy, w niepojęty sposób zadłużonych. Jego najgłębszym sensem nie jest wykluczenie, ale włączenie, bo każdy jest przegrany. Jeśli świętujemy, to uznajemy, że zwyciężył za nas Ktoś – Ten, dla którego nie ma nic niemożliwego. Pisał o tym Orygenes:

Czy nawet Bóg ma swoje święta? Oczywiście, że ma! Albowiem wielkim świętem jest dla Niego ludzkie zbawienie. Wyobraź sobie, jak cieszy się Bóg, kiedy ten, kto był rozpustnikiem, staje się czysty, gdy ktoś dotychczas nieprawy czci sprawiedliwość, a bezbożnik staje się pobożny! Wszystkie te nawrócenia poszczególnych ludzi tworzą święta dla Boga.

Święto rewolucyjne i święto chrześcijańskie – jeśli wyciągniemy z każdego z nich ostateczne konsekwencje – stoją naprzeciw siebie w niemożliwości przekroczenia dzielących ich granic. To nie są dwie strony tego samego medalu, to całkowita opozycja, jak śmierć i życie, zemsta i przebaczenie, ciemność i światło. Nienasycona (bo pusta) ciemność i ja, które jest sobą, gdy staje wobec Tajemnicy.

Jeszcze raz Zamoyski:

Wszystkie wysiłki La Fayette'a, Kościuszki i Garibaldiego, cała wiara Mazziniego, Mickiewicza i Micheleta okazały się bezradne w zderzeniu z fundamentalną prawdą: ludzie, których chcieli wyzwolić i uszczęśliwić [...] po prostu nie byli tym zainteresowani. (s. 670)

Wiara musi płonąć. Wierzący ma w sobie imperatyw misyjny. Jeśli osiągnięcie przez lud stanu duchowej nirwany jest niemożliwe, jak pisze autor, należy narzucić stan szczęśliwości siłą. Stąd już prosta droga do totalitaryzmów, do wszelkich świętych wojen.

Egzorcyci się boją

„Urojone widmo rewolucji” w niczym nie ustępuje „Świętemu Szaleństwu”, czytelnik ma wrażenie, że to naturalne dopowiedzenie pierwszej książki. Tu również autor jest konsekwentny, wydobywając religijne odczytanie dziejów, jakie preferowali władcy. Architekci kongre-

su wiedeńskiego z 1815 roku wierzyli – i to słowo nie jest tu przesadą – że na ich barkach spoczywa przyszłość tożsamości europejskiej rozumianej jako kontynuacja starego porządku.

Święte Przymierze było autentyczną próbą uporządkowania świata. Car wierzył, że tylko system oparty na chrześcijańskiej moralności może doprowadzić do zablźnienia ran, jakie zadały Europejczykom wydarzenia minionego ćwierćwiecza. (s. 21)

Gdzieś na marginesie tej książki pobrzmiewa pytanie: jak daleko można się posunąć w zwalczaniu opozycji, gdy nada się tym działaniom znamion egzorcyzmu? „Urojone widmo...” to wnikliwe studium myślenia władzy ogarniętej strachem. Im bardziej się boimy, tym bardziej przesuwamy granicę dopuszczalnych metod walki ze złem. Zamoyski odtwarza historię powstania tajnych policji, które mają tropić potencjalne zarzewia rewolucji na kontynencie. Wizerunek rewolucjonisty był demonizowany: wróg jest wszędzie i jest nieuchwytny. Taka logika doprowadzała wręcz do paranoicznego lęku w myśl zasady, że w każdym przypuszczeniu kryje się prawda, a niemożność jej potwierdzenia tylko wzmacnia jego wagę. Stąd już prosta droga do powołania całej siatki policyjnych agentów czytających korespondencję obywateli. W Anglii kontrola prywatnej korespondencji była zakazana przez prawo. W latach 1788-1798 wydano tylko sześć zezwoleń, podczas gdy w latach 1799-1815 już 139. Atmosfera paranoi gości na dobre w królewskich dworach, policja zaś robi, co może, aby zadowolić swoich pracodawców. Gdy Zamoyski odczytuje te same dokumenty, które czytali najlepsi policjanci z XIX wieku, przeciera oczy ze zdumienia: tam, gdzie funkcjonariusze prawa widzą szkic nowej broni, autor widzi:

po prostu niechlujny rysunek czegoś, co przypomina mechanicznego karalucha i co mogła by uznać za broń jedynie owładnięta gorączką wyobraźnia. (s. 201)

Obsesja strachu jest tak wielka, że Metternich bardziej przeżywa kolejne powstanie w Europie niż śmierć własnej córki, księżne zaś zakładają swoje własne wersje tajnej policji – *police mignonne*, policję milutką, która zajmuje się tylko romansami. Gdy policji brakuje dowodów, zatrzymanie uzasadnia „wyraz twarzy” podejrzanego.

Rewers i awers tej samej historii. W obydwu tomach przeglądają się wzajemnie ci, którzy stoją po przeciwnych stronach barykady. „Święte Szaleństwo” oraz „Urojone widmo” stanowią klucz do zrozumienia współczesnych lęków przed „sektami”, które kontrolują świat. Zamoyski poszedł jeszcze dalej: opisał wielkie nadzieje towarzyszące każdej zmianie, jak również odpowiadający im wielkością strach. Pogodzić je może jedynie poczucie niespełnienia stojące za każdą z wielkich reform.

Marcin Cielecki

Poetycka praktyka czasu

Dariusz Szymanowski, *Żywoty polecone*, Szczecin: Zaulek Wydawniczy Pomyłka, 2016

1. Dariusz Szymanowski (rocznik 1984) jest olsztynianinem, który po latach pobytu na Śląsku wraca tej wiosny 2016 roku do Ostródy. Debiut Szymanowskiego, zbiór wierszy „Drugi brzeg”, ukazał się w 2012 roku nakładem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie.

„Drugi brzeg” powitałem z radością jako akt wiary w nasz ziemski świat: ludzi, zwierząt i rzeczy. Poeta opowiedział się po stronie kultur, akcentując ten wybór okładką z fragmentem arcydzieła Vermeera „Mleczarka”.

*Mówiłem –
póki trwa mleko na granicy dzbanka,
historia świata upływa w tym mleku*

– pisał w wierszu-manifeście „Wypis”.

2. Jestem wyczulony na Vermeera. „Kobieta czytająca list” w galerii w Dreźnie była pierwszym arcydziełem, jakie widziałem na własne oczy jeszcze w szkolnych czasach. Wiele lat potem w Rijks w Amsterdamie podziwiając „Mleczarkę”, odkryłem wybitą szybkę w oknie oświetlającym stół z glinianą misą, do której kobieta nalewa mleko. Wcześniej nie zauważyłem tego braku na reprodukcji. Odkrycie było dowodem na wyższość oryginału nad kopią.

3. Szymanowski nie przestaje czerpać z depozytu kultury. Opatruje okładkę fragmentem fotografii księżnej Daisy i jej synów, wewnątrz zbioru umieszcza fragmenty tryptyku Hieronima Boscha „Ogród ziemskich rozkoszy”. Poeta w „Żywotach poleconych” zajmuje się nie tylko teorią kultury, ale i praktyką, gdy uzupełnia poczet aniołów o nowych przedstawicieli. Jest wśród nich anioł Reszel, bliski nam, bo nosi to samo imię co zabytkowe miasto warmińskie („Aniołowie”). Odnosząc się w wielu utworach do Śląska, gdzie mieszkał przez dziesięć lat, poeta przywołuje też rodzinny Olsztyn („Miasto”, „Wysoka Brama”). Poleca nam do studiowania żywo-

ty takich światowych gigantów jak niemiecki mistyk Jakub Böhme czy genialny wynalazca, „ojciec elektryczności” Nikola Tesla. Entuzjazm tego ostatniego jest szczególnie bliski poecie. Kiedy piszę te słowa, napędzany energią słoneczną samolot kontynuuje podróż dookoła świata.

4. Zdaniem Julienu Clintona Sprotta, profesora fizyki z University of Wisconsin, najbardziej tajemniczym zjawiskiem Wszechświata jest Czas. Francuski filozof Gaston Bachelard w „Intuicji chwili” uznał, że medytacja na temat Czasu jest „wstępem do wszelkiej metafizyki”. Szymanowski w różnych aspektach poświęca uwagę Czasowi.

Jednym z nich jest metoda „wyłamywania” z wieczności teraźniejszości, jak w wierszu „Jest jeszcze czas”:

*Napisać o niej w czasie teraźniejszym,
póki jeszcze dostępny jest czas teraźniejszy.
Bo czemu właściwie nie mamy być wdzięczni,
że zdążyło się chociaż tyle używać wieczności?*

Wieczności poświęca osobny utwór pod tytułem „Rozważania na temat wieczności” lub nawiązuje do niej w puencie wiersza „Nadzieja”. Jednym z aspektów teorii Czasu jest filozofia przypadku, która w kręgu naszej kultury była domeną Wisławy Szymborskiej i Krzysztofa Kieślowskiego. W „Żywotach poleconych” czytamy o spełnionych wariantach ludzkiego losu („Gdzie indziej”) lub nadziejach na miłość („A więc jest możliwa”).

Ćwiczeniem z teorii Czasu jest praktyka buddyjskiej uważności, która co dzień o tej samej porze pozwala poecie zaobserwować w pociągu relacji Chorzów–Katowice mężczyznę w obcisłych spodniach i białej zmęczonej koszuli („Pociąg”) lub wspominać babcię, która *pierwszego każdego miesiąca schodzi do piwnicy/ i liczy ile zostało słoików z truskawkowym dżemem* („Ciekawość”).

5. Nowym tonem w twórczości Szymanowskiego jest ojcostwo. Poeta poświęca temu stanowi wiele strof. Pojawia się ono w płaszczyźnie osobistej („Syn”), a także filozoficznej („Ewolucja”).

Najnowsze wiersze Dariusza Szymanowskiego, w których duch Zbigniewa Herberta przechadza się pod rękę z żywym poetą Adamem Zagajewskim, to miejska poezja kultury, kontemplacyjna i religijna. Prowadząc coś w rodzaju nasłuchu cywilizacyjnego („Wykład z historii naturalnej”), poeta napawa się harmonią świata. Zda się wołać: *Chwilo, trwaj!*

Widnoksiąż

Alvydas Šlepikas, *Mam na imię Marytė*, tłum. Paulina Ciucka,
Wrocław–Wojnowice: Wydawnictwo Kolegium Europy Wschodniej, 2015

Dzięki inicjatywie Kolegium Europy Wschodniej w siedzibie olsztyńskiej „Borussii” odbyło się w kwietniu 2016 roku spotkanie autorskie Alvydasa Šlepikasa, poety, pisarza, redaktora z Wilna. „Mam na imię Marytė” uznana została za najlepszą litewską książkę 2012 roku. Dotychczas ukazało się aż pięć wznowień. Bohaterami tej opartej na faktach opowieści są tzw. Wolfskinder (niem. wilcze dzieci), niemieckie dzieci z Prus Wschodnich, które po zdobyciu tych terenów przez Armię Czerwoną szukały schronienia, ocalenia, żywności na sąsiedniej Litwie (głównie w latach 1945-1947). Zdarzało się też, że zrozpaczone niemieckie matki sprzedawały za żywność starsze dzieci przybywającym na ten zdobyty obszar w celach handlowych litewskim chłopom.

Wilcze dzieci to jeden z ostatnich i najmniej bulwersujących (wojennych, powojennych) tematów tabu, do których należą i Russenkinder: dzieci urodzone w wyniku gwałtów żołnierzy Armii Czerwonej na niemieckich kobietach, o czym opowiada ostatnio francuski film „Nie-winne”, kręcony w Krośnie i Ornece na Warmii z udziałem polskich aktorek. Nie są to jedynie historyczne tematy, gdyż żyją jeszcze bezpośredni świadkowie tych potworności. Na naszych oczach dochodzi nie tylko do odkrywania kolejnych tematów tabu, ale i do przewartościowywania uznanych za oficjalne faktów czy (nad)interpretacji – manipulacji pamięcią kulturową, historyczną w celu osiągnięcia doraźnych efektów politycznych. Następuje co prawda związana z tym procesem fetysyzacja pamięci prywatnej (najczęściej traumatycznej i urazowej), która przecież nie jest tzw. obiektywną historią...

Przygotowując się do tego spotkania z litewskim autorem, zapoznałem się z wydaną kilka lat temu pierwszą publikacją w języku polskim o tych wydarzeniach, a mianowicie relacją Ingeborg Jacobs „Wilcze dziecko. Niezwykła historia Liesabeth Otto urodzonej w Prusach Wschodnich”. Liesabeth Otto jako siedmioletka wyruszyła w 1945 roku z pruskowschodniej Welawy (obecnie Znamieski) na Litwę na żebro, gdzie ocalała – wykazując niesamowity hart ducha

w obliczu potwornych przeciwności – ciężko pracując u tamtejszych chłopów, aby po kilku latach za kradzież zostać zesłaną do łagrów. Po zwolnieniu pracowała i mieszkała w różnych częściach Związku Sowieckiego i dopiero w 1975 roku odnalazła w Niemczech brata i ojca. Nie potrafiąc jednak normalnie żyć w Niemczech, wróciła (czego potem żałowała) do ZSRS, osiedlając się tym razem w dawnej swojej (utraconej) małej ojczyźnie przemianowanej oczywiście na obwód kaliningradzki. Jej powrót, skoro ludzie sowieccy z reguły wyzywali ją „od Niemek i faszystek”, nosił znamiona czynu kompletnie absurdałnego. Zakończył się zresztą mało optymistycznie. Jej losy, opowiedziane otwarcie niemieckiej dziennikarce w latach 90., są wstrząsające, a w porównaniu z losami bohaterki opowieści Ślepikasa – chociaż też wywiedzione z rzeczywistości – są po prostu bardziej wiarygodne dokumentacyjnie... i przekonujące literacko. Przynajmniej w moich oczach amatora kronik, wspomnień, archiwów, świadectw, *non-fiction*, a nie tzw. beletrystyki. W Niemczech zresztą temat ten był znany i prezentowany.

Znamienne, że chodzi o wilcze dzieci z północnego regionu dawnych Prus Wschodnich, który przypadł Związkowi Sowieckiemu. Z jego strony nie było żadnego zmiłowania. Nasza część tej krainy została przekazana administracji polskiej, co zmieniło postać rzeczy, ale przejście frontu i pierwsze tygodnie były podobne w skali reperkusji w stosunku do ludności cywilnej. Znamy podobne wydarzenia odnoszące się do losów sierot po zabitych, zmarłych, zaginionych, wywiezionych niemieckich Warmiakach i Mazurach w 1945 roku. Sierotami tymi zajmowała się dalsza rodzina, krewni (np. jak było w przypadku trzech braci Kruków), domy dziecka, ale na pewno nie obyło się bez tragedii i dramatów osobistych. Cała poezja mazurska Erwina Kruka opiera się na podstawowym doświadczeniu sieroctwa, opuszczenia, obcości, tragedii osobistej, która – bez względu na odniesione sukcesy literackie i prestiżowe w PRL i III RP – wyznaczyła krąg jego głębokiej wrażliwości egzystencjalnej i etnicznej.

Oczywiście niewielka objętościowo opowieść Ślepikasa (który powtarzał na spotkaniu, że napisał utwór ściśle literacki) jest też jakoś tam wartościowa, szczególnie w drugiej części zawierającej relację z perypetii pobytu dziewczynki na Litwie. Autor nie unika strasznych faktów (zdziczenia żołnierzy, masowego głodu, hańby i nieszczęść niemieckiej ludności cywilnej po przejściu frontu zimą 1945 roku), chociaż nimi nie epatuje, realność przepuszcza przez rwaną, fragmentaryczną narrację, psychologizując na poziomie doświadczeń uniwersalnych, kontaminując też pewne fakty historyczne, aby wydobyć całościowy dramatyzm losów podbitych narodów (w tym i litewskiego).

Najciekawsze są jednak losy głównej bohaterki Renaty-Marytę (bo takie typowe litewskie imię przybrała, żeby się ocalić, niemiecka dzielna dziewczynka), opowiedziane autorowi przez realną postać, która użyczyła swojej historii losom fikcyjnej osoby. Chyba te proste, ale szlachetne zabiegi „literackie” spowodowały, że opowieść ta stała się w końcu bardziej pomysłowym literackim niż spisaniem z pierwszej ręki (czyli pozornie autentycznym) świadectwem epoki (tutaj przypomina się „Malowany ptak” Kosińskiego). Sama Litwa jest idealizowana. Ciekawy okazał się pomysł stworzenia aury jakby „baśniowości” wydarzeń (jak ze złych baśni Grim-

mów, bo przecież bohaterkami są głównie dzieci), których postacie wcielały się w role złych i dobrych... kreatur (chciałoby się powiedzieć stworów). Chyba ten „poetycki” naddatek wspomógł książkę i dlatego warto ją przeczytać. Ponadto jej lektura wywołuje ochotę zapoznania się z innymi, bardziej typowymi i dotkliwymi dla Litwinów tematami tabu z okresu II wojny światowej.

Na pytanie, jaki ważny temat tabu pozostaje na Litwie nieopisany, sympatyczny autor odpowiedział jednoznacznie: *takim tematem jest holocaust, zagłada Żydów* (dodajmy: dokonana głównie faszystowsko-litewskimi rękami). Można też dorzucić kolejne tabu: spychane w mroki historyczne relacje z Polską i Polakami, ale wystarczy, bo jeszcze czytelnik tych słów pomyśli, że ze mnie jakiś szczególnie wyrafinowany nacjonalista. A to nieprawda. Domagam się jedynie partnerstwa w dociekaniu prawdy. I się jej nie boję.

Są też i inne tematy niepokojące, bo czym można wytłumaczyć najwyższy wskaźnik samobójstw w Europie, którym szczyci się Litwa...?

Jaana Kaplinski, *Ojcu*, tłum. Anna Michalczuk, Sejny: Pogranicze, 2016

Ojcem wybitnego estońskiego poety, pisarza, ekologa, tłumacza poliglotty Jaana Kaplinskiego (ur. w 1941 roku) był Polak pochodzący z rodziny frankistowskiej Jerzy Kapliński (XVIII-wieczna sekta żydowska Jakuba Franka na terenach wschodnich Rzeczypospolitej, która przyjęła katolicyzm, a jej członkowie zostali uszlachceni), wykładowca literatury polskiej w Estonii, zamęczony w gułagu sowieckim. Wśród pobocznych członków polskiej rodziny autora warto wspomnieć samego Boya-Żeleńskiego czy Mieczysława Karłowicza. W przypadku potoczenia się inaczej losów ojca jego syn Jaan stałby się prawdopodobnie polskim, a nie estońskim poetą.

Dzięki „Pograniczu”, a może dzięki samemu szefowi tej cennej instytucji Krzysztofowi Czyżewskiemu, dostaliśmy do ręki bardzo interesujący dziennik osobisty, w którym poszukiwania prawdy o ojcu, o losach polskiej rodziny (ale też i tej estońskiej ze strony matki), o samym sobie od dzieciństwa do czasów nam współczesnych zgrabnie spletają się z charakterystyką narodów, z analizą powołania literackiego, namysłem historiozoficznym, a nawet rozważaniami politycznymi. Jaan Kaplinski kilkakrotnie w poszukiwaniu śladów rodzinnych i ojcowskich przebywał w Polsce, ale nie były to jakieś szczególnie szczęśliwe wizyty (poza pobytami w sejneńskim „Pograniczu”). Autora osobliwie męczył (w tej odrodzonej po 1989 roku Polsce) i męczy dalej polska megalomania oraz polski nacjonalizm katolicki. To dla niego całkowicie obce i niezrozumiałe postawy. Próbował je tłumaczyć traumą utraconego „imperium”. Inna rzecz, że Jaan Kapliński szczerze zauważa, że nawet w macierzystej Estonii nie czuje się u siebie „w domu”. Cytuję: *Ktoś powiedział, że narodową potrawą Estończyków jest drugi Estończyk*. Te i podobne rozważania o narodowym charakterze jego ziomków (aż do oskarżenia o neonazizm) wcale nie odbiegają od tego, jak my samych siebie traktujemy w naszej ojczyźnie i kim się teraz

stajemy. Smutne konstatacje i stale aktualne niestety. Jaśniejszymi stronami w tej wyznaniowej i osobliwie pięknej książce są rozważania o naturze, opisy pobytu w domu wiejskim, codzienna krzątania w sercu świata przyrody. Rzecz wyjątkowej urody i uczciwości intelektualnej.

Bora Ćosić, *Konsul w Belgradzie*, tłum. Danuta Ćirlić-Straszyńska, Sejny: Pogranicze, 2012

Bora Ćosić (ur. w 1932 roku) jest wybitnym serbskim pisarzem, który od 1995 roku mieszka w Berlinie. Książka zawiera niezwykle barwnie, wręcz frenetycznie opisane (młodo/pokoleniowo) literackie i kulturalne życie w titowskiej Jugosławii (Belgradzie) i jako wspomnieniowy dziennik inicjacji w życie, kulturę, erotykę, literaturę, a nawet politykę służyć może za wzór literackiego spełnienia tego typu. Właściwie jest to autobiografia z wczesnych lat ściśle związana z Belgradem (z „konsulowaniem w Belgradzie”), która zaczyna się wraz z wybuchem II wojny światowej, a rozkwita w latach 50. i 60. Wspomnienia, w których czytelnik zanurza się jak w wodach rwącej i bogatej w ryby-wydarzenia rzeki, są zmysłowe, gęste od doznań rozmaitych, od refleksji chwilowych i odwiecznych, od domysłów, półprawd, tajemnic i odkrywania tychże tajemnic; gęste też od uwag i doznań literackich (technicznych i anegdotycznych) oraz czysto obyczajowych. Świetnie się pochłania tę burzliwą książkę, jak jakiś szczególnie smakowyk – magdalenkę. I smutno, że Belgrad stracił to wszystko, co symbolizował przez całe dziesięciolecie wraz z wybuchem szaleństwa nacjonalistycznego.

Anna Janko, *Mała Zagłada*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2015

Pod koniec kwietnia 2016 „Mała Zagłada” Anny Janko otrzymała literacką nagrodę miasta Warszawy w dziale prozy. Całkowicie zasłużenie. Chciałoby się powiedzieć: wreszcie! Jest to bardzo poruszająca historia rodzinna, w której autorka, już w średnim wieku, postanawia zejść w piekło doświadczeń wojennych swojej matki, poetki Teresy Ferenc. Teresa Ferenc mieszkała we wsi rodzinnej Sochy na Zamojszczyźnie i wieś ta, wraz z licznymi jej mieszkańcami, w tym rodzicami małej Tereski, została spalona, zabita przez wojska niemieckie 1 czerwca 1943 roku. Zresztą podobny los spotkał dziesiątki innych wsi polskich.

266

Od początku lat 70. czytam poezje Teresy Ferenc, której trauma zagłady tamtego świata oraz światopogląd chrześcijański stanowią kanwę jej emocjonalnych i osobistych liryków, w których charakterystyczna metaforyka ognia ujawniała czasami wypaloną ziemię jej znękaną i osieroconą duszę. Gdy pojawiła się autobiograficzna relacja o tej tragedii – autorstwa jej córki, która poszła bardzo osobiście i głęboko w ekspresję prawdy rodzinnej, narodowej, historiozoficznej o zapomnianej (choć kiedyś w PRL-u szeroko komentowanej) zbrodni i w ogóle o zbrodniczości natury ludzkiej (czy „męskiej”) – to bardzo szybko ukazało się sporo entuzjastycznych i wnikliwych recenzji, co kontrastowało z późniejszym, jakby wymuszonym

milczeniem. Przypuszczam, że powodem tego było głośne akcentowanie przez autorkę w wywiadach, co przecież wynikało z przyjętej osobistej dykcji, że i Polacy – stosownie do zamysłu hitlerowskiego – postawieni zostali jako drudzy w kolejce do wielkiej Zagłady po Żydach. Samo posłużenie się zwrotem „Zagłada” (nawet jeśli poprzedzone epitetem „mała”) niektórych zirykowało. Niesłusznie, bo nie chodziło o odebranie nikomu „Zagłady”, ale o przypomnienie swojego prawa do pamięci i rachunku w kontekście całości tragedii Człowieka historycznego i moralnego. Truizmem jest podkreślanie, że Polacy rzeczywiście byli „pierwszymi w czasie ofiarami Hitlera i Stalina”, ale tak było rzeczywiście. Janko nie chodziło o naruszenie istoty żydowskiej martyrologii, lecz o jej osobiste prawo do mówienia w ten sam sposób „pateetyczny i wyjątkowy” o wyjątkowości zbrodni niemieckiej na konkretnych Polakach, na członkach jej rodziny oraz o wieloletniej wynikłej z tej zbrodni traumie. Miała i ma prawo do tego.

Ta opowieść dokumentalno-reportersko-antropologiczna jest ekspresją przymusu rozliczenia się ze straszliwą traumą, którą po prostu się dziedziczy, chcąc nie chcąc. Traumą, z którą trzeba się zmagać dla dobra...? Czego? Prawdy? Zdrowego życia? Pokonania... choroby sieroczej...? Wyrównania rachunków? Lepszej miłości do nieszczęśliwej, kochanej matki? Żeby wybaczyć? Komu? Najbardziej sobie chyba. Ta opowieść w końcu musiała zostać napisana. I dobrze, że opublikowana.

Tak, chodzi w tym przypadku o uczciwość emocjonalną, intelektualną, etyczną wobec wielkich i małych historii, o samą istotę pamięci, która nie musi być na bieżąco poprawna politycznie, aby celnie wydobyć z tragedii jednostek, społeczeństw, całych narodów esencję stale nam zagrażającego, bo żyjącego w nas i z nas przepoczwarzającego się Zła. Które w tej chwili historycznej jest ponownie przez wielu tu i tam w różnorodny sposób przywoływane jako pożądane siłowe rozwiązanie „upadku, kryzysu, osłabienia wartości”.

Cezary Łazarewicz, *Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka*,

Wołowiec: Wydawnictwo Czarne, 2016

Bardzo trudno mi pisać o tym niesamowicie poruszającym reportażu, którego bohaterem jest zamordowany przez ZOMO 14 maja 1983 roku maturzysta Grzegorz Przemyk, jedyny syn poetki Barbary Sadowskiej. Z matki, aktywnej opozycjonistki antykomunistycznej, próbowano uczynić pijackę i osobę nieodpowiedzialną, z syna – narkomana i element chuligański. Nieco później zamordowano księdza Jerzego Popiełuszkę. Poznałem osobiście Barbarę Sadowską, rozmawiałem długo i z Grzegorzem, który wtedy jeszcze chodził do podstawówki. Grzegorz naprawdę zadziwił mnie swoją „dorosłością” i wrażliwością. Bardzo trudne wiersze Barbary Sadowskiej znałem, ale chciałem ją poznać chyba dlatego, że zachwyciłem się jej listami wykorzystanymi w prozie Stanisława Czycza. Nie zawiodłem się. Jeszcze daleko było do „Solidarności” i tym bardziej do stanu wojennego. Po śmierci Grzegorza nigdy nie odważyłem się odwiedzić Barbary Sadowskiej. Dochodziły do mnie straszne wiadomości o jej utracie

woli życia. Zginął jej syn, a następnie „jej ksiądz”. Nie pojechałem na pogrzeb Grzegorza Przemyska. Byłem na pogrzebie ks. Popieluszki i olsztyńskiego studenta Marcina Antonowicza (przypadkowo zabitego przez milicję jesienią 1985 roku). Koniecznie trzeba przeczytać ten dokument i przeżyć dogłębnie, bo zawarte są w nim doskonałe opisy działania struktur przemocy i ludzkich zachowań w sytuacjach ekstremalnych. Porażająca lektura. Mistrzowsko napisany reportaż śledczy. Czułem się po niej okropnie bezbronnie. Tamte szare i przykre lata stanęły mi przed oczami. Nie wszyscy mieli szczęście dożyć 1989 roku. Pamięci Barbary Sadowskiej poświęciłem swój tom wierszy „Amor fati”. Wiem, że to nic.

Jan Darowski, *Unsere*, Rzeszów: Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, 2012

Jan Darowski, *Eseje*, Rzeszów: Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, 2013

Jan Darowski, *Poezje*, Rzeszów: Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, 2015;
redaktor serii: Jan Wolski

Jan Darowski (urodzony w 1926 w Brzeziu na Górnym Śląsku, zmarł w Londynie w 2008) należy do mało znanych poetów emigracyjnych (związanych z londyńskimi „Kontynentami” z przełomu lat 50. i 60. minionego wieku), których przypomnieniem zajęła się rzeszowska „Fraza”. Jan Darowski, z zawodu poligraf, za życia opublikował dwa tomy poetyckie (pośmiertnie ukazał się kolejny), tak więc edycja rzeszowska jest pierwszą kompletną publikacją całości wierszowanego dorobku poety, tłumacza, krytyka literackiego, publicysty. Pozwolę sobie zawyrokować, że poetycka twórczość Jana Darowskiego ma znaczenie zaledwie historyczno-literackie, chociaż kilka wierszy z okresu stanu wojennego, kiedy dusza poezji obudziła się w emigracyjnym literacie, nadal jest przekonująca, jak np. ten o paczkach do Polski z pointą: *Nie wiem gdzie ja znajdę odzież/ na odartych ze skóry*.

W 1965 roku w kraju wyszła antologia poetycka londyńskiej grupy „Kontynentów” pt. „Opisanie z pamięci” w opracowaniu Andrzeja Lama. Dziwne było to, że autorzy ci publikowali w PRL oraz to, że wyrwani zostali z ojczyzny (z nielicznymi wyjątkami, jak np. Jerzy Niemojowski) w wieku dziecięcym, a mimo to próbowali swoich sił w tej trudnej sztuce wypowiedzi lirycznej bez styczości z żywym językiem. Sam fakt literackiego pisanie w języku, który – mimo że macierzysty – stał się w zasadzie wyobcowany, sztuczny, obcy, niecodzienny, książkowy, odstający od codzienności, godny jest uwagi i refleksji. Język ten nie posłużył tym młodym, nieco zbuntowanym ludziom za ustalone i pojętne narzędzie do wyrażania nostalgii za utraconą ojcowizną-ojczyzną, lecz za świadome narzędzie do wyrażenia ich oryginalnej, dziwacznej sytuacji imigranckiej, skomplikowanej biografii i tożsamości. W ogóle kwestie lingwistyczne (a więc i namysł nad tworzywem mentalno-psychiczno-kulturowym, samym przeżyciem jako ekspresją kondycji człowieka wyalienowanego) były im bliskie. Ale będę szczery: te początki poetyckie wcale nie były ani imponujące, ani bulwersujące pod względem artystycznym i poznawczym. Czas lepszych wierszy miał dopiero nadejść (i to nie dla wszystkich) za lat blisko dwadzieścia...

Tylko niektórzy z „kontynentowców” nigdy nie odwiedzili starego kraju. Większość zdecydowała się na publikacje, przyjazdy, uczestnictwo w mniejszym lub większym stopniu w życiu twórczym PRL. Kształcili się najczęściej w Anglii, spotkali się na studiach, a następnie poróżnili po świecie. Warto wymienić nazwiska antologistów Lama: Andrzej Busza (spotkałem go kilkakrotnie w Vancouverze i Warszawie w latach 90.), Bogdan Czaykowski (bezwzględnie najwybitniejszy z nich wszystkich, kilkakrotnie spotkałem się z nim w Vancouverze, gdzie na tamtejszym uniwersytecie zajmował się sławistyką), Adam Czerniawski (częsty gość w starej i nowej Polsce, najbardziej utalentowany intelektualnie, spierający się ze Stanisławem Barańczakiem), Jan Darowski (nie zdecydował się odwiedzić kraju nawet po 1989 roku), Zygmunt Ławrynowicz (został w Londynie, przyjeżdżał do rodziny na Warmię i do Olsztyna, dwukrotnie się z nim widziałem w latach 80., tłumacz m.in. Donelaitisa), Jerzy Niemojowski (rocznik 1918), Florian Śmieja (też często drukował i bywał w Polsce: aktywny do dzisiaj zresztą), Bolesław Taborski (większość dzieł poetyckich i teatrologicznych opublikował w kraju). W zasadzie tylko Andrzej Busza (rocznik 1938, mieszkający w pięknym Vancouverze i najsłabiej znający utracony język macierzysty) postanowił w pewnym momencie przejść na pisanie wierszy w języku angielskim. Wszyscy wymienieni poeci zajmowali się z większymi lub nieco mniejszymi sukcesami tłumaczeniami (w tym na język angielski utworów polskich twórców), pasjonowali się poezją krajową (najczęściej Białoszewskim, który budził w nich zainteresowanie kreatywną strukturą języka, oraz Herbertem jako nosicielem żywej tradycji klasycznej), brali udział w dyskusjach literackich (szczególnie Adam Czerniawski), interesowali się aspektem lingwistycznym słowa poetyckiego. Jan Darowski wraz z Andrzejem Buszą należeli do tych mniej znanych. I rzeczywiście jako poeci byli obdarzeni zdecydowanie słabszym talentem poetyckim. Z wymienionych żyją jeszcze właśnie Busza, Czerniawski i Śmieja (ci dwaj ostatni nadal pozostają aktywni literacko i goszczą np. na łamach „Frazy”).

Świetne i warte upowszechnienia są natomiast wspomnienia zatytułowane po niemiecku „Unsere”, które w formie autobiografii powstały wiele lat po wojnie i dotyczą okresu dzieciństwa i młodości autora z najważniejszą klamrą z okresu końca II wojny światowej: wcielenie do wermachtu, ucieczka do aliantów na froncie zachodnim, wstąpienie do wojska polskiego, pobyt w Szkocji do 1946 roku... Szkoda, że tylko tyle autor napisał w autobiografii, bo czyta się ją świetnie, bo wiele rzeczy jest w niej pouczających i intrygujących, a szczególnie opis losów Górnolązaków, ponieważ autor jest inteligentny i ciekawy świata. „Unsere Leute”: nasi ludzie, to Niemcy nasi i Polacy nasi, bo „piastowscy”, to Górnolązacy z dziada pradziada. Ci źli to „Niemcy nie nasi”: kolonizatorzy oraz Polacy „nie nasi”, też kolonizatorzy.

269

„Eseje” to najgrubszy tom, bo 600-stronicowy, zawierający wiele stronic kontrowersyjnych, ożywczych, nieco pokrętnie, ale z pasją napisanych, w których Jan Darowski opowiada o swojej fascynacji językiem (językami), swoim górnoląskim pochodzeniu oraz wielokrotnie o Żydach, Polakach i swoich poglądach na niełatwe stosunki między nimi w XX wieku, a szczególnie tragiczne podczas II wojny światowej. Rozważania te napotykały swoich krytyków, ale autor bronił się dzielnie przed oskarżeniem o antysemityzm, bo „nie cierpiał antysemitów”,

ale chciałby tragedię żydowską ujrzeć w „całym kontekście” dziejowym, odrzucając jakikolwiek „rasizm” (w tym i żydowski). Niełatwego i kontrowersyjnego miejscami zadania podjął się nasz autor, ale wiele przytoczył cennych argumentów na rzecz pogłębionego widzenia losów narodu żydowskiego w Rzeczypospolitej na przestrzeni dziejów, które zakończyło się ludobójstwem podczas II wojny światowej rozpętanej nie przez Polskę, lecz przez Hitlera i Stalina. Cytuję przykładowo:

Nic w dziejach nie jest za darmo, nawet dla Żydów. Ale wtedy w tamtym starym świecie, w którym Żydzi mówili tylko o modłach po hebrajsku, żydostwo polskie w konieczności musiałoby ułożyć się z nami. Tylko przenigdy jako państwo w państwie, a tylko i jedynie jako laicko zasymilowany naród, ze swoją odrębną religią i obyczajem, stopiony z nami wspólnotą codziennego języka, ekonomicznego dorobku i racji stanu. [...] Cóż, kiedy zostali wymordowani, albo opuścili nasz kraj i nie ma ich w Polsce już więcej, prócz jako tragiczne wspomnienie i osad ciemny na dnie naszych dusz – osad wstydu, niestety. [...] Polska, a nie żaden inny kraj na świecie, jest prawdziwą kolebką Izraela, nasze walki o byt narodowy, jego wczorajszym natchnieniem – uznawanym w Izraelu czy nie. A mimo to, wstydzimy się, wstydem byłoby nam nie wstydzić się i nie przynosi nam wstydu ten wstyd...

Trafne spostrzeżenia.

Państwo Nikt. Dzieje ludzi nieważnych, wybrał i skomentował Mirosław Ryszard Makowski, posłowie Sylwia Siedlecka, Katowice: Manufaktura Legendy, 2016

Autorem tej hybrydalnej i pobudzającej do samodzielnego myślenia książki jest Mirosław Ryszard Makowski (mój 1952 rocznik), syn cenionego artysty malarza Zbigniewa Makowskiego (podziwiałem jego nasycone kolorami, intelektualną precyzją i nadrealistyczną atmosferą obrazy na przeglądach sztuki polskiej, np. w latach 70. w Warszawie czy Wrocławiu) oraz Barbary Zawisławskiej-Makowskiej-Gonczarowskiej, prawdziwej (i nieszczęśliwej) bohaterki tej sylwicznej opowieści biograficzno-kronikarsko-rodzinnej. Całkiem spora to opowieść wijąca się meandrycznie, neurotycznie, obsesyjnie, fragmentarycznie, nasycona glosami, komentarzami odnarratorskimi i przede wszystkim nosząca cechy temperamentu jej autora, który występuje w niej jako bohater, jako śledczy (sędzia), jako świadek. Autor jest znanym projektantem, fotografikiem, fanatycznym bloggerem, więc nic dziwnego, że sama opowieść wywodzi się z sieci, z internetu: www.net.nikt. Tam można znaleźć więcej informacji i więcej ścieżek.

Mirosław Ryszard Makowski podążając w sposób swoisty wspomnieniami matki, jej pamiętnikami, jej wieloletnimi zapiskami, w których odbija się nie tylko jej dramatyczny żywot osobisty, ale i dramatyczny żywot jej rodziny, dorzuca swoje przeżycia osobiste i pokoleniowe, do których doczepia znane ogólnie i smutne doświadczenia polskiego XX wieku. Do tego prywatno-rodzinnego miszmaszu, którego rwany i pogmatwany styl nie ułatwia rozumienia

chronologii wydarzeń i powiązań (bo przecież nie jest to dzieło historyczne, lecz „prywatny, blogerski” zapis dokumentacyjny non-fiction), dochodzą bardzo interesujące wątki historyczno-filozoficzne, polityczne, środowiskowe (Warszawa i jej mieszkańcy na przestrzeni lat!), ogniskujące się wokół przekłębnych problemów PRL (socjalizm a komunizm, żydokomuna a opozycja itd.).

Opisy piekieł domowych, państwowych, osobniczych, środowiskowych. Nie ma tu sentymentalizmów ani wyroków. Autor często zawiesza sądy w wielu sprawach. Jest mądrzejszy od tych, co wszystko wiedzą, a nie żyją. Chcąc nie chcąc, jest jednak sędzią. A wszędzie czai się II wojna światowa z jej straszną traumą. Kolejny dowód na „przenoszenie” wojennej traumy z rodziców na dzieci (patrz: Anna Janko).

Kilka cytatów:

Kto lubi czytać cudze genealogie? Ciąg nazwisk, dat. Nieznani ludzie, cienie zapomnianych przodków. I wszystkie prawdziwe: toż to relacje. Źródła... [...]. Ile nieprawdy wyleje się z naszych dzisiejszych opowieści, z nadmiernych licznych przekazów, często będących [...] wersjami wersji poznanych gdzieś, kiedyś. Nie idzie o kłamstwa, fałszerstwa. To też. Ale te konfabulacje, zlepki ze szczątków źle przetrawionych: mitologie i półprawdy. [...] Truizmy i kalki... [...] Kto nas kształtuje? Co nam wybiera drogę? Zbieram – ale dla jakiej potomności? Kto to będzie czytał, te notatki [...] Jej wiersze...

Większość (po wojnie) żyła. Rodzili dzieci, nas. Udawali, że je wychowują. A w środku co? Nie wiadomo. Czy my, urodzeni w latach 50. – też jesteśmy ofiarami? To za łatwe. Ale coś nam z wojny zostało. Okruchy nieładne. Dziś modnie napiszemy: geny.

Jak to się skończy: wiem. Nie oceniam, staram się, ale... Dziś ofiary prostych wypadków drogowych dostają jakąś pomoc psychologiczną. Tamto pokolenie, nazwijmy je upraszczając: wojenne – wszyscy oni powinni byli trafić do zakładu zamkniętego na długą terapię. Trafili do Peerelu.

Gęsta od wydarzeń małych i dużych, od komentarzy słusznych i niesłusznych, od wielkich i małych losów konkretnych ludzi z krwi i kości książka, której nieprzeciętna wartość poznawcza przekracza jej utylitarne walory terapeutyczno-kronikarsko-osobiste. Minihistorie ludzi „nieważnych”, które składają się na budulec ważnej historii.

Arkadiusz Stempin, *Sojusznicy. Od Fryderyka I i Katarzyny Wielkiej do Merkel i Putina*,

Warszawa: Agora, 2016

Profesor Arkadiusz Stempin, publicysta, historyk, politolog, kierownik katedry Konrada Adenauera w Wyższej Szkole Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera napisał ze znajomością rzeczy, a ponadto warto i interesująco, książkę o... polskich przeklętych problemach, które uosabiają nasi apokaliptyczni sąsiedzi: Rosja i Niemcy. Apokaliptycznymi narodami są, zgodnie z terminologią sławnego religioznawcy i filozofa Jacoba Taubesa (1923-1986), takie narody (czy państwa), które owładnięte ideą (polityczną, religijną) skłonne są do najwyższego poświęcenia (siebie, a osobiście innych), co najczęściej kończy się zbrodniami przeciw ludzkości (zwałami trupów), a nie zbudowaniem Wiecznego Pokoju dla Wybrańców na Ziemi Obiecanej. Jest jedna różnica, ale znacząca: Rosjanie nie przerobili absolutnie lekcji politycznego i prawnego rozliczenia po zbrodniach komunizmu w odróżnieniu od Niemców, którzy (co prawda zmuszeni przez zwycięzców!) z hitleryzmem raczej się uporali (w odróżnieniu od braci Austriaków). Dla Polski, państwka wciśniętego między dwa imperia, każdy sojusz niemiecko-rosyjski (hitlerowsko-stalinowski itd.) był (jest, będzie?) zwiastunem nieszczęścia, a jego efektem dążenie do bratania się dwóch imperiów granicami (uwaga: z tego „zbratania” wcale nie musi wyniknąć kolejna wojna między „sojusznikami”).

Nasza nadzieja w tym, że przynależność Polski do Unii Europejskiej i NATO wraz ze zjednoczonymi Niemcami zmniejsza poważnie ryzyko jednostronnego układania się RFN z Federacją Rosyjską. Są drobne, acz wybitne posunięcia negatywne, jak sławetny ropociąg bałtycki wybudowany pomimo sprzeciwów sąsiadów. Tworzenie wspólnych (nie tylko gospodarczych) interesów naszych sąsiadów kosztem Polski nie może więc wykluczyć w tym przypadku radykalnych zmian na mapie politycznej Europy. To najważniejszy nasz powód, abyśmy dążyli do wzmacniania i politycznie, i wojskowo Unii oraz NATO. Stratedzy z PiS-u natomiast robią wszystko na odwrót, więc delikatnie mówiąc, postępują niepatriotycznie. Wydaje się już pewne, że Polska wypadnie z rysującego się powoli zdrowego „trzonu” (starej) Unii Europejskiej i stanie się wraz z Węgrami, Czechami i Słowacją drugoligowcem (ale tylko nas ta strata naprawdę zaboli!). Obyśmy nie zapłacili za ich beztroską głupotę i polityczną hucpę najwyższej stawki: utraty suwerenności, którą tak lubią młócić w swoich szalonych ustach.

272

Kancelarz Merkel stoi teraz przed poważnym zadaniem: przedłużyć do końca roku lub nie sankcje przeciwko Rosji. Niedługo o tym się dowiemy. Stosunki między Merkel a prezydentem Rosji Putinem (germanofilem) są „poprawnie napięte”, ale w gabinecie pani kanclerz wisi portret Katarzyny II, Niemki ze Szczecina, która jako caryca Rosji postawiła, idąc śladem Piotra I, carską Rosję w pierwszym szeregu imperiów.

Na tę świetnie napisaną, a Polaków denerwującą, opowieść składa się 10 rozdziałów, których bohaterami są władcy i ich mniej lub bardziej skomplikowane relacje: Fryderyk i Katarzyna, Luiza i Aleksander I, Bismarck i Aleksander I, Wilhelm II i Lenin, Hitler i Stalin, Adenauer i Chrusz-

czow, Brandt i Breżniew, Kohl i Gorbaczow, Merkel i Putin. Autor nie stroni od anegdot, ale żywił publicystyczny dobrze służy eksplikacji bogato i ze znanstwem przytaczanych faktów. Interpretacje są ściśle związane z tokiem opowieści, a całość nie zamyka się, bo nie może, jakąś zbawczą (dla nas?) formułą, lecz przytoczeniem przekonania Merkel o tym, że trwałego pokoju w Europie (a może i na świecie) nie ustanowi się bez Rosji. Problemem pozostaje tylko kwestia: jakim (i czym? Ukrainy, Syrii, Europy Minor) kosztem?

Dobrych cytatów jest bez liku. Musi wystarczyć jeden:

Także wspólne niemiecko-radzieckie korzenie okazały się w momencie zawierania paktu (Mołotow–Ribbentrop) sięgać całkiem głęboko. Niemcy sprezentowali przecież pokrewnemu systemowi komunistycznemu dwóch ojców chrzestnych: Marksa i Engelsa. Nieco później sprowadzili pociągiem z azylu w Szwajcarii praktyka Lenina prosto do Petersburga, by na miejscu wcielił w życie nowy system. Jego następca Stalin pomógł Hitlerowi sięgnąć po władzę w Niemczech, stosując u siebie w Rosji wspomnianą już „tygrysią metodę”.

Putin wrócił przygnębiony upadkiem ZSRR do Petersburga z Drezna. Wtedy był nikim. Teraz od lat jest Wszystkim. Co ta matryoszka chowa w swoich trzewiach? Najdziwniejsze może jest to, że wydrażony (pusty) człowiek wcale nie musi być nikim. Może być mocnym pionkiem na szachownicy dziejów. Putin całkiem nieźle drybluje na politycznym boisku świata. W kraju natomiast gospodarczo radzi sobie gorzej (kraj surowcowy, sankcje), ale ma coraz lepszą armię, policję, zhołdowanych oligarchów i odurzony (opartą na nienawiści i resentymentach) propagandą i używkami lud, który cieszy się, że szacunek do imperium został przywrócony: *Nie muszą nas kochać, wystarczy, że się boją*. Hitler początkowo był błaznem, a stał się przewodnikiem dla podświadomości „pokrzywdzonych” traktatem wersalskim Niemców. Dlatego też Niemcy boją się „skrzywdzić” Rosjan, bo a nuż im, jak im kiedyś, apokaliptycznie odbije. Nihilistyczną czkawką. Nie ma dla nas ratunku, jeśli opuścimy Unię Europejską, USA i NATO. Uważam, że Rosja powolutku, ale skutecznie będzie marginalizowana i coraz słabsza, więc nie zagrazi Europie, ale samotnej Polsce (i Ukrainie) może mocno dokuczyć, np. naruszając od środka jej rozwój demokratyczny i orientację cywilizacyjną, a na Ukrainie przedłużając wojnę aż do wybuchu prawdziwej (kiedy do władzy w Kijowie dostaną się radykałowie). Musimy się... uzbroić w polityczną genialność...

Piotr Zychowicz, *Żydzi. Opowieści niepoprawne politycznie*, Poznań: Rebis, 2016

Na okładce jednozdaniowa reklama: *Najbardziej kontrowersyjna książka autora „Obłędu ‘44”*. Bezsprzecznie, biorąc pod uwagę drażliwość tematu. Autor – słynny, płodny, kontrowersyjny, inteligentny publicysta historyczny – w przedmowie zastrzega się, że nie jest ani filosemitą, ani antysemitą, ponieważ uważa Żydów:

postawa w Polsce rzadka, po prostu za ludzi [...]. Żli lub dobrzy mogą być tylko poszczególne osoby. Żydzi nie są tu żadnym wyjątkiem. Jeżeli do Żydów pasowałoby jakieś uogólnienie, to zupełnie inne. Otóż jedno można o nich powiedzieć na pewno – że są niezwykle interesujący.

Całkowicie podpisuję się pod tym stwierdzeniem.

To w latach studenckich stawałem się stopniowo filosemitą, wychodząc od frazy Cwietajewej, że wszyscy poeci to Żydzi, oraz od fascynacji poezją Ginsberga, Leśmiana, Wata, żeby nie przypomnieć spraw oczywistych: Jezus był Żydem, Marks był Żydem, Einstein był Żydem i wielu innych prawodawców judeochrześcijańsko-greckorzymskiej Europy... Jednak głównym powodem mojego zdecydowanego odejścia od ojcowskiego (łomżyńskiego) antysemityzmu był wstrząs moralny w obliczu Zagłady Żydów. Więc jak wróciłem po studiach do Olsztyna, to w reakcji na zderzenie z zatęchłą atmosferą narodowo-komunistycznej prowincji nonszalancko i umiejętnie rozповідаłem, że mam pochodzenie żydowskie. Wywołane mymi napomknieniami skojarzenia znawców, którzy mieli problemy z „udowodnieniem” sobie mych przechwałek, skierowały się ostatecznie w stronę Bogu ducha winnej matki. Pamiętam dobrze rozczarowanie pewnego (ograniczonego zresztą) historyka z OBN, który w drugiej połowie lat 80. zbierał „materiały o literatach” i z zaciekawioną miną i uśmiechem dopytywał się o jej rodowe nazwisko. Niestety, moja skromna matka (urodzona szczęśliwie na Wileńszczyźnie, ale rodem z Mazowsza warszawskiego) z domu okazała się Sokólska, a nie np. Brakstein lub Mendelsohn. Ale skoro w 1987 roku zrobiłem bezprecedensową wystawę z Żydowskim Instytutem Historycznym w Warszawie o środowisku artystów żydowskich okresu międzywojennego, to coś musiało być... na rzeczy. Tak też twierdzili panowie z wiadomej służby, którym tłumaczyłem swoją czystą polską miłość do uzdolnionych żydowskich obywateli II RP. Nie zamknęli wystawy: właśnie rozpoczynała się odwilż polityczna. Tak czy owak po latach pięknego i wzorowego filosemityzmu oraz borykania się z dookolnym antysemityzmem przeszedłem po latach heroicznych na stronę humanizmu egzystencjalnego.

Odrzuciłem więc pojęcie „wybranej i objawionej ziemi, rasy, religii, ludu czy narodu (w tym żydowskiego, niemieckiego, polskiego, arabskiego i jakiegokolwiek innego)... Zainteresowało mnie jedynie to, ile Człowieka jest w Polaku, Rosjaninie czy Żydzie, a nie ile Żyda jest w Żydzie, Polaka w Polaku, Rosjanina w Rosjaninie, Niemca w Niemcu itp. Kontynuowałem swoje krytyczne nastawienie wobec świata idei, mitów, symboli, zjawisk etniczno-religijnych, starając się w sposób sceptyczny, wolny, rozumowy podchodzić do konkretnych losów ludzi ujmowanych na poszerzonym tle epoki. Dzieje narodu hebrajskiego, żydowskiego, izraelskiego (a więc w konsekwencji każdego) przestałem traktować jako „objawione, obiecane, apokaliptyczne”, lecz jako niezbywalny składnik zawiąłanych dziejów ludzkości, na którą składają się historie i kultury poszczególnych narodów wrzuconych w jarzmo świata.

Dlatego ta książka, stanowiąca w swoim trzonie zbiór wcześniej publikowanych w czasopiśmie wywiadów i artykułów, autentycznie mnie zaintrygowała. I nie zwiodłem się. Gruba, bo licząca ponad 460 stron pozycja zawiera wywiady z izraelskimi, amerykańskimi oraz polskimi historykami, w których podejmowane są najbardziej okrzykane i kontrowersyjne tematy polsko-żydowsko-izraelskie (oraz powiązane), jak antysemityzm i antyjudyzm, Holocaust, szmalcownictwo, obojętność i radość świadków Zagłady, entuzjastyczne przyjmowanie Armii Czerwonej przez Żydów, Jedwabne i inne zbrodnie w 1941 roku, powstanie państwa Izrael, intifada, powstanie w getcie warszawskim, żydokomuna, specjalnie organizowane wizyty młodych Izraelczyków w Auschwitz w celu m.in. wzmocnienia niechęci (a nawet nienawiści) do Polski i Polaków. Wystarczy podać tytuły rozdziałów: „Naród żydowski został wymyślony. Rozmowa z prof. Szlomo Sandem” (o tym, że w genach Palestyńczyków, byłych podobno Hebrajczyków poddanych wieki temu islamizacji, jest więcej genów żydowskich niż w syjonistach i osadnikach przybyłych tu w XX stuleciu); „Obłęd ’43, czyli powstanie w getcie. Rozmowa z Elim Gatem, ocalałym z Holocaustu”; w wywiadzie tym padły brzemiennie słowa:

Podczas wojny, żeby ratować Żyda, trzeba było być wielkim bohaterem. [...]. Nie mogę jednak pojąć, dlaczego po wojnie, po tym, co się stało, zdarzały się przypadki zabijania Żydów... Gdy myślę o Polsce, nie mogę zrozumieć jeszcze jednego. Dlaczego po tym, gdy powstanie w getcie w 1943 roku skończyło się taką straszną rzezią, Polacy rok później wywołali własne powstanie. Przecież wiadomo było, że będzie to taka sama, wielka masakra.

Dalsze znaczące tytuły: „Przedsięwzięcie Holocaustu. Rozmowa z prof. Normanem Finkelsteinem”; „Żydzi i komunizm. Rozmowa z prof. Antonym Polonskim”; „Polacy też byli ofiarami. Rozmowa z prof. Richardem Lukasem”; „Chłopi mordowali Żydów z chciwości. Rozmowa z Alianą Skibińską... Nieduża, ale znacząca część V poświęcona została wywołującemu nieustanne kłótnie tematowi „Żydzi a 17 września”, w której „bramy dla Sowietów” omawiają polonocentrycznie nastawiony prof. Krzysztof Jasiewicz oraz prof. Antoni Polonsky (światowej sławy znawca problematyki antysemityzmu), oraz również prof. Jehuda Bauer z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, którego wypowiedzi zamykają całe wydawnictwo („Polacy i Żydzi nie powinni być wrogami”):

Na terenach dzisiejszej północno-wschodniej Polski – gdzie znajduje się Jedwabne – Armia Krajowa, podobnie jak ludność cywilna, była nastawiona antyżydowsko. Trochę bardziej na północ, w okolicach Ejszyszek czy Wilna, Polacy byli zaś bardzo Żydom przychylni. Obie nacje były tam bowiem prześladowane nie tylko przez Niemców, ale także przez Litwinów. W efekcie wszystkie powojenne relacje Żydów z tamtego terenu brzmią podobnie: „Uratowali mnie polscy chłopci”. Nie muszę dodawać, że Żydzi z łomżyńskiego mają zupełnie inne doświadczenie. [...]. Powtarzam: cały grzech Żydów polegał na tym, że woleli Sowietów od Niemców. [...]. W sprawie Polski wśród Żydów panuje wielka ignorancja [...]. Gdy słyszę, że ktoś mówi, że wszyscy Polacy podczas wojny kochali Żydów – protestuję. Protestuję jednak również, gdy słyszę, że wszyscy Polacy byli dzikimi antyse-

mitami. Po obu stronach są radykałowie. Rozsądni ludzie powinni zaś wylewać wodę na te płomienie i spokojnie ze sobą rozmawiać.

To ostatnie zdanie jest świetną klamrą dla podjętego przez autora zadania przerzucania mostów ponad realnymi i zmistyfikowanymi przeszkodami do porozumienia między stronami. Wydaje się, a tak przynajmniej wynika z większości rozmów, że jedynymi wrogami takiego porozumienia są amerykańscy Żydzi, a nie obywatele Izraela.

Nie uważam, aby Piotr Zychowicz napisał zmanipulowaną i „najbardziej kontrowersyjną” książkę w celu (jak to mówią) wybielenia win Polaków i oczernienia Żydów. Dostaje się i tym, i tym. A jest to słuszna metoda. Czy jest ona niepoprawna politycznie? W tym sensie, że nie przynosi apologii jednostronnej postawy fundamentalistycznej na tak lub nie? Może i tak było w momencie publikacji pierwodruków w czasopiśmie. Na pewno broni dobrego imienia poszczególnych Polaków i Żydów, którzy oddali najlepsze lata, a nawet życie za swoje szczytne, szlachetne przekonania indywidualne i narodowe. Na pewno przynosi bogactwo mniej znanych faktów, zdarzeń i pobudzających do przemyślenia refleksji, które są kontrastowane innymi faktami i opiniami. Ten osiągnięty (prawie) obiektywizm dobrze świadczy o autorze kojarzonym przecież z nurtem prawicowym (narodowym). Ale prawica wcale nie musi być nastawiona antyizraelsko. To radykalna lewica europejska jest bardziej nastawiona antysyjonistycznie i antyizraelsko. Ja otwarcie potępiam zbrodnie izraelskie na Palestyńczykach i uważam Izrael za państwo demokratyczne, jednak coraz silniej chylące się (pod rządami bezwzględnego premiera Netanjahu szczególnie) w stronę nacjonalistyczno-religijnej przemocy. W długiej perspektywie dziejowej widzę, że rosnąca po dwóch stronach barykady nienawiść prędzej czy później doprowadzi (ale jakim straszliwym kosztem?) do wielkiej wojny na wyniszczenie i wcale nie jest pewne, że uzbrojone w broń atomową państwo izraelskie w ogóle przetrwa.

Omawiane wydarzenia i prezentowane komentarze ukazywane są w szerszym polu historycznym, społecznym, kulturowym, co uniemożliwiło ich tendencyjną ideologizację. A poza tym zawsze w tych opisach i relacjach widać konkretnego człowieka, jego emocje i postawę. To uatrakcyjnia i uwiarygodnia mocno narrację publicystyczną. Papierkiem lakmusowym książek o tej tematyce jest ocena dokonań historyka i socjologa Jana Tomasza Grossa. W wywiadach Zychowicza autor „Sąsiadów” nie jest eksponowany, ale nie jest też wyjątkowo negatywnym bohaterem. Poddawany jest natomiast różnorodnym ocenom (w tym aprobującym i negującym jego ustalenia). Brak stronniczości (lub prawie), to niemała zasługa autora.

Jest to bardzo dobra pod względem warsztatowym i poznawczym, bardzo potrzebna i w sądach wyważona publikacja, w której mamy sporo nieznanymi i zaskakującymi poglądów, faktów, interpretacji. W momencie ogłaszania poszczególnych wywiadów czy artykułów w czasopiśmie (wtedy po raz pierwszy z nimi się zapoznałem) przytaczane fakty mogły naruszać silne stereotypy i mitologie po obu stronach granicy mentalnej, światopoglądowej, narodo-

wościowej. Obecnie są mniej bulwersujące czy nowe, ale nadal potrzebne, bo jak wiemy, nieustannie są poddawane emocjonalnym manipulacjom. Chwalę autora za pomysł zebrania w jednym tomie ciekawych artykułów i wywiadów, które otwierają czytelnikowi drogę do samodzielnej refleksji nad dziejami polsko-żydowskimi, w czym widzę kolejną szansę na wytworzenie rozumu krytycznego, a nie apologetycznego, zamkniętego, manipulacyjnego po obu stronach dramatu polsko-żydowskiej miłości-nienawiści.

Zresztą to temat rzeka, nadal niebezpieczna i rwąca rzeka. Zastanawia natomiast brak jakichkolwiek opinii i ocen, a nawet faktów odnoszących się do roli Kościoła katolickiego w Polsce (w okresie międzywojennym w czasie okupacji i w PRL-u, no i obecnie...). Jak wiemy, antyjudyzm kleru mocno przyczynił się do wzrostu nastrojów antysemitycznych w naszym kraju, szczególnie na prowincji endeckiej. W swoim długim (już!) życiu dosyć często wysłuchiwałem opinii, która mnie totalnie powalała, że „jedyną rzeczą, jaką Hitler dobrze zrobił, to zlikwidował Żydów, a my mamy ręce czyste i problem z głowy, tylko cicho sza”. Na stronie 321 znalazłem podobną frazę odnotowaną z oburzeniem przez wybitnego pisarza antykomunistę Józefa Mackiewicza. A więc „powiedzonko to” powstało w okresie wojny, i dotrwało do naszych czasów. Straszne. Ale trzeba się z nim i obecnie zmierzyć, gdyż nienawiść, agresja, radykalizm ponownie przybierają na sile, a rozum krytyczny i przyjazne serca są usilnie poszukiwane.

Kazimierz Brakoniecki

Po niciach, nitkach i niteczkach...

Krzysztof Beśka, *Krypta Hindenburga*, Gdańsk: Oficynka, 2015

Okazuje się, że gdyby nie zwycięska dla Niemców bitwa pod Tannenbergiem, która odbyła się pod koniec sierpnia 1914 roku, to w kilka lat i w kilka dziesięcioleci po tym wydarzeniu nie zaistniałoby bardzo wiele ważnych rzeczy. Nie powstałoby na pewno kilka innych budowli albo co najmniej ich części. Nie powstałoby też wiele mitów, nie zginęłoby kilka osób w kolejnej sensacyjno-kryminalnej książce Krzysztofa Beśki „Krypta Hindenburga” i nie zostałaby rozwiązana kryminalna zagadka. Szczęściem nie giną główni bohaterowie tej powieści, ale raczej postaci o nieciekawej proveniencji. Na dodatek uratowany zostaje honor pewnego europośła.

I nie ma co się dziwić zazębianiu historycznych tajemnic ze współczesnością, w dawnych Prusach Wschodnich bowiem działało się wystarczająco dużo, by historia niejako sama zadbała o sensacyjny koloryt, by podsunęła wiele pretekstów do domysłów na temat tajnych dokumentów lub skarbów, choćby bursztynowej komnaty. To natomiast nie po raz pierwszy wykorzystują pisarze, w tym Krzysztof Beśka – autor ze sporym dorobkiem nie tylko prozatorskim, ale poetyckim i dramaturgicznym. Natomiast „Krypta Hindenburga” jest kontynuacją przygód dziennikarza Tomasza Horna, zapoczątkowanych w powieści „Ornat z krwi”. Nie da się ukryć (choć i sam autor temu nie zaprzecza), że warszawski redaktor jest dosyć wyraźnie spowinowacony z panem Tomaszem z przygód „Pana Samochodzika” Zbigniewa Nienackiego. Tyle że w tym wypadku nie jest to na pewno wersja soft.

278

Akcja „Krypty Hindenburga” dzieje się współcześnie między innymi w Olszynie i w Olsztynku, choć kilka istotnych epizodów ma miejsce w Brukseli, Warszawie, Malborku, Starych Jabłonkach koło Ostródy, Barczewie, nawet pod Kętrzynem. W paru rozdziałach obraca się wokół wydarzeń z przeszłości i wtedy znajdziemy się krótko między innymi w Königsbergu, Hohenstein i wsi Tannenberg. Zatem podróże nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Toteż zanim weźmiemy się za czytanie tej książki, konieczne jest przypomnienie kilku faktów z historii Warmii i Mazur.

Owa pruskowschodnia końcówka sierpnia 1914 roku w niemieckiej literaturze nierzadko bywała traktowana jako druga bitwa pod Tannenbergiem, ponieważ pierwszą miała być klęska Krzyżaków pod Grunwaldem i ta odbyła się niedaleko tego miejsca w roku 1410. Zatem Tannenberg jako udany rewanż za Grunwald. Również nieprzypadkowo wzniesione tu w 1927 roku (początek budowy 1924) mauzoleum było pobudowane z czerwonej cegły i z architektonicznym rozmachem, co miało między innymi nawiązywać do zamków krzyżackich. Monument składał się z ośmiu ogromnych bloków otaczających kryptę z prochami żołnierzy. W sierpniu 1934 roku pochowano w tym miejscu prochy marszałka Paula von Hindenburga i jego małżonki, w ceremonii zaś uczestniczył Adolf Hitler. W styczniu 1945 roku po wywiezieniu prochów Hindenburgów Niemcy wysadzili budowlę. I można powiedzieć, że rozrzut tego wybuchu był niebywały, gdyż części mauzoleum znalazły się w Warszawie i posłużyły do budowy schodów przy byłym gmachu KC PZPR oraz pomnika Partyzanta. Natomiast w Olsztynie stając przed obecnym pomnikiem Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej, możemy doświadczyć swoistej podróży w czasie, gdyż mamy możliwość obcowania jednocześnie z dwiema dodatkowymi rzeczami – niedawnym pomnikiem Wdzięczności Armii Czerwonej i fragmentami mauzoleum marszałka von Hindenburga. Mimo to w książce Beški nie wszyscy są przekonani, że w krypcie znajdowały się jedynie prochy, niektórzy zaczynają szukać innych tropów, nierzadko nie przebiegając w środkach.

Nie mniej istotny dla akcji tej powieści jest pomnik lwa, wzniesiony w tamtych latach 300 metrów od mauzoleum, upamiętniający żołnierzy 147. Pułku Piechoty. Lew obecnie stoi przed ratuszem w Olsztynku, mimo tego, że w książce zostaje skradziony i potem wysadzony. Coś bowiem według, nie tylko okolicznych mieszkańców, skrywać miała zarówno krypta, jak i lew. I tu mamy już element *political fiction*, niejedyny w powieści Beški.

Toteż wątki w „Krypcie Hindenburga” trzeba uważnie śledzić i trzymać je mocno, niczym cienkie niteczki, gdyż od początku mnożą się i do pewnego momentu przy najmniejszym rozkojarzeniu mogą się poplątać. Trzeba będzie bowiem nie tylko powiązać ze sobą śmierć niemieckiego emeryta, oskarżenie europośła Bogdana Sikorskiego o zamordowanie prostytutki, zbrodniczą misję byłych esbeków działających na zamówienie niemieckiego zleceniodawcy, porwania i tortury, ale również wydarzenia sprzed lat, ponieważ autor wraca nie tylko do roku sławnej bitwy, ale również do lat 1934, 1945, 1965.

Trzeba również podkreślić, że mimo zacięcia detektywistycznego pierwotnym celem redaktora Horna nie było to, w co został wciągnięty w trakcie dalszej akcji powieści, ale pomoc zaprzyjaźnionemu europośłowi. Niespodzianki są zresztą nie tylko kryminalne, gdyż nagle Horn traci pracę w redakcji. Na dodatek dziwną metamorfozę przechodzi pomagająca Hornowi w rozwikłaniu zagadki piękna niemiecka policjantka o brzmącym znajomo nazwisku Klose. Pomocnymi w jego działaniach okazują się znajoma archeolog i (niespodziewanie) łowca zbrodniarzy wojennych. Jednakowoż byłoby nie fair wobec czytelnika wyjawianie dalszej treści, a tym bardziej zakończenia powieści, bo trzeba przyznać – od początku napięcie rośnie.

Rozdziały książki kończą się konsekwentnie niedopowiedzeniami, również te nawiązujące do przeszłości. Jednak po przeczytaniu kilku kolejnych okazuje się, że „Krypta Hindenburga” ma rytm i dosyć zwartą formę. Odczytywanie ułatwiają podtytuły i śródtytuły rozdziałów z nazwami miejscowości i informacją o tym, w którym kolejnym dniu dzieją się wydarzenia. I gdyby nie czterostronicowy, kończący się na... 444 stronie „Epilog” opatrzony podtytułem „Olsztyn, dwa dni później”, to całość akcji trwałaby tylko tydzień. Zatem istna puszka Pandory.

Usystematyzowaniu początkowego mętliku wynikającego z wielości wątków sprzyja również klarowny język pisarza, ponieważ Krzysztof Beśka nie sili się na głębszą psychologię postaci oraz analizy historyczne. I dobrze. Choć nieco mogą drażnić zbyt długie opisy drobnych czynności lub upraszczanie niektórych, gdyż usypianie chloroformem raczej nie jest takie łatwe, jak to opisuje autor. Mimo całej otoczki historycznej i dosyć zawilej intrygi autor nie ma ambicji przekazywania historii. Jak sam mówi w jednym z wywiadów:

Z drugiej strony moje powieści to nie są książki historyczne. Ja potrzebuję tylko odpowiedniego tła, dekoracji, a najważniejsza jest przecież kryminalna intryga.

I od tej strony „Krypta Hindenburga” powinna spełnić najważniejsze wymogi miłośnika tego gatunku – trzyma w napięciu, zawiera zaskakujące zwroty akcji oraz nie mniej zaskakujące zakończenie. I czego więcej trzeba, dodawszy do tego sprawny warsztat pisarski?

Mirosław Słapik



Zespół redakcyjny czasopisma
BORUSSIA. KULTURA. HISTORIA. LITERATURA
otrzymał
**NAGRODĘ PREZYDENTA MIASTA OLSZTYNA
W DZIEDZINIE KULTURY**
z okazji
25-lecia ukazywania się tytułu.

Uroczystość wręczenia nagrody w urzędzie miasta
w obecności prezydenta Olsztyna Piotra Grzymowicza
odbyła się 9 VI 2016 roku.

Redakcja gratuluje i serdecznie dziękuje
autorom, współpracownikom, sympatykom.

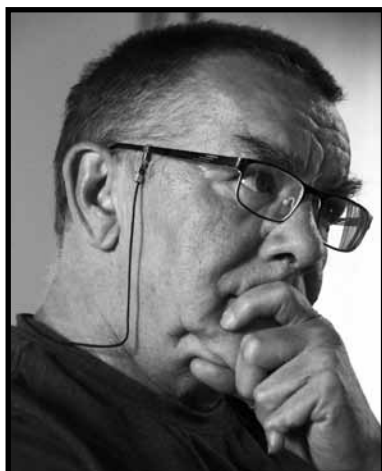


Zdjęcie z archiwum Borussia i Kazimierza Brakonieckiego

Poeta i eseista
KAZIMIERZ BRAKONIECKI
odebrał 19 VI 2016 roku w ratuszu w Getyndze
NAGRODĘ LITERACKĄ IM. SAMUELA BOGUMIŁA LINDEGO
MIAST PARTNERSKICH GETYNGI I TORUNIA.

Laureatem ze strony niemieckiej został poeta i tłumacz
JAN WAGNER.

Laureatami nagrody im. Samuela Bogumiła Lindego byli także związani z „Borussią”
pisarz Włodzimierz Kowalewski (2003) i prof. dr hab. Hubert Orłowski (2004)
oraz Siegfried Lenz (1998), honorowy obywatel Ełku.



Cezary Wodziński

1959-2016

FILOZOF

Przyjaciół „Borussii”

KANON

KULTUROWY
WARMII
I MAZUR



BORUSSIA
WSPÓLNOTA KULTUROWA

Adres do korespondencji:

Dom Mendelsohna
ul. Zyndrama z Maszkowic 2 | 10-133 Olsztyn
tel./fax 89 534 00 26
redakcja@borussia.pl | www.borussia.pl



Cena 15,00 zł